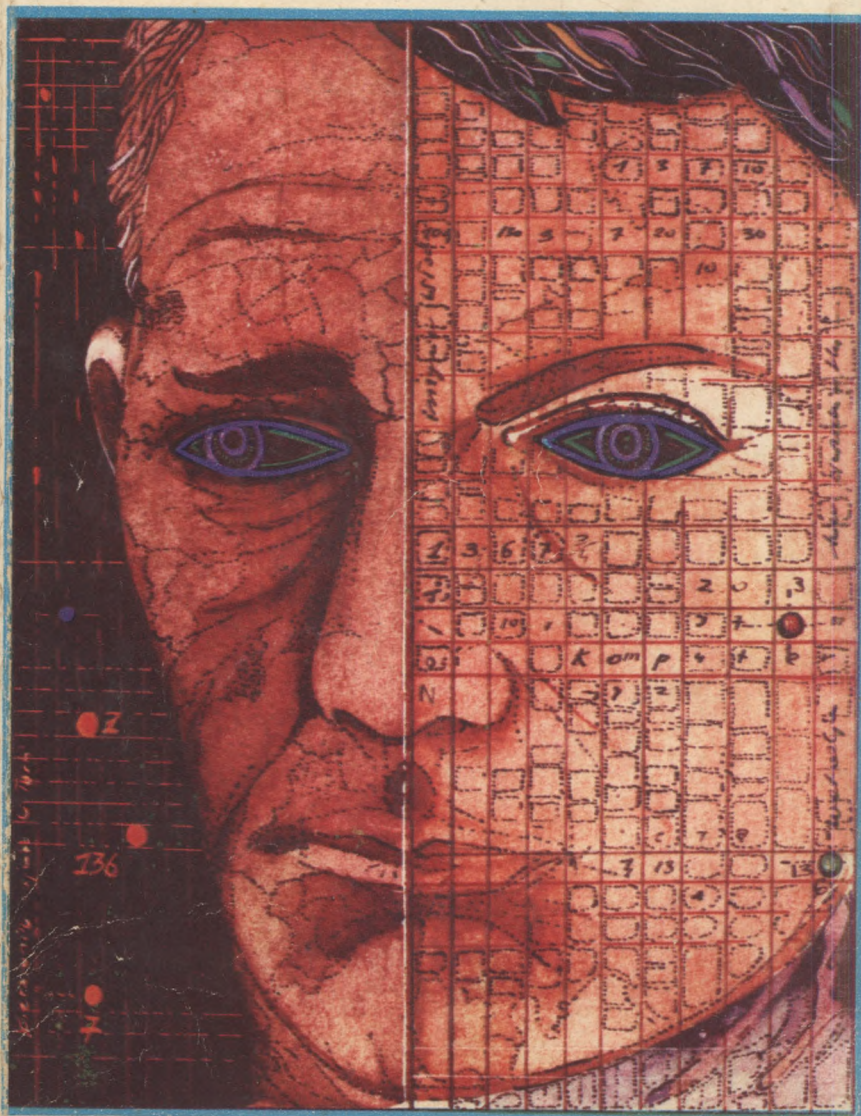


Мол/п  
В 413

Jurij Bedzyk

# BEKITY





BŁĘKIT

Tytuł oryginału ukraińskiego

*БЛАКИТЬ*

Jurij Bedzyk

# BLEKIT



*Tłumaczył*  
STANISŁAW EDWARD BURY

WYDAWNICTWO LUBELSKIE



Kartę tytułową  
i okładkę projektował  
JERZY KOSTKA

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie  
Lublin 1978

Hryhory Łukycz Żadan szedł przez rozpoczynający pracę oddział, witany spojrzeniami i uśmiechami dziewcząt przy rewolwerowych tokarkach. „Decyzją ministerstwa uwzględniono prośbę...” Stary majster ścisnął otrzymany rano telegram od syna. „Lecę do stałego miejsca pracy”. Syn wracał do niego. Kochany Witia nareszcie powraca do domu.

Słońca w fabryce było jeszcze mało, ale złote pasma, przecinające przestrzeń, zapowiadały dzień bardzo ciepły. Żadanowi było ciepło na sercu. Zerknął szybko na telegram i poczuł w piersi ciepłą falę. A ty, Hanusiu, nie wierzyłaś. Witę trzeba znać, to Żadan z krwi i kości. Decyzją ministerstwa — masz pojęcie?! Jedno słowo zdecydowało. Wiktor Żadan wykonał zleczone zadanie i wraca do domu.

Przebywał za granicą przez dwa i pół roku. Odległość, czas, niepokój — wszystko dzieliło ich jak bariera immunologiczna, którą można przeklinać, ale wobec której jest się bezsilnym. I nagle ten telegram: „Decyzją ministerstwa...”

Telegram przyniesiono z rana, kiedy Hanusi nie było już w domu, poszła z Lonią do żłobka. Długo wkładała mu nowe trzewiczki, które były za małe. Chłopczyk

kaprysił, prychał, Hanusia kilka razy zdejmowała mu buczki, rozciągała je obu rękami i znowu przymierała. Jeszcze chwila i listonosz z telegramem zastałby ją w domu. Razem przeczytaliby depeszę i wspólnie się cieszyli...

Dziewczęta włączały motory, oddział ożywał, jakby się rozprostowywał, olbrzymiał, przepełniał słońcem. Nie było tylko Hani, jednej robotnicy spośród setek, i jeden tylko warsztat spośród setek milczał, jego motor, jego utajona wewnątrz energia pozostawała poza życiem fabryki. Żadan chodził zasepiony. Warsztat Hani budził jakąś niepewność, narastającą w miarę, jak do pracujących już dołączały się inne warsztaty, potęgując u Żadana nerwowy nastrój oczekiwania. Nic nie może zastąpić człowieka w fabryce, bez niego nawet najdoskonalsze mechanizmy stają się zwykłym, szlifowanym metalem, martwą inwestycją.

Żadan siedział na naradzie produkcyjnej. W dużym, zadymionym pokoju toczyła się ostra dyskusja na temat kwartalnych zadań oddziału. Kierownik PRB\*, Surikow, rumiany mężczyzna z zadartym nosem w ochronnym, zatłuszczonym kombinezonie udawał łysemu i chudemu zastępcy kierownika oddziału, Howiadzie, nierealność wysuniętych propozycji. Planistka Żuraj, siedząca przy kasie pancерnej, uśmiechała się zagadkowo do swoich myśli.

Żadan czuł się nieswojo, był wyłączony, jak Hanusi warsztat, z rozmów i z atmosfery zebrania, obojętny na wszystko, zajęty własnymi myślami, nie zabierał więc głosu w sprawie propozycji Howiady. Zamierzał jednak wtrącić jakieś wyjaśnienie, gdy nagle jakby usłyszał znajomy, jakże mu drogi głos Niny Wasylewnej: „Mogą być z tym kłopoty. Powinieneś być uprze-

---

\* Biuro Planowania.

dzie Wiktora. W tych sprawach nie ma żartów...” Głos był wyraźny, jakby mówiło się obok. Nina?... Dlaczego mnie męczysz? Jesteśmy oboje jak dmuchawiec, a ty chcesz mnie osądzać za cudze grzechy, za cudze pomyłki! Nino najdroższa, moja niedośpiewana pieśni! Może istotnie jestem winien, może czegoś nie zrozumiałem, byłem zbyt naiwny, zaufałem ślepej wierze. Ale skąd mam wziąć mądrość na wszystkie komplikacje życiowe? Powróciłaś do mnie jak z bajki, ciągle jeszcze nie wierzę w twoje pojawienie się ani w to szczęście, które mi przyniosłaś. Mówisz do mnie słowami, jakimi przemawiałem do ciebie przez dwadzieścia lat, przemawiałem w snach, w myślach, w swoich rozterkach...

Po naradzie produkcyjnej Żadan poszedł na oddział obrabiarek. Poprzedniego dnia kilka warsztatów nie pracowało z powodu braku noży tokarskich, młode robotnice skarżyły się, że tracą daremnie czas. Żadana bano się tu jako starszego majstra, który nie pobłaża nikomu; spróbuj takiemu nie dogodzić, to ci zdrowo natrze uszu, a potem będzie walić w ciebie jak w bęben na wszystkich zebraniach. Ale mimo to lubili go za sprawiedliwość i rzeczowość, za obronę interesów oddziału w radzie zakładowej, za to, że umiał wydebić skierowania na wczasy, a dla młodzieży miesięczny pobyt w naddnieprzańskim profilaktorium, że umiał słuchać, potrafił zrozumieć i współczuć, za to, że nie był fałszywy, słowem, że był swój chłop.

— Hryhory Łukyczu, zrobimy wszystko, żeby było na medal! — zapewnił go chłopak w ochronnych okularach, który szybko i sprawnie obsługiwał obrabiarkę.

Żadan pokiwał z zadowoleniem głową. Rycerze w ochronnych okularach, z którymi potrafił znaleźć wspólny język, pracowali dokładnie i bez braków. Dziewczęta też nie nawalały z robotą, wykonując plan we wszystkich wskaźnikach, nawet w realizacji „awa-

ryjnych” zamówień terminowych oraz znieawidzonych zamówień nieseryjnych.

Majster był w podniosłym nastroju: i Wiktor przyjedzie, i Hania będzie szczęśliwa... Och, Nino! Tylko my oboje kluczymy krętymi drogami. Doczekałem się syna pod wąsem, doczekałem się już wnuka, a nasz los ciągle jeszcze gdzieś się błąka.

Przez dwadzieścia lat uważał Ninę za swoją niedosiężną gwiazdę. Korespondowali ze sobą, ale skąpi byli w słowach, bali się nieostrożnej szczerości, unikali najważniejszego: swojej przyszłości, swej miłości. Ona już jako mężatka wyjechała w czterdziestym szóstym roku z mężem, zawodowym wojskowym, na Zakarpacie, on zaś owdowiawszy w czasie wojny sam wychowywał Witę i zdawałoby się, zrzekł się na zawsze własnego szczęścia. Pozostało mu tylko jedno: fabryka, oddział, praca.

Pamięta, jak zaraz po wojnie jeden z partyzanckich dowódców postanowił zorganizować spotkanie towarzyszy broni. Do małego miasteczka nad Rosią przyjechali wszyscy, do kogo dotarło zaproszenie; przez dwa dni korzystali z jego gościnności, rozkoszując się bogactwem i pięknem korsuńskich sadów. Radość spotkania mąciło jednak przecucie znów długiej rozłąki, która czyhała już na nich w potoku szarej codzienności. Więc kiedy zasiedli po raz ostatni przed wyjazdem do stołu, biesiadna wesołość ustąpiła miejsca zadumie.

Żadan i Nina wyszli na werandę. Dyskretnym świadkiem ich rozmowy były tylko krzaki bzu i bielejące w mroku wiśnie. Wiosenna noc kwitła bujnie i odurzająco.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty — powiedział Żadan, trzymając Ninę za rękę.

— Tak, to ja — odrzekła cichym, obcym głosem, w którym jakby zerwała się najważniejsza struna

i jakby zgasł na zawsze najważniejszy ton. Z głębi sadu napływał drażniący zapach wilgotnej ziemi i nabrzmiałych sokami gałęzi. Ręce Niny stały się jeszcze chłodniejsze.

— Słyszałem, że cię katowali — powiedział głucho, wypuszczając jej dłoń.

— Spytaj raczej o Walę.

Wala była jego żoną, ciężko ranna razem z Niną wpadła w ręce gestapo.

— Wiem o niej.

Zamarł, skulił się w sobie, serce przestało bić, poczuł w piersiach chłodną próżnię.

— Spóźniliście się kilka godzin.

— Spaliliśmy komendanturę, rozbiliśmy więzienie. Byłem w celi, znalazłem twoją chustkę. Całą we krwi i brudzie.

— Szukałeś Wali — powiedziała przebaczącym tonem, biorąc go za obie ręce w przekonaniu, że przyniesie mu to ulgę, i w obawie, że może się rozplakać. — Kochałeś ją, wiem.

— A tyś mnie nienawidziła.

— Kochałam.

— Za co? Wzgardziłem twoją miłością, zeniąc się z inną. Mieliśmy Witię...

Nina pogładziła ręką jego bujną czuprynę. Była w tym ruchu wyrozumiałość dojrzałej kobiety, która umie przebaczać, zwłaszcza kiedy los okazał się dla niej łaskawy w najważniejszej sprawie. Wiedziała, że Żadan będzie ją kochał zawsze, że będzie myślał o niej i cierpiał razem z nią.

— Zaraz po powrocie z frontu szukałem cię we wsi. Zostawiłem list u Zakłunnych. Dlaczego się nie odezwałaś?

— Byłam już wtedy zameżna.

— Ach, tak...

— Musiałam wyjść za męża. Musiałam bronić się przed samotnością. — Wzięła Żadana pod rękę i lekko ją ścisnęła. — Chodźmy, czekają na nas przy stole. — W drzwiach zatrzymała go i spojrzała na niego z oddaniem, lękiem i cierpieniem. — Przyrzeknij, że nie będziesz mnie szukać.

— Nie wiem.

Weszli do pokoju i od razu zapomnieli o smutku. Zostawili na ciemnej werandzie wszystkie żale, wypowiedziane i nie wypowiedziane, ale zostawili też w nocnej pustce nadzieję, że doczekają się lepszych dni i szczęśliwszych spotkań.

Wkrótce rozjechali się i wszystko odeszło w przeszłość. Brać partyzancka rozstała się znów na bardzo długo. Tylko z rzadka dochodziły wieści o tym i o tamtym. Wreszcie i te się urwały, rzeka czasu rozlała się szerzej, jej zimne fale zmywały nadzieje i oczekiwania. Realne przeżycia odchodziły w nierealny byt. Powoli skradała się starość.

Po kilku latach spotkali się znowu. Nina była już sama, bez męża, wolna od obowiązków. On też był sam, jak w swoich dawnych, kawalerskich czasach. Witia za oceanem, przed nimi nie przeżyte życie.

— To ty, droga?

— Ja, kochany.

— No i jak teraz będzie z nami?

— Niech czas za nas zadecyduje.

— Gołąbeczko, jaki czas? Dużo go nam jeszcze zostało?

— Nie przynaglaj. Niech przyjedzie Wiktor i nas osądzi. Twoja i Wali krew. Tylko przed nią odpowiadamy...

...Hryhory Łukycz szedł powoli między rzędami warsztatów. Kołysze go warkot motorów. Dziewczęce głowy pochylone nad nożami tokarskimi, bacznie

wpatrzone oczy, wprawne dłonie kontrolujące dokładność pracy obrabiarki. Roztańczone słońce rozsypuje hojnie iskry na lśniących motorach i szlifowanych detalach.

Żadan podchodził już do swego stołu w kantorze, gdy ujrzał nagle Hanię. Sprawnie przygotowywała narzędzia i detale do obróbki, potem pochyliła się nad grafikiem. Ucieszył się i uspokoił. Przyszła, a więc wszystko w porządku...

Jasnoblond główka pochyła się coraz niżej nad nożem, oczy w metalu, tam, gdzie przepływa emulsja. Nic teraz dla niej nie istnieje poza pełnym napięcia śledzeniem czegoś pozornie nieuchwytnego, jakiejś mikronowej cząstki odległości, jakichś szóstym zmysłem wyławianych parametrów.

Musiał do niej podejść. Wyjął z kieszeni telegram, ścisnął go w rękę. Powie jej, że dziś radosny dla nich dzień: Witia przylatuje. Nie, po prostu położy depezę. O tam, z prawej strony na suporcie. Podsunie pod łokieć i niby żartem dotknie ramienia, żeby zwrócić jej uwagę na telegram. Popatrzy z boku na jej twarzyczkę i ujrzy zdziwienie w oczach, a może lęk i konsternację.

No, dlaczego siedzisz? Podejdz, dość już tego zwlekania. Ona też ma prawo cieszyć się razem z tobą. Nogi ścierpły? No tak. Gdyby tu była Nina Wasylewna, szybko by to załatwiła.

W ciągu ostatniego pół roku, od kiedy Nina tu przyjechała, byli nierozłączni, chociaż mieszkali oddzielnie. Dzwonił do niej po kilka razy dziennie, biegł zaraz po pracy. Przeżyli pół roku, szczęśliwi z odnalezionego losu, jeszcze nie całkiem jego pewni, ale już bardzo sobie bliscy. Nie miał przed nią żadnych tajemnic. Wiedziała, dlaczego Hania mieszka z Lonią w jego domu,



wiedziała też, że Wiktor ma wkrótce powrócić, a gdy już wróci, kiedy otworzy drzwi i wejdzie do pokoju...

— Coś ty najlepszego zrobił? Powinieneś być narażać się z Wiktorem.

— Tu nie ma się co radzić. Wiktor Hanię kocha, więc pokocha i dziecko. Taki cudowny chłopczyk!

— Aleś ty naiwny, Hryciu. A jeśli się okaże, że będzie inaczej i sprawi to Hani tylko ból?

Istotnie, mogła to być gorzka prawda. Wyczuwał ją nie tylko w słowach Niny, łowił jej echo w niepewności oczekiwania, we własnym niezdecydowaniu. Powinien już był dać Hani ten telegram i powiedzieć o przyjeździe Wiktora.

— Hryhory Łukyczu! Słyszysz pan?! — zawołał ktoś z tyłu.

Poznał głos planistki, Oksany Żuraj, i po chwili poczuł jej pulchną dłoń na ramieniu. Przykrył ją swoją szorstką ręką i uściśnął po przyjacielsku.

— Usiądź, Oksano.

— Pan chyba się nie wyspał, Hryhory Łukyczu — błysnęła promiennymi, niebieskimi oczami, w których dostrzegł niepokój. To prawdopodobnie jego własny niepokój jej się udzielił i chciała teraz znać przyczynę.

— Co panu? — spytała po chwili, dostrzegłszy na jego twarzy niedobre cienie.

— Hani jakoś długo nie było — odparł Żadan, przeglądając z podejrzaną pilnością papiery. — Nie wiesz dlaczego?

— Tylko o to chodzi? — westchnęła z ulgą. — W żłobku szczepili dzieci i wszystkie mamy się zatrzymały. Powiada, że tyle tam było płaczu! — I uspokoiwszy się zabrała się do dokumentacji. — Od monterów znowu awaryjne, Hryhory Łukyczu. Chciałam pana spytać...

— Rozdaj szybko awaryjne — przerwał jej Żadan,

zadowolony, że sprawami oddziału może odpędzić niepokój. — W montażowni czekają, wiesz przecież.

Ona dobrze wie. Nie trzeba jej przypominać. W montażowni czekają, w WTK\* czekają. Kierownik produkcji dzwonił już dwa razy. Przychodzili kontrolerzy techniczni, też domagają się awaryjnych.

Zaczęli się naradzać nad dokumentacją detali. Podszedł do nich młody, nieco fircykowaty majster zmiany, Wołodymyr Zaliski, którego wygląd rozśmieszył Oksanę. Przychodził codziennie do pracy w świeżej, białej koszuli, w starannie odprasowanym, niebieskim kombinezonie, brwi jak malowane, wargi płoną buraczaną barwą. Był zakochany w swej powierzchowności, nie pominął żadnego lustra, żeby w nie nie spojrzeć. Orientował się jednak doskonale w sprawach technicznych, był najlepszym majstrem pośród zmianowych.

Stał naprzeciw Żadana, z trudem opanowując ironiczny uśmieszek. Lekko, jakby mimochodem, dawał wyjaśnienia: Nina Bojtenko najlepiej wykona awaryjkę, jest teraz w formie, chce uczestniczyć w fabrycznym współzawodnictwie tokarzy. Krótkie serie najlepiej powierzyć Hali Bułancyk, świetnie sobie z tym radzi, sama narządzi warsztat, nie straci ani chwili. Katia Sawczuk też mogłaby się z tym uporać, ale ostatnio jakoś się leni.

— Jak tak można, Wowo? — zeżliła się Oksana. — Nielekko jej teraz.

— Bardzo jej współczuję, ale muszę na zmianie wykonywać plan.

— Co się stało? — wtrącił się Żadan.

— „Na śmierć go pokochała, ale on opuścił ją...” — zaśpiewał z kpiącym uśmiechem Zaliski, rzucając obłudne spojrzenie na Oksanę. — Zdrada i rozczarowa-

---

\* Wydział Kontroli Technicznej.

nie, Hryhory Łukyczu. Plus dziesięć gramów aquae destilatae z dziewczęcych ocząt.

— Wstydz mi za ciebie, Wowo! — skarciła go sucho Oksana.

— Słyszał pan, Hryhory Łukyczu? To się nazywa wychowanie młodych kadr. — Zaliski mówił teraz bez uśmiechu, surowo i ze złością. — Fabryka to nie ogródek do hodowania sentymentów. Ostatecznie za materialny efekt produkcji odpowiadam ja. — Spojrzał ukradkiem na zegarek. — Przepraszam, Hryhory Łukyczu, ale mam pilną sprawę.

— Możesz odejść, idź odpowiadać za materialny efekt — rzekł Żadan i przesłał Oksanie zmęczony uśmiech. — Kati Sawczuk nie dawaj awaryjek, znajdziemy dla niej coś lżejszego. — Przebiegł szybko oczyma stojące rzędem rewolwerówki, na chwilę zatrzymał spojrzenie na Hanusi, potem wyjął telegram, rozłożył go na stole przed Oksaną.

— Czytaj! — powiedział twardo. — To po waszej babskiej linii. Może coś podsuniesz.

Samolot siadał prosto na słońce. Jego skrzydła czerwieniały i wszystko wokół purpurowiało, pochłaniane przez szkarłatną mgłę. Ulice w dole stawały się coraz szersze, promienie zachodzącego słońca odbijały się w szybach migotliwym światłem.

— Dwa lata — wyszeptał Wiktor.

Odrzucił do tyłu głowę na miękkie oparcie i przymknął oczy, pogrążając się w słodkiej zadumie. Do domu, do domu! Jak tam ojciec? Rodzinny dom, rodzinne miasto...

Siedział przy samym oknie, czując, jak każdy nerw, każda jego komórka oczekuje czegoś w napięciu i z nie-

cierpliwością. Na ładnej twarzy o gęstych brwiach zastygł uśmiech zadowolenia. Twarz miał spokojną, jakby zapadł w sen, choć z piersi wyrывało się mocno bijące serce. Żeby już jak najszybciej! Jak długo siada ten samolot. Ale to ostatnie chwile, ostatni zakręt.

Przed oknem przepływa olbrzymie słońce, samolot dostaje drgawek, cały świat traci swą stabilność. Wiktor dostrzega w dole domy, ulice, drzewa. Gdzieś daleko za wzgórzami błysnął na moment flirtujący ze słońcem Dniepr. Spojrzał w dół: nie widać było ani rzeki, ani plaży, ani przystani, ani moło, ani fabryk. Same tylko ulice, ulice...

Wreszcie podwozie dotknęło betonu, wysoki gwizd śmigieł, jakieś uderzenia, za oknem szybko przepływające budynki, słupy, hangary... Spokojnie, Witia! Po co te zbędne emocje? Nie wróciłeś przecież z próżnymi rękami z tej dalekiej podróży. Możesz sobie pozwolić na dystans, a więc na odrobinę obojętności, a nawet chłodu. Dwa lata wyteżonej pracy w obcej fabryce, gdzie wszystko było inne, gdzie wieczory i noce, i poranki były zupełnie odmienne, gdzie tylko tajona tęsknota przypominała dom rodzinny...

Samolot zwalnia bieg, wstrząsy są coraz rzadsze. Ktoś zaczął głośno rozmawiać, pasażerowie szykują się do wyjścia. Z kabiny pilotów wyszła stewardessa, szczupła dziewczyna w niebieskim kostiumie.

Wiktor zakrył oczy dłonią... Były w jego życiu i inne miejsca lądowania. Pamięta deszczowy dzień, kiedy musieli siadać na skalistym płaskowyżu wśród gór na małym placyku; samolot spadał prosto w przepaść, rzucało nim o kamienie jak wozem na wyboistej drodze. Nikt nie ogłaszał wówczas przylotu, nie było stewardessy w niebieskim kostiumie. Caballero w kurtce koloru khaki z automatem przewieszonym przez ramię dał im znak, by wychodzili. O dwa kroki była przepaść,

ale przewodnik jak gdyby jej nie dostrzegał. Przywykł do takiego lądowania na granicy życia i śmierci.

Caballero pozostał w Andach, gdzie jego stary samolot kluczy wśród skalistych urwisk. Wszystko odpłynęło w przeszłość, aż trudno uwierzyć dziś, że się tam było, że to nie sen czy halucynacja. A teraz przeleciał przez ocean i oto czuje już pod sobą twardy grunt ojczystej ziemi. Jak pewnie toczą się koła po betonie. Bo to swój beton, Witia. Do diabła z dżunglą! Ma już dość egzotyki.

Spojrzał w okno. Horyzont płonął spokojną purpurą zachodzącego słońca. Było w tym coś znajomego, bliższego. „Tak tylko u nas zapada wieczór — pomyślał. — Bajka, a nie wieczór”. Zaskoczyło go nieco to rozczulenie, ale się nie wstydził, to rozumiałe: błąkał się po obcych szlakach, nie dosypiał wśród nocnej spiekoty, przeklinając natrętne komary. A tu spokój bezkresnego nieba. Nad rodzinną ziemią, nad rodzinnym miastem.

Samolot toczył się wolno, coraz ciszej warczały czerwone śmigła i coraz wyraźniej rysowały się na tle białych zabudowań portu lotniczego. Na lotnisku ruchliwe postaci, błękitne autobusy, żółte cysterny z benzyną. To samo widział w dniu odlotu, kiedy ojciec stał tam z podniesioną ręką, a wszyscy żegnający tłoczyli się pod daszkiem przy wejściu na płytę, jak gdyby posyłali jemu, Wiktorowi Żadanowi, swe szczerze życzenia. Dzień był tak samo pogodny jak dziś, budynek portu lotniczego uśmiechał się do niego połyskującymi oknami.

Nagle wydało mu się, że również teraz wszystko, co widzi, wita go radośnie. Niebo, miasto, Dniepr, ludzie koło bariery — wszystko oczekiwało jego powrotu, jakby życie nie szło naprzód i czas stanął w miejscu. I nic się tu nie zmieniło. Nic nie odbyło się bez niego. „Kiedyś nazywało się to solipsyzmem — pomyślał, ogar-

nięty wzruszeniem. — Dopóki istnieję ja, istnieje wszystko. Ja przybyłem i niech wszystko zaczyna się od nowa”.

Siedział nieruchomo, łowiąc każdy wstrząs samolotu i próbując odgadnąć jego położenie i odległość od lotniska. Wreszcie samolot zatrzymał się. Lot skończony.

Pasażerowie zaczęli wychodzić, w przejściu było coraz luźniej, życie jakby się wylewało na zewnątrz, ustępując miejsca ciszy i pustce. Dziewczyna w niebieskim kostiumie z niepokojem spoglądała na młodego mężczyznę, siedzącego przy oknie bez ruchu, jakby ukołysany lotem zapadł w sen, który ciągle jeszcze śni.

— Czy pan się źle czuje? Mogę w czymś pomóc?

Żadan uśmiechnął się uprzejmie i jakby z poczuciem winy. Po długich podróżach człowiek ma niekiedy ochotę posiedzieć chwilę w swoim rodzimym samolocie. Zwłaszcza pod opieką takiej uroczej rusałki... Nie jest rusałką? Pomylił adres? Ale i tak jest urocza. A za ten miły uśmiech należą się jej wszystkie skarby ziemi.

Wysiadł z samolotu lekko, sprężystym krokiem, z płaszczem na rękę zbiegł szybko jak chłopak po trapie. Ci w dole zaczęli się już niecierpliwić. Jeden pasażer został? Witam was, ludzie, nie denerwujcie się, nie chmurzcie! Ja, Wiktor Żadan, jestem w swoim mieście! Słoneczne miasto, słoneczne niebo... Walizkę oddadzą potem? Do licha z walizką! Wieźcie ją, dokąd chcecie. To wasze codzienne kłopoty, ja mam swoje własne.

Do diabła, jak to jednak wspaniale powracać do rodzinnego domu, i właśnie tak, żeby słońce czekało na nas, jakby celowo opóźniając zachód. I żeby tam za barierą stał ktoś nam najdroższy, najbliższy, najukochańszy... Ech, ojczy! Pewnie pół dnia szukałeś, biedaku, róż dla twojego Witii. Nie musisz chować swoich zmęczonych, drogich, poczciwych oczu. Wiem, że pra-

ca w fabryce to nie przelewki, że ciężko wam i w lecie, i w zimie, i w jesieni, że nęka was szturmowszczyzna. Za mało jeszcze wysławiają was, robotników, twórców naszych sukcesów. Ale teraz syn potrafi pomóc ojcu.

Wiktor wzruszony zbliżał się wolnym krokiem do bariery, prowadząc w myślach rozmowę z tym, którego nie zdążył jeszcze dostrzec. Miał bujną wyobraźnię. Z taką wyobraźnią można bez lęku lecieć chociażby do najdalszych galaktyk.

W miarę zbliżania się do wyjścia odczuwał w piersiach coraz większą próżnię. Wreszcie stanął i rozejrzał się: wszyscy się cieszą, wszyscy są szczęśliwi. Łzy, uściski, pocałunki, burzliwa wylewność powitania — wszystko dla innych. Ojca nie ma. Nie przyszedł, widocznie coś mu przeszkodziło.

A może stało się coś złego? Może zachorował? Albo jakieś przykrości w pracy? Przez wiele lat mieszkali razem i chociaż ojciec miał swój własny sąd o jego niektórych wyskokach i zbyt śmiałej filozofii życiowej, pozostali jednak przyjaciółmi. No ale dość tego stania, trzeba śpieszyć do domu. Jeśli nie ojciec ciebie, to ty ojca musisz odnaleźć, przywitać się z najdroższym w świecie człowiekiem, twoim pierwszym doradcą i przyjacielem.

Znalazł jeszcze miejsce w zbiorowej taksówce wśród jakiegoś hałaśliwego towarzystwa. Byli rozbawieni, komentowali wesoło lot, zwrócili uwagę na skórzaną czapkę Wiktora. A skąd to? Czy nie z zamorskich krajów? Kiedy wyjaśnił, że swojak, inżynier z miejscowej fabryki, że wyrósł w tym mieście, tu się uczył i tu prześpiewał wszystkie pieśni, wówczas siedzący przy kierowcy pasażer, starszy już mężczyzna o żylastej szyi, w pogiętym, brązowym kapeluszu odwrócił do Żadana rybią, spieczoną słońcem twarz.

— Ano, synku, zobaczymy, czyś nie stracił głosu

przy tych zagranicznych tranzystorach. „Oj, na-, oj, na górze...” — wyciągnął i urwał w połowie frazy, machnąwszy kościstą ręką, którą zamaszycie dyrygował. — Ach, wy eunuchy! Wymoczki! Gdzie wasza kozacka krzepa?! Pogubiliście ją po letniskach, po szosach! Bierzcie przykład ze mnie! Na dożywotnią was emeryturę, żebyście nie zawadzali starej gwardii!

Był porządnie na bańce, wesołość aż go rozpierała. Jego nastrój udzielił się wnet pozostałym, wszystkim zrobiło się nagle lżej i radośniej.

Zaczęło zmierzchać. Wieczne cienie zacierały kontury domów, gęstniały, nawlekały się na sznury światła. Droga bardzo się dłużyła, nie odczuwało się ruchu, jakby ciągle jeszcze trwał lot, z którego w żaden sposób nie można się wydobyć. Ulice, skwery, place... Taksówkarz zawiózł najpierw jednego z pasażerów na dalekie osiedle zadnieprzańskie, następnie smyrgnąwszy przez masywny, betonowy most pomknął wybrzeżem wzdłuż molo, masztów, żagli, łodzi.

Wiktor dostrzegł swój instytut. Stary budynek z kolumnadą pochłoneły szare cienie. Stąd wyjeżdżał na pierwszą praktykę studencką do charkowskiej fabryki maszyn budowlanych. Pamięta, że gdy miał już gotową pracę dyplomową, nie mógł sobie poradzić z przepisaniem na maszynie przypisów objaśniających. Odczuwając wręcz zabobonny lęk przed egzaminatorami prosił starą sekretarkę z dziekanatu o przepisanie. Jak miała na imię? Elwira, Elmira?... „Mam szczęśliwą rękę — powiedziała żartobliwie — a pan ma otwartą głowę. Czeka pana olśniewająca kariera. Wierzę w pański talent, Witia”. Co wieczór, zabierając kolejne przepisane stronicę, kładł ukradkiem obok maszyny tabliczkę czekolady; maszynistka, udając, że tego nie dostrzega, ledwo widocznym mrugnięciem dziękowała mu.

Wreszcie taksówka zatrzymała się przy masywnym,



przedwojennym, pięciopiętrowym domu. Zapłacił tak-sówkarzowi, wysiadł. W bramie ciemno, ściany popła-mione, gzymsy poobijane. Na drzwiach połyskuje mdło tabliczka. Kiedyś sam gdzieś zdobył taką miedzianą, profesorską tabliczkę i podczas nieobecności ojca przy-mocował ją śrubkami, by było solidnie i trwale. Po-ciemniała od tamtego czasu. Drzwi też ciemne, przy-prószone czasem. I cisza za drzwiami wręcz niewiary-godna. Nacisnął dzwonek i bezwiednie cofnął się o krok. Przez chwilę nasłuchiwał i znów zadzwonił. Chyba ojca nie ma. Ale dlaczego miałby być. Nie przy-szedł na lotnisko i siedziałby w domu?

Nagle rozbił tę ciszę jakiś tupot.

— Mamo! Otwórz! Otwórz! — doleciał zza drzwi dźwięczny dziecięcy głos.

Rozległy się czyjeś kroki, szcęknął zamek i Wiktor ujrzał przed sobą zgrabną kobietą postać. Jeszcze bar-dzo młoda, zakrywająca widoczne w rozchyleniu szla-froka piersi. Do jej nóg przyciska się mały chłopczyk. Nie widział jej twarzy, instynktownie jednak odczuł coś i oblało go żarem. Czyżby?... Może się pomylił i za-dzwonił do sąsiadów? Może ojciec zamienił się z kimś mieszkaniem?

Przełożył walizkę do drugiej ręki. Wydała mu się ciężka. Powinien był ją postawić, nie zrobił jednak tego, jakby zamierzał się wycofać. Kobieta już go po-znała, twarz jej skamieniała.

— Ty?... — nie miał siły powiedzieć coś więcej.

— Wejdz — kobieta cofnęła się.

Zrozumiał wszystko i w milczeniu zanurzył się w półmrok przedpokoju. Postawił walizkę koło wiesz-ka. Ma czekać na zaproszenie czy też wejść sam? Czuł gonitwę myśli w głowie, nie mógł jej powstrzymać, wiedział tylko jedno na pewno: wszystko to jest z nim

związane. Jednak nasze błędy mogą ścigać nas latami, nie ma przed nimi ucieczki ani obrony.

Najważniejsze nie śpieszyć się z jakimiś decyzjami. Niech się śpieszą ci, co się boją. Jest przecież u siebie w domu, a poza tym wrócił z dalekiej podróży, z krajów, w których nie było zabawy, lecz ciężka, wyczerpująca praca. I z przyjemnością teraz stwierdza, że wszystko jest na swoim miejscu, dom w całkowitym porządku: dobrze wyprasowana serweta na stole, nowy telewizor, równo złożone gazety na parapecie okiennym. Wszędzie widać tu zapobiegliwe ręce.

Chłopczyk schował się za matkę, objął rączkami jej kolano i zaglądał z ciekawością. Zgadnij, czyje to? A może rzeczywiście?... Serce zabiło mu mocniej, mimo woli mrugnął do malucha, który uśmiechnął się w odpowiedzi. W iskrzących się oczach dziecka było coś bliskiego, przyciągającego.

— Jak ma na imię? — Wiktor uśmiechnął się po-błaźliwie.

— No, powiedz, jak ci na imię — Hania pochyliła się nad chłopczykiem i położyła rękę na jasnej główce.

— Nie chcę — chłopczyk się zachmurzył.

Hania westchnęła z poczuciem winy, wstydząc się za jego upór.

Stali zakłopotani, unikając swych spojrzeń. Powinni byli mówić o czymś najważniejszym, niezbędnym — zbliżało się rozwiązanie ich dramatu, czuli więc oboje, że nie mają tu sensu żadne piękne gesty czy ładne słowa, bo od tego, co teraz sobie powiedzą, zależy ich przyszłe życie.

Znał Hanię, gdy była jeszcze nieśmiałą, zwinną dziewczyną o cienkiej szyi i ostrym, ptasim nosku. Poznali się we wsi rodzinnej jego ojca. Wiktor przyjeżdżał tu co roku na wakacje do babki, mieszkał w jej chacie pod czarną wierzbą, rzucającą cień na obie za-

grody — Żadanów i Czepurnych. „Jeden cień na dwie chaty — mawiała żartobliwie Hania. — Moja mama jak wypije, to zawsze szuka ochłody po waszej stronie”. „No więc mam prawo siadać też po waszej stronie” — odpowiadał młody Żadan, zalecając się do dziewczyny. „To proszę sobie zabrać cień, a nam dać słońce” — reagowała Hania. Odbierał to jako aluzję: może dziewczyna oczekiwała od niego słońca i być może jeszcze czegoś jasnego, o czym marzą ładne dziewczęta, wybierające się na pierwszy spacer z chłopcem.

Zbliżyła ich miedza dzieląca ich ogrody. Tam właśnie Wiktor doznał miłości czystej jak aksamitki. Okazuje się jednak, że nie całkiem czystej — oto jej skutki: dziecko, jego rodzony syn.

— No cóż, przywitajmy się po ludzku — Wiktor odślonił w uśmiechu lśniące białą zęby. — Pozwolisz, że umyję ręce, przyjechałem tu prosto z lotniska. Czystość to gwarancja zdrowia, jak ktoś tam powiedział.

Z pustych słów można zbudować jaką taką fortecę i schronić się w niej bodaj na chwilę, by przemyśleć spokojnie sytuację. Miły chłopak! A jakie rozumne, na wskroś przenikające oczy. Jak to strzelił nimi na nieoczekiwanego tatusia, schowany za matkę.

Dziwiło go zachowanie Hani, zwłaszcza jej czujna powściągliwość i to uważne przyglądanie się mu. Czekala na niego czy też nie czekała? No i dlaczego zamieszkała z chłopcem u jego ojca?

„Nie napisali mi ani słowa”. Poczul się urażony i skrzywdzony: wszystko przemilczała, zataiła przed nim. Uczucie to rozrastało się, rozsadzało piersi. On nie może przecież zaakceptować faktu, który zaistniał poza jego wolą. Irytował go dokonany na nim gwałt. Na całe życie pozostanie już niesmak: złowiła frajera! Chcesz czy nie chcesz, ale musisz...

Gdy wychodził z łazienki, był już przygotowany do

krótkiej rozmowy z Hanią. Ta jego determinacja przejawiała się nawet w chodzie, w ostrożności ruchów. Brutalnie i szczerze, od samego początku z całą otwartością!

I nagle zobaczył, że Hania, pochylona nad walizką, wkłada do niej swoje rzeczy. Wyczytał na jej twarzy pośpiech rozpaczy, która zmusza ją do panicznej ucieczki z tego domu.

— Haniu! Dokąd się wybierasz? — spytał od progu, ale nie zbliżył się do niej, dzieląca ich odległość wydała mu się nie do pokonania, nie miał sił, by ją przebyć.

— Hryhory Łukycz zaprosił mnie — powiedziała bardzo cicho, pochylona ciągle nad walizką. — A tyś myślał, że co?

— Nic nie myślałem. A gdzie ojciec?

— Zaraz przyjdzie.

— Zostaw tę walizkę, lepiej porozmawiajmy.

Wyprostowała się gwałtownie. Na chudej twarzyczce odbijała się wewnętrzna walka, w której coraz wyraźniej zaczęła górować duma i godność. Oczy nagle jakby się pogłębiły, rzucając chłodne błyski.

Usiadła na skraju krzesła i pośpiesznie, jak na egzaminie, zaczęła opowiadać... Więc na zaproszenie Hryhorego Łukycza („na zaproszenie” wymówiła z naciskiem) przyjechała do miasta, pracuje w tej fabryce co on, obsługując rewolwerówkę, i uczy się w szkole wieczorowej. Ojciec nalegał, by wróciła, chciał ją zabrać do domu, bo jako wdowcowi ciężko mu uporać się z domem, ale go uprosiła, żeby zostać, nie pojedzie na wieś...

Głos jej przygasł, popatrzyła na Wiktora ciepłym, łagodnym spojrzeniem, jakby z poczuciem winy.

— No a co u ciebie?

— Wróciłem, jak widzisz.

— To i dobrze — w jej głosie wyczuwało się jakiś

macierzyński ton. — Hryhory Łukycz wciąż martwił się o ciebie, tam przecież wojna...

— Różnie bywało — Wiktor wyjął papierosy, długo ugniatał jednego w palcach, zanim zapalił. — Młoda republika, dżungla, tropik. A jak ty żyłaś?

— Jak wszyscy. Tylko smutno było bez ciebie.

— A więc nie zapomniałaś?

— Daj spokój... — powiedziała z bólem w głosie, przyciągając do siebie główkę stojącego koło niej synka i zanurzając cienkie palce w jego jedwabistych włosach. — Przecież wiesz, jak cię kochałam!

— Pewnie było ci ciężko? — spytał, patrząc na chłopczyka.

— Nie.

— Na pewno ludzie zatrawali ci życie.

— Różnie bywało — przechyliła na bok głowę, jak robią to kobiety, kiedy coś wydaje im się bardzo dziwne. — Najbardziej irytowało wszystkich to, że nie wiedziałam kto...

— Ludzie są źli.

— Nie, Witia, ludzie nie lubią tylko kłamstwa.

— Nie lubią dlatego, że za wiele w nich samych jest złości — Wiktor rozпалиł się, zdolny był teraz chronić Hanię przed całym światem. — Zazdrościcy, plotkarze... Wszystkie nieszczęścia są przez nich.

Hania zaprzeczyła energicznie ruchem głowy.

— Nie, Witia, nie... Byłam szczęśliwa... — usta jej skrzywiły się w jakiejś słodkiej męce. — Przysięgam ci. Nie wyobrażałam sobie nawet, że można być tak szczęśliwą. Zwłaszcza rano. Przyjdę do niego, a on leży cichy, uśmiechnięty, oczka mu się do mnie świecą...

Palce jej zagłębiły się we włosach syna. Wiktor uczynił ruch, jakby też chciał go pogłodzić. Hania dostrzegła to.

— Pogłaskaj go.

Zawahał się.

— Przecież chcesz... Pogłaskaj...

Podszedł do nich, lecz ręka wyciągnęła się nie do dziecięcej główki, lecz do Hani policzka, który dotknął delikatnie palcami. I nagle obudziło się w nim coś dawnego, zalało piersi gorącą falą, ręka spoczęła na jej ramieniu, pełnym, gorącym ramieniu. Wargi jej były bardzo blisko, źrenice rozszerzyły się, cała była oczekiwaniem, w kącikach ust legł cień uśmiechu, bezbronego i dziecięcego. Takie pożądane, takie palące usta... Tylko się pochylić. Jeden ruch... A potem?

Jakby go odrzuciło do tyłu. Usiadł ciężko na kanapie, oparł się rękami o stół, wyjął papierosa. Z trudem łapał oddech, serce nie mogło się uspokoić. Jakie to wszystko proste i jakie u diabła zagmatwane, niewiarygodnie skomplikowane. Tyle różnych uwarunkowań. Trzeba zważać na każdy krok. Nawet przez myśl nie przeszło mu coś takiego, gdy leciał przez ocean. Kiedy to było, te wieczorne pieszczoty, ta wierzba cienista, która zmaciała jego młodzieńczą bez troskę, a teraz masz ci los: tu czekali na ciebie, i pojawiło się na świecie coś rodzzonego, co będzie już zawsze i przed czym się nie skryjesz, bo to żyje już w tobie, jest z tobą organicznie związane, jest twoje do ostatniego tchnienia.

— No więc tak... — zaczął mówić niepewnym głosem, wypuszczając cieniutką smugę dymu. — Pracę masz. To dobrze. A teraz musisz się uczyć.

— Uczę się — odpowiedziała szybko Hania, odgradzając się stopniowo od Wiktora ścianą obcości, co przebijało również w jej głosie. — Uczę się u Niny Wasylewny, w technikum wieczorowym.

— No więc twoja przyszłość jest określona.

— O przyszłość się nie boję — Hania była już teraz zupełnie daleko, ściana stała się murem. — Żeby tylko syna wychować. Mego Łończyka!

— Łończyk... Lonia. Ładne imię...

— Ładne — powtórzyła Hania.

Otworzyła leżącą na stole walizkę, spojrzała w zamysleniu na powrzucone byle jak rzeczy i zaczęła je układać dokładnie, bez pośpiechu, ale i bez ociągania się.

Wiktor wiedział, że ona teraz na pewno odejdzie. Odejdzie na zawsze. Uświadomił sobie w jakimś chłodnym błysku jej uczucie dla niego, lata oczekiwania, miesiące wiosenne i zimowe, dni tęsknoty i nadziei, jej fałszywą sytuację wynikłą z tego, że jest tu formalnie „na zaproszenie” Hryhorego Łukycza, lecz w istocie z potrzeby serca, tajonych nadziei, podeptanej godności. Musiał jej coś powiedzieć. Ostatnie ciepłe słowo.

Spojrzała na niego i słabo się uśmiechnęła.

„Co za koszmar. Żeby to się już raz skończyło... Wszystko jakoś się ułoży. Przysięgam, że będzie dobrze... Odnajdę cię, za wszystko wynagrodzę, za wszystko się odwdzięczę. Tylko potrzebny jest czas”.

Zaciągnął się nerwowo papierosem, wpatrując się w splecione na stole dłonie. Słyszał, jak stuknęło wieko walizki, jak Hania szeptem kazała synowi, by siedł z nią, jak wyszła do przedpokoju, zostawiła tam walizkę i Lonię i zajrzała jeszcze do pokoju.

— Nie gniewaj się, Witia — powiedziała równym, spokojnym głosem, jakim mówią ludzie po ciężkiej operacji, po groźnej burzy, po lawinie w górach, kiedy najgorsze jest już za nimi. — Powiedz Hryhoremu Łukyczowi, że nie przyjdę jutro na zmianę, odrobie później.

Skinęła lekko głową, uśmiechnęła się blado i powolnym, swobodnym krokiem wyszła na korytarz. Tak wychodzą ci, co udają się w daleką drogę, rozpoczynając życie na nowo.

W tym samym dniu, w którym przyleciał Wiktor, powrócił z Moskwy kapitan Palijenko, lotnik myśliwiec, latający na odrzutowcu naddźwiękowym. W zielonej koszuli z baretkami powojennych orderów, o smukłej sylwetce znamionującej siłę, nieco pochyłony, wysiadł właśnie z samolotu i skierował się do wyjścia. Już z daleka wyłowił spojrzeniem z tłumu chudą kobietę w skromnym, szarym kostiumie — swoją matkę, Marię Chrystianowną. Stoi przy samym ogrodzeniu przyciśnięta do niego przez oczekujący tłum, prawie niewidoczna. Ale syn dostrzegł od razu pilne spojrzenie drogich oczu i śpieszy teraz do niej ze swą podniszczoną teczką, wszystkich wyprzedza, potrąca, przebija się do przodu z radosnym uśmiechem.

Objęli się. Trzymając w lewej ręce teczkę Palijenko drugą przyciska chude ramię matki, czuje na policzku ciepło jej suchego czoła.

— Czemu tak późno zadepeszowałeś?

Palijenko bierze ją bez słowa pod rękę i prowadzi przez przestronny hol dworca lotniczego do autobusu. Czy miał usprawiedliwiać się przed matką tym, że był zajęty? Przez pięć dni nie pisał, nie telefonował, nawet telegram nadał w ostatniej chwili przed odlotem. Mogła go nie otrzymać, no i miałyby wtedy do niego słuszny żal.

Na przystanku długa kolejka. Jewhen postawił na ziemi teczkę i dopiero teraz spojrzął na matkę — uważnie, z miłością, promiennymi oczami.

— Co mi się tak przyglądasz? — spytała zmieszana. — Błada, wiem. U nas w przedszkolu kwarantanna. Poza tym martwiłam się o ciebie.

Była kiedyś nauczycielką, obecnie kieruje przedszkolem, przez całe dni przebywa z maluchami. Pod jej opieką są dzieci kolegów Jewhena, zna wszystkie, z wszystkimi się przyjaźni. Tylko własnego wnuka nie



ma, synowi stuknęła już trzydziestka, ale ciągle jest sam, nie może sobie znaleźć żony.

Teraz w jego życiu nastąpił moment przełomowy. Przed rokiem z jej aprobatą pojechał do Moskwy studiować w akademii wojskowej, ale po kilku miesiącach wrócił. Uprosił marszałka o pozwolenie na studiowanie zaoczne, bo w ich jednostce pojawiła się nowa technika, a on jako dowódca klucza myśliwców nie może przecież pozostać w tyle za swymi kolegami z pułku. Dowództwo wyraziło zgodę — chodziło przecież o jednego z najlepszych myśliwców przechwytyjących, mistrza bojowego wyszkolenia — i koledzy powitali jego decyzję i powrót entuzjastycznie. Jednak matce trudno było z tym się pogodzić. Syn teraz nie dosypia, do obciążeń dotychczasowych doszły nowe. No i bardzo często wzywają go do akademii: a to sesje, a to konsultacje. Tym razem było mu chyba szczególnie ciężko, przyleciał wyczerpany, zapadnięte policzki, w cieniu daszka czapki gorączkowo błyszczące oczy, cera pożółkła, surowy wyraz twarzy.

Autobus długo nie nadjeżdża. Ludzie się denerwują. Można by wziąć taksówkę, byliby szybko w domu, ale matka jest bardzo oszczędna, nie znosi rozrzutności, tak już ją wychowano: we wszystkim musi być porządek i rachunek. Wreszcie wsiedli. Gdy wjechali na Szosę Truską, Maria Chrystianowna zbladła, chwyciła się za serce.

— Miałaś ataki? — pyta z pozornym spokojem, patrząc w napięciu i podejrzliwie na matkę.

— Nie przejmuj się, nic groźnego. Raz tylko w nocy chwyciła mnie arytmia, przez kilka sekund czułam się tak, jakbym leciała w przepaść, ale szybko przeszło. U nas strasznie duszno, żeby tak spadł deszcz, od razu by było lepiej. Wszystko przez tę duchotę.

Jewhen kiwa lekko głową, obejmuje ręką jej chude

ramiona. Gdybyż to tylko z powodu upału i braku deszczu! Matka już dawno choruje na serce. Chyba jeszcze od czasu wojny, kiedy pieszo uciekała spod niemieckich bomb z jednorocznym Żenią na rękach, nocując pod stertami i w przydrożnych rowach.

Na szczęście do miasteczka lotników niedaleko. Palijenkowie wysiadają z autobusu, mijają w bramie wartownika, który z uśmiechem przeży się przed oficerem. Wszystko na swoim miejscu. Poczucie pewności, twardego gruntu pod nogami, stabilności. Żelazny porządek i spokój, jaki bywa tylko tam, gdzie służbę pełni się z potrzeby serca i każdy zna swoje miejsce, zna swoją siłę i swe możliwości.

Od bramy w głąb miasteczka wiedzie asfaltowa dróżka, po obu jej stronach budynki mieszkalne i garaże. Lotnicy to ludzie ruchliwi, nie usiedzą na miejscu. Mało im latania, na ziemi też chcą bić rekordy szybkości, postęp techniczny jest ciągle dla nich za wolny. Nowa era. Ludzie poczuli się władcami przestrzeni. Wszystko według najwyższych parametrów i normatywów.

— No jak tam było w Moskwie? — pyta matka, kiedy skręcili w jedną z bocznych alejek, obsadzoną młodymi topolami.

— Tęskniłem za tobą, mamo.

— I za czym jeszcze?

— Za lotami.

— Ciągle jeszcze się nie nalatałeś? — mówi matka z lekkim wyrzutem.

I jak tu matce wytłumaczyć swoją podniebną pasję... Każdy prawdziwy lotnik jest na zawsze zakochany w niebie. I chyba żaden pilot nie ma nigdy dość latania. Ciągle mu mało, wciąż śni mu się błękitny horyzont, błyskawiczne wzloty ponad chmury, rodzące uczucie ludzkiej wszechwładzy i potęgi.

Są wreszcie na miejscu: zwykły pięciopiętrowy dom o wąskich, standardowych oknach, ciemnych schodach i lichych poręczach. Ale w mieszkaniu idealna czystość i porządek, wynik zabiegów matczynych rąk. Na środku przedpokoju leży mały kilim, obok wieszaka lśni białością lodówka, brunatnie połyskuje parkiet, kryształ w serwantce harcuje wesoło ze słońcem.

Nie zdążyli się jeszcze rozebrać, gdy rozległ się u drzwi wejściowych dzwonek. Wszedł lejtnant Buszma.

— Towarzyszu kapitanie, pozwólcie się zameldować — raportuje żartobliwie. — Klucz myśliwców przechwytyjących w czasie waszych studiów akademickich warował na niebie bardzo sumiennie. Lejtnant Buszma dziś nie w normie — otworzył zabawnie usta, ukazując rzadkie, nierówne zęby. — Pozbył się jednego w strasznych mękach.

— Nieszczęsny chłopiec! — Palijenko objął serdecznie kolegę ramieniem. — Jak chcesz być dobrym lotnikiem, to musisz pocierpieć. A jak tam nasza eskadra?

Okazało się, że przybyło kilku nowych. Chłopcy prosto z uczelni, zawzięci, nieposkromieni, o niczym innym nie mówią tylko o przechwytywaniu, nocnych lotach, dalekich wypadach. A tu jak na złość przez cały czas brzydka pogoda i nowicjusze zamiast latać musieli powtarzać instrukcje i przepisy.

Maria Chrystianowna przyniosła herbatę. Mieszała kilka gatunków i umiała zaparzać tak, że herbata była mocna i aromatyczna. Znano ją z tego herbacianego kunsztu w całym miasteczku. I kiedy tak wyczyniała czary nad białym porcelanowym czajnikiem, coś tam dosypując, mieszając, stawiając na elektryczny samowar — modną imitację romantycznej przeszłości — widać w tym było macierzyńską dbałość, zamiłowanie do

zaczysza, umiejętność stwarzania tej cieplej, rodzinnej atmosfery, która przyciągała do ich domu wielu ludzi.

Od trzydziestego trzeciego roku, a więc od wyjścia za mąż aż do wybuchu wojny, jeździła z mężem po przygranicznych strażnicach i tam chyba zgłębiła herbaciane sekrety, tam nauczyła się słuchać wieczorami delikatnego bulgotania czajnika, marzyć nad szklanką herbaty o czymś dalekim i nieznanym w oparach łagodnego smutku, ocieplającego serce.

— No, cóście tak pomarkotnieli? — spytała, domyślając się, że mają ochotę na coś mocniejszego, była jednak w takich sprawach bezkompromisowa. — Nie zapominajcie, że jutro macie latać.

Lotnicy uśmiechnęli się: czuli się teraz jak mali chłopcy, jak dzieci, którymi opiekuje się w przedszkolu Maria Chrystianowna.

— No więc kiedy wreszcie was ożenię? — pyta znów, mieszając w zamyśleniu herbatę.

Łyzeczka w bursztynowym płynie połyskuje srebrem. Palce gospodyni są cienkie i białe, cała taka krucha i wątpa, że dziw bierze, skąd w niej tyle energii zarówno w pracy, jak i w domu.

— Kiedy to niemożliwe — odpowiada z filozoficzną powagą Buszma, którego orli nos zaróżowił się nad szklanką herbaty. — Jewhen szuka ideału, a ja wprost przeciwnie, mam za wiele ideałów i nie wiem, który wybrać.

— Duchowe karły — uśmiechnęła się Maria Chrystianowna. — A wszystko dlatego, że kochacie raczej rozumem niż sercem.

— Ma pani rację. Programujemy sobie wszystko: i pracę, i przyjaciół, i miłość.

— A w rezultacie: samotność.

— Zależy, jak się rozumie samotność — podparłszy ręką ostry podbródek Buszma zaczyna rozwijać jedną

ze swych ulubionych teorii nowoczesnej psychologii. — Wiek sentymentów kończy się. Technogeny zabijają wyobrażenia pradziadków o szczęściu.

— Ale Ninom i Katiom nie o technogenach mówisz — zauważył Jewhen ze złośliwym uśmiechem. — Wybacz, mój drogi, ale dawniej takich teoretyków jak ty nazywali faryzeuszami.

— Jestem zmuszony żyć w świecie zastarzałych pojęć, dlatego nie zawsze mogę postępować konsekwentnie — odciął się Buszma. — A w ogóle to wśród moich znajomych nie było jeszcze żadnej Katii ani Niny.

W pokoju zacisznie, na stole szumi błyszczący samowar elektryczny, który we własnym języku jakby naradzał się sam z sobą. Palijenko odczuwa przyjemny przypływ wzruszenia. Przez otwarte okno dolatują odgłosy wiosennego dnia. I nagle w ten łagodny spokój wkrada się ona: na szerokiej ulicy pod namiotami sokor smukła postać w czerwonej sukience, prężne nogi, cienka szyja, szybki, dziewczęcy chód. Pomknęła...

Wiedział o niej, że jest najlepszą śpiewaczką w chórze dwudziestego oddziału fabryki. Po koncercie wyszedł wtedy za nią, chciał koniecznie ją poznać, jakoś zaczepić na ulicy, zagadać, ale skąd nabrać śmiałości? Taki Buszma by nie przepuścił. I Sydorowski też by nie zrezygnował. A właśnie: co się z nim dzieje?

— Mykołą się nie przejmuj. Pnie się ciągle w górę — Buszma skrzywił się, jakby go coś zabolalo, i zapalił.

Nastrój momentalnie się popsuł. Kapitan Sydorowski jest dowódcą sąsiedniego klucza. Generał go lubi, demonstruje osobistą sympatię do niego. Ale z kolegami z eskadry stosunki Mykoły są napięte. „Uprzejme vacuum”, jak określa żartobliwie Buszma.

Na dworze błękitnie i słonecznie, w okna uderza szelest przykurzonych topoli. Palijenko z łagodnym uśmiechem obserwuje chłopców bawiących się hałaśliwie

w starym, dziurawym ślizgaczu. Ich też już wzywa dał. Widocznie człowiek rodzi się z pasją Magellanów, poszukiwaczy baśniowej krainy Eldorado. Z Sydorowskiego też niespokojny duch. Był wspaniałym lotnikiem i byczym chłopakiem. Chociaż młodszy od Jewhena, to jednak zaprzyjaźnili się w czasie służby na Północy.

— No więc co tam u was z Sydorowskim?

— Nie u nas, lecz u was. Starłeś się z nim przed wyjazdem — Buszma brzęknął łyżeczką o szklanke. — Generał każe wszystkim równać do tego sokoła.

— Bo jest sokołem — westchnął Palijenko. — Wrodzony talent, szkoda tylko, że z duchową znieczulicą.

Popalili jeszcze, pomilczeli. Maria Chrystianowna szczękała w kuchni naczyniem, dzieci pod domem ściagały mityczne brygantyny. Palijenko rozparty w krzesło długo o czymś myślał. Wreszcie wyjął z ust papierosa, spojrzął na Olega z filozoficznym chłodem i zaczął mówić spokojnie, ważąc każde słowo. Jaki jest sens życia bez osi duchowej, życia toczącego się w pustce, z dnia na dzień, z roku na rok? Oleg uważa, że ludzkość pozbędzie się kiedyś bagażu sentymentalnych tradycji, pierwotnej naiwności, prowincjonalnego zamiłowania do gajów, wieczornych zmierzchów, szeptu zakochanych, kłaskania słowików, płatków róży. Ludzie będą zakochani tylko w napięciu prądu elektrycznego, w częstotliwości fal, w parsekach? Ale to nieprawda! On, Palijenko, nie wierzy temu ani na jotę, nie dopuszcza nawet takiej myśli, że mogłoby tak być. Zwyrrodnienie uczuć, zwyrrodnienie ludzkości? Przenigdy! Za żadną cenę! To przecież sfera emocjonalna odróżnia człowieka od robota, pozwalając mu rozkoszować się pięknem w tym oceanie elementów materialnych, ekonomicznych, pragmatycznych, wśród potoku informacji, wśród fascynacji systemami programowania.

Palijenko podchodzi do regału, wyjmując jakąś książ-

kę, przerzuca szybko jej stronicę, odnajduje potrzebną i zaczyna śpiewnym głosem deklamować:

Płyną łabędzie... Łabędzie płyną  
księżycą srebrną rzeką.  
Czekam na brzegu w srebrną godzinę —  
na pieśń łabędzią czekam...

O, zaśpiewajcie swą pieśń milczącą,  
a ja wam swoją zaśpiewam  
łkaniem bez łez i krwią mą gorącą  
w kraju, gdzie rozpacz dojrzewa.

— Potęga, co? — nachylił się do przyjaciela.

— Taka poezja długo będzie żyła — odpowiada Oleg szczerze wzruszony. — Jaki to poeta?

— Był taki. O niezwykłej wrażliwości i skromności — Palijenko położył na stole książkę w niebieskiej okładce. — Mam nadzieję, że zabierzesz Ołesia\* w swój groźny wiek pragmatycyzmu.

— Przecież powiedziałem: taka poezja będzie żyła długo.

— Nie długo, lecz wiecznie! — Jewhen bierze z popielniczki nie dopalonego papierosa, zaciąga się mocno, jego zamyślona twarz jeszcze bardziej poważnieje. — Zdradzę ci sekret. Chcę wziąć szturmem pewne nieznane mi serduszko. Jeśli zajdzie konieczność, to zdecydowany jestem na dłuższe oblężenie.

— U was nazywa się to podobno miłością?

— U nas i u was też.

— Masz moje błogosławieństwo, kapitanie. Jednego tylko się boję...

---

\* Ołeksandr Ołeś (Ołeksandr Iwanowicz Kandyba), wybitny poeta ukraiński, ur. w 1878 r. na Sumszczyźnie, w okresie Wielkiej Rewolucji wyemigrował do Wiednia, w 1923 r. przeniósł się do Czechosłowacji, zmarł w Pradze w 1944 r.

— O co chodzi?

— Boję się o twoje ideały. Jeśli się okaże, że ten twój ideał nie jest idealny, możesz się gorzko rozczarować. A rozczarowanie to droga do nihilizmu.

— Nie obawiaj się, towarzyszu lejtnancie, nie wstąpię do twojego cechu nihilistów — uśmiechnął się ironicznie Palijenko. — Mam skuteczny lek przeciw nihilizmowi. Chcesz wiedzieć jaki? — Jewhen położył dłoń na rękę przyjaciela i powiedział tajemniczym tonem: — Miłość życia, szaloną miłość życia, mój Oleczku!

Był ciepły wieczór. Hania czekała z synem na taksówkę. W jej głowie kotłowały się różne myśli, mąco-  
ne przez nagłe eksplozje gniewu, rozpaczy, ostrej świadomości opuszczenia. A więc Oksana miała rację: nie można liczyć na niczyje współczucie. Ale przynajmniej wiadomo na pewno, że nie ma już czego oczekiwać, nie ma żadnej nadziei. Wszystko proste i jasne jak w lodowatej pustce, gdzie ostry wiatr siecze mrozem i nie ma się gdzie schować. Jasność absolutna, ostateczna i nieodwracalna.

Jaka była głupia, że nie posłuchała Oksany. Już dawno radziła jej wynieść się od Hryhorego Łukycza, by Wiktor brzydko o niej nie pomyślał. No a teraz masz: „A więc twoja przyszłość jest określona. Musisz się uczyć... uczyć... uczyć...” Słusznie, przywołał idiotkę do porządku, przypomniał jej o kobiecej godności. Nie posłuchała Oksany, to teraz on dał jej lekcję. W naszych czasach nikogo miłością się nie rozczuli. To stara płyta. Wyśmieją jedynie, poplotkują i tylko wstydu można się najeść.

Łonczyk chyba wyczuł, że dzieje się coś niedobrego. Dzieciom zawsze udziela się nastrój dorosłych. Zaczął kapryścić i płakać: chce wrócić do dziadka Hrycia, chce



się kapać! Będzie dziś posłuszny, sam umyje ręce i szybciotko położy się spać.

— Nie możemy tam wrócić, synku — Hania przygarnęła dziecko do siebie.

— Dlaczego nie możemy?

— Bo obcy wujek przyjechał.

— On przecież ciebie zna... To nie obcy!

— Obcy, obcy!

Sama nie wiedziała, skąd wzięła się ta pewność. Jakby chciała o tym przekonać nie Łończyka, lecz siebie, czując, jak z każdym słowem twardnieje jej stanowczość i chłodna duma. Dopiero teraz dotarły do niej słowa Oksany. „Raczej umrę, niż miałabym żebrać o miłość! To ona je kiedyś wypowiedziała, to były jej słowa...

— Ja chcę do dziadka Hrycia! — znów marudził płaczliwie chłopak.

— Cicho, synku... Zaraz przyjedzie taksówka. Patrz, jaki piękny biały samochód. Podnieś rączkę. Wyżej! No, a teraz wsiadaj. Pojedziemy daleko — daleko...

Ale nigdzie jeszcze nie jechali, nie było przed nimi żadnej drogi, tylko szerokie ramiona kierowcy rysujące się w małej, ciemnej kabinie, chłodny dotyk plastikowego siedzenia i woń dymu z papierosa. Kierowca, przyzwyczajony do mroku, widział lepiej od Hani, jakby ją poznawał, a może był zdziwiony tym spotkaniem. Chciał jej coś powiedzieć, obrócił się do niej ciężko, pod czarnymi wąsikami zamajaczył ciepły uśmiech. Hania powinna była odpowiedzieć uśmiechem, ale czy jej teraz do śmiechu? Nie może na nikogo patrzeć, nie chce z nikim rozmawiać.

Kierowca spogląda na nią jakoś dziwnie i jakby poufale. Przystojny, otyły, stateczny mężczyzna w starszym wieku, o nabrzmiałej twarzy i siwiejących skroniach. Czekał, aż zdenerwowana pasażerka powie, do-

kąd chce jechać. Na dworzec? Na lotnisko? Jego cierpliwość jak i uważne, życzliwe spojrzenie mogłyby się wydać Hani dziwne, gdyby w tej chwili nie było jej obojętne wszystko na świecie. Ona też czekała, nie pozostawało jej nic innego, jak czekać i spodziewać się czegoś.

— No więc dokąd? — kierowca znów odwrócił się do niej.

Dokąd?! To pytanie uderzyło ją prosto w serce. Każdy człowiek musi przecież mieć swoje „dokąd”, każdemu należy się jakiś pewny kącik na ziemi. I do tego kącika prowadzi droga, którą trzeba znać, tak jak i swój przystanek na tej drodze. A ona? Zapomniała adres. W głowie była pustka. Spojrzała błagalnie na kierowcę, jakby oczekując od niego odpowiedzi. Potem popatrzyła na syna, na walizkę...

— Proszę jechać — powiedziała, machnąwszy desperacko ręką.

Kierowca zrozumiał. Przecież to bardzo proste: ma jechać... Ta kobieta przypomni sobie później, decyzja pojawi się w ostatnim momencie. Najważniejsze — licznik. Okrutny sędzia czasu i wahań.

Uciekały do tyłu domy, pomknęły światła, migotały semafony na skrzyżowaniach. Wielkomięski gwar i rozpryskujące się na masce światła wieczoru tłumiły świadomość. Dokąd jechać? Dokąd? Wszystkie ulice wreszcie się kończą, tak samo najgłębsze nawet rozterki i wahania muszą mieć kres. Pozostało tylko jedno wyjście: jechać do przyjaciółki Żadana, Niny Wasylewny. Wiedziała o wszystkim i nie trzeba niczego przed nią ukrywać. Jest dobra i sprawiedliwa, pomoże w nieszczęściu.

Przez całą drogę kierowca filozofował:

— Jak nam dobrze, to chcemy jeszcze lepiej. I w tym jest cała bieda! Ludziom ciągle mało, nakupili

sobie za gotówkę lub na raty, naściągali tak, że mieszkania są przepełnione, ciułają pieniądze. Lepiej by pomyśleli o duszy. Bo wszystko bierze się z duszy, i prawo, i porządek. — Po chwili milczenia kierowca powiedział rzeczowo: — Widzę, córeczko, że spotkało cię dziś coś złego. Krucho z tobą, jeśli pośród nocy wybrałaś się z małym w świat, gdzie oczy poniosą. A wszystko przez dumę. Nie masz Boga w sercu.

— A pan to jak ksiądz na ambonie — odparła Hania. — Coś takiego słyszałam w cerkwi, gdy chodziłam tam kiedyś z mamą.

Samochód się zatrzymał. Hania prosiła o włączenie światła. Ile na liczniku?

Kierowca zapalił światelko, odwrócił się do pasażerki i spojrzał na nią jakby z wyrzutem.

— Nie poznałaś mnie, córkò — powiedział ojcowskim tonem. — A ja cię zauważyłem jeszcze tam, na ulicy. Jestem przecież twoim krewnym ze strony ojca. Z ciebie wykapaną Motria Czepurna. Prawda? Już dawno waszych nie widziałem. Wiem, że twoja mama umarła, Panie, świeć nad jej duszą. Ojciec ma teraz tylko ciebie. — Wydobył notes, coś zapisał w nim, wyrwał kartkę i wyciągnął do Hani. — Oto mój adres. Jak ci będzie ciężko, to się zgłoś, pomogę. A teraz idź już, córkò, wszystkiego dobrego. I szanuj się!

Trzasnęły drzwiczki, zawył motor i Hania została na ulicy sama z synem. Po chwili ruszyła do bramy domu, w którym mieszkała Nina Wasylewna.

Kiedy Nina Wasylewna wyszła na ulicę, już zmierzchało, ale ciągle jeszcze panował upał jak w dzień. Za bramą zgiełk fabryczny od razu zgasł. Mknęły dokądś samochody, wszystko było w ruchu; w jakiejś nerwowej krzątaninie. Ludzie śpieszyli nerwowo na umówio-

ne spotkania, nerwowo rozmawiali. A krył się za tym może smutek, a może i czyjeś łzy.

Tak jak jej życie: mknie, nabiera szybkości. Stuknęło jej niedawno czterdzieści pięć lat. Niewesołego bilansu dokonała w ścisłym gronie przyjaciół. Pierwszy raz po długiej rozłące usiadła do stołu z Hryhorym Łukyczem. Potem wyszli na balkon i wydawało się jej, że to ta sama weranda, która kiedyś ich rozłączyła, ta weranda, którą odgradzały od świata czarne szpalery bzu.

Ich rzadkie słowa tonęły w szumiącym w dole, mrocznym sadzie. Ten obecny sad był spokojniejszy, mądrzejszy. Jak gdyby wiedział, że los nie przebaczyłyby im nowego rozstania, nie mieli już po prostu na to czasu.

Rozmawiali o sprawach ważnych, jakby się wstydzieli mówić o codziennych drobiazgach. Odczuwał jej lęk przed życiem, które dotąd skąpiło dla niej swych uśmiechów. Wyszła za mąż za człowieka niekochanego, przez dwadzieścia lat celebrowała to małżeństwo w dostatku i szacunku, doczekała się jego szlifów generalskich, zżyła się z wysokimi stanowiskami, z blaskiem samochodu z kierowcą do własnej dyspozycji, z nudą samotnych wieczorów, z ciągłymi wyjazdami służbowymi męża, z czekaniem na bezpłodną, zimną starość. I tylko w jednym była szczęśliwa: w dochowaniu wierności Żadanowi. Przez wszystkie pustki i beznadzieje wymuszonego małżeństwa przeniosła nie zwiędnięty kwiat swej miłości, który przetrzymał zimowe zawieje, nie roniąc żadnego płatka, jakby był skąpany w czarodziejskim źródle.

Mąż to zrozumiał. Pewnego wieczoru sam wszczął rozmowę o rozwodzie, bez skarg i wyrzutów przedstawił swój punkt widzenia i przez swój serdeczny stosunek skłonił ją do szczerych wyznań. Podparłszy ręką siwą głowę przekonywał ją, że nie ma sensu tak dalej

żyć i czekać, i Nina zrozumiała, że tak musi być istotnie. Przez dwadzieścia lat próbował wtargnąć do jej serca, ale nic z tego nie wyszło.

— I wówczas postanowiłam pojechać do ciebie, Hryciu — powiedziała Nina cichym, ale stanowczym głosem.

— Czekałem na ciebie. Wychowywałem Witę i czekałem. Potem wyprawiałem go w drogę i czekałem.

— A teraz na co czekasz?

— Na telegram od niego. I chciałbym, żeby był szczęśliwy z Hanią tak samo jak ja z tobą.

— Nasze szczęście drogo nas kosztowało — powiedziała smutno Nina Wasylewna.

— Masz rację, drogo! Dwadzieścia lat.

— Były dla mnie wiecznością. Każdy rok jak tysiąclecie — westchnęła Nina.

— Przeniesiemy je w przyszłość — rzekł Żadan, patrząc jej z oddaniem w oczy. — Jak tylko otrzymamy telegram, od razu wyprawiamy dwa wesela. Albo jedno dla nas wszystkich. Jedno duże weselisko!

No i wreszcie doczekali się. Przyszedł telegram. Przybywa (a może już przybył) sławny potomek Żadanów. Jeszcze rano Hryć zadzwonił do Niny, że Wiktor jest pewno w Moskwie, wieczornym kursem pokona ostatnie osiemset kilometrów i... Przyjdź, Ninko, do nas! Przyjdź wcześniej, porzuć te swoje zeszyty w technikum, popłyniemy dziś zdrowo, żadnych zawałów, do diabła z wieczną wstrzemięźliwością, stary Żadan też może być szczęśliwy, też może mieć w życiu swój Wielki Dzień.

Nina Wasylewna miała wielką ochotę ujrzeć wreszcie Wiktora, nie widziała go od czasów wojny, kiedy Wala wybierając się do lasu na konspiracyjne spotkanie przynosiła go do ich domu. Potem w czterdziestym szóstym Hryć pokazywał jego fotografię: ciemnooki

chłopak z ostrzyżoną głową, zapadłe policzki, sterczące uszy. Dziecko bez matki to tak jak sierota. Całe szczęście, że Hryć był dość rozsądny, by ze względu na dziecko nie ożenić się z jakąś spryciarą, i sam wychowywał syna; dlatego też zrezygnować musiał z dalszej nauki w instytucie.

Zakradła się trwożna myśl, że ona również w czymś zawiniła przed Hryciem. Przeklęta pycha i babska próżność. Podczas gdy ona marnowała młodość jako pani generałowa, Żadanowi samotnie upływały lata.

No ale Bogu dzięki wreszcie nieco się przejaśniło, teraz mogą pomyśleć o sobie. Widują się bardzo często, chociaż w pracy nie mają łatwego życia — on na swoim oddziale, a Nina Wasylewna w przyfabrycznym technikum wieczorowym, gdzie wykłada język ukraiński i literaturę, wykazując przy tym wiele energii i zapału. Pewnego razu poeta Wasyl Mostowy, który od wielu lat utrzymuje przyjazne stosunki z ich fabryką, powiedział jej po wieczorze autorskim w fabrycznym domu kultury: „Wasza fabryka produkuje materialne wartości w najwyższym gatunku, a my weźmiemy kurs na piękno, stworzymy razem z robotnikami odpowiedni klimat dla zapotrzebowania na wartości duchowe w najwyższym gatunku”. Upajała się muzyką Szewczenkowskiej poezji, niejedną wieczór przesiedziała nad filozoficznymi rozważaniami Czernyszewskiego o estetyce. Tyczyna, Rylski... „Słyszeliście, jak lipa szeleści w księżycowe, wiosenne noce?...”

Młodzież z zachwytem przyjmowała jej wykłady. Jej słowa sprawiały, że nawet w fabrycznym zgiełku i wśród dźwięku metalu słyszeli szelest lipy. „Pani zwraca uczniom głowy zbędnymi sentymentami” — przychodziło jej nieraz wysłuchiwać mrukliwych uwag pedantycznego kierownika technikum. „Nie obawiam się sentymentów — odpowiadała z godnością. — Jes-

tem za uczuciowością i chciałabym ją pielęgnować w młodych sercach”. „Niech pani uczy robotników prawdziwej gramatyki” — perorował z narastającą złością kierownik. „O wiele łatwiej jest nauczyć poprawnego pisania — replikowała z powagą nauczycielka — niż humanizmu i dobrego smaku. Tymi samymi literami można napisać list do ukochanej i anonimowy donos”. „Uprawia pani demagogię, Nino Wasylewno!” „Po prostu widzę w uczniach nie tylko robotników, ale i ludzi”.

Choć w tych starciach z kierownikiem technikum czuła, że ma całkowitą rację, niekiedy jednak ogarniały ją wątpliwości. Epoka kwarków i elektroniki zmienia człowieka, przebudowuje jego psychikę, to, co wczoraj wydawało się logiczne, jest już dziś anachronizmem, beletrystyka ustępuje miejsca powieści dokumentalnej, czytelnicy domagają się konkretów, nie rozwodnionych przez emocje autora. A w ogóle... niech pani nie zawraca sobie i innym głowy, Nino Wasylewno, bajeczkami o pięknej królownie i szlachetnym księciu! Wszechwładza techniki i napór komputerów wyrzuca wnet na śmietnik wszystkie pani mrzonki o wrażliwym humanistycznym intelekcie. Komu potrzebna ta wrażliwość?

Przypomniała się jej rozmowa z pewnym znajomym biologiem, człowiekiem dowcipnym i złośliwym. Z pozorną lekkością, pokrywającą gorycz, opowiadał jej o swoich ostatnich doświadczeniach z kotami, najwykolejszymi burymi, białymi i czarnymi kotami z wiwarriów. Kiedyś były one po prostu kotami, teraz jednak powstała zupełnie nowa generacja: koty pozbawione emocji! Koty bez wyraźnych reakcji emocjonalnych. Wrzuca się do klatki takiego kota mysz w oczekiwaniu naturalnej reakcji instynktu myśliwskiego, a on siedzi sennie i nawet wąs mu nie drgnie. Koty zobojętniały

już na myszy. Wolą od nich potrawy przyrządzone przez technikę. „U nich, jak pani widzi, też dokonała się przemiana w psychice — podsumował swą relację młody uczony biolog. — Miejsce naturalnych odczuć zajął refleks wyrachowania”.

Uśmiali się wtedy, sprowadzając wszystko do żartu. Ale był to żart zupełnie niewesoły. Nie chodziło rzecz jasna o koty. Ninę niepokoił oschły racjonalizm jej kolegów i zubożenie niektórych uczniów na piękno słowa i pieśń ludową. Przykro było dostrzegać przejawy egoizmu u tych, którym państwo dawało coraz więcej szczodłą dłoń. Przypomniała sobie posłyszany gdzieś aforyzm: „Rzeczy wskoczyły w siodło i poganiają ludzi”. Istotnie, mamy coraz więcej ładnych rzeczy, smaczniejszych potraw, elegantszej odzieży, bardziej przestronnych mieszkań. A w sercach obojętność, wzrok matowieje.

Na miasto opadał zmierzch, na szarych ścianach domów zapalały się ekrany okien, za którymi w szczelnych pomieszczeniach zaczynało się nowe życie; cały świat jakby odgradzał się od tej ciemności oświetlonymi mieszkaniem, w których kłębiły się namiętności i toczyły się zwykłe sprawy.

Oto wreszcie dom, w którym mieszka Żadan. Jeszcze przedwojenny, w konstruktywistycznym stylu lat trzydziestych. Piękne, duże okna, masywne mury, dające poczucie solidności, pewności, niewzruszoności, wykazujące wpływ wielkiego architekta Le Corbusier. Nina czytała o tym francuskim dziwaku, któremu świat postawił pomnik najwyższego uznania i szacunku. Zaczynał podobno od betonowych kolumn, by po latach dojść do realizowanej konsekwentnie w swych projektach formuły: „Kochajcie w architekturze tylko słońce, powietrze i szkło”. I nie ma w tym jego winy, że po nim też będą ciemne noce, będzie ziąb i zmęczenie, i nieraz



strudzony pracą człowiek schroni się za mocne mury swego małego mieszkania. „Jaki był ten Corbusier? — myślała Nina, patrząc na dom, w którym mieszkał Żadan. — Tym, który pragnął trwałości i siły? Czy może tym, któremu marzyły się miraże miast przyszłych stuleci?”

Ocknęła się z zamyślenia. No cóż, dom jak dom, okna jaśnieją, uśmiechają się i tylko jedno jest chmurne, nie chce się rozpromienić, jakby zagasło na zawsze. Może przyszła za wcześnie? Hryć nie podał godziny, a ona go nie spytała. A teraz stój tu jak głupia i gap się w ciemne okno.

Brała ją złość na samą siebie. Stateczna kobieta i stoi tu jak latawica czekająca na kochanka. Ukłuło ją w piersi. A co, może nie kochanek? Przecież przyszła tu dla niego. A ten jego pokój, to teraz jej cały świat.

Na zmęczonej twarzy Niny pojawił się błądy uśmiech.

„Może nie? Cały mój świat to przecież on. I nie ma co siebie okłamywać. Nasze losy są nierozzerwalnie związane. I nigdzie nie ucieknie od tego okna”.

Zegar wskazywał dwudziestą pierwszą. Nina usiadła na pobliskiej ławce, przymknęła oczy. Postanowiła zaczekać tu na powrót Żadanów. No a potem będzie, jak ma być.

Hryhory Łukycz wrócił do domu przed zmierzchem. Otworzył kluczem drzwi, wszedł w ciemny korytarz, przez chwilę czujnie nasłuchiwał, zakaszłał. Zupełna cisza. Może układają do snu małego? Kaszlnął jeszcze raz, zdjął marynarkę, postawił ostrożnie jeden krok i znów nasłuchiwał. Cisza. Dom jakby spał. Czy rzeczywiście już śpią? A może Wiktor nie przyjechał? Może Hania jest na dworcu lotniczym?

Energicznie otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Nikogo. No i masz...

Z półmroku wyłoniła się biała serweta na stole. Otwarta szafa ziała trwożną, wrogą pustką. Żadan podszedł do kontaktu i w tym momencie ujrzał stojącego w pobliżu balkonu syna.

— Witia!

Zapalił nerwowo światło, jakby się przestraszył tej ponurej ciszy i samotnej postaci przy firance.

— To ty, ojczu?

Był w białej koszulce sportowej, bardzo opalony, muskularny. Objął ojca, pocałował w policzek.

— Jesteś sam? — spytał Hryhory, domyślając się od razu, co tu się stało.

Wiktor uśmiechnął się z przymusem. Przez cały wieczór czekał na ojca i nikt mu poza tym nie jest potrzebny. Hania wyszła z synem. No ale o tym potem. Jak ojciec się czuje, co słychać w pracy, na oddziale?

— Pomalutku — odpowiedział ojciec z roztargnieniem, jakby ogłuszony zastaną sytuacją; nie znał jeszcze prawdy, wyczuwał jednak jej ponurą beznadziejność. A może wszystko jest w porządku? Może Hania wyszła tylko do sklepu lub sąsiadów, a Lończyk podreptał za nią? Zaraz pewnie wrócą i Hania będzie poganiać synka, by wymył się przed spaniem. „Nie — poczuł ukłucie w piersiach. — Nie ma co się łudzić. Nie potrafili się porozumieć. Wszystko przepadło!...”

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie. Wiktor uparcie milczał. Miał twarz wyschniętą, worki pod oczami, widocznie podróż bardzo go zmęczyła, a może chorował w tym gorącym, tropikalnym klimacie.

— No, opowiadaj, jak ci się tam żyło? — ojciec próbował przełamać pierwsze lody.

— Bez orkiestr. Gazety chyba ojciec czyta?

— W gazetach nie o wszystkim piszą — ojciec lekko się uśmiechnął. — O tobie nie było ani słowa.

— Oni tam mają sporo różnych kłopotów. Reakcja przeszła do ofensywy. Na południu obszarnicy przepędzili przez granicę do Argentyny dwieście tysięcy sztuk bydła, zmniejszają areał zasiewów, próbują zdławić młodą republikę głodem. A tu jeszcze cztery miliardy długu po starym reżimie. Samych tylko procentów trzeba spłacać po dwieście milionów dolarów rocznie. Wiele się spotyka naszych maszyn systemu REW z Uralu, Moskwy, Kijowa...

„Co ty mi tu o maszynach — niecierpliwił się w myśli ojciec. — Lepiej wyjaśnij, jak to się stało, że Hania uciekła i Lończyka nie ma w domu. Na niego już czas spać...”

— Pracowałem raczej nad rozwiązywaniem problemów teoretycznych — dotarło gdzieś z oddali niewyraźnie do świadomości ojca. — Jedna rzecz nawet nieźle mi się udała.

Głos syna znowu gdzieś uleciał, a w sercu wciąż jątrzyło i piekło jak rana. Podobny ból odczuwał chyba tylko w tę straszną noc ucieczki błotnistą i rozoraną leśną drogą partyzancką, która wiodła ich do śmierci, prosto w katowskie ręce gestapowców i nieoczekiwanie przyniosła im ratunek.

Wiktor opowiada dalej. Podnieca się coraz bardziej, zmęczenie znikło. Ręce w kieszeniach, mięśnie grają, w świetle żyrandola połyskuje smagłe ciało. Ma istotnie o czym opowiadać, tam za oceanem nie zbijał bąków. Przyjeżdżał do nich ich minister, by podziękować radzieckim specjalistom. Oto jaki zegarek dostał. Niebrzydki, co?

— To znaczy, że Moskwa skierowała cię do nas, tak? — przerwał mu ojciec.

— Tak. Na wniosek Suworina. Pójdę do biura kon-

strukcyjnego. Stęskniłem się za brystolem, za linijką logarytmiczną. Mam w głowie pewien projekt. Wystarczy tylko usiąść.

— A ja słyszałem, że przeznaczyci cię na stanowisko kierownicze. Do naszego oddziału.

— Na kierownicze? — Wiktor był wyraźnie zaskoczony, jeszcze od czasów studenckich uważał się za konstruktora, teoretyka, moła książkowego. — Nie wiem, nie pociąga mnie biurokracja.

— Czy jestem podobny do biurokraty? — ojciec zmierzył syna surowym spojrzeniem.

Wiktor usiadł obok ojca na tapczanie i wziął go za rękę, szukając jego wzroku, zrozumienia i rady. Nie chciał przecież ojca dotknąć, ale szczerze mówiąc inżynier z prawdziwego zdarzenia przewyższa administratora o sto głów. Inżynier chce doprowadzić wszystko do ideału matematycznego modelu...

— Widzę, że jesteś mądry — rzekł ojciec, wciąż jeszcze nachmurzony. — A nam takiego mądrego właśnie trzeba — przykrył ciężką ręką smagłą dłoń syna. — Czas już puścić w ruch to twoje matematyczne modelowanie. Jednym słowem pomyśl nad tym.

Wiktor wstał, chłopięce zmieszanie zniknęło, był to znów bywały w świecie mężczyzna, który już z niejednego pieca chleb jadł. Powiedział, że się zastanowi, i jeśli stworzą mu możliwości realizowania jego projektów, jeśli fabryka jest zdolna myśleć kategoriami doby elektronowej...

— Fabryka jest zdolna tak myśleć — zauważył ojciec. — Sam zobaczysz, co myśmy tu zrobili.

— Dobra, dobra, poddaję się! — Wiktor poweselał nagle i podniósł ręce, ale w jego spojrzeniu pojawił się znów cień. — No a teraz pogadajmy otwarcie: co się stało? Dlaczego Hania tu jest?

Jednak wreszcie zapytał, odważył się. I chociaż stał,

jakby zamierzał sądzić swego ojca, na twarzy był niepokój, a w oczach bolesna rozterka. Tak wiele chciał ojcu opowiedzieć. Leciał tysiące kilometrów, żeby wziąć z jego rąk kwiaty i przypaść do jego mocnych jeszcze, strudzonych piersi.

— Było mi strasznie głupio, kiedy nie zobaczyłem cię na lotnisku — powiedział ciepłym tonem, podchodząc do otwartego balkonu. — No a potem Hania... I wszystko to wyglądało na jakiś kiepski żart.

Hryhory nie spuszczał Wiktora z oczu, starając się wczuć w jego stan. Złość na niego minęła, nie mógł już się gniewać, nie potrafił mu jednak współczuć. Współczucie należy się niewinnie skrzywdzonym, a on sam przecież skrzywdził. A jeśli nawet nie skrzywdził, to spowodował krzywdę.

— Czemu sterczysz przy drzwiach, siadaj tu naprzeciw — Hryhory Łukycz podniósł głos, a od jego grubo ciosanej, poranej zmarszczkami twarzy powiało chłodem.

Wiktor usiadł, czując niezwykłość tej chwili. Kiedy Hania wyszła, miał ochotę wyrznąć ojcu porządny list i wynieść się stąd. Patrzcie no, chcieli za niego myśleć i decydować. Kto ma do tego prawo?

Ale z pierwszego wybuchu gniewu nie pozostało już teraz nic. Chyba tylko popiół zmieszania i ledwie uświadomionej winy. W duchu uznawał racje ojca. I jak teraz dowieść mu, że i on, Wiktor, ma swoje racje. Ma jakieś własne plany, zamierzenia, upodobania. Jest poza tym serce, któremu nie można nakazać. Przyzwyczajili się operować kategoriami logiki formalnej, lekceważąc logikę głębi... Boże, jakie to wszystko pospolite i jaki naiwny jest ojciec ze swoim wyobrażeniem szlachetności.

Tylko to jego chmurne spojrzenie trudno wytrzymać.

Wpatruje się prosto w oczy syna, szukając przypuszczalnie ostrych słów i obraźliwych porównań.

Okazało się jednak, że nie. Co innego zrodziło się w jego duszy: przypomniawszy mu się nagle żona, matka Wiktora — jacy oni podobni! Wala też tak rwała się do roboty, też była zawzięta, nie lubiła wysiadywać po kątach. „Jeśli masz siłę, to rób coś sensownego — pouczala autorytatywnie jego, skromnego wiejskiego traktorzystę. — Silny łatwiej może się wykazać”. Wiktor wyrósł na człowieka mocnego, miał matczyzny rozmach, taki rzeczywiście umie pokazać, co potrafi.

— Być może zawiniłem przed tobą — ojciec w zakłopotaniu przygląda się swoim żyłastym palcom. — Myślałem, że ucieszysz się Hanią — zrobił niepewny gest ręką — a wy tu...

— Sama odeszła — przeciął ostro Wiktor.

— Sama? — ojciec uniósł głowę i w jego twarzy widać było gorzkie powątpiewanie. — Z małym dzieckiem w nocy?

— Nie wyganiałem ich, zrozum! — w głosie Wiktora brzmiało oburzenie.

— A jednak poszła. Powinieneś być ją zatrzymać.

Wiktor stracił cierpliwość, w jego oczach zapłonął gniew. Przecież nie ma w tym jego winy, o niczym nie wiedział. I co teraz powiedzą o nim w fabryce? Wezmą go na języki, utyłają w błocie, tylko wstydu się naje. Jak gdyby nie była to jego i tylko jego osobista sprawa. On sam dogada się jakoś z Hanią, na pewno dojdą do porozumienia.

Wiktor chciał otworzyć serce przed ojcem, żeby w pełni go zrozumiał, bo przed kim miał to zrobić? Przed tym najlepszym z powierników i doradców, przed tym surowym i czystym sumieniem! No więc życie ma swoje twarde prawa, nie można ich łamać. A najważniejsze z nich to prawo miłości. Bez niego

istnienie przekształci się w martwą formułę, w brutalną przemoc. Hania jest kobietą godną szacunku, chłopak też bardzo miły. No i co dalej? Już na samym początku uświadomić sobie, że idzie się pod nóż ofiar-ny? Hania nie przyjmie takiej ofiary. Odrzuciła ją już, bezpowrotnie i na zawsze.

— To tyś odrzucił, a ona musiała z tym się pogodzić — zauważył sucho ojciec.

— No więc wzięłem na swoje barki główny ciężar. W medycynie nazywa się to ingerencją chirurgiczną — Wiktor uśmiechnął się z przymusem. — Chirurgów się boją, a potem przynoszą im kwiaty.

Obaj czuli, że od wypowiedzianych słów atmosfera staje się coraz gęstsza, zamilkli więc w ciężkiej zadumie. Nie wiedzieli jednak, że to ich milczenie wlało się w inne milczenie: przed drzwiami mieszkania Żadanów stała niezdecydowana Nina Wasylewna. Ale tylko przez chwilę. Weszła na schody, kiedy w oknie się zaświeciło (jednak przeoczyła Hryhorego), spojrzała na ciemne drzwi, na wytarty guzik dzwonka i odczuła nagle chłodne zubożenie. Kim ona jest dla tego mieszkania? Jakie ma prawo pukać do cudzego mieszkania, przestępować próg cudzego domu? Przez dwadzieścia lat skradała się w myślach do tych drzwi. Miała do tego prawo. Nikt jej w tym nie przeszkadzał, nie zatrzymywał jej. Ale przyjechał Wiktor i wszystko się zmieniło. Mój Boże, jakie naiwne były zapewnienia Hrycia, iż Wiktor przywiezie im szczęście. „Dzieci są naszymi sędziami — pomyślała z goryczą. — Bezwzględny i bezlitosny sędzią nie znanych im spraw, niepojętego dla nich świata dramatów ich rodziców. Żyjąc dniem dzisiejszym z lekkim sercem ferują nieubłagane wyroki na przeszłość”.

Zeszła powoli po schodach i wraz z nią zeszła w dół cisza tamtego mieszkania i nawet wytarty dzwonek na

ścianie, wtapiając się w jakieś uroczyste milczenie wejściowej bramy. Wszystko z nią schodziło, ale nie potrafiła wyrwać się z objęć tego domu. I wiedziała, że wcześniej czy później znowu zatrzyma się przed ciemnymi drzwiami mieszkania Żadanów.

Na ulicy wchłonał ją wiosenny wieczór. Płonęły drżąco matowe światła neonów, połyskiwały woskowe liście kasztanów, dyszały świeżością trawiaste gazony, pachniało wilgotną ziemią. Ludzie jakby nigdzie się nie śpieszyli. Czy warto się śpieszyć w taki wieczór do nagrzanego pustki mieszkania? Sen zagarnie nas zachłannie, oślepi, omami i nie będzie ani kasztanów, ani czystego nieba, ani wiatru z dniewprowych łągów.

Nina wracała do domu piechotą. Myśli kłębiły się, przewalały szeroką i chybotliwą falą, która unosiła Ninę w nieznaną, spowitą w słoneczną mgłę, w beztroską jasność przyszłości, którą wymarzyła sobie jak baśniową krainę snów. Nie przestąpiła progu mieszkania Żadanów, no to co? To przecież niczego nie zmieni. Nie może zmienić. Bez względu na wszystko ich drogi biegną obok siebie jak szyny kolejowe; i chociaż nie mogą się zejść, biegną jednak razem ze stalową konsekwencją, niosąc w sobie siłę, wiarę i wierność.

Zaczęła przypominać sobie ostatnie pół roku po jej przyjeździe tutaj. Po rozejściu się z mężem otrzymała nieduże, ale samodzielne mieszkanie dwuizbowe, bez sąsiadów. Hryć wszystko tam urządzał podług swego gustu; przybił w kuchni półki, gdzieś zdobył polską kuchenkę gazową oraz białe kafle do łazienki. Jeszcze dziś czuje zapach cyklinowanej posadzki, świeżego lakieru na oknach i płaszcz, który Hryć wieszał w przedpokoju koło drzwi, gdy wpadał do niej w porze obiadowej. Chciała myśleć teraz tylko o tym, o niczym innym, tylko o tym. I znowu wyobrażać sobie, że jest razem z nim, że on wchodzi do mieszkania, szybko



zjada w kuchni obiad, siada przy oknie, coś tam majstruje przy lodówce, zakłada na dachu antenę telewizyjną, maluje w przedpokoju gęstą, szarą farbą boazerię.

Przypomniał się jej pierwszy wieczór, ich pierwszy wieczór za ciemnymi drzwiami mieszkania Żadanów, gdy Hryć przywiózł ją z dworca i musiała nocować u niego. Ujrawszy na ścianie duży portret Wiktora spytała, jak syn odniesie się do ich ślubu. Dostrzegła wówczas jakby lęk w spłoszonych czarnych oczach Hrycia. I zanim się odezwał, wszystko odgadła, wszystko odczytała na jego zmieszanej twarzy. I wtedy postanowiła twardo: „Poczekamy na jego przyjazd. Przecież nie możemy podejmować tak ważnych decyzji bez naszych dzieci”.

Powoli zbliżała się do swego domu, pięciopiętrowej, standardowej kamienicy. Między domami snuła się nocna pustka, tylko na ławce siedziało dwoje zakochanych, okna powoli zwierzały powieki, zewsząd zakradała się bezgłówna senność, mącona tylko samotnymi krokami na chodniku: kłap-kłap-kłap...

Nagle dostrzegła przy bramie swego domu jakąś chudą kobietę z dzieckiem. Kto to może być? W rękach walizka. Nina poznała Hanię. Odeszła. Od Hryhorego? Od Wiktora? Dlatego było tak cicho w ich mieszkaniu.

— A my przez cały wieczór czekamy z Lończykiem na panią — powitała ją Hania pozornie beztroskim głosem.

Wyglądała tak sympatycznie, kosmyk włosów opadł jej na czoło tak jakoś kokieteryjnie i przymilnie, taka była zgrabna, urodziwa i dziewczęco świeża, że Nina od razu się uspokoiła.

— Jak do mnie, no to do mnie. Daj walizkę, a małego weź na rękę. — Nina chwyciła za rączkę walizki i poprowadziła gości do ciemnej bramy.

Czas wszystko pochłania, goi rany i osłabia największy nawet ból. Jeszcze wczoraj Wiktor odczuwał ucisk w piersiach i dławienie, a dziś czuł się tak, jakby tego wczoraj nie było: oczy uśmiechnięte, rześki, aż go coś ponosi, rwie się do działania, do rozmów o wysokiej temperaturze.

Wiktor chodził po rodzinnym mieście, poznawał je i jakby nie poznawał. Z dniewprowych wzgórz rozkoszował się białymi dymami lewobrzeżnych fabryk, wchłaniał oczyma niezmierzone krajobrazy. Wszystko swoje, rodzime, za czym tak tęsknił przez te lata. Rozbudowały się nowe dzielnice, pięły się w górę nowe domy. Napatrzył się w świecie na takie wieżowce, niekiedy miał wrażenie, że windą dojeżdża do chmur, ale te wydawały mu się piękniejsze, jaśniejsze, kiedy tak lśniły w wiosennym słońcu. Może z powodu białej ceramiki. A może słońce tu inne, osobliwe, słońce o niezwykłych, tęczowych barwach.

Wiosną już odchodziła, przekazując w spadku upalnemu latu bujne kwiaty, trawy i liście. Wiktorowi mąciło się w głowie od aromatów i przepychu kwitnących kasztanów, które napierały na domy i brały w niewolę ulice — wspaniali włodarze miasta. Co za piękno! Tu nie czuje się zmęczenia, powietrze aż dzwoni, przybywa, nie wiadomo skąd, nowych sił. Był w fabryce, miał oficjalną rozmowę z dyrektorem. Wyszedł z gabinetu z zagadkowym uśmiechem, który nie opuszczał go przez cały dzień. Ciągle powracała radosna myśl: „Mogę pokazać na dwudziestym oddziale maksimum tego, co potrafię. Suworin ma do mnie zaufanie, a więc musi się udać”.

Wieczorem nie mógł już doczekać się spotkania z ojcem.

— Wiesz, byłem u niej.

Hryhory spojrział uważnie na syna. Nastrój Wiktora

udzielił mu się. Wiktor wesołym wzrokiem myszkował po stole, gdzie dymił w rondlu smaczny barszcz.

— U Hani?

— U Hani. Co prawda nikogo nie zastałem. Było zamknięte. — Wiktor czuł się szczęśliwy jak człowiek, któremu udało się wyrwać z sieci wątpliwości. Padł na kanapę, rozrzucił z ulgą ręce. — Co za upał! Będzie suche lato — wytarł dłonią czoło, zaczął rozpinąć koszulę. — Pomyślałem: siądziemy, szczerze porozmawiamy. Dlaczego mamy się chować przed sobą? Chcesz mieszkać tu, to mieszkać. I żeby ludziom zatkać gębę, wszystko jak trzeba, legalnie, że mucha nie siada. No bo jakże inaczej: chłopak rośnie, a gdzie jego tatuś? Ma zostać bękartem czy jak? Trzeba cenić naszą krew, w niej, być może, są zaprogramowane wielkie czyny.

Na twarzy ojca zakwitł uśmiech, wokół oczu pojawiły się wesołe zmarszczki. Cieszył się ze słów syna, cieszył się na myśl o takiej synowej i o Łończyku.

— Tak, krew trzeba cenić — mówił pogodnie, dotykając końcami palców posrebrzonych wąsów. — Ale jeszcze bardziej trzeba cenić swoje uczucie. To, co się kiedyś kochało, nie spływa z wodą.

— Święta prawda, ojczu!

Wiktor siadł do stołu i zajrzał zgłodniałym wzrokiem do rondla.

— Nalewaj, nalewaj — zachęcał ojciec. — Ja już jadłem obiad.

— Sam gotujesz?

— Zależy jak kiedy — zawahał się. — Gotujemy razem z Niną Wasylewną — dodał ciszej.

— Ho, ho, więc jest gospodyni — ironizował dobroliwie Wiktor.

Ojciec wyczuł w tej ironii akcent protekcyjnej pobłażliwości, że niby to w starym piecu diabeł pali.

Obaj odczuli jakieś niezręczne zakłopotanie, zwiła-

szcza Wiktor. Spojrzał ukradkiem na ojca i dostrzegł czający się w jego oczach ból i może nadzieję. Nie palił diabeł w tym starym piecu. To chyba ta sama Nina Wasylewna, z którą ojciec korespondował od zakończenia wojny, przez długie lata miał swoją tajemnicę, gdzieś w szufladzie wśród papierów zachowała się jej fotografia: młoda frontowa dziewczyna w wojskowym mundurze, w pilotce na gładko zaczesanych blond włosach, na piersi liczne medale.

— Nina Wasylewna? — spytał Wiktor, pochylając się nad talerzem.

— Tak... Była z mamą w podziemiu. Chyba ci opowiadałem... Gdy wieźli nas do więzienia w mieście, partyzanci napadli w lesie na konwój i wyzwolili nas. Mama ich uprzedziła. No i potem schwytali ją — westchnął ciężko.

Wiktor nie podniósł głowy, łyżka dzwoniła po dnie talerza, wybierając resztki kapusty. Zacisnął zęby i wpatrywał się przymrużonymi oczami w ścianę, jakby chciał odgrodzić się od ojca.

— Zaczynam rozumieć — mówił równym, obcym głosem. — Zachciało ci się rodzinnego szczęścia. Nina Wasylewna wolna, ty wolny, mieszkanie jest, a więc są wszelkie formalne przesłanki do ślubu. Pozostaje już tylko błogosławieństwo syna. Zgadłem?

Wyprostował się gwałtownie, wparł plecami o oparcie krzesła. Na napiętą twarz wystąpiły muskuły.

— Czekaliśmy na ciebie, ale... — Hryhory Łukycz usiłował nadal mówić łagodnie i nie zaostrzać rozmowy, szukał u syna współczucia, chciał widzieć w nim przyjaciela i powiernika. — Rozumiesz chyba, że to czysta formalność.

Wiktor skrzywił się: formalność? I do tego czysta? Jednak ojciec długo na nią czekał. Błogosławieństwo

to nie formalność, zawiera zgodę lub dezaprobatę, jedna ludzi lub rozdziela.

— Sprawa ta nie dotyczy pamięci matki — powiedział surowym tonem Hryhory. — Pamięć matki jest dla nas święta.

— Święta — powtórzył syn. — Święta, to znaczy martwa — odsunął rondel i zabębnił po nim palcami. — A jeśli tak, to po co w ogóle wspominać? Świętych lepiej nie niepokoić, ojczu.

Twarz Wiktora zmieniła się, sam nie mógłby powiedzieć, co właściwie tak go w tej chwili dręczy. Czuł się tak, jakby utracił coś, co żyło w nim latami, może nie w pełni uświadomione, ale niemal realne. Wbrew wszelkiej logice spodziewał się matczynego zmartwychwstania, oczekiwał jej przyścia ze swoich dziecięcych marzeń, był niemal pewny, że ona musi gdzieś być na świecie jak słońce, jak ziemia, jak niebo.

Również ojcu było ciężko. Może po raz pierwszy od wielu lat uświadomił sobie istotę sprawy. Dopóki mieszkali we dwóch z Wiktorem, dopóki on, wdowiec, zajmował się wychowaniem syna i sądził, że są tylko oni (bo Wala jednak zginęła, zakatowana gdzieś w gestapowskim więzieniu) — matka była z nimi, nigdy ich nie opuszczała. Wiktor myślał o niej jak o żywej, bo dopóki nie zobaczy się mogiły, zawsze jest jakaś nadzieja. Ojciec sam podsycił w nim tę nadzieję. Teraz to się skończyło.

— Wybacz mi, ojczu... Może powiedziałem coś niepotrzebnego. — Spojrzał na zegarek. — Pójdę trochę się przewietrzyć.

— Może do nich?

— Przyszłość okaże — Wiktor wziął ze stołu papierosa i wyszedł.

Ulice mrugały do siebie neonami, perliły się latarniami, porozpinały na domach jasne ekraniki okien;

ten rozedrgany, świetlisty haft pulsuje utajonym żywiołem życia. Wiktora wabią światła. Przez długie miesiące żył w zielonej puszczy. Gdziekolwiek się ruszyć, wszędzie zielony mrok, zielona pustka, nawet odór jakby też zielony. Cokolwiek by się rzekło, człowiek powinien zwiedzać obce kraje, będzie wówczas znał prawdziwą cenę dóbr ojczystych. Oto idziesz rodzinnym miastem, przyglądasz się wszystkiemu, odczuwasz wzmożony rytm życia i spokojną pewność otaczających cię ludzi. Za mało elegancji? Nie tak krzykliwe reklamy? Mamy własne wyobrażenie o elegancji, mamy swój własny smak.

Po rozmowie z ojcem Wiktor długo nie mógł się uspokoić. Stopniowo jednak uraza jątrzyła coraz słabiej, topniejący smutek wchłaniały cienie wieczoru. Wałęsał się po mieście bez celu. Ma chyba prawo odetchnąć swobodnie, żeby mu nikt nie dokuczał radami, obrzydły mu już te pouczenia i przypomnienia, pragnie tylko pełnych przestrzeni ulic i długotrwałej ciszy.

Wszystko właściwie układa się nieźle. Był u Hani i gdyby zastał ją wtedy z Lończykiem, to być może klamka by zapadła. Bo czego się obawiać? Młodziutka, urodziwa kobieta o szczerym sercu będzie wierną, oddaną żoną. Syn też się udał, od razu wyczuwa się Żadanowską krew.

Tam, za oceanem, śniły mu się niekiedy dzieci. Takie, jakie zapamiętał ze studenckich lat, kiedy przyjeżdżał do babci; zbiegali się wówczas do niego, miastowego, chłopcy z całej ulicy, o wypłowiałych od słońca brwiach, gryzący słodkie owoce morwy, niegadliwi, nieufnie zaciekawieni. Budował im groblę na potoku i to wystarczyło, by we wszystkich pobliskich domach wiedziano, jaki to towarzyski ten student Żadan, jak zgrabnie majstruje okręciki, stawia na nich

maszty i napina żagle. W zielonych snach dżungli też mu się zwidywały dzieciaki ze stateczkami, z fujarkami z czarnego bzu i znowu coś im tam majstrował, przekopywał rowki, puszczał latawce do słońca. Dzieci w snach były jak zew ojcowej ziemi, były jej żywym, wzruszającym głosem. Dlatego lubił te sny.

Zszedł wąską uliczką na plac. Zalało go morze ognia, wchłonał elektryczny potop. W tej rozedrganej iluminacji rozpinają się tęczą między ulicami czerwone latarenki. Wkrótce święto, do którego miasto przygotowuje się bardzo starannie. To również cieszy młodego Żadana. Dobrze, że wrócił do domu z honorem, dobrze, że może chodzić drogami mu ulicami zadowolony i świadom własnej godności. Szkoda tylko, że nie ma z kim pogadać, pożartować. Jak tam koledzy? Czy nie zapomnieli o nim? Honczarenko pewnie zamęcza się w swoim ogrodzie nad gumowym węzem, łopata i grabiami. A może pojechać do Wasyluka? E, jego żona zaraz zacznie się krzywić, w jej obecności nie można szczerze pogadać. No, kto jeszcze? Przez te dwa lata tyle wody upłynęło, tyle się zmieniło...

Znów pomyślał o Hani i bystrookim Lończyku i zażęsknił za nimi. Wyobraził sobie ten dom, w którym ona teraz mieszka: wąska brama, obite dermatoidem drzwi, na nich okrągła blaszka z numerem. Zadzwoni i Hania mu otworzy. Wpuści go do mieszkania czy też wyjdzie za próg? I co on jej powie? Może po prostu: Zbieraj się! Albo przygarnie ją do piersi, pocałuje w usta i wszystko będzie znowu jak kiedyś, bardzo już dawno.

Po egzaminach państwowych pojechał wtedy na wieś na wakacje. Pożyczył u Wasyluka wołgę i machnął się w rodzinne strony, unikając w ten sposób bieganiny, dzwonek, towarzystwa. Miał już wszystkiego dość. Hani nie widział cały rok, dlatego jechał z mak-

symalną szybkością, chciał wpaść do wsi jak burza, pod sam dom Czepurnych, żeby wszyscy widzieli. Nie zastanawiał się, co z tego może być i jak to się skończy, był zuchwały, beztroski, na wszystko obojętny i pewny siebie. Przyjaźnią się przecież z Hanią, więc gwizdże na plotki. Miłość jest ponad wszelkim prawem.

Droga prowadziła przez miasto powiatowe, szosa z wybojami, podziurawiona, po obu stronach staroświeckie, przysadziste budyneczki z czerwonymi blaszanymi dachami, dawne kupieckie spichrze, cerkiew z baniastą wieżą, a obok kino, pochyły słup ogłoszeniowy, mężczyzna w białym fartuchu sprzedający lody. Wszystko tu znajome, prowincjonalne, miłe sercu i trochę naiwne w swej pretensjonalności. Wiktor był tu nieraz, z ich wsi blisko, kamień by doleciał — przez most, potem przez łąki z kępami krzaków łożyny do wiśniowych sadów — i już we wsi.

Gdy wołga wyjechała po bruku z placu targowego, zatłoczonego ludźmi, wozami, samochodami, Wiktor dostrzegł przy drodze jakąś dziewczynę. Czekała widocznie na okazję. Czerwony płaszczyk wydał mu się znajomy, a krótko obcięte, jasne włosy też kogoś przypominały. Dziewczyna podniosła nieśmiało rękę, ale od razu ją opuściła speszona. Zbyt wytworny był ten samochód, podobnie jak jego kierowca: w ciemnych okularach, w kolorowym szaliku na szyi, w eleganckiej skórzanej kurtce na zamek błyskawiczny.

Wiktor zahamował i wskazał siedzenie, jakby chciał powiedzieć tym ruchem: wsiadaj, zawiozę, dokąd trzeba. Byłoby grzechem nie pognać jak wicher z taką ślicznotką. Kiedy dziewczyna z wahaniem i niepewnym uśmiechem zajęła miejsce obok niego, zatrzasnął pewnym ruchem drzwiczki, zerknął na dziewczynę przez ciemne szkła i ścisnął mocniej kierownicę. Można jechać. Szerokiej drogi i tępych gwoździ!



Dziewczyna była zmieszana, ogarnął ją lęk. Peszył ją ten kierowca w ciemnych okularach jakoś groźnie połyskujących, peszyły czarne rękawiczki i czarna grzywiasta fryzura jak u młodego popa... Największy lęk budziły właśnie te jego włosy, które nadawały twarzy ponury wygląd tajemniczego rozbójnika. Wsiadłaś, dziewczyno, to teraz się strzeż, nikomu nie będziesz mogła się poskarżyć.

Jechali wyjeżdżoną, gruntową drogą, polami przeciągała wczesna wiosna, niebo śmiało się i słońce się śmiało, i taka dziwna miękkość, taka delikatna czystość rozlała się wokół, że dziewczyna zapomniała o swoim lęku i nawet wzięła ją chętna na rozmowę z milczącym kierowcą. Śmieszni są ci miastowi chłopcy! Myśli taki, że jak wlaźł do samochodu ojca (na pewno ojca, bo skąd w tym wieku mógłby mieć własny) i w dodatku ubrał się w zagraniczną kurtkę, to zaraz wszyscy mają omdlewać z zachwytu. Może w mieście mdleją, ale u nich na wsi chwała Bogu mają jeszcze rozum.

— I gdzie pan to wszystko zdobywa? — spytała bez cienia zażenowania, dotykając ostrożnie wytartego rękawa kurtki.

Wiktor kłapał zabawnie zębami: nie zaczepiaj, bo zjem, zaśmiał się bezdźwięcznie i znów wlepił wzrok w drogę. Ależ on zabawny! Dobrze, że zabawny, bywają przeważnie tacy, co tylko rękami rozmawiają i żadnej dziewczynie nie przepuszczą. Od razu chcą adres, jak ma na imię, ile lat, czy ma chłopca. A ten — nic. Tylko pod okularami grają wesołe błyski i wargi lada moment parskną śmiechem, życzliwym i beztroskim.

— Już gdzieś pana widziałam — próbowała znów nawiązać rozmowę. — I głos jakby znajomy.

Wiktor z trudem hamuje rozbawienie. Czyżby tak zmieniły go te okulary, że Hania dotąd nie wie, z kim

jedzie? A jaka śliczna, miłuśka, jasnooka, wygląda tak, jakby dopiero wczoraj się rozstali.

— Przyjrzyj się lepiej — szepce samymi wargami.

— Na psa urok... chybaśmy się już widzieli...

— Naprawdę? — zawołał już naturalnym głosem, uradowany. — Pod starą wierzbą, na miedzy, w królestwie baby Żadanichy.

Twarz Hani spłonęła.

— Witia!

Wczepiła się palcami w skórzany rękaw, strąciła mu okulary, przytuliła się z oddaniem do jego twardego ramienia. Śmiała się i płakała na przemian. Przyjechał, jednak przyjechał! A ona straciła już nadzieję. Koleżanki wciąż jej mówiły: daj sobie z nim spokój, zapomnij, tacy nie wracają.

Powiedziała mu pierwsza „ty”. Wydawało się jej to naturalne. Półtora roku oczekiwania, półtora roku tajemnych rozmów z nim w myślach. Wiktorowi widocznie udzielił się ten nastrój, gwałtownie zatrzymał samochód. Objęli się, zamarli w słodkim uścisku. Dla niej było to powrotem do baśni. Jej gorąca bliskość uderzyła mu do głowy, unosił się coraz wyżej na zmysłowej fali, by za moment lecieć już w dół w zupełnym zamroczeniu i spadać, spadać...

I runął w tę rozkoszną przepaść. Tam nad Rosią, w starym kniaziowskim parku, osnutym cieniami przeszłości, czarnym i gęstym jak woda nocą w rzece, dyśzącym aromatami polnych kwiatów, wziął swoje szczęście lekko i prosto, bo wiedział, że jechał do niej, tylko do niej.

Jechali potem dalej nocą do wsi. Zatrzymywali się w ciemnych jarach i całowali długo i zapamiętale. Światło reflektorów biegło do przodu, a oni pogrążeni byli w gęstym od zmysłowości mroku, zanurzali się więc w nim zachłannie. Potem znów wjeżdżali w po-

żądaną ciemność, pozostawiając za sobą łaskawą Roś i kniaziowski park, i swoje pierwsze najśłodsze uściski, i najśłodsze odczucie szczęścia.

Kiedy zbliżali się do wsi, niebo na wschodzie już się różowiło. Nagle oboje poczuli zmęczenie. Wiktor powiedział, że lepiej odpocząć gdzieś tu, na łonie przyrody, a zajeżdżać do babci też będzie jakoś zręczniejsz niż o świcie, o tej porze sąsiadki mają szczególnie wścibskie oczy...

—Wspomnienia urwały się, ekran pamięci zgasł, przed oczami znów morze światła odświętnych wieczornych ulic. Wiktor przeżywa rozterkę. Mógłby natychmiast pójść do Hani i to, co żyło w pamięci, stałoby się rzeczywistością. Wszystko zależy od niego. Będzie tak, jak teraz postanowi. Otworzy drzwi i: dobry wieczór, kochani!

Może jednak lepiej się nie śpieszyć. Trzeźwość ostudziła rozpaloną głowę, myśl skierowała się na wygodną ścieżkę. Ruszył nią, czując twardy grunt pod nogami. Sentymenty to piękna rzecz, tylko że są ulotne i niepewne. Nie zbuduje się na nich trwałego szczęścia. Cegły sentymentalizmu nie nadają się na fundamenty życia, trzeba znaleźć potężne granitowe bryły. Hania jest ładna, ale powiedz otwarcie: kochasz ją? Co pozostało w twoim sercu prócz żalu, prócz zadawnionych wspomnień?

Ojciec już dwadzieścia lat kocha Ninę Wasylewną. Gdyby się wiedziało, że i on powróci do dawnego i Hania znów stanie się dla niego droga, że będzie ją szanował, odkryje w niej nowy świat... Przyłapał się na tym, że nieco ironizuje. W tych tłumaczeniach się przed sobą wydał się sam sobie śmieszny. O co właściwie chodzi? Nie śpieszyć się i tyle. W sprawach miłosnych należy siedem razy odmierzyć, jak powiedział ktoś mądry, a ósmy raz dobrze się przyjrzeć. Szczęście

rodzinne to rzecz kapryśna, trzeba ciągle mieć się na baczności.

Nagle jego wzrok zatrzymał się na białej ścianie znajomego domu. Przyszedł tu bezwiednie. Mieszka w nim jego przyjaciel, poeta Wasyl Mostowy. Odprowadzał go, gdy wyjeżdżał za granicę, pisywali do siebie krótkie, dowcipne listy. Wasyl za każdym razem życzył przyjacielowi męstwa w obronie przed gorącymi spojrzzeniami młodych Kreolek, Wiktor zaś odradzał poecie zbyt ni pośpiech we wdrapywaniu się na Parnas, bo tam podobno wieją zimne wiatry i można dostać zapalenia korzonków nerwowych.

Nie spuszczać windy Wiktor ruszył na górę pieszo. Bywał tu często, u Mostowego zbierało się zwykle wesołe towarzystwo. Co prawda gości częstowano tylko kawą, do głowy zamiast alkoholu uderzała poezja i zawzięte spory literackie, a jednak i tam, za oceanem, Wiktorowi brakowało tych wieczorów, ich gorącej temperatury, bezpośredniości i mądrej wesołości.

Otworzyła mu Sofijka, bladolica żona Wasyla o ciemnych oczach, smągła, niska, w czerwonym sara-fanie na cienkich ramiączkach.

— Wasylku! Co za gość przyszedł! — zawołała śpiewnie, szczerze uradowana, przy czym brwi jej uniosły się ze zdziwienia w górę. — Towarzysz dyplomata we własnej osobie.

Mostowy stał w przedpokoju na drabince, przystawionej do regału z książkami. Zszedł z niej powoli, otarł ręce o welwetowe spodnie i zbliżył się ze skąpym uśmiechem do Wiktora, skupiony, nie poddający się emocjom, prawdziwy mól książkowy.

— No wchdź, wchodź!

I to było całe jego przywitanie. Odsunął na bok drabinę i wszedł pośpiesznie do gabinetu. Gdyby Wiktor go nie znał, mógłby czuć się dotknięty. Ładne po-

witanie! Ale Wasyl ma już taki sposób bycia, w gniewie czy radości jest zawsze zrównoważony, nie okazuje nigdy własnych uczuć. Natomiast w poezji... Ostatni jego tomik ze złośliwą dedykacją „Zaoceanicznemu Don Kichotowi od naddnieprzańskiego Sancho Pansy” zawędrował aż tam, gdzie Wiktor hodował tropikalne komary. Na biurku smaży się już maszynopis następnego zbiorku. Tu się czasu nie marnuje, praca i praca.

Usadowiwszy się w fotelu Wiktor odczuł błogosławiony spokój. Jak mu brakowało tego zacisza, tej akademickiej solidności, którą wszystko tchnie w tym gabinecie. Wasyl nie przepadał za podróżami po świecie, ale wiele tu można znaleźć śladów takich podróży: jakieś drewniane australijskie idole w oszklonej szafie, kawałek czarnego fiszbinu z wieloryba na parapecie, butwiejąca ikona zakarpackich mistrzów, kozacki kałamarnicz (czy nie ten, którego używało się przy pisaniu listu do tureckiego sułtana?). A oto Wiktor kładzie na stół jaskrawoczerwony naszyjnik z kłów krokodyla.

— Do twojej kolekcji — mówi zwykłym tonem. — Musisz wiedzieć, że te zęby wrywano, zgodnie z indiańskim rytuałem, z żywych krokodyli. W przeciwnym razie amulet nie miałby magicznej siły, czyli nie przyniósłby ci najwyższego poetyckiego natchnienia.

— Słyszysz, Sofijko?! — woła Mostowy do sąsiedniego pokoju. — Mamy z krainy Eldorado amulet szczęścia!

Amulet nie amulet, ale rzecz niezwyklej piękności, egzotyczny rarytas, który nie zawadziłoby oblać. Czy masz tam coś, Sofijko? Wasyl wkłada żonie na szyję krokodyli naszyjnik i odchylając się, uśmiecha się z zachwytem:

— No, bracie, pół królestwa za taki prezent!

— Królestwa nie mam — żartuje Sofijka, przebie-

rając błyszczące korale-zęby, czerwone jak strączki pieprzu — ale postawię za to pół litra.

— Znajdzie się u was coś takiego? — zdziwił się Wiktor, który wiedział o bezwzględnej abstynencji gospodarzy.

— Robimy się postępowi, Witia — Sofijka usiadła obok Wiktora, złożyła dłonie na kolanach i ironicznie spojrzała na gościa. — Chyba głupiejemy na stare lata.

Wiktor wyczuł w jej głosie smutek. Lubił Sofijkę po koleżeńsku i cenił ją za to, że była dla Wasyla wspa- niałą żoną, można rzec jego współbojowniczką na poetyckiej niwie. Chociaż miała sporo własnej pracy na uniwersytecie, znajdowała jednak zawsze czas na to, by zajmować się mężem i jego sprawami.

Teraz zasypała go pytaniami: czy wesoło im się tam żyło, co ciekawego widzieli, czy nie tęsknili za domem? Jej się wydaje, że gdyby była tak daleko i tak długo poza krajem, to umarłaby z tęsknoty.

— No i masz — wtrącił się Wasyl — zaczęli od toastów za zdrowie, a skończyli na umieraniu.

Sofijka przeprosiła i wyszła do kuchni.

— A co ty zamierzasz teraz z sobą robić? — zwrócił się gospodarz do gościa.

— Suworin proponuje, bym wrócił do jego fabryki. Na dwudziesty oddział.

— To wspaniale! Znam komsomolców stamtąd. Już dwa razy zapraszali mnie do hotelu robotniczego. Mają własnych poetów, śpiewaków, tancerzy.

— Idę tam po to, żeby wykonywać plan, a nie żeby zajmować się twórczością amatorską — pohamował jego zapał Wiktor. — Mój repertuar to elektronika, modelowanie za pomocą maszyn matematycznych, NOP\*. Po pracy mogę oczywiście nawet stawać na

---

\* Naukowa Organizacja Pracy.

głowie — dodał po chwili pojednawczo, widząc, że Wasyl się nachmurzył.

Gospodarz wyjął z szuflady notes.

— Posłuchaj, jak pisze jedna dziewczyna z ruchu amatorskiego na tym oddziale.

Za dobre, szczere, mądre słowo  
jam góry zsunąć jest gotowa.  
Chcę słońca, jak chce wody liść,  
pragnę w zawody z wiatrem iść,  
i smutku chcę kropelkę jasną...

— Poezji mówiąc szczerze w tym wierszu niewiele — zauważył ironicznie Wiktor. — To raczej takie sobie dziewczyńskie refleksje. — Twarz jego spochmurniała. — Niech no tylko ten wiatr ją trochę pogania i łyknie smutku nie kropelkę, lecz pełny dzban, to zobaczymy, jak wtedy zaśpiewa!

Rozległ się dzwonek u drzwi, a potem wesołe głosy w przedpokoju. Po chwili Sofijka wprowadziła do gabinetu swą przyjaciółkę, piękną, pyszną kobietę, przy której nikła zupełnie. Jak się okazało, była to aktorka Zoja Kindratowna; w jej sposobie bycia była naturalność i pewność siebie. Twarz wypielegnowana, ze śladami kosmetyki. Wiktor traktowała z akcentowaną obojętnością. Podsunęła mu pulchną dłoń i od razu zwróciła się do Sofijki, paplając o jakichś wspólnych znajomych, o „bezczelnej” Honczarukowej, której znów udało się omotać reżysera i zagarnąć najlepszą rolę. Operowało się umyślnie półsłówkami i aluzjami, zrozumiałymi tylko dla wybranych, należących do tego samego ekskluzywnego świata, a nie dla jakiegoś tam Wiktor. Była jednak w tym jakaś poza i Wiktor bez trudu zrozumiał, że cały ten potok słów skierowany jest głównie do niego; ma go zadziwić, wprawić w zachwyty, zagarnąć w niewolę jej uroku.

Wasyłowi szybko się to znudziło.

— No, kochana, dość tego paplania, bo mógłbym jeszcze uwierzyć w twój talent artystyczny.

— Mój talent został uznany przez krytykę teatralną — odcięła się wyraźnie obrażona.

— Znam tę krytykę. Piszą tak, jak im podpowie Iwan Iwanowicz.

— Nędzny wierszokleto! — zawołała Zoja impulsywnie, jakby się ciesząc, że ma okazję bronić się przed niesprawiedliwymi zarzutami. — Żałosny, wyschnięty, nudny abstrakcjonisto! Nie mogę patrzeć na ciebie! Sofijko! Wypędź go stąd, bo jak mu się wczepię w jego kudły!... — Jej piękne, podkreślone tuszem oczy płonęły wesołą zuchwałością. — Panie Wiktorze, niech chociaż pan mnie obroni. Mam nadzieję, że nie wierzy pan temu rymobójcy?

Tak, teraz wiedział już na pewno, że całe to jej podniecenie, objawiające się w nadmiernej wesołości i gadatliwości, spowodował on, Wiktor Żadan. Dla niego grała teraz Zoja. „Prosisz o obronę, gołąbko? Tobie nie obrońcy trzeba, takie jak ty nie bronią się, lecz atakują”.

— Wierzę scenie, Zojo Kindratowno — powiedział jednak kurtuazyjnie. — I mam nadzieję, że ona powie wkrótce swoje słowo.

Sofijka zaprosiła wszystkich do kuchni na herbatę. Czerwona plastikowa posadzka w kratę lśniła czystością. Wszędzie widziało się zapobiegliwe ręce gospodyni. „Mieszkańskie porządki”, pomyślał z dobrotliwą ironią, poczuł jednak zazdrość. Z tego Wasyla to jednak szczęściarz.

Przy małym stoliku było ciasno, ale nikomu to nie przeszkadzało, czuli się z sobą świetnie, rozmawiali swobodnie o wszystkim i o niczym, żartowali z siebie, przypominali zabawne historie. Wiktor również opo-



wiedział pewną anegdotę. Otóż tam, w dżungli, pewnego razu przybiła do brzegu łódź indiańska z młodziutkimi Indiankami. Pomalowane, z barwnymi piórami na głowach, ze złotymi amuletami, spisami, mieczami, a jedna miała nawet okrągłą tarczę o złotych wzorach. Wszyscy doszli do wniosku, że to łódź z legendarnymi Amazonkami wypłynęła z jakichś orinokańskich zarośli.

— No i co? — spytała gorączkowo Zoja, zafascynowana opowiadaniem.

— Wyjaśnienie okazało się bardzo prozaiczne — uśmiechnął się Wiktor. — W pobliżu kręcono film. Wkrótce przybiła też motorówka z potężnym megafonem, który słycać było na całej rzece.

— A te Indianki to statystki?

— Z najdzikszego plemienia — wyjaśnił Wiktor. — Byznesmeni od filmu poszukują egzotyki.

Zoja była zachwycona, Sofijka też słuchała z zainteresowaniem opowiadania o współczesnych Amazonkach. Gdy kobiety wymieniły uwagi na ten temat, włączył się do rozmowy Wasyl.

— Nie egzotyki szukają, lecz propagują przemoc. Duchowy marazm jednych stwarza warunki do narzucenia swego zwierzchnictwa przez innych. Tylko świadomość, że się jest pod ochroną społeczeństwa, sublimuje te zaborcze instynkty. Przeczytałem niedawno w gazecie dość smutną historię. Otóż młody angielski urzędnik, sterroryzowany przez bandytów, postanowił na własną rękę szukać samoobrony: znikł w przestępczym podziemiu i z takimi jak on entuzjastami swoście pojętego wymiaru sprawiedliwości zaczął rozprawiać się z gwałcicielami porządku społecznego. Zabił jednego, drugiego, trzeciego... I skończyło się na tym, że ten okrutny świat gwałtu i bezprawia zaczął wciągać go samego, zaraził zbrodnictwami bakcyliami, swą nieludzką moralnością. Po kilku latach policja ujęła herszta

wielkiej bandy gangsterskiej, którym okazał się ten sam urzędnik.

— I jaki stąd wniosek? — spytała podnieconym tonem Zoja.

— Żeby nie opowiadać dzieciom przed snem strasznych bajek — odpowiedział żartobliwie Wiktor.

— Och, wy filozofowie! A sedno sprawy tkwi w tym: nie czyń dobra nikomu, tylko sobie samemu, jak uczyła mnie kiedyś baba Hanna.

„Hanna, Hania...” Wiktorowi zrobiło się nagle ciężko na sercu. Wszyscy jesteśmy filozofami, dopóki nie dostaniemy po łbie. Dlatego dobrze jest nie nosić romantycznych okularów i rozglądać się wcześniej, co się wokół dzieje. Przyłapywał się jednak na tym, że ciągle zerkał ukradkiem na Zoję, zdając sobie sprawę, że to kobieta nietuzinkowa i że z jej pojawieniem się w jego życiu rysują się jakieś niezwykle perspektywy. Jej obecność podniecała go, ale chętnie poddawał się temu.

Rozstali się po północy. Żadan odwiózł Zoję do domu. „Interesująca kobieta. Wielka indywidualność czy wielka aktorka?” Gdy został sam, zatrzymał się na ulicy przed oświetloną wystawą z zabawkami. „Chyba jednak aktorka” — skonkludował. Ucieszyło go to. Pewnym krokiem ruszył do domu.

O takich lotnikach jak Palijenko mówi się, że urodzili się w powietrzu. Mają szósty, powietrzny zmysł, pewne oko i szaleńczo odważne serce. I jeszcze spory zapas wiedzy, zdobywanej w ciągu długich wieczorów nad książkami i kreśleniami.

Podczas lotu pilot zespala całą swą wiedzę, wszystkie swe umiejętności i całą swą wolę w jednym impulsie, w jednym porywie. Gdy myśliwiec wyskakuje na „górkę”, kiedy słońce wlewa się prosto w oczy i zie-

mia tańczy w dole, i cały świat leci gdzieś w przepaść to z lewej, to z prawej, to lichy zresztą wie z której — nie ma czasu na rozmyślanie. Działa się mechanicznie, niemal instynktownie, w jakimś szaleńczym natchnieniu. Drażek na siebie! Gaz do przodu na pełną szybkość...

Wzleciawszy zamierasz na sekundę. Ta chwila przechodzi w wieczność, jesteś lekki, bezcielesny, zawisasz w bezdennej otchłani jak mała planeta, jak sputnik... Ziemia gdzieś za plecami, w górze bezmiar nieba, bezmiar błękitu, bezmiar czystej jasności i piękna. I wiesz, że możesz znowu runąć w dół, że położenie całego świata zależy od twoich rąk. Czujesz się Bogiem. Jesteś wszechmocny!...

Maszynę na lewe skrzydło, jeszcze bardziej na lewe. Ziemia leci na spotkanie... Palijenko widzi betonową smugę, srebrne motylki — samolociki, czarne przecinki ludzi.

Nacisnął guzik łączności radiowej.

— Trzydziesty zakończył pracę. Wraca do bazy.

Przetarł samolot po betonie, wyłączył silnik. Odczuł błogą ciszę, w nozdrza uderzył suchy aromat pola startowego. Ciężko podniósł się z fotela pilota. Teraz nie jesteś już Bogiem, jesteś po prostu dowódcą klucza myśliwców przechwytywaczy, kapitanem Palijenką. Idziesz właśnie od samolotu w kierunku grupy twoich lotników, którzy wcześniej zakończyli loty. Stoją w niebieskich kombinezonach, w hełmach, śmiesznie nieruchawi na twardej ziemi, a w powietrzu tak przecież szybcy, groźni, niezwycześni.

— Jewhenie Dmytrowiczu! Wysoka klasa! — wykrzykuje w zachwycie Maksymowicz.

Okrążyli ciasno dowódcę, zaczęli omawiać loty. Nad lotniskiem chłodny wiatr, jest świeżo, czysto, radośnie, wspaniałe poczucie siły. W piersiach czuje się jeszcze

wszystkie wibracje silnika odrzutowego, który niedawno wodził maszynę po błękitnych przestworzach.

Podszedł dowódca eskadry, major Trehub, wysoki, szczupły, z szarą ze zmęczenia twarzą. Dziś latał na bój powietrzny z lotnikiem z klucza Palijenki, lejtnantem Maksymowiczem. Atakowali się wzajemnie z wściekłością, walczyli jak w prawdziwym boju, gdzie za każdy błąd, za każdy niewłaściwy wiraż płaci się życiem.

— No więc towarzyszu Maksymowicz — mówi major cichym głosem — walczyliście nieźle. Wykazujecie dużą zwinność. To dobrze. Ale nie wszystko jeszcze wyciskacie z maszyny. Nie wykorzystujecie do końca jej możliwości. No i nie za dobrze jest z praktyczną aerodynamiką. Zajęliście dogodną pozycję, siedzieliście mi na ogonie, po waszej stronie były wszystkie elementy przewagi taktycznej, a jednak w ostatniej chwili zlekliście się czegoś.

Major patrzył w zamyśleniu w ziemię. Omawiany lot przewijał się jak film w jego wyobraźni: wszystkie wiraże, wszystkie wzloty i pikowania, każdy zawrót. Sam latał na tych niewidzialnych, karkołomnych, szaleńczych trasach, znał więc dobrze ich wartość i wiedział, jak mogło być lepiej i dlaczego nie było lepiej.

Całą grupą poszli na „górkę”. Dzień lotów się kończył i w takim momencie lotnicy pragną jak najszybciej znaleźć się w zacisznym pomieszczeniu. Może właśnie dlatego swój budynek na lotnisku nazywają pieszczotliwie „górką”. Tu się przebiegają, poddają się przed każdym nowym lotem przeglądowi lekarskiemu („Tosiu miła! Mam cudowne, najnormalniejsze w świecie ciśnienie!”), otrzymują ostatnie instrukcje i komunikaty meteorologiczne.

Trehub szedł przodem, spieszył się prawdopodobnie do dyspozytora. Palijenko został nieco w tyle. „I tak

jest zawsze — myślał z goryczą. — Jakkolwiek by się latało, wszystko źle. To niedoloty, to przeloty... A może rzeczywiście podczas mojej nieobecności chłopcy rozwałkonili się trochę. Dwa tygodnie to sporo czasu. Trzeba będzie ich podciągnąć”.

Lotnicy rozmawiali z ożywieniem. Trzech wspinających chłopców! Maksymowicz, niższy o głowę od lejtnanta Kawury, chce go o czymś przekonać, nie przyznając się do błędów popełnionych w boju z dowódcą eskadry. Opowiada, jak było „naprawdę”, dlaczego nie dociągnął na pełnym gazie. Siedział komendantowi na ogonie, miał go dokładnie na celowniku optycznym. Jeszcze trochę...

— Twoje „trochę” to od trzystu metrów do jednego kilometra — przerwał mu Oleg Buszma, który był dziś wyjątkowo milczący, ktoś widocznie popsuł „teoretykowi” nastrój.

W sprzeczkach teoretycznych Buszma bił wszystkich na głowę. Próbowali go sprawdzać, przyłapać na niedokładnościach, nikomu jednak to się nie udało.

— Ty wiecznie z tymi swoimi abstrakcjami! — odciął się Maksymowicz. — W naszym zawodzie najważniejsza jest intuicja. Szósty zmysł. Przeciwnika wyczuwam wnętrzem. O, tu coś mi... — wskazał na piersi. — Tylko że ja... gdzie mi tam do naszego boga, nie mogę wytrzymać takich przeciążeń jak on... — mówi o majorze Trehubie, królu pilotów, najlepszym dowódcy eskadry w całej jednostce. — Kiedy wchodziłem w figurę wyższego pilotażu, wydawało mi się, że złamał mi się grzbiet. Popuściłem drążek, a ten czmychnął w górę i łap go!

Na „górcze” gwarno. Piloci przebiegają się w pośpiechu, żartują. Teraz to już nie asy, lecz zwyczajni chłopcy.

Palijenko zdjął kombinezon, powiesił w szafie, włożył hełm ochronny do wysokiego kartonowego pudełka. Odczuł nagle jakieś rozrzewnienie i smutek. Przypomniała mu się rozmowa w fabryce z dawnym przyjacielem, technologiem Sokołem. Przed wyjazdem do Moskwy spotkał go w pobliżu budynku dyrekcji.

— Słuchaj, Hryciu, zdaje się, żeś zaprzyjaźniony z dwudziestką?

— O którą ci chodzi? — domyślił się Hryć. — Imię, wiek, kolor oczu...

— Gdybym to ja wiedział... Pamiętasz, dwudziestka dawała noworoczny koncert w klubie garnizonowym. Ona stała w chórze z prawej strony. I oto niedawno, na wieczorze październikowym w domu kultury...

— Z prawej strony stoją u nich zawsze leciwe ciotki.

— No więc z lewej — rzekł niepewnie Palijenko. — Wszystkie były w czerwonych buciczkach, a ona miała zielone.

— Kolor oczu? — wypytywał uparcie Sokił.

— Jeszcze nie zaglądałem jej w oczy.

— Towarzyszu pilocie pierwszej klasy, jesteście zbyt prozaiczni. Nie od bucików trzeba zaczynać. Przynajmniej tak było za czasów mojej sentymentalnej babci... — Hryć przeszedł na rzeczowy ton. — W porządku, jedź do Moskwy, zdobywaj stratosferę, a my tu postaramy się coś niecoś dowiedzieć, chociaż mam poważne wątpliwości, czy pomogą mi w tym zielone trzewiczki.

Od tego czasu minął miesiąc. Czy Hryciowi udało się coś załatwić? Zna ich tam wszystkich, przyjaźni się ze starszym majstrem Żadanem. Palijenko mógłby sam spytać Żadana, ale to jakoś niezręcznie, niech lepiej już Hryć działa.

Wszedłszy do łazienki puszcza prysznic, próbuje temperaturę wody, moczy najpierw ręce, potem szyję,

piersi, z lekka naciera się, w końcu staje cały pod prężnym strumieniem, aż dech mu zapiera, i natychmiast odczuwa niezwykłą lekkość.

Po kąpieli zajrzał do pokoju eskadry. Buszma i Kawura grali na parapecie w szachy.

— Chłopcy! — przypomina Palijenko. — Jutro aerodynamika. Loty z zaliczaniem stopni.

— Tak jest! Zaliczanie stopni! — odpowiada Oleg, nie odrywając oczu od szachownicy.

Palijenko wyszedł. Przypomniawszy im o tym tylko dlatego, że to należało do jego obowiązków. Wiedział, iż są niezawodni, takim można zaufać w każdych warunkach. Ale przypominać trzeba, taka już ich służba, „tarcza nieba”, jak powiedział poeta. W tym zresztą treść jego życia: w stałej gotowości, w ciągłym poczuciu obowiązku. Odpowiada za cztery maszyny bojowe.

Pożegnał się z kolegami i poszedł do domu.

Na podwórzu spotkał matkę, rozwieszała bieliznę.

— Przysłali ci z Moskwy książki. Ale kiedy to będziesz czytać, jak ciągle na służbie?

— Wieczorami, matusiu. Nauka lubi ciszę.

Wrócili razem do mieszkania. Chciał zabrać od matki miednicę, ale nie pozwoliła: kapitanowi nie wypada przecież, i to jeszcze w biały dzień, nosić się z miednicą.

— Chcę dziś pojechać do Sokoła — powiedział i spojrzał pytająco na matkę, jakby czekając na jej przyzwolenie.

— No i tak wygląda twoja nauka — odparła z wyrzutem. — To w niebo, to znów do koleżków z fabryki.

— Fabryka mnie zrodziła, matko. Byłoby grzechem o niej zapominać.

— A nasza rodzinna dewiza?

Dewiza ta brzmiała: we wszystkim trzeba mieć umiar. I w pracy, i w rozrywkach, i w siedzeniu noca-

mi nad książkami. W przeciwnym razie — samozatrącenie i samospalenie ze szkodą dla sprawy.

Na stole leżą jego otwarte książki, zeszyty z jakimiś dziwnymi formułami i torami lotów i czekają na gospodarza. A on sam siedzi w ciasnej kuchni ze szklanką mleka i pije je zamiast wody, gasząc pragnienie.

Upredziwszy matkę, że wróci późno, Jewhen udał się do pułku, by poprosić majora Trehuba o przepustkę i jak najszybciej pojechać do miasta. Musiał tam zresztą wykonać polecenie wydziału politycznego: wyznaczyć w porozumieniu z fabryką dokładny dzień spotkania robotników z lotnikami i zaprosić osobiście na to spotkanie dawnego asa frontowego Hryhorego Łukycza Żadana.

Ciepły wiosenny dzień był w pełnym rozkwicie. Słońce zaczepiło się gdzieś tam w górze, by dłużej porozkoszować się i nacieszyć Dnieprem w srebrnych zmarszczkach, smukłymi mostami, jasnymi balkonami domów na zboczach nabrzeża. Wszystko jakby drzemało w wiosennych mgiełkach, oczekując w bezruchu wieczoru i chłodzącego wiatru, a jeszcze bardziej — gwałtownego, ulewnego deszczu z tęczą, z ozonowymi aromatami, z rozbrykanymi wesoło dziećmi.

Autobus trzęsie, duszno, odświeżające podmuchy wiatru z trudem przedostają się przez otwory w suficie, pasażerowie stłoczeni, twarze zaczerwienione. W nos uderza swąd motoru. Jewhen przywykł do przestrzeni, do luzu, a tu jakby woły ciągnęły po suchej ziemi.

Dokąd właściwie jedzie? Przed nim zwiewny, nieuchwytny miraż, a on zdąża ku niemu z pragnieniem wędrowca, nie wiedząc nic konkretnego, urzeczony urodą-niewidką, urodą-zagadką. Widział ją na koncercie, widział z daleka na ulicy, zdołał tylko zauważyć



zgrabną postać, delikatny owal twarzy, energiczny chód... I to wszystko? A jej dusza, głos, charakter, poglądy na życie? Jest dobra czy zła? Sprawiedliwa czy egoistka? Przecież człowieka nie można kochać tylko za urodę. Człowiek to dziw natury, tajemniczy, niezgłębiony dziw.

Uśmiechnął się zagadkowo. Oczywiście, że dziw. A jeśli tak, to po co szukać jakiejś logiki? Oto ile dziewcząt jedzie z nim; młode, modne, z roziskrzonymi oczyma, z matową opalenizną na twarzy. Niejedna chętnie poznałaby się z nim, ale jest mu to obojętne, nie ma w nich tego „dziwu”, nie ma niczego niezwykłego w tych ładniutkich, wystrojonych szcziebiotkach. „Dziw” jest tylko w jednej. I on chce ją zawojować, chce zdobyć tylko dla siebie.

„Co się ze mną dzieje?! — próbował się otrząsnąć. — Lotnik przechwytywacz pozwolił sobie zakochać się”. Lejtnant Sydorowski nieraz pokpiwał, że z niego to zasuszony anachoreta i nic ziemskiego nie zdoła go poruszyć. Okazało się jednak, że i on jest z krwi i kości. Dziwne tylko, jak to nagle na człowieka przychodzi. Żył sobie spokojnie, latał, przesiadywał po nocach nad konspektami. I nagle — o niczym innym nie może myśleć, tylko o niej.

W pracy nie wszystko ostatnio dobrze się układa. Wynikł konflikt z dowódcą sąsiedniego klucza, Sydorowskim. Wydarzyło się to jeszcze przed wyjazdem Jewhena do akademii. Sydorowski już od dawna zgarbia wszystkie nagrody i najwyższe oceny w pułku, sam generał nim się opiekuje. Na okręgowych zawodach jest zawsze pierwszy wśród pierwszych. A tu nagle przy omawianiu lotów Palijenko oświadczył, że nie uważa manewru Sydorowskiego za udany. Palijenko był „celem”, został strącony. A jednak udowodnił przekonująco majorowi Trehubowi: „Sydorowski nie mógł

mnie strącić. Wykonał manewr niewłaściwie, działał niezdecydowanie, nie zasługuje na celującą ocenę". Powiedział to nie z zawiści, nie kierowały nim jakieś osobiste motywy. Była po prostu okazja wygarnięcia prawdy zarozumiałemu asowi. A teraz dowództwo robi raban, bez przerwy telefony, wezwania, sondáže. Kto winien? Czy kapitan Palijenko nie podniósł umyślnie wrzawy? Cień padł na najlepszego pilota, sprawa dojdzie do generała, przyślą komisję...

Nietrudno było sobie wyobrazić ujadanie wrogów (któż ich nie ma?) i szeptanie po kątach: to z zawiści, to z zazdrości Palijenko tak go oczerniał i podstawił nogę znakomitemu lotnikowi!

Nie, nie zazdrościł mu. Do pochwał przełożonych odnosił się powściągliwie. Kochał szybkoskrzydły nad-dźwiękowiec, swoją ostronosą „trzydziestkę”, zaprzyjaźnił się ze swoimi pilotami, dla których gotów był skoczyć do piekła. Ale jest przecież jakaś elementarna sprawiedliwość. Jeśli jesteś pupilkiem dowództwa, jeśli przełożeni patrzą na ciebie przychylnym okiem, to jeszcze nie powód, by lekceważyć kolegów. A gdy coś przytrafi się w walce? Kto będzie krył w akcji bojowej?

Matka opowiadała mu kiedyś, jak zginął ojciec. Był komendantem strażnicy przygranicznej na Sianie i w pierwszym dniu wojny przyjął atak faszystowskich czołgów. Przez zdobycie zajmowanych przez jego żołnierzy pozycji wróg chciał wgryźć się w skrzydło wielkiego strzeleckiego zgrupowania radzieckiego, walczącego w pobliżu. Dwudziestego drugiego czerwca wieczorem major Palijenko otrzymał rozkaz wycofania się z resztkami przygranicznego oddziału. Odrywając się od faszystów mogli uratować swoje życie. Rozkaz dowództwa uprawniał ich do tego.

„Ale twój ojciec nie cofnął się — powiedziała ze

smutną dumą Maria Chrystianowna. — Wsadził mnie z tobą do ostatniego samochodu — jedźcie! — i pobiegł do okopów. Nie mógł, Żenia, uciekać, kiedy obok toczył się bój. Na pożegnanie powiedział mi: „Przez ten las Niemcy wedrą się prosto na nasze pozycje. Tędy przebiega kierunek natarcia czołgów i oni o tym wiedzą. Dlatego będziemy walczyć, Mario, do ostatniego”.

Gdzieś aż pod Kijowem dogonił ich transport z rannymi wopistami. Był wśród nich pewien młody żołnierz ze strażnicy Palijenki i on właśnie opowiedział Marii Chrystianownie, jak zginął jej mąż. „Towarzysz major sam z granatem rzucił się pod czołg. Był już wtedy ranny, ucałował się ze swym przyjacielem, oficerem politycznym, i popełnił z okopu prosto pod gąsienice... Niemcy już więcej w tym dniu nie atakowali. Gdyby nie nasz drogi towarzysz kapitan, faszyści wszystkich by nas porozgniatali”.

Jewhen często zamyślał się nad relacją matki. Ojca znał tylko z fotografii, ale po tym opowiadaniu od razu urósł w jego oczach, stał mu się bliższy i jeszcze droższy.

Autobus mknął po szerokim dniewrowskim moście. Poniżej woda drgała srebrem, od polerowanych słońcem fal tchnęło jakąś głębinną, żywiołową siłą. Palijenko w zamyśleniu patrzył na miasto, rozprzestrzeniające się przed nim na wzgórzach.

Była godzina szesnasta, kiedy Palijenko wchodził do wysokiego budynku, wyłożonego białymi, ceramicznymi płytkami, gdzie mieściła się dyrekcja fabryki. Obok nowiutka, nowoczesna portiernia jak pałac ze szkła i metalu, wejście na teren fabryki, strzeżone przez kołowrót i groźnego strażnika. Jewhen pamięta czasy, kiedy na miejscu nowoczesnej portierni stał pomalo-

wany na żółto barak z cegły z zardzewiałą furtką i małym okienkiem, a w nim strażnik w granatowym płaszczu. Palijenko pracował wówczas jako ślusarz monter w czwartym oddziale i tylko marzył o lotnictwie; wszystko było wtedy jeszcze przed nim: i aeroklub, i szkoła lotnicza, i zrządny podpułkownik Jeklema. Po co on właściwie zawitał do swej ulubionej, pracowitej, zakurzonej fabryki? Koledzy monterzy są przecież na czwórce, za portiernią, skąd idzie się szeroką aleją obsadzoną stojakami z portretami najlepszych. A tu, w budynku administracyjnym, tylko trzaskają drzwi i szczękają sucho maszyny do pisania.

Ale i tutaj zna wielu ludzi, witają go, rozpoznając w tym postawnym oficerze o szerokich barach w mundurze lotniczym swojego sympatycznego Żeńkę.

— Cześć, pilocie!

— Z jakich to niebios zlecieliście, kapitanie?

Miło jest znaleźć się znów wśród przyjaciół, kiedy życie jakby się cofa i powracasz w przeżyta już przeszłość, w te dawne, drogie sercu, młodzieńcze lata. Pamiętasz, jak przybiegałeś tu na trzecie piętro do komitetu komsomołu jako jego grupowy, sekretarką była śliczna dziewczyna, już zapomniałeś jej nazwisko, pamiętasz tylko, jak cię ochrzaniała, że zbyt późno przynosisz jej raporty, że z dokumentacją nie w porządku, a ty wyjmowałeś z kieszeni kombinezonu torebkę z ciastkami Berberys i kładłeś przed nią na biurku. Była w tobie zakochana ta zgrabna, energiczna dziewczyna, z zawodu inżynier technolog, którą wszyscy poważali i trochę nawet bali się jej, ale nikomu by nie przyszło do głowy, by się do niej zalecać. A ona chyba dlatego była taka sroga i czepiała się twoich organizacyjnych błędów, i pewnie dlatego tak często domagała się od ciebie personalnych raportów i osobistych wyjaśnień.

A potem pokłóciliście się. Stało się to w któreś bar-

dzo upalne lato. Pamiętasz, jak z całą grupą komsomolską wybraliście się nad Dniepr, by spędzić tam sobotę i niedzielę. Znaleźliście ładne miejsce na polance wśród wierzb i zaczęliście wbijać kołki do namiotów. Było gwarnie i wesoło, chłopcy rozkładali nad rzeką ognisko, dziewczęta zaczęły śpiewać. W pobliżu wśród łożyny paś się jakiś samotny koń o fioletowych oczach; dziewczyny śmiejąc się podbiegały do niego i karmiły go grudkami cukru. Nagle zerwał się wiatr, ściemniło się. Sekretarka komsomółu zarządziła, by wracać do miasta, gdyż nadciąga burza, a zdążono postawić tylko jeden namiot, w którym nie mogą przecież spać razem chłopcy i dziewczyny. Nazwałęś ją wtedy nadzorcą, ona zareagowała ostro i obraźliwie i postawiła na swoim, zmuszając grupę do spakowania rzeczy i powrotu do miasta. Diabli wszystkich brali, bo burza przeszła bokiem i koń o fioletowych oczach pozostał sam na naddnieprzańskim pastwisku.

Palijenko zajrzał do pokoju z napisem: „Gabinet głównego technologa”.

— Czy jest towarzysz Sokił? — spytał rudą dziewczynę, która przewracała jakieś papiery, żując grubą kanapkę.

Dziewczyna skinęła głową. Na papiery posypały się okruszki, strąciła je ręką i wpatrzyła się w arkusz zapisanego papieru. Wygląd jej mówił: nie można nawet zjeść spokojnie, szwendają się tu i tylko przeszkadzają ludziom pracować. Po chwili wyjaśniła, że Sokoła w gabinecie nie ma, wezwali go do naczelnego, rozwiązuje z nim jakiś problem.

Jewhen już czynił sobie wymówki, że podczas godzin pracy przyszedł do przyjaciela. Z Hryciem przyjaźnił się już dawno, pracowali razem jako ślusarze na czwórce, a potem drogi ich się rozeszły: Jewhen poszedł do lotnictwa, a Hryć na politechnikę wieczorową, nadal

jednak łączyła ich przyjaźń. Może dlatego, że mieli pokrewne charaktery, a może przeciwnie — że różnili się charakterami.

Spotkali się na korytarzu. Hryć nic się nie zmienił: niski, barczysty brunet o wysokim czole i ciemnych, żywych oczach; zakola wczesnej łysiny lśniły potem.

— Skrzydlata gwardia zawitała! — uścisnął Jewhena i lustrował go przyjaźnie. — No, jak tam podróż? Trochę zmarniałeś. Nauka cię tak wykończyła czy też może jakaś nimfa z lotniska?

— Nie zapominaj, że moja nimfa jest tu, w fabryce.

— Ach, racja! Zielone buciczki z dwudziestki.

Hryć spowaźniał, tylko jeszcze w ciemnych oczach drgają wesołe ogniki życzliwości i nie wygładziły się zmarszczki wokół oczu. Okazało się, że problem zielonych trzewiczków przestał być problemem. Nazywa się Hanna. Pracuje na rewolwerówce pod kierownictwem takiego asa fabrycznego jak majster Żadan. Więcej nie udało mu się dowiedzieć, ale sprawę najlepiej zbadać na miejscu. Ma tam coś do załatwienia. Jewhenowi wypiszą zaraz przepustkę do komitetu komsomołu, zajdą do mądrego majstra, który na pewno udzieli wyczerpujących informacji.

— À propos — pyta Hryć tonem egzaminatora. — Czym wiek dwudziesty różni się od dziewiętnastego? — i nie czekając na odpowiedź szybko wyjaśnia: — Przeciętny potok informacji zwiększył się o dwadzieścia pięć i sześć dziesiątych.

— Ciebie by złączyć z lejtnantem Buszmą — uśmiechnął się Jewhen. — Łżecie z dokładnością do jednego mikrona.

— Nic podobnego! Wyrażamy się w granicach dopuszczalnej tolerancji. Ty na przykład narzucasz wydarzeniom swoją wolę. My to nazywamy programowa-

niem, stworzyłeś sobie model miłości, model uczuciowej sfery...

— Bardzo to mądre, tylko że ja nie znoszę schematów.

— Więc przyjdź jutro o siedemnastej zero, zero do domu kultury na koncert. Będą oczywiście i rozrywki, cytrynada-lemoniada, tańce i swawole, jednym słowem „zorganizowany wypoczynek”. Na to szaleństwo kultury masowej przybędzie dwadzieścia pięć ślicznotek z drohobyckiej szkoły. Nowicjuszki. Nieprzystępne, orlookie góralki, trochę dzikie...

— Czy ty, Hryciu, nigdy już nie spoważniejesz? I pomyśleć, że na takim wesołku wspiera się cała technologia fabryki.

— Poważniejszy ode mnie może być tylko mnich buddyjski — odparł Hryć udając obrażonego i nagle zmienił temat: — Nie wykorzystane rezerwy, oto co nas zarzyna! Bez tych rezerw leżymy.

Po otrzymaniu przepustki przeszli przez portiernię i znaleźli się na oświetlonym słońcem terenie fabrycznym, na którym ciągnęły się rzędy warsztatów. Jednostajny, głuchy szum. W tym królestwie metalowych konstrukcji, cementu, słońca i szkła widziało się niezwykle mało ludzi. Tylko postaci dziewcząt w czarnych fartuchach przy warsztatach. Ruchy szybkie, dokładne, głowy nieco nachylone w stronę noża, oczy ostrzejsze od metalu i biegające szybciej od obrotów silnika.

A oto i Hryhory Łukycz Żadan, „udzielny książę dziewczęcego królestwa”, jak już dawno nazwano linię rewolwerową. Ucieszył się chłopcami jakby rodzonym synem.

— Cóż to pan, Jewhenie, tak rzadko u nas bywa? Pewnie za wysoko się lata.

— Gdziekolwiek bym latał, to swoich zawsze widzę — odparł przyjaźnie lotnik.

Szli szerokim przejściem, oznaczonym przez dwa równe, wyraźne pasy na cementowej podłodze. Palijenko zaczął wypytywać o sprawy fabryki, o pracę dziewcząt, ich kwalifikacje, o wyróżniające się i pozostające w tyle. Zbliżyli się od tyłu do stojącej przy tokarce jasnowłosej dziewczyny o okrągłej twarzy.

— Oto nasza przodownica. Niedawno zdobyła pierwsze miejsce w oddziałowym współzawodnictwie tokarzy.

Teraz co prawda przodownica ma jakieś kłopoty. Najlepsza z najlepszych nie może prawidłowo nastawić tokarki. Ujrzawszy majstra w towarzystwie technologa i jeszcze jakiegoś nieznanego lotnika, zarumieniła się.

Palijenko widzi: zwija się metalowa strużka, nóż wrzyna się coraz głębiej, coraz głębiej... Nie, tym razem też nie wyszło. I chyba nie wyjdzie.

— Marijko, co się stało? — pyta łagodnie Żadan.

— Nie wiem... Narzynki są do kitu. I metal niskiej jakości. Widzi pan, nie biorą.

Ściągnęła brwi, znów zaczyna wszystko od początku. Pochyliła głowę, ręce na dźwigniach... Przez dziesiątki lat filmowcy rejestrowali tę pozę, malowali ją artyści, poeci pisali w natchnieniu: „poryw”, „wielkość”, „pasja tworzenia”... Ale wielkość nie w pozie. Może w tym, że od samego rana dziewczyna stoi twardo przy tokarce i nie odstąpi jej, dopóki nie wykona powierzonego zadania?

Szli od warsztatu do warsztatu wśród błysków dźwigni i lśniącego potoku emulsji. Wszystko drży — napięcie metalu, napięcie nerwów.

Palijenko czuje: ona powinna tu być. Gdzieś na tej linii.

— A co to, Hania Czepurna nie przyszła dziś na zmianę? — pyta nagle Hryć.



— Nie ma jej dziś — odpowiada z troską w głosie Hryhory Łukycz.

Palijenko zmieszał się, jakby to było skierowane do niego. Hani nie ma i niech pan, panie Palijenko, przestanie się wygłupiać, dość tego włączenia się po fabryce i myszkowania oczami po plecach dziewcząt. Panu nie fabryka potrzebna, lecz Hania Czepurna, pański model miłości, jak mówi Hryć, pańska zaprogramowana, narzucona sobie, chimeryczna miłość.

Sokił i Żadan dalej rozmawiają za jego plecami. Palijenko słucha w napięciu, łowi każde ich słowo w nadziei, że może znów usłyszy coś o Hani. Hryhory Łukycz, jak się okazuje, ma powody do wielkiej radości, przyjechał jego syn, zdaje się, że obejmie kierownictwo oddziału. A Hryć znowu o Hani: jak pracuje, skąd pochodzi, gdzie mieszka?

Jewhen nie wytrzymał.

— Chodźmy już, Hryciu.

— No i masz! — śmieje się. — Staraj się tu dla przyjaciół, a oni zwijają żagle.

— Chodźmy, chodźmy! — Palijenko rozszłościł się na dobre, bo istotnie było jakoś niezręcznie sterczeć tu dalej.

Hryhory Łukycz spojrział uważnie na lotnika, chciał coś powiedzieć, ale tylko westchnął i ruszył powoli. Sokił i Palijenko poszli za nim.

Nagle Hryć zauważył kogoś, uśmiechnął się. W pobliżu w grupie dziewcząt stała przy jednej z tokarek planistka Żuraj. Skinął na Jewhena, żeby poczekał, podszedł do niej i poprosił ją na bok. Zamienił z nią kilka słów. W jego oczach pojawił się na chwilę niepokój, ale gdy zwracał się do przyjaciela, były już w nich tylko iskierki wesołej przebiegłości.

— No więc będziesz musiał jutro przypomnieć sobie komsomolską młodość. Oksana zaprasza nas na wieczór

do domu kultury. Mała czarodziejka w zielonych trzewiczkach — mrugnął znacząco na Palijenkę — będzie śpiewała a cappella.

Gdy wyszli za bramę, Palijenko uśmiechnął się do słońca. Gotów jest powrócić do swojej komsomolskiej młodości. Będzie jednak musiał prosić swego szanownego przyjaciela, by wykonywał swą misję pośredniczenia nieco delikatniej. A w ogóle...

Jewhen objął kolegę ramieniem. Musi mu jeszcze powiedzieć, że przestaje bić pokłony przed bożkiem „miłości modelowanej”. Niech wszystko idzie swoim torem...

Pracę w „dwudziestym” rozpoczął Wiktor Żadan — jak wszyscy rozsądni kierownicy — od zaznajomienia się z pracownikami. Każdy nowy szef chce wiedzieć jak najwięcej, jak najwięcej zobaczyć, posłuchać. W takiej sytuacji nigdy nie należy się spieszyć. Choćby bebecchy w środku się przewracają, chociaż nerwy napięte są do ostateczności, trzeba na zewnątrz być spokojnym, niepobudliwym, chodzić po oddziale jakby od niechcienia, z lekkim uśmiechem, z dyskretnie baczny spojrzeniem. Tam coś się zauważy, w innym miejscu przystanie się i udzieli rady.

Ojciec, sekretarz komitetu oddziałowego partii, początkowo aprobował takie postępowanie syna. Jeszcze w domu przestrzegał go, by nie popisywał się swoją „mądrością”. Wiktor był synem posłusznym i chował tę „mądrość” dla siebie, kiedy jego zastępca, inżynier Howiada, starszy już, łysiejący mężczyzna, zapoznawał nowego kierownika z wyposażeniem oddziału. Szli powoli, od czasu do czasu zatrzymując się. Robotnicy nie zwracali na nich uwagi i trudno było domyślić się, że ten wysoki, młody człowiek w szarym garniturze

o wyglądzie reportera przejmując w swoje ręce kierownictwo ich całego kolektywu pracowniczego.

Czy oddział podobał się Wiktorowi? No cóż, schludnie, jasno, przestronnie. Nowe pomieszczenia, robotnicy to w większości młodzież.

Kiedy jednak po lustracji wrócił do swego gabinetu, stał długo w zamyśleniu przed oknem. Coś go ważnego nurtowało, **jątrzyło**.

— Zdaje mi się — powiedział wreszcie po dłuższym milczeniu — że oddział pracuje faktycznie tylko na jedną zmianę.

— Na jedną? — zdziwił się jego zastępca.

— Prawie osiemdziesiąt warsztatów ma przestój. Przy takiej organizacji rozbitcie pracy na dwie zmiany...

— Mogę panu wyjaśnić... — zaczął nerwowo zastępca.

— Wiem, to nie pańska wina — przerwał mu uprzejmie. — Biuro mocy, główny technolog... Po prostu konstataję fakt.

Wcale nie miał ochoty zaostriąć stosunków z Howiądą. Gdyby jego zastępca działał bardziej stanowczo, to oczywiście coś by osiągnął. Ostatecznie cztery miesiące pełnił obowiązki kierownika i miał jakąś tam władzę. I uprawnienia. A może ich nie miał? Taki mizerny, niepozorny... Kto takiego posłucha?

W pierwszych godzinach niezwykle intensywnej pracy Wiktor pozostawał jednak myślą na dole, na rewolwerowej linii, przy tokarce Hani. Ciągłe jeszcze nic nie postanowił. Najważniejsza była teraz sprawa przestojów w jego oddziale. Robotnikom nie wyznacza się stałych zadań, ten bałagan organizacyjny demoralizuje, ludzie marnują czas. Trzeba się przede wszystkim zabrać do tego. Teorie potem, konstruktorskie marzenia potem. I Hania potem...

Potem?

I nagle jakby go ktoś chwycił za ramię. Chodząc po oddziale podświadomie trafił na rewolwerową linię i znalazł się... obok Hani. Oto ona, twoja chudziutka, dzielna Hania. Pamiętasz? Droga przez park, senna tafla Rosi, duszny mrok samochodu, jej drżące ramię, spragnione wargi...

Musiał jej coś powiedzieć. Nie miał prawa przejść obok i nie zauważyć jej. Widział, jak napięte jest jej całe ciało, jak ona czeka na coś, jak szarpie nerwowo rączkę motoru, jak wypadają jej z rąk odkuwki — jedna, druga... Nie może ich wstawić, biedula. Dlatego, że on stoi za jej plecami.

— Przygląda się pan, Wiktorze Hryhorowiczu? — usłyszał nagle obok głos zmianowego majstra Zaliskiego.

Było mu głupio, że Zaliski zauważył pewnie jego zmieszanie, więc skinąwszy mu głową ruszył na inną linię. Majster dogonił nowego kierownika i zaczął coś mówić o dokumentacji na pojedyncze zamówienia. Potem sypiąc technicznymi terminami wyjaśniał jakąś bardzo trudną sytuację, wynikłą w tych dniach na oddziale. Nienagannie zaprasowany, aż błyszczący kombinizon, szczupła twarz o dziewczęcej urodzie, baczki, biały kołnierzyk, krawat. „Zdaje się, że studiuje na politechnice — przypomniał sobie Wiktor. — Rozgarnięty chłopak. I nienatrzętny, taktowny”.

Zaliski podobał się Wiktorowi. Prawdopodobnie czegoś się domyślił tam koło warsztatu Hani, nie dał jednak po sobie poznać, wie, że władza nie lubi poufałości. Bystry chłopak, rzeczowy. I w dodatku przystojny. Taki to łatwo trafi do dziewczęcego serduszka.

Praca powoli wciągała młodego Żadana w swoje tryby. To wspaniale, kiedy można rozprężyć ramiona na całą szerokość. Na każdym kroku czekają na twoje słowo, na radę. Młodzież zawzięta, pracowita. Wystarczy

tylko słowo i już robota pali się jej w rękach. Chyba wszyscy z kursów wieczorowych. Dziś przy warsztacie, jutro staną przy tablicy. Tu się nie można obijać. Jesteś dla nich nie tylko kierownikiem. Ucz ich i sam się ucz. A najważniejsze — szukaj rezerw, zwalniając nowe moce.

Ojciec spotkawszy syna w korytarzu ściągnął brwi. Na terenie fabryki nie zamieniali z sobą ani słowa, byli jak nieznajomi, jakby celowo się unikali. Ale tak chyba lepiej, po co demonstrować w pracy rodzinne związki. Poza tym stary Żadan nie chciał peszyć Wiktora, pod okiem ojca syn zawsze czuje się niepewnie.

— Zaczekaj! Mam ci coś powiedzieć — zawołał nagle, gdy już się minęli.

Stali przy oknie w na pół ciemnym korytarzu. Pod cementową posadzką dudniła praca na oddziale.

— Ty z tym Zaliskim uważaj... — powiedział ostrożnie. — Zdaje się, że on lata za Hanią.

— Na robocie się zna?

— Zna się.

— To nie ma o czym mówić, ojcie — powiedział twardo Wiktor.

— Uważałem za swój obowiązek przestrzec cię.

— Wieczorem, ojcie, pogadamy. Teraz się spieszę, Suworin po coś mnie wezwał.

I pobiegł do dyrekcji fabryki. Nie w głowie mu teraz plotki, włączył się do pracy, więc musi zacząć żyć po nowemu, nowy rytm, nowy nastrój.

Hryhory Łukycz wyłowił w tej zaciętości syna nutę jakby narzuconego sobie przymusu, jak gdyby syn chciał zagłuszyć w sobie tę aktywnością coś niedobrego, drażniącego, nękającego. Żal za Hanią? Czy brak pewności co do własnych sił?

Wieczorem podzielił się swymi wątpliwościami z Ni-ną, kiedy odprowadzał ją do domu.

— Zuch z Hani! Nie narzuca się, trzyma się skromnie i z-godnością.

— A w domu beczy — powiedziała Nina.

— Pocieszaj ją. Wszystko będzie dobrze. Niepotrzebnie wtedy odeszła. — Hryhory chciał jakoś usprawiedliwić syna, złagodzić sytuację, w głosie jego wyczuwało się współczucie. — Wkrótce przyprowadzę go do was, wspólnie wszystko obgadamy.

Ninę zasmuciła ta naiwność Żadana. Nie jest to takie proste, jakby mu się wydawało. Młodość jest nieobliczalna i potrafi tak wszystko zaplątać, że do końca życia się nie rozpląće.

Szła z pochyloną głową, rozwichrzone włosy połyskiwały w łagodnym świetle wieczornego słońca. Zmęczenie przebijało z jej chodu, ze zmarszczek wokół oczu, z zatroskanego milczenia. Żadan również poczuł się zmęczony. Wziął Ninę ostrożnie pod rękę, z lekka uściśnął, zajrzał w oczy. „Nie poddawaj się — mówić jego wzrok. — Sama przecież wyczarowałaś nam tysiąc lat. I nie wolno nam się męczyć, dopóki ich nie przejdziemy”.

Gdy wrócił, Wiktor był w domu.

— Informuję cię jako sekretarza komitetu oddziałowego: Suworin obiecał trzysta tysięcy na rozbudowę pomieszczeń socjalnych. Okazuje się, że projekt jest już dawno zatwierdzony.

— A ty dokąd się wybierasz? — spytał ojciec, widząc, jak syn stroi się przed lustrem.

— A co — zawołał z udanym oburzeniem — może i na to potrzeba zgody komitetu?

Stał przed szafą z lustrem, poprawiał krawat, oglądał siebie z wyraźnym zadowoleniem. Coś młodzieńczego pojawiło się w jego oczach, ruchach, intonacji głosu. Jak niewiele trzeba młodym, by zrzucić z siebie ciężar trosk. Szeroki, modny krawat, garnitur jak z wystawy

domu mody, dumnie uniesiona głowa z niedbale uczesanymi, ciemnymi włosami.

— Wszystko okay, ojcze! — odezwał się po chwili Wiktor i naprężył przed lustrem mocne ramiona. — Kierownik dwudziestki idzie dziś na młodzieżowy wieczór. Osobista znajomość z kolektywem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu? — spojrzał bez troski na ojca.

— Myślałem, że wybierzemy się dziś...

— Tam też pójdziemy, ojcze — przerwał mu Wiktor. — Poznasz mnie ze swoją miłą Niną Wasylewną, pogodzisz mnie z Hanią, zaprowadzisz ład w naszej rodzinie, uszczęśliwisz cały świat.

— Tyś chyba wypił, Wiktorze.

Wypił, no to co? Pociągnął w parku z Mostowym tęgi kufel piwa. A w ogóle to musi odnaleźć równowagę, pewność siebie, poczucie stabilizacji, wiarę we własne siły... Przeklęty krawat. Przy węzle robią się zmarszczki. No, nareszcie gładko zaciągnięty. Na garniturze ani jednego pyłku, lśni bielą kołnierz koszuli. Twarz co prawda zmęczona, pod oczami sińce, ale to nieważne. To nawet interesujące zjawić się wśród tych żółtodziobów z takim wyrazem twarzy. Niech widzą, ile trosk ma na głowie ich kierownik.

Wreszcie wychodzi. Dobranoc, ojcze! Kiedy wróci? Inżynier Wiktor Żadan powróci w odpowiednim czasie, nie naruszając żadnego z prawideł kodeksu moralnego. I oczywiście trzeźwy!

Dom kultury jaśnieje światłami. W jednym skrzydle seans filmowy, w drugim — wieczór fabrycznej młodzieży. Wiktor wchodzi szerokimi wejściowymi schodami do westybulu, z uśmiechem odkłania się chłopcom, dyżurującym przy drzwiach, idzie dalej. Zmusza się kroczyć powoli, statecznie, przybierając pozę uprzejmego, życzliwego kierownika, który ma ochotę

spędzić czas w towarzystwie młodzieży, nie zapominając jednak o wynikającym ze stanowiska służbowego dystansie i zwierzchniej wyższości. Ale faktycznie tej wyższości nie okazuje, trzymając się skromnie, nawet nieco za skromnie.

Przechadza się po foyer, ogląda na ścianach portrety najlepszych pracowników, zatrzymuje wzrok na dużej, grupowej fotografii: dziewczęta i chłopcy z dwudziestki. Oto znajoma twarz. Wiktor podszedł bardzo blisko do zdjęcia, poczuł w sercu ukłucie. Hania! Stoi uśmiechnięta między dwoma sympatycznymi chłopcami, jeden z nich położył jej rękę na ramieniu. Poufale, po prostaku... Znów ukłucie. Czyżby zazdrość? Jeszcze tego by brakowało. Trzeba pamiętać, kim jest i gdzie jest.

Nastrój jednak się popsuł. Szedł dalej nachmurzony, mając jeszcze ciągle przed oczami drażniący uśmiech Hani. Podobno ma dziś śpiewać. Pierwsza solistka w fabrycznym chórze... Zapomniał, co śpiewa. Nie pamięta nawet jej głosu...

Wokół wesołe rozmowy, uśmiechnięte twarze, dziewczęta wystrojone jak na wielkie święto, chłopcy również w przyzwoitych garniturach, w kolorowych krawatach zachowują się poważnie, powściągliwie, jakby czekali na jakieś uroczyste przyjęcie czy inną ceremonię.

Wszyscy dawno już zauważyli młodego kierownika dwudziestki i spoglądają na niego z ciekawością. Wiktor uchwycił kilka skierowanych na siebie spojrzeń, jeszcze bardziej spochmurniał. Jak on wygląda? W modnym krawacie, wyfraczony jak na konkurs tańca błąka się samotnie z kąta w kąt. Żeby chociaż spotkać kogoś znajomego, do kogoś się odezwać, by nie drażnić ludzi swoim nieprzystosowaniem.

Wiktor wszedł na salę i usiadł w tyle. Rozpoczął się



koncert. Żadan uważnie lustruje wszystkie dziewczęta w chórze, ale Hani nie znalazł, co go jeszcze bardziej rozdrażniło. Znów poczuł coś w rodzaju zazdrości, zazdrości o uśmiechniętego chłopaka z fotografii, o tę pewność siebie, z jaką trzymał rękę na ramieniu Hani. Chyba nie jest mu obojętna, skoro stoją razem.

Szkoda gadać: on, ojciec jej dziecka, tłukł się po świecie, hodował komary w dżungli, orał jak wół, a tu ktoś zażywał z nią rozkoszy. Wzrastające wzburzenie tamowało mu oddech. Nie miał ochoty dłużej słuchać, jakiś prymitywny koncert, niezdarni aktorzy. Oparłszy czoło na rękę nudził się w ciemności, myśląc tylko, jak by tu niepostrzeżenie wyjść. Będzie potem gadania, że nie dotrwał do końca, zignorował, że to niby nie do takich koncertów przywykł.

Dosiedział jednak do przerwy. Wystarczy jak na kierownika oddziału, wypełnił swą patronacką misję. Może już teraz iść, są ważniejsze sprawy. A z komso-molcami jutro porozmawia: wątlutka jest ta amatorska działalność artystyczna, nie ma się czym pochwalić. Nie umieją wyszukiwać talentów, chodzi im tylko o odfaj-kowanie dla sprawozdawczości.

Kiedy mijał foyer, uwagę jego zwróciła grupa w kącie. Biją się czy co? Młodzież tłoczyła się wokół jakiegoś studenta, słychać było głośne rozmowy, ci z tyłu przepychają się łokciami do przodu. Wiktor zbliżył się do grupy, wyciągnął szyję. Rzeczywiście kłótnia, jakaś zazarta sprzeczka. Usłyszał jakby znajomy głos, co jeszcze bardziej zaostrzyło jego uwagę. Czyżby to ktoś z dwudziestki? Ładna mi twórczość amatorska.

Ale lepiej się nie wtrącać. Ma dość własnych kłopotów. Chciał już wyjść, gdy nagle dwie dziewczyny przecięły mu drogę.

— Wiktorze Hryhorowiczu, niech pan coś powie!  
Ludzie rozstąpili się i Żadan ujrzał zmianowego maj-

stra Zaliskiego. Przystojniak Wołodia w nienagannie uszytym garniturze, w szerokim czerwonym krawacie, co prawda nieco pomiętym, stał obok dużej tablicy ogłoszeń, do której przyczepiona była satyryczna fotogazetka. Wiktor zauważył ją już przedtem, kiedy czekał na rozpoczęcie koncertu. Wokół tej gazetki właśnie rozgorzała cała batalia. Zaliski kipiał ze złości, chłopcy, którzy go atakowali, też byli podnieceni, zwłaszcza jeden z nich, wysoki, rudy, o ostrym nosie.

— Wiktorze Hryhorowiczu, niech mu pan powie, żeby oddał — zwróciła się do Żadana płaczliwym głosem jedna z dziewcząt.

— Zerwał bezprawnie, jak chuligan! — dorzuciła inna.

Wiktor spotkał się z kłującym spojrzeniem młodego majstra i dostrzegł w jego zaciśniętej dłoni jakiś papier. Co to jest? Czym tak oburzył swoich towarzyszy? Było mu głupio tak stać pod wyczekującymi spojrzeniami młodzieży i presją nie hamowanej wściekłości Zaliskiego. Okazało się, że majster zdarł swoją karykaturę i nie chce jej zwrócić, grożąc jeszcze rysownikowi karą i sprawą sądową, bo to obraza osobista i podłe oszczerstwo.

— Proszę mi to dać — powiedział Wiktor spokojnym, ale stanowczym głosem, wyciągając rękę do Zaliskiego.

Trzeba przecież pokazać swoją władzę. Jest tu szefem i będzie działać zdecydowanie. Ludzi jeszcze przybyło, wszyscy czekali na efekt ingerencji Żadana. Jest kierownikiem oddziału, niech zaprowadzi porządek. Dość tej samowoli!

— Wiktorze Hryhorowiczu... — zaczął tłumaczyć się Zaliski, szukając spojrzeniem wsparcia u Żadana. — Czy to w porządku? Oni nie mają prawa... Bezpodstawnie...

— Proszę mi to dać! — powtórzył ostro Żadan, dostrzegając w tym momencie bolesne błaganie w oczach majstra.

— Proszę spojrzeć... — Żaliski podał Wiktorowi zerwaną karykaturę, zdając się na jego łaskę.

Żadan wygładził pomięty arkusik i od razu poznał Żaliskiego. Ktoś bardzo dowcipnie narysował go jako fircykowatego eleganta z wypiętymi piersiami i wypukłym, okrągłym zadkiem. Na szyi olbrzymia muszka zamiast krawata, w rękach kwiaty, za nim — długa kolejka dziewcząt. Elegant zadarł koguci łeb, pyszniąc się swoją urodą; żaloszna procesja porzuconych ślicznotek ledwo nadaża za swoim chwackim idolem. „Żaliski prowadzi swoje wojsko” — głosił napis pod karykaturą.

Zapadła cisza. Wiktor myśli gorączkowo, jak ma się znaleźć w tej kłopotliwej sytuacji. Żal mu chłopca, to przecież dobry majster, od pierwszego wejrzenia poculi do siebie sympatię. Wtedy przy Hani też zachował się taktownie. No i teraz ta karykatura. Okazuje się, że to fabryczny donżuan. Żadan spojrział wokół. Chłopcy i dziewczęta z ironicznymi uśmieszkami patrzyli na Żaliskiego. Sytuacja jasna. Bez skandalu nie obejdzie się.

— To zgodnie z decyzją komitetu komsomołu — wyjaśnił rudy chłopak. — Nieładnie, panie Żaliski! Choć jest pan majstrem... Dziewczęta się skarżą, że pan je szantażuje, że krętacz z pana.

— Nikt nie ma prawa wtrącać się w sprawy intymne — wymamrotał zmieszany Żaliski.

— A ty odnoś się z szacunkiem do ludzi, to wtedy nikt nie będzie się czepiał tych twoich intymności! — zawołał ktoś.

Ostatnie słowo należało do Żadana. Podniósł wzrok... Umieścić karykaturę z powrotem na tablicy i zhańbić człowieka? Będzie wrogiem na całe życie. I nie wiado-

mo jeszcze, co w tej karykaturze jest prawdą, a co kłamstwem. Zaliski patrzył już teraz zuchwale, wyzywająco. Z takim lepiej nie zadzierać. Coś tam jednak zauważył dziś koło warsztatu Hani. Nikomu przez myśl nawet nie przeszło, a on się domyślił. I jeszcze może coś wyniuchać. Albo już wywąchał.

— No więc tak, towarzysze — powiedział Żadan lekkim tonem, jakby szło o jakiś błahy żart. — Sądzę, że nie warto takich spraw się czepiać. Krytykujecie przecież nie tylko majstra Zaliskiego. Cień pada i na innych. Okryje to wstydem również i skrzywdzone dziewczęta. To chyba logiczne. Czyż majster nie życzy wszystkim dobra, zgody, pokojowego współżycia?

Oto jak łatwo, bez żadnego nacisku, jakby od niechcienia znalazł jedyne mądre wyjście, powziął jedyną mądrą decyzję. Jeszcze niedawno sam był przecież robotnikiem, nie ma więc podstaw, by go pouczać, jak zachować się w kolektywie.

— Racja! — wzruszyła ramionami któraś z dziewcząt, pewnie jedna z tych, które widniały na karykaturze. — Wiesza się tu różne paskudztwa.

— Paskudztwa trzeba wieszać też — Żadan pouczającym tonem zakończył dyskusję. — Ale z taktem, ostrożnie. Stanowimy przecież wszyscy razem jedną robotniczą rodzinę.

Załagodziwszy spór Wiktor wyszedł w dobrym humorze na ulicę. Owionął go chłód. Wciągał głęboko świeże powietrze, spojrzał na oświetloną ulicę. No tak, z nimi tak właśnie trzeba. Zjednął ich sobie. Jednym rozumnym słowem przybliżył się do tych otwartych, gorących, młodych ludzi.

Nagle wyczuł, że ktoś zatrzymał się za nim. Odwrócił się, poznał Sokoła w towarzystwie jakiegoś szczupłego oficera lotnictwa.

— No, jak koncert? — spytał Hryć.

Przywitali się.

— Palijenko — powiedział lakonicznie oficer, salutując.

— Palijenko? — wpatrywał się w niego Żadan. — Chwileczkę, już gdzieś pana widziałem.

— Pracowałem jako ślusarz na czwórce — wyjaśnił lotnik. — A widział mnie pan chyba w Komitecie komsomołu, gdzie uwiecznili moją skromną personę.

„No tak, jego portret wisi tam na ścianie pośród innych przodowników”. Wiktor nie zastał już Palijenki w fabryce, ale pozostała po nim dobra sława. Zaczęli wspominać: kto z monterów poszedł na studia, kto pracuje dotąd na czwórce, a kto, jak na przykład Hryć, wybił się na inżyniera. Okazuje się, że lotnik słyszał trochę o zamorskich wędrownicach Wiktora i niezmiernie się cieszy, że mógł go osobiście poznać.

Ruszyli bulwarem przez płataninę cieni, pod niebieskawym światłem neonowych latarni. Sokił dziwił się, że Hryhory Łukycz nie wybrał się na wieczorynkę, to przecież jego konik: organizować takie komsomolskie „ogniska”, urządzać „komsomolski laser”.

— Jaki laser? — spytał Żadan.

— Robią tam fotogazetkę ścienną — wyjaśnił Hryć — Taki fabryczny „Pereć”\*. Karykatury, parodie.

— Ach, tak! Widziałem w westybulu — zmieszał się nieco Wiktor, ale o incydencie z Zaliskim nie wspominał.

Okazuje się, że oni też zajrzeli na chwilę do sali, gdzie odbywała się wieczornica komsomolska, no i teraz nie bardzo wiedzą, co zrobić z resztą wieczoru. A lotnicy są szczególnie wrażliwi na jednym punkcie.

---

\* Popularne czasopismo satyryczne wychodzące w Kijowie pt. „Pereć” (pereć to po ukraińsku pieprz) — przyp. tłum.

— Jakim? — spytał Żadan, domyślając się aluzji technologa.

— Technicznej bezbronności przed piękniejszą połową rodu ludzkiego.

I Hryć tym samym kpiącym tonem dodał, że ten oto strażnik nieba, zahartowany wojak skapitulował przed pewną uroczą czarodziejką. Zachorował na nią i trzeba chłopaka leczyć...

— Fantazjuje! — zaśmiał się Palijenko. — Niech go pan nie słucha, Wiktorze.

— A może rzeczywiście mógłbym panu w czymś pomóc?

Hryć i Palijenko wymienili spojrzenia. Było to po ich myśli, jednak... Jakoś to niezręcznie. Hryć wziął Żadana poufale pod rękę i uściśnął go.

Otóż udało im się dowiedzieć, że wymieniona czarodziejka mieszkała przez dłuższy czas u Hryhorego Łukycza Żadana, który opiekował się nią jak rodzony ojciec. Pewnie jakaś krewna. A dziś jej przyjaciółka powiedziała, że ta dziewczyna gdzieś się przeprowadziła. No więc chcą się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywa ta tajemnicza osóbką. Jeśli to nie sekret oczywiście...

Wiktor milczał. Nie potrafił zdobyć się na jakąś odpowiedź czy zbyć pytanie żartem. Całe szczęście, że weszli właśnie pod kasztany rzucające cień, towarzysze nie zauważą więc jego zmieszania. Ale nie wypada dłużej milczeć.

— Tak, wiem... mieszkała u nas — przełknął coś zimnego i dławiącego. — Hania Czepurna... — dodał, siląc się na obojętność.

Czuł, jak płoną mu policzki, a spojrzenie ucieka gdzieś między drzewa. A właśnie wyszli z cienia na oświetlony chodnik i nic tylko zapaść się pod ziemię. Co za pech! A wszystko przez jego głupie wahanie. Cią-

gle tylko się waha... Gdyby ludzie dowiedzieli się o wszystkim zaraz pierwszego dnia po jego powrocie, nie byłoby żadnych plotek i domysłów. Powiedźcie z łaski swojej, co on uczynił złego, że „ożenił się” kiedyś zbyt młodo i że mają dziecko, a teraz przemyślą to wszystko z Hanią, zastanowią się, jak dalej żyć. Nikogo by zresztą nie zdziwiło, gdyby się okazało, że po powrocie z dłuższej podróży służbowej kierownik dwudziestego oddziału, Wiktor Żadan, postanowił rozejść się z Hanią Czepurną. Czy też wprost przeciwnie — że rozpoczynają wspólnie nowe, szczęśliwe życie. Dureń, dureń! Im dłużej będzie zwlekać, tym gorzej dla niego. Każdego dnia można spodziewać się nowych tarapatów i takich jak ta, idiotycznych sytuacji...

— Więc nie wie pan, gdzie ona teraz jest? — przerwał jego kłopotliwe rozmyślania Palijenko.

Przekłete latarnie. Kto ich tyle wymyślił, te wszystkie neony, reklamy! Wiktor zwilżył językiem suche wargi i udając zamyślonego uniósł rozpaloną twarz.

— Pyta pan o Czepurną? — powiedział takim tonem, jakby mu przerwano rozmyślania nad czymś niesłychanie ważnym. — Wyprowadziła się od ojca. Jeszcze przed moim przyjazdem. A mieszka teraz — zawahał się przez sekundę — u pewnej... znajomej nauczycielki.

— U Niny Wasylewny? — domyślił się Hryć, który coś tam już słyszał o przyjaźni, łączącej wykładowczynię z technikum ze starszym Żadanem.

— Tak, u niej. Zamieszkała tam z synem — wyjaśnił z jakimś mściwym zadowoleniem.

Hryciowi oczy błysnęły ciekawością, Palijenko przygarbił się.

„A co, wystarczy wam? — pomyślał Wiktor, starając się przybrać obojętną pozę, z akcentami wyższości i ironii. — Panna z dzieckiem nie nadaje się do romanśów. Pomyliliście drogę, moi mili”.

Zatrzymał się pod rozłożystym kasztanem.

— Przepraszam, ja tędy — skinął w stronę zaułka. — Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Nina Wasylewna przygotowywała z Hanią opóźnioną kolację. Nauczycielka dopiero wróciła do domu. Okazało się, że Hania przesiedziała z Lończykiem do zmierrchu pod bramą, bo nie odważyła się, jak było przecież umówione, wziąć od sąsiadów pozostawionego dla niej klucza. Głodna, zmęczona, z drzemającym na rękach dzieckiem.

— Cóż to, obcy jesteście? — gderała dobrotliwie Nina. — Pomyślałabyś chociaż o małym.

Te wyrzuty sprawiają Hani ulgę. Lończyk napił się już mleka i wykąpany śpi na szerokim tapczanie z rozrzuconymi rączkami, mlaszcząc przez sen. Na płycie kuchennej kipi zupa, w nos uderza pachnąca para. Nina kładzie na stole talerze, kraje cienko chleb, zaprasza Hanię do stołu.

Zmęczony księżyc zaczepił się o dach przeciwległego domu i zagląda z jakąś smutną ciekawością do pokoju. „Jaka ona dobra — myśli Hania o Ninie Wasylewnie. — Kiedy Lończyk w nocy zakaszał, zerwała się i podeszła do niego. Potem zadzwoniła do fabryki i przekazała jej przez Hryhorego Łukycza, że zostawiła dla niej klucz u sąsiadki. O wszystkich dba, a sama szczęścia chyba zbyt wiele nie zaznała. Tylko że nie ujawnia swoich trosk. Jak pięknie się uśmiecha. Droga moja! Kochana! Dzięki za pani dobroć!”

Nina nie słyszy oczywiście tych myśli i ciągle jeszcze wyrzuca Hani, że tak długo męczyła Lończyka na dworze. Powiedziała przecież jasno: klucz pod dwudziestym.

— Kiedy jakoś głupio było wchodzić do mieszkania,



jak pani nie było — tłumaczyła się Hania, opuściwszy jak uczennica ręce i z oddaniem wpatrując się w Ninę jasnymi, zażawionymi oczami.

— Nie rozmawiałaś jeszcze z Hryhorym Łukyczem?

— Nie. On i tak wie wszystko.

— Wyobrażam sobie, jak się czuł, kiedy nie zastał cię w domu. Uciekłaś jak złodziejka.

— Nie od niego uciekłam — szepnęła Hania, opierając się o lodówkę i splatając silnie palce, aż pobieleały.

Nina zamyśliła się, pochylona nad kuchenką. Po dziewczęcemu zgrabna, szczupła, starannie uczesana. Twarz jej posmutniała. Ludzie uciekają od szczęścia, szczęście ucieka od ludzi. Duma nie chce ukorzyć się przed rozumem, ściągając jakby celowo nieszczęście. A spróbuj takiej zwrócić uwagę, z miejsca się obrazi: proszę zostawić w spokoju moje życie osobiste, to wyłącznie moja sprawa. Co za naiwność! Osobiste życie potrzebuje jeszcze czegoś więcej, może takiej cichej, poufnej rozmowy w kuchni, a może też gniewnego słowa lub nagiej, nawet brutalnej prawdy. Bo ty, młoda kobieto, też musisz za coś odpowiadać, więc nie narzekaj na los, nie zapominaj o tych nocach, kiedy pijana rozkoszą myślałaś tylko o chwili szczęścia.

— No więc jak zamierzasz dalej żyć? — spytała wprost Nina, kiedy po przygotowaniu kolacji usiadły do stołu.

Jakoś tam będzie. Wszyscy jakoś żyją, więc i ona wyżyje. Tylko gdzie? Do Hryhorego Łukycza nie wróci. O Wiktorze nie chce nawet myśleć.

„Niewesoło rysuje się twój los — pomyślała Nina. — Z dzieckiem, bez mieszkania...”

Pochyliła się przez stół do Hani i z macierzyńską surowością spojrzała jej w twarz pełnymi dobroci i za troskania oczami.

— Jesteś teraz, Haniu, na rozdrożu... — urwała, na-

myślając się, jak powiedzieć jej całą prawdę, by dziewczyny nie urazić. — Słuchaj mnie uważnie, Haniu. Jestem dla ciebie jak matka, jak starsza siostra. Już raz zbłądziłaś... Tak, tak, zbłądziłaś, chociaż prawda jest przykra, ale musisz ją usłyszeć. Bo w miłości dziewczyna też musi zdawać sobie z wszystkiego sprawę i nie myśleć tylko o chwili rozkoszy... No cóż, przeszło, minęło. Ale teraz znów ktoś ci może szepnąć: chwytaj szczęście, pókiś młoda, używaj rozkoszy, na nic się nie oglądając... — Nina w zamyśleniu wygładziła serwetę. — Wiem, takich doradców jest niestety wszędzie pełno. Dlatego chcę cię przestrzec. Z tego rozdroża, Haniu, gdzie teraz stoisz, masz pójść tylko jedną drogą, trudną, ale uczciwą...

— Ja wszystko rozumiem, Nino Wasylewno.

— Zaczekaj, jeszcze jedno — Nina pochyliła się do niej. — Strzeż swojej miłości! Jeśli kochasz Wiktora, to kochaj go dalej, jeszcze nie wszystko stracone.

— Nie! Nie!

— To twoje serce krzyczy „nie”. Posłuchaj jednak rozumu. Bo ta miłość była kiedyś dla ciebie szczęściem. I teraz należy ona nie tylko do Wiktora, ale i do ciebie, ona musi cię uszlachetnić, będziesz w niej miała i obronę, i nadzieję, i oparcie.

— Jesteśmy dla siebie obcy, Nino Wasylewno. Pani sama przecież mówi: kiedyś... Kiedyś było...

I ucichła, jakby znów na wszystko zobojętniała.

Nina wstała od stołu, zebrała w milczeniu talerze, przyniosła z kuchni czajnik, wyjęła z serwantki szklanki i powoli nalewała herbatę.

— Trzeba szanować to, co kiedyś było — mówiła z zamyśleniem. — Oj, Haniu, Haniu! Gdyby mnie tak ktoś pouczył... — i nagle poweselała, uśmiechnęła się. — Na pohybel nieszczęściom! Jeszcze obie pięknie pożyjemy!

W korytarzu rozległ się dzwonek. Krótko i nieśmiało. Nina spojrzała ze zdziwieniem na Hanię. Kto by to mógł być o takiej porze? Poszła otworzyć i po chwili wróciła, patrząc jakoś dziwnie na Hanię.

— Goście do nas.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Spojrzała na Ninę, oczekując czegoś niedobrego.

— Czy pozwolą panie wtargnąć do kobiecego królestwa? — doleciał z przedpokoju wesoły tenor i do pokoju wszedł Sokił. Za nim połyskiwały oficerskie szlify.

— Proszę wejść — zapraszała Nina, uprzejmie się uśmiechając. — Ugościmy, Haniu, błędnych rycerzy.

Hryciowi przypadła w udziale niełatwa misja: musiał rozładować ogólne zakłopotanie i w sposób niewymuszony wyjaśnić cel ich wizyty. Przyszli późno i trudno wymyślić jakieś wiarygodne powody. I tylko oczy Hrycia, w których malowało się poczucie winy, naiwność i młodzieńcza zuchwałość, zdołają tego dokonać. A najważniejsze — szczerłość, uczciwość, bez głupiego kręctwa, wybiegów i forteli. Tak właśnie rozpoczął. Oto oni, dwaj dawni przyjaciele, Hryć Sokił (kto go nie zna?) i kapitan Jewhen Palijenko (mistrz wyższego pilotażu) dowiedzieli się, że solistka chóru, Hanna Czepurna, z niewiadomych dla ogółu przyczyn nie zjawiała się dziś na uroczystym koncercie w domu kultury.

— Byłam zajęta — wyjaśniła Hania.

Goście siedzieli już przy stole, ona usiadła również. Nina Wasylewna z zagadkowym uśmiechem nalała im herbaty, po czym przysiadła obok na kanapie.

— Ach tak, była pani zajęta? — Hryć jakby się ucieszył. — Panie kapitanie — zwrócił się do lotnika — informacja zupełnie wiarygodna, przyszła laureatka republikańskich, związkowych i międzynarodowych konkursów, Hanna Czepurna, jest bardzo zajęta. Miejsmy

jednak nadzieję, że wyżej wzmiankowana laureatka zjawi się na koncercie w waszym klubie garnizonowym.

— Więc panowie tylko dlatego się trudzili? — Hania wyraźnie poweselała.

— Proszę sobie wyobrazić, że właśnie dlatego — odparł Hryć, błysnąwszy po szelmowsku oczyma.

Lotnik ciągle milczał. Było mu obojętne, co tam głądził Hryć, a nawet, co mówiła Hania i co wtrącała od czasu do czasu do rozmowy Nina Wasylewna. Patrzył na ręce Hani, jakby toczne, smagłe, złoćące się ledwo widocznym puszkciem. Twarz zamyślona, oczy czarne, brwi lekko uniesione w górę, nadające twarzy wzruszający wyraz dziecięcego zdziwienia. Gdy tak patrzył na te brwi, czuł jak ogarnia go coraz większy spokój. Przyszło uciszenie i jakaś omdlewająca słodycz, co z kolei wywołało lęk o trwałość tego stanu. Czy to sen, czy jawa? Była to miłość nagła i jednocześnie jakaś pradawna. Ten spokój świadczył o tym, że oto on, Jewhen Palijenko, dopiął swego, osiągnął wymarzony i nieodwołalny cel.

Hania była zmieszana. Nurtował ją niejasny lęk. Domyślała się, po co przyszli. Ten koncert był oczywiście naiwnym pretekstem, mogli przecież omówić to w fabryce. Kiedyś w czasie dziewczęcych nocy marzyła: przyjdzie młodzieniec o jasnym czole, z płonącymi odaniem oczyma, spojrzy na nią ciepło i od tego momentu rozpocznie się jej prawdziwe życie. Mijały lata. Był Wiktor... Potem Łończyk. A ona ciągle jeszcze czekała... Czyżby to właśnie ten? I dlaczego właśnie teraz? Po co to wszystko? Po co?

Wreszcie i lotnik włączył się do rozmowy. Spytał Ninę Wasylewną, czy nie mogłaby wystąpić razem z Żadanem w ich klubie oficerskim z frontowymi wspomnieniami. Hryć mu opowiadał, że brała udział w wieczorze w robotniczym domu kultury.

— Proszę się zwrócić do Hryhorego Łukycza. Był partyzantem i latał na łąkach, to prawdziwy bohater wojenny. A ja byłam tylko w podziemiu i w niemieckich katowniach. To smutne wspomnienia.

W tym momencie za drzwiami rozległ się dziecięcy płacz. Widocznie Lończyk się obudził. Hania zerwała się i wyszła szybko do sąsiedniej izby, zamykając za sobą drzwi. Wszyscy umilkli, nastąpiła kłopotliwa cisza. Palijenko bezwiednie odsunął od siebie nie dopitą herbatę. Zupełnie zapomniał o tym dziecku. Kiedy dziś rano usłyszał od Żadana, że Hania ma syna, wziął to za żart, a Hryć też chyba tego poważnie nie potraktował. A on jednak istnieje, przyzywając płaczem matkę.

Wstał i zaczął się żegnać z Niną Wasylewną. Hryć pospiesznie dopił herbatę i też wstał.

— A jak tam pańskie sprawy, Hryciu? — spytała Nina, by przerwać milczenie. — Słyszałam, że się pan żeni?

— Ja też słyszałem — odparł pół żartem, pół serio. — Ale chyba nieprędko, brak mieszkania, a nowe domy rosną bardzo wolno.

Hania nie wracała, nie można już było przeciągać wizyty, zwłaszcza że Nina zaczęła w milczeniu zbierać szklanki. Widząc jednak, że Palijenko jest wyraźnie zdenerwowany, poszła na palcach przywołać Hanię. Po chwili doleciał z sąsiedniej izby jej stłumiony głos. Słychać było, jak szlochając mówiła coś do Niny i jak ta ją łagodnie uspokajała. Na chwilę obie ucichły. I nagle w napiętej ciszy rozległ się krzyk:

— Nie chcę! Niech sobie idą! Nie chcę!...

Palijenko zbladł, Hryć wzruszył ramionami, wziął przyjaciela pod rękę, wskazał ruchem głowy na drzwi i obaj wyszli z pokoju. W sieni dopadła ich Nina, przepaszając za zachowanie się Hani, która zdenerwowała się przy dziecku, i odprowadziła gości do drzwi.

Hryhory Łukycz ma za miastem niedużą działkę, jeden z ponad stu fabrycznych ogródków działkowych, który nazywa żartobliwie swoją „podmiejską willą”. Po jednej stronie prowadząca do miasta szosa, po drugiej — ciemna ściana sosnowego boru, resztki prastarej puszczy.

Ogród Żadana różni się od innych tym, że rosną tu przeważnie skrzyżowane odmiany drzew, każde z nich to krzyżówka trzech lub czterech gatunków. Sam je wyhodował, sam jeździł do szkółek drzewnych za szcepami. Ludzie przychodzą tu jak do ogrodu botanicznego. Dziś też pełno gości. Porozłazili się po ogrodzie, zanurzając się w jego zapachach. Wiktor, który pamięta jeszcze młodziutkie pędy, nie może się nadziwić, że wyrosły z nich duże drzewa. A wraz z nimi wyrósł domek; nie standardowy, z gotowych płyt, jak u innych — tu każda deska wyciosana rękami starego Żadana. Letni domek zbudował według własnego projektu. Kuchnię urządził na werandzie, w szafce jest żywność, można więc tu przenocować.

Na kuchence gazowej zgotowali obiad. Szefem kuchni był Hryhory Łukycz, Wiktor pełnił funkcje jego pomocnika. Trzeba przecież gości odpowiednio przyjąć. Szkoda, że Nina Wasylewna nie mogła przyjechać, ma jakąś naradę. A była dobra okazja, by poznali się z Wiktorem. Po tygodniu pracy przyjemnie zasiąść do stołu na wolnym powietrzu w gronie przyjaciół.

Usiedli ciasno pod młodym orzechem; Mostowy obok Sokoła.

— Oto piękny przykład harmonijnego współzycia kultury i produkcji — zażartował Hryhory. — Poeta profesjonalista i poeta amator.

— Pan pisze? — zainteresował się Mostowy.

— Nic podobnego! Jestem tylko miłośnikiem poezji.

— Po co ta skromność? — zaoponował Hryhory. —

Ulubiony poeta naszej fabryki. Co prawda od kiedy otrzymał dyplom inżyniera, mniej się zajmuje poezją. Nie tracimy jednak nadziei, że wkrótce rozpostrze swoje sokole skrzydła na całą szerokość.

Hryć rozłożył bezradnie ręce.

Zabrali się do jedzenia. Wszyscy czuli się tu dobrze, było jakoś po domowemu zacisznie, mimo że słońce skryło się za chmury i niebo poszarzało jak przed deszczem. Rozmowa toczyła się głównie wokół podróży Wiktora za ocean. Wszyscy z zainteresowaniem słuchali, jak tam wśród skalistych Andów nasi inżynierowie stawiali pierwsze oporowe filary fabryki budowy maszyn, jak przyjeżdżali do nich z gór spaleni tropikalnym słońcem peoni, jak w dżungli płonęły nocami ich ogniska i czarna puszcza odzywała się dzikimi, strasznymi krzykami.

— To krzyczy tak mała księżycyca \* — kontynuował Wiktor. — Mała małpeczka, niech ją lichy porwie! Według miejscowej legendy była ona jedną z żon cesarza Inków; zamieniła ją w małpę jej rywalka i od tego czasu biedne stworzenie płacze po nocach za swą utraconą urodą.

Mostowy słuchał swego szkolnego kolegi z odrobiną zazdrości. Szczęściarz z tego Wiktora, zobaczył kawał świata, obleciał pół planety. Peoni, Aztekowie, dżungla... Zsolidniał, zmężniał. Na opalonej twarzy pewność siebie, ironiczna pobłażliwość, głos wibruje basowymi nutami.

Z zamorskich krajów przeszli do codziennych spraw fabryki. Rozmawiali o różnych kłopotach oddziału, o naradzie u dyrektora, który poinformował o nowych

---

\* Nazwa polska: pomocnik mirikina (*aotus trivirgatus*), mała małpa o dużych oczach i dużym, półmetrowym ogonie, żerująca tylko w nocy (przyp. tłum.).

pozaplanowych zamówieniach ministerstwa, ale jak je realizować, skoro brak wykwalifikowanych tokarzy, elektryków i kilka warsztatów stoi beczynnie.

Rozmawiali wyłącznie o sprawach technicznych, co w końcu zaczęło Wiktora drażnić. Jego zdaniem problemy techniczne są zawsze i ciągle trzeba je rozwiązywać, bo każdy dzień niesie coś nowego, technologia czyni olbrzymie postępy, wkroczyliśmy w erę elektroniki i automatyki. Trzeba to wszystko oczywiście brać pod uwagę, to jego święty obowiązek jako inżyniera, dokonał już zresztą pierwszych prób w tym zakresie. Niepokoi go jednak co innego: jego osobista rola jako kierownika w kolektywie fabrycznym. Ot chociażby historia z majstrem Zaliskim. Po tym wieczorze w domu kultury w całym oddziale aż kipiało, w każdym kącie komentowano szeptem ten incydent. Niektórzy chwalili postawę Wiktora (czy warto pracć brudną bieliznę na ludzkich oczach?), ale znaleźli się również jego krytycy. Przede wszystkim sekretarz oddziałowego komitetu komsomołu, ten rudy dryblas, który wówczas tak się ciskał na Zaliskiego. „Podrywacie naszą komсомolską demokrację, Wiktorze Hryhorowiczu — powiedział mu później. — U nas ludzie przywykli do pryncypialności”. I mówił coś jeszcze o tradycji oddziału, o zdrowych początkach kolektywizmu...

Nie chciało mu się zresztą teraz o tym wspominać. Pocieszał się, że jego debiut wypadł nie najgorzej, zważywszy, że nawet nie podejrzewał w sobie uzdolnień kierowniczych, przede wszystkim stanowczości i zdecydowania, bez czego trudno myśleć o kierowaniu ludźmi. A jeśli doda się jeszcze do tego jego talent konstruktorski, to można z tym wiele zdziałać. Więc nie chmurz się, Wiktorze. Czerp radość z życia, jak czerpiesz teraz z talerza zgotowany przez ojca barszcz.

Wyrwał go z zadumy głos Hrycia, który odrzuciwszy



do tyłu ciężką głowę czytał w rozmarzeniu swoje wiersze. Nie było w nich nic osobliwego, znane z dzieciństwa drobne radości życia: kwiaty, trawa, słońce. Jednak w tych zwyczajnych obrazach przekazanych z prostotą drżał jakiś dziwny niepokój, który udzielił się Wiktorowi. Któż by pomyślał: fabryczny technolog poetą...

— Piękne! — pochwalił autorytatywnie Wasyl Mostowy, wtórując myślom Wiktora. — Dawno pan pisze wiersze?

— Od szkolnych lat. Niestety, talentu niewiele. A w ogóle jaki tam ze mnie poeta!

„Poeta, poeta!” — pomyślał Wiktor z lekką zazdrością. Umiał trzeźwo oceniać rzeczy i ludzi. Na przykład ten Sokił, nie mający w sobie nic sokolego, szary pracownik techniczny, a talent niewątpliwie ma poetycki. On co prawda też ma talent: do kierowania. Będzie go w sobie rozwijał, przypatrzy się uważnie każdemu pracownikowi, dokopie się do każdej duszy.

Padło nazwisko głównego inżyniera fabryki, Łehkostupa, i od razu wszyscy umilkli. Wymieniono je w rozmowie przypadkowo w związku z jakimś jego zarządzeniem. Ale Wiktor wyczuł gwałtowną zmianę nastroju i to go właśnie zaintrygowało. Co to za człowiek ten Łehkostup? Dlaczego nawet jego nazwisko wywiera taki wpływ na ludzi? Z oficjalnego zetknięcia się z nim Wiktor nie zapamiętał nic szczególnego: główny inżynier powściągliwie uścisnął jego dłoń, pogratulował nominacji i prosił o informowanie go o bieżących sprawach oddziału. A przecież było w nim coś, co nie wszystkim rzucało się w oczy przy pierwszym spotkaniu.

Hryć Sokił nie darzył go sympatią, czego zresztą nie ukrywał.

— Kiedyś nam porządnie zmyją głowę za te unie-

ruchomione warsztaty — dzielił się z nękającą go nie od dziś sprawą. — Łehkostup zamroził tyle inwestycji, że wstyd mówić.

— Nie rozumiem — zauważył Wiktor, zdumiony amplitudą aktywności Hrycia, od poetyckich intymności do produkcyjnej prozy.

Z przedstawionej przez Sokoła sytuacji wynikało, że o wszystkim decyduje się jednoosobowo w gabinecie Łehkostupa. Zdarza się, że ewidentny błąd w jakimś procesie technologicznym, graniczący z nonsensem, który nawet ślepy może dostrzec, nie dociera do świadomości głównego inżyniera z powodu jego uporu i głuchoty na racjonalne argumenty z zewnątrz.

— A co z tymi warsztatami? — zainteresował się Wiktor, wyczuwając w słowach technologa niewesołą prawdę.

— Widzi pan, niby wszystko jest w porządku. Państwo nie żałuje pieniędzy na nowoczesną technikę. Bierzcie, mówi, zarządzajcie się. I tacy jak szanowny towarzysz Łehkostup ciągną, ile się tylko da. Po co? Chomikują na zapas, żeby było zasobniej, a więc i solidniej. A zdarza się, że w wyniku dalekosiężnej taktyki.

— Nie rozumiem.

— To bardzo proste. Łehkostup nie chce, żeby nas zasypywali drobnymi zamówieniami: na drobnicy łatwo zawalić plan i podkopać własną reputację. No więc najpierw gromadzi wielkogabarytowe wyposażenie. A potem powie ministrowi: nasze zakłady obliczone są na duże agregaty, nie możemy przyjmować drobnicy, oddajcie ją sąsiadowi. — Oczywiście Hrycia zapłonęły złośliwą wesołością. — A wszystko przez politykierstwo, przez karierowiczostwo.

— Rozumiem — rzekł Wiktor. — Tylko wydaje mi

się, że my sami hodujemy Łehkostupów. Nie umiemy być pryncypialni.

— Niby tak, ale niezupełnie — odpowiedział z naskiem Sokił. — Powiedzmy, jeśli chodzi o gazetkę ścienną i jej krytykę pod adresem kierownictwa.

— Aluzję pojąłem. Ale wypadek z Zaliskim nie jest typowy, dlatego wymaga szczególnego podejścia. Udowodnię wam jednak, że bez pryncypialności sprawowanie kierownictwa jest praktycznie niemożliwe.

Wiktor uśmiechnął się czupurnie i popatrzył na ojca, pytając tym spojrzeniem: zgadzasz się ze mną? Wierysz w swojego potomka? Zrobimy ze wszystkim porządek, co? Ród Żadanów nie zwykł wlec się w ogonie.

Była to jednak pewność siebie na wyrost, umyślnie tak brawurował, by zamaskować przed ludźmi niepokój, lęk i niepewność. Kiedy po obiedzie poszli z Mostowym do sosnowego lasu, Wiktor zmienił ton, brawurę zastąpiła jakaś gorzka szczerłość. Musiał się przed kimś zwierzyć, że mu ciężko, życie wyniosło go na grzbiet fali, gdzie chłód i wietrzno, nękają go tysiące pomysłów i zamierzeń, a co z tego wyjdzie, nie wiadomo...

— Wyjdzie — powiedział z przekonaniem Wasyl.

— Myślałem, że przyjdę na gotowe, a tu trzeba będzie wszystko burzyć i budować od podstaw.

— Nie spiesz się z tym burzeniem.

— To nakaz życia. Albo ja, albo mnie.

Mostowy w zamyśleniu zmarszczył czoło.

— Nie spiesz się z burzeniem — powtórzył. — Pomyśl lepiej o tym, jak stworzyć coś sensownego. Nihilistów jest i tak u nas do diabła i trochę.

— A niech to lichy! Głowa trzeszczy od myślenia, od nie rozwiązanych spraw. Tu dynamit potrzebny! Za jednym zamachem załatwiłoby się wszystkie proble-

my. — A ujrawszy cień protestu na twarzy Wasyla, uspokajająco objął go za ramiona. — Nie obawiaj się. Potrzebny mi jest inny dynamit, dynamit ludzkich serc, jak piszesz w swoich wierszach.

— Taki dynamit znajdziesz — uśmiechnął się Mostowy. — Tylko jedna rada: duchowy dynamit bierz, Witia, do rąk delikatnie, żeby nie wybuchł przedwcześnie lub nie rozsypał się piaskiem.

Szli parowem porośniętym leszczyną. Las stał w błękitnej mgiełce zapachów, uciekały dokądś ścieżki. Drzewa rzetelnie, z sumiennością stałych wartowników łowiły w radarowe czasy z zielonych gałęzi zmęczone strugi światła. Wasyl pomyślał, jak swobodnie może czuć się człowiek nawet w leśnej gęstwinie, jeśli na duszy jest spokój, i myślał z jakąś tkliwością o Hryciu, pozostawionym w ostrej sprzeczce tam przy stole, nie odczuwał natomiast obecności Wiktora. Zobojętniał mu w ciągu tych lat rozłąki? Czy też może ta jego „dynamitowa filozofia” odbiła się zgrzytem od jego poetyckiej wrażliwości?

Znowu wrócił myślami do Hrycia. Poczciwy, nieco naiwny, łatwowierny i ufny romantyk. Marzy mu się poezja! Wasyl znał niejednego pracownika fabryki, który uważał się za poetę lub może istotnie nim był, mając, jak to mówią, iskrę bożą, a jednak pozostał przy tworzeniu stalowych konstrukcji. Synteza poezji i metalu to stara śpiewka, ukazuje jednak ciągle nowe oblicza. Wydawałoby się, że człowieka dostatecznie absorbują codzienne kłopoty fabryczne, to, żeby jak najlepiej przygotować do pracy tokarkę, żeby zarobić na premię. A gdy zobaczysz takiego robociarza, jak stoi koło swego domu z węzłem gumowym, przeciągniętym przez kuchenne okno i starannie podlewa w ogródku aksamitki — ujrzysz na jego pooranej zmarszczkami twarzy odblask jakiejś dobrotliwej zadumy, ujawnia-

jącej poetyczną duszę fabrycznego weterana, dla którego praca jest wszystkim, ale który nie wyobraża sobie życia bez kwiatów.

Kiedy Mostowy i Wiktor wrócili do ogrodu, przy stole toczyła się cicha, rzeczowa rozmowa. W skupieniu majstrów było zamyślenie myślicieli i uparta żądza rozwiązania nurtujących ich zagadnień. I to koniecznie w tym wiosennym sadzie, pod niebem wysokim i czystym.

Wokół dzwoniła symfonia barw, a oni zatopieni w myślach trwali w jakimś zachwycie nad przedmiotem własnych zamyśleń, byli w stanie takiego pogrążenia się w sobie, w jakim człowiek dotyka sercem czegoś najtajniejszego, stając się twórcą.

Już zupełnie się ściemniło, kiedy szli do autobusu. W pobliżu huczała szosa. Las napełniał się tajemniczymi szelestami i odurzającymi zapachami. Hryhory Łukycz pozostał nieco w tyle. Przypomniawszy sobie, jak w czterdziestym pierwszym roku lądował w tych lasach na polanie, w pobliżu jakiegoś chutoru na uszkodzonym samolocie. Przebijał się później na linię frontu przez okupowane terytorium i w każdej wsi znalazł się jakiś zniedołężniały staruszek lub ciężko doświadczona przez wojnę kobieta, którzy narażając się na śmierć dzielili się z nim ostatnim kawałkiem chleba, odprowadzali go i życzyli szczęśliwej drogi. Miasto było już całkiem blisko, radzieccy piechurzy gdzieś przebijali się do szosy, tak że właściwie znajdował się już wśród swoich i mógł włączyć się do boju, jeśli nadarzy się tylko okazja. Tak bardzo chciał się już wydostać z tej mgły niepewności, zasiać za sterem i wznieść się w niebo w maszynie bojowej. Na rowach przeciwczołgowych paliły się niemieckie czołgi, zdawało się, że

cały świat płonie, cały horyzont był zasnuty szkarłatną mgłą.

„Trudno w to wszystko teraz uwierzyć — myśli Żadan, krocząc ciężko po wyboistej ścieżce w tyle za przyjaciółmi, ledwie rozróżniając ich sylwetki. — Tyle było potem jeszcze przeżyć: nowe boje, partyzanckie marsze, śmierć Wali... Całe życie się przeżyło. Wiktor dojrzał, odnalazł własną drogę. A las stoi, jak stał. I miasto żyje, piękniejsze niż było. Jest w nim coś nieśmiertelnego. Trzeba wczuć się w nie głębiej i stać się samemu jak ten las i to niebo w gwiazdach”.

Doszli do przystanku autobusowego. Wzrok Żadana pobił do zaróżowionego wieczorem horyzontu. Biegła ku niemu jak ogon komety białokremowa, piana smuga po samolocie: trasa między gwiazdami a ziemią. Tam pewnie warczący samolot — czarna kropka w przestworzach — z rykiem gromu mknie gdzieś w noc, a tu taka cisza, że aż lęk ogarnia. Tylko od czasu do czasu pomknie szosą zapóźniony samochód, i wówczas las wchłania i głuszy ostre dźwięki. Las lubi ciszę. Jest prawieczny i wie, że od prawieków wszystko wlewało się w ciszę, wszystkie nawałnice z piorunami i wszystkie krzyki ziemi gasły jak ludzki ból, jak zły sen.

Ta cisza kontrastowała ze światem, w jakim żył Żadan. Był synem swego czasu i od dzieciństwa osaczały go szумы i dźwięki: głucho dudnienie pionierskiego bębna, huk wybuchów, warkot śmigła, jazgot karabinów maszynowych... Życie miało swoją mowę, ujawniało się w naturalnym bogactwie dźwięków i Żadan rozumiał i lubił te dźwięki, i cieszył się, że świat jest taki niepomysłowanie zgiełkliwy.

— A on tam w górze jeszcze widzi słońce — powiedział w rozmarzeniu Sokił. — Czy to czasem nie nasz Palijenko leci?

Wszyscy patrzyli w niebo, ale nie widzieli nic prócz białej smugi. Może i Palijenko. A na pewno człowiek, czyjeś serce w napięciu tłukące się w zimnej, bezdennej samotności.

„Każdy ma swoją własną drogę — pomyślał Żadan. — Jeśli się jej trzyma, wówczas lżej iść”.

Nadjechał autobus.

Na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, Palijenko uśmiechnął się do niej. Widział ją przez otwarte okno, daleką, samotną, promienistą. Odsunawszy zeszyt, jak uczeń znudzony odrabianiem lekcji, patrzył tęsknie i w rozmarzeniu w szarobłękitną wieczorną przestrzeń, na tę drobinę światła na niebie, i myślał, myślał..

Ta daleka gwiazda to Syriusz. „Nieszczęście niesie ona śmiertelnikom” — półzartem powiedział kiedyś Oleg Buszma, który wyczytał to, zdaje się, w „Iliadzie” Homera. Jewhen odpowiedział w tym samym tonie przyjacielowi, że starożytni Chaldejczycy uważali — wprost przeciwnie — tę najjaśniejszą gwiazdę za zwiastunkę szczęścia i miłości, lecz tylko dla najodważniejszych, rycerzy wysokich lotów myśli i gorących pożądań.

Znowu zajął się zeszytem, w którym czerwone i niebieskie linie przedstawiały bojowe trasy par, kluczy — cały schemat jutrzejszych zajęć. A tu ta zagadkowa gwiazda w szarobłękitnym niebie — świeci i świeci, i oczekująco wabi do siebie. Podobno średnio-wieczni rycerze, wyruszając na wojnę, obierali sobie na niebie swoją gwiazdę miłości. Być może, że to jest właśnie ta jego gwiazda, gwiazda miłości... Stała mu w pamięci Hania: skulona, ze smutnym, bezbronnym spojrzeniem. Wyszedł wtedy z Hryciem na ulicę, ale serce ciągnęło go z powrotem. Byłby może wrócił, gdy-

by nie Hryć, który go przekonał, że to nie ma sensu i mogłoby tylko pogorszyć sprawę. „Nie gorączkuj się — mówił — jakoś się ułoży”. „Ale czym jej teraz pomóc?” „Czekaniem i spokojem”. „Skąd wziąć do tego siły?” „W twoim niebie, w twoich szybkościach, w mocach twego silnika”. Rozgniewał się wtedy na Hrycia za jego stateczną powściągliwość, a jeszcze bardziej za te wesołe chochliki w oczach. Dotąd widzi te życzliwie pobłażliwe oczy, w których wyczytał: musisz umieć czekać, panować nad emocjami, być odpornym jak żelazo w tym najcięższym i najświętszym — w swojej niepewnej miłości.

Palijenko wpatruje się w bezdenną głębię nieba usianego złotymi cekinami, na którym rozkwitły migotliwe, srebrzyste bukiety. Oto wóz z nadłamanym dyszlem, a oto jaśnieje Droga Mleczna. Tu i tam drgają samotne gwiazdy, inne skupiły się po dwie, po trzy i drżą jakby z przerażenia, w beznadziejnym oczekiwaniu na nieuniknione kataklizmy. Gdzieś tam i twoje szlaki, wyznaczone przez ster-los, zagubiły się gdzieś ich niewidoczne linie w gwiazdnych labiryntach, ale spróbuj je rozplątać, bądź uważny, kapitanie. Na tych podgwiazdnych liniach całe twoje życie. Trasy wylatane i nie wylatane, trasy naddźwiękowych szybkości i nieoczekiwanych niebezpieczeństw. I może właśnie tam, może akurat na tle tych galaktyk wybuchniesz kiedyś i ty wśród innych gwiazd pożegnalnym płomieniem. I zagubisz się w wirze odwiecznych ogni, sam już jak ogień, jak niegasnąca gwiazda wierności i miłości.

— Żenia!

Drgnął pod dotykiem matczynej dłoni. Otworzywszy oczy spojrzał na matkę jakby z poczuciem winy... Ale się zasiedziało. Te konspekty tak go zmęczyły.



— Dość na dziś. Już północ... — powiedziała cicho matka. — Pościeliłam ci.

Może głos matki jest tą niegasnącą gwiazdą?

Wstał od stołu i rozprostował ramiona.

— To Syriusz tak mnie uspił. Świecił kiedyś Trojanom i przyniósł im nieszczęście.

— Ale on świecił też zwycięzcom — zauważyła Maria Chrystianowna. — Pomyślałbyś lepiej o innej gwiazdce. Tyle ich, a tyś ciągle samotny.

Spojrzała ze smutkiem na syna i wyszła do kuchni.

Codziennie rano chodzili teraz razem, ojciec i syn, do fabryki. Wiktor w ciemnoszarym garniturze, ojciec w swoim ulubionym czarnym swetrze. Idą gwarną ulicą obok miejskiego parku z postacią zamyślnego poety na piedestale i dalej obok Pałacu Kultury.

Dziś obaj są chmurni. Ojciec ma żal do syna, że coś przed nim ukrywa. Syn też przygnębiony, jego sprawy nie układają się tak, jakby się chciało. Wiktor zdaje sobie sprawę, że obraził wczoraj ojca. Ale czy umyślnie? Czyż wiedział, że ma przyjść do nich drogi sercu ojca gość, Nina Wasylewna? Przez cały wieczór czekali na niego. Butelka szampana pozostała nie odkorkowana. A on się zawieruszył, wrócił dopiero po północy, kiedy ojciec odprowadził Ninę Wasylewną do domu. Nie robi synowi wyrzutów, sam sobie wyrzuca naiwność, zbyt długo oczekiwał Bóg wie czego w swoim życiu. Czyż dzieci, podrastając, stają się lepsze?

— Przebacz mi, ojcze — odezwał się wreszcie Wiktor. — Nie wiedziałem, że będziesz miał gości.

Hryhory Łukycz milczy chmurnie. On też się nie spodziewał, Nina przyszła nieoczekiwanie z niepokojącą wiadomością, iż Hania zamierza opuścić fabrykę. Wstydzi się tak dalej żyć. Trzeba jej pomóc.

Wiktor bardzo niechętnie tego słucha. Nie może powiedzieć ojcu całej prawdy. Może gdyby wiedział, to poradziłby coś albo chociaż wyłajał po ojcowsku i lżej by było od tego na sercu. I tak szczęście, że nie wpadł wczoraj w jeszcze gorsze tarapaty. Jedno go teraz intryguje: skąd Zaliski wie o wszystkim! I czego on chce od niego?

A było tak. Zaliski zwyciężył we współzawodnictwie tokarzy. Posypały się gratulacje, zwycięzcy wręczono proporczyk, jego zdjęcie znalazło się w wysokonakładowej gazecie zakładowej. „Majster zmianowy nie zapomina o swoim robotniczym fachu — powiedział Łehkostup. — Tacy jak Zaliski są wzorem człowieka przyszłości”. A potem Zaliski zaprosił Wiktora do swego jednoizbowego, zacisznego mieszkania, schludnego, dobrze umeblowanego, z dużym regałem z książkami, magnetofonem i telewizorem.

— Żeby się pan nie nudził, Wiktorze Hryhorowiczu, to tutaj są nowe czasopisma — Zaliski wskazał na stolik pod lampą stojącą. — Co za babeczki, cudo! — dodał poufale.

W białej lnianej koszuli (ostatnia moda!) i obcisłych dżinsach, podkreślających sprężystość jego młodego, umięśnionego ciała, krążył między kuchenką a stołem, ciągle coś wnosił, wynosił, odkorkowywał, nalewał. Wiktor czuł się coraz głupiej, nie wiedział, jak się zachować. Zwłaszcza kiedy przyszły dwie ładne dziewczyny. Jedna z nich usiadła natychmiast obok Wiktora i skierowała rozmowę na swój instytut, w którym on też kiedyś się uczył. Zaczęli wspominać profesorów, przy czym okazało się, że mają wspólnych znajomych i że w dziekanacie ciągle jeszcze pracuje staruszka Elwira Edwardowna, a dziekan przeszedł niedawno na emeryturę. Wkrótce, szczebiotała dziewczyna, ona zro-

bi dyplom, stanie się samodzielna, będzie mieć dobry zawód i wówczas...

O tym, co miało być wówczas, Wiktor się nie dowiedział, bo Zaliski zapalił górne światło i zaprosił gości do stołu, obficie zastawionego napojami i zakąskami. Dyplomantka bez wahania zajęła miejsce obok Wiktora, jej koleżanka usiadła z Zaliskim naprzeciwko. Zadzźwięczały kieliszki, zaśniły noże i widelce, zaczęło się ucztowanie. Najpierw wypito oczywiście zdrowie gospodarza, sprawcy tej uroczystości, żeby nadal był miły, szczęśliwy i odnosił dalej takie sukcesy w pracy jak ostatnio, żeby nie zapominał o przyjaciółach i żeby wreszcie poszczęściło mu się znaleźć godną siebie żonę.

— Znajdę w odpowiednim czasie — obiecał z naciśkiem Zaliski, po czym napełnił kieliszki i zachowując odpowiedni dystans wznosił toast na cześć Żadana.

Dyplomantka, która miała na imię Wala, zarumieniła się, wyciągnęła rękę z kieliszkiem do Wiktora, usta jej zmysłowo zadrgały. Spojrzał na jej zbytnio wycięty dekolt, zrobiło mu się jakoś głupio, poczuł duszność. Wypił szybko i zabrał się skwapliwie do jedzenia, jakby ratując się tym przed pokusą. Posypały się następne toasty. Wiktor czuł w głowie coraz większy zamęt, z trudem zbierał myśli. Za wiele wypił. Trzeba stąd jak najszybciej wyjść. To nie ma sensu. Zaliski co prawda był bardzo dowcipny, umiał zabawiać towarzystwo. Bez przerwy coś plótł z pijacką beztroską, potem zebrało mu się na filozofowanie: że życie ludzkie to zero, że trzeba rozumnie kierować złodziejskim losem, być uczciwym i pracowitym, ale nie przejmować się zbytnio, zwłaszcza problemami światowymi. Wysnuł z tej całej gadaniny filozoficzną dewizę, którą on wyznaje: żyj sam i pozwól żyć innym.

Przyjęcie się przeciągało. Wiktor powiedział, że musi

już iść, jutro trzeba wcześniej wstać, jednak dyplomantka kategorycznie się sprzeciwiła.

— Chcę tańczyć! Proszę zostać, Wiktorze. Co to, dzieci u pana płaczą?

Jakby się czegoś domyślała i chciała mu dopiec. Dzieci rzeczywiście płaczą i jeszcze ktoś tam, a ojciec też w domu się zamartwia. Dalsze przesiadywanie tu nic dobrego nie przyniesie.

W tym momencie Zaliski, wypiwszy z lampki do wina wodę mineralną spojrział uważnie na Żadana i powiedział powoli, jakby smakując każde słowo:

— A skąd ty wiesz, córeczko, że nie płaczą? Dziatki-kwiatki...

Wiktor wstał, chłodno i stanowczo zdjął ze swego ramienia rękę sąsiadki i wyszedł na balkon. Zaliski lekko się zataczając podążył za Żadanem.

— Proszę wybaczyć... Nie chciałem pana dotknąć, Wiktorze Hryhorowiczu...

— Słucham pana, Wołodia — zareagował oschle Żadan.

— Wala zakochała się w panu.

— To wszystko?

— A co pan chciał jeszcze? — Zaliski uciekł wzrokiem gdzieś w bok i dodał z wahaniem: — Jeśli pan chce, to my z Iwoną możemy się ulotnić... Tylko proszę nie myśleć nic złego — zmytygował się. — Walusza to porządna dziewczyna.

— Pana jednak trzeba ożenić, Wołodia — zaśmiał się kpiąco Wiktor. — I niech pan pamięta, że pierwszy kielich dla swata.

...O tym oczywiście ojcu nie można powiedzieć. Po co? Wiktor uściśnął ojca po synowsku. Dobrze, że są razem. Świeży ranek godzi ich, uspokaja. Ulice w lekkiej mgiełce. Wszystko czyste, jak świeżo wymyte. Poranna muzyka ulic i chodników. Do pracy! Zabrać się

jak najszybciej do roboty! Tam, za fabryczną portiernią, pozostaną wszystkie troski.

Wiktor był zdyscyplinowany i punktualny. Przychodził do fabryki jako jeden z pierwszych. Nie dlatego, żeby dawać przykład innym i zawstydząć spóźniających się. Było to ćwiczenie woli, wiedział bowiem, że silną wolą można opanować i siebie, i świat. Wiedział też, że największe dramaty i najbardziej zacięte walki toczą się w nas samych, w naszej świadomości.

Kiedy weszli przez żelazną bramę na teren zakładów, Wiktor od razu zerknął na warsztat Hani. Wiedział, że jest jeszcze wcześnie, że nie mogło tu jej być, może dopiero przebiera się w szatni, westchnął jednak z ulgą, gdy jej nie dostrzegł. Wszedł na drugie piętro do swego gabinetu, zamknął dokładnie drzwi za sobą, stał przez chwilę, nasłuchując. No cóż? Masz słodkie życie... Przemyskasz się jak złodziej. Czuł, jak głucho bije mu serce, krew pulsuje w skroniach. Usiadł, położył mechanicznie rękę na telefonie. Chłodny dotyk słuchawki przywrócił go do rzeczywistości: ma coś pilnego zrobić, dokąds pójść, poradzić się. Aha! Czy wywieszono na dole plakat z zawiadomieniem o sukcesie Zaliskiego? W komitecie partyjnym nalegali, by szeroko rozpropagować wśród robotników wyniki współzawodnictwa; majster Wołodymyr Zaliski pokazał wyższą klasę sztuki tokarskiej. Starajcie się mu dorównać, uczcie się od niego...

Jakim to on poufale kpiącym tonem spytał wczoraj tę dziewczynę: „A skąd ty wiesz, że nie płaczą?” Świdrował Żadana spojrzeniem przez stół, mrużył zagadkowo oczy. A co, wpadłeś?... Od Zaliskiego się nie ucieknie, wie o wszystkim, nie zatka mu się usta. Ciekawe, co chce osiągnąć? Dobre stosunki służbowe? Pomoc w pracy? Czy też ma bardziej dalekosiężne zamiary, bardziej zuchwałe? Tacy cwaniacy do wszy-

stkiego są zdolni. Zaczynają od spoufalenia się, a kończą...

„Chyba za bardzo mu pobłażam. Gotów rzeczywiście pomyśleć, że się go boję, że odnalazł moją piętę Achillesa. Bzdura, Wołodia! Jesteś dobrym majstrem, bardzo sprawnym tokarzem, ale twoje sztuczki nie wyjdą. I nie zastraszysz mnie swoimi aluzjami. Te domysły niewarte dziś złamanego grosza. Ta, o której chciałbyś rozpuścić plotki, jutro może będzie moją prawowitą żoną. Hani nie ma co porównywać z twoją dyplomantką, ona nie dałaby się zaciągnąć do twojego mieszkania. A jaki ma talent, może kiedyś pójdzie do konserwatorium. Dość wahań, Wiktorze Hryhorowiczu, kwiaty do rąk i jazda jeszcze dziś z ojcem do Niny Wasylewny”.

Zadzwoił telefon. Wzywano Żadana do głównego inżyniera. Wiktor poderwał się. Jak dobrze, że właśnie od tego rozpoczyna się roboczy dzień. Ma przedstawić kierownictwu swoje poglądy dotyczące niektórych elementów produkcji. Idąc wąskimi, asfaltowymi drózkami po terenie fabryki myślał o tym, jak Łehkostup ocenił jego pierwsze zarządzenia w dwudziestce. W pewnym miejscu musiał przejść przez rozryty rów i spotkał się na wąskim mostku z dziewczyną w białej sukience. Żeby się wyminąć przytrzymał ją obu rękami za ramiona i ostrożnie się przesunął. Dziewczyna zmieszana powiedziała „dziękuję” i poszła dalej drobnym krokiem. Na zasadzie luźnych skojarzeń przypomniał mu się wczorajszy wieczór u Zaliskiego i ta dyplomantka, która tak wyzywająco patrzyła mu w oczy. Zresztą nic takiego się nie stało. Zachowywał się przyzwoicie, nie pozwolił sobie na żadne flirty. Ale też ręce ma ta Wala. A jakie nóżki! W oczach zachwyty, gotowa natychmiast rzucić ci się na szyję.

Odegnął kuszącą myśl i przyspieszył kroku, pozdra-

wiając z przesadną uprzejmością spotykanych znajomych. Jednak najważniejsze w życiu, jego istotny sens to praca, wykonywana z pasją, i przyjaciele. I powściągliwość w uczuciach, nie można rozmieniać ich na drobne...

W gabinecie głównego inżyniera zbierano się na jakąś naradę. Żadan też zajął miejsce przy stole, rozłożył papiery. Chodziło o wprowadzenie nowych mocy, wynikły jakieś sporne sprawy z podległą jednostką budowlaną. Wiktora to nie dotyczyło, mógł więc rozmyślać o swoich sprawach. Dostał oddział trudny, wszystko jeszcze nie dotarte, nowe. Przygotowywano w nim najmniejsze detale do skomplikowanych maszyn. Tysiące różnych muf i sprzęgieł, przyłączy i nasadek, tysiące szajb obtaczało się i wytaczało dla potrzeb nowoczesnej techniki elektronowej, dla tych unikalnych aparatów, przy których sam człowiek stawał się nikły i jakby tracił swą wartość.

„Najlepiej to mają monterzy — myślał Żadan. — Montują według schematu i nie muszą łamać sobie głowy. A tu trzeba operować mikronowymi wielkościami. Tysiące nazw, morze detali, chaos zamówień...”

Tymczasem narada się skończyła. Łehkostup był czymś zatroskany. Podziękowawszy obecnym oznajmił, że wszyscy mogą już iść z wyjątkiem Wiktora Hryhorowicza. I usiadł obok niego przy bocznym, polerowanym stoliku. Tęgi, z wydatnym brzuchem, z załzawionymi oczyma. Wytarł chustką do nosa pot na głębokich zakolach łysiny, westchnął ze zmęczenia. Miał wygląd skromnego księgowego z trzeciorzędnego przedsiębiorstwa.

— Referować nie trzeba. Może pan zamknąć swoją teczkę — powiedział z życzliwym uśmiechem na wąskich ustach. — Interesuje mnie teraz, Wiktorze Hryho-

rowiczu, jedna tylko rzecz: czy wszedł już pan w kurs spraw, czy wytrzymuje pan rytm produkcyjny?

— Przyglądam się po trochu — odparł niepewnie Żadan.

— Powściągliwość to dobra rzecz. Ale jednak: jakie pierwsze wrażenia?

— Jeśli mam być szczerzy... — zawahał się Wiktor — to zdaje mi się, że na oddziale nie wszystko w porządku z organizacją produkcji. Nie widziałem jeszcze pełnej „fotografii dnia pracy”, sędzę jednak, że nie wygląda to różowo.

— No cóż... organizacja to pole dla pańskiej działalności — zauważył Łehkostup. — Co prawda, nie wszystko zależy od nas, nawalają często kooperanci i dostawcy.

— Blisko sto warsztatów nie pracuje...

— Wszędzie tak jest. Musimy mieć rezerwy — Łehkostup wstał i przeszedł się w zamyśleniu po gabinecie. — Przede wszystkim musi się pan zapoznać z całym procesem produkcji, skrupulatnie, z naukowym obiektywizmem. Tylko bez żadnego fantazjowania! Najważniejsze to plan! Codzienny plan i jakość. Na poziomie światowych standardów, jak się to mówi. — Podeszedł blisko do Żadana i położył mu rękę na ramieniu. — Można to osiągnąć przy surowej kontroli, dyscyplinie i porządku na oddziale. Zaufano panu i pan jest za to odpowiedzialny. — I nagle zmienił temat. — Mamy, zdaje się, wspólnych znajomych. Siostra opowiadała mi o panu.

Siostra? Wiktor był szczerze zdziwiony. A jednocześnie pochlebilo mu to. Bo już w następnej chwili domyślił się, o kogo chodzi. Przyjemnie odczuł zmianę tonu naczelnego. W tej sytuacji szef już jakby nie był szefem i rozmowa z miejsca popłynęła towarzyskim nurtem. Wiktorowi zdawało się, jakby Łehkostup



otworzył drzwi i powiódł go do pokoju o niskim suficie, z przyćmionym, miękkim światłem, miękkimi meblami i miękkim dywanem na posadzce i posadził go na miękkim fotelu. A potem powiedział z męską poufałością, że jego siostra, Zoja Kindratowna, jest zdziwiona, dlaczego Wiktor Hryhorowicz zapomniał o ich znajomości, o tym wieczorze u Mostowego.

— Nie miałem podstaw do tego, by ją niepokoić.

— Może pan uważać, że są takie podstawy — Łehkostup zapalił, ruchy jego nabrały znów intymnej miękkości. — Jutro zbieramy się u Zoi. Małe rodzinne święto. Jeśli ma pan ochotę, to proszę do niej zadzwonić.

Podał Wiktorowi numer telefonu i od razu powrócił do poprzedniego tonu suchej rzeczowości, tylko na samym dnie oczu grały wesołe chochliki.

Wiktor wyszedł z gabinetu naczelnego inżyniera zmieszany, ale jednocześnie jakby pocieszony. „Ciekawy człowiek — pomyślał. — Zależy mu na dobrych stosunkach. No cóż, numer telefonu może być niezłym początkiem. Zdaje się, że akcje Żadanów są coś warte”.

Poranne słońce wlewało się do fabrycznych okien. Nic nie mąciło czujnej przedzmiarowej ciszy. Planistka linii rewolwerowej, Oksana Żuraj, była już przy swoim stole i przeglądała wczorajsze zlecenia. Tyle roboty, że dnia nie starczy. Przyszła wcześniej, póki nie ma dziewcząt, żeby uporządkować dokumentację. Jest coś uroczystego i majestatycznego w tej wyludnionej hali produkcyjnej. Od metalu i cementowej podłogi ciągnie chłodem. Nawet słoneczne smugi wydają się zimne. Przychodzą pierwsze robotnice. Witają się z Oksaną. Jest też Wiktor Hryhorowicz, rozmawia z kimś obok pulpitu starszego majstra. Ubrany jak

zawsze schludnie, w ciemnej koszuli. Podchodzi do niego Zaliski. Pokazuje jakieś papiery. Co on tak skacze koło kierownictwa? Oksana go nie cierpi: wścibski, słodziutki, nieszczerzy. Trzeba by ostrzec Wiktora Hryhorowicza, żeby mu za bardzo nie ufał. Stary Żadan już dawno go rozgryzł.

Zaczynał się roboczy dzień. Wszystko odbywało się jak zwykle. Ludzie zajmowali swoje miejsca, włączali się w potok napięć, szybkości, przekształceń, sami stając się jakby elementami olbrzymiego, działającego w sposób zsynchronizowany mechanizmu. Polifoniczna muzyka metalu stopniowo narastała, roznosząc się echem.

— Dzień dobry, Oksano! — podchodzi do planistki Hryhory Łukycz. — Już grzebiesz się w papierach?

— Niech je licho porwie!

— Wszystkie wczorajsze raporty zamknięte?

— Prawie wszystkie. Tylko na jednym stanowisku... Obiecano, że dziś...

Po wyrazie jej twarzy domyślił się, o co chodzi. Jego sucha, rzeźbiona przez lata twarz zgasła, w oczach zjawiał się niepokój. Czyżby Hania? Nie zakończyła wczoraj wyznaczonej jej pracy i poszła?

Jak mu powiedziano, Hania istotnie zostawiła po obiedzie tokarkę i wyszła, nie wiadomo dokąd. Nie zwierza się ze swoich kłopotów nawet swej najlepszej przyjaciółce Oksanie, przychodzi do pracy milcząca, nie zamieni z nikim ani słowa, wciąż o czymś myśli, jakby się wahała przed podjęciem jakiejś decyzji. Zauroczył ją ktoś czy co?

Oboje wiedzieli, kto ją zauroczył, udawali jednak przed sobą, że się nie domyślają, unikając rozmowy o sprawie najważniejszej.

— Niech się pan nie przejmuje, Hryhorze Łuky-

czu — pociesza go Oksana. — Ja zaraz sama... Szybko się z tym uwinę!

Wyraził milcząco zgodę. Ta wszystko potrafi. Świetny tokarz, złote ręce, zawzięta w pracy.

Ruszył dalej ze swoim niepokojem.

W ostatnich dniach był ciągle zdenerwowany, mężczyły go jakieś niejasne przeczucia. Czuł się jak człowiek, który w letni poranek ogląda czerwony wschód słońca; niebo w gorących rozbłyskach, wszystko wokół niby jasne i przejrzyste, rozświetlone, ale od tej różowej jasności wieje chłodem, jakby zwiastunem burzy, i wzrok błądzi już po niebie, tropiąc chmury. Jaki będzie ten dzień? Jakimi złymi wiatrami powieje, jakimi piekielnymi nawałnicami wybuchnie?

Hryhory Łukycz przegląda papiery, otrzymane od Oksany.

— W porządku, córeczko. Z naszymi dziewczętami nawet statek na Marsa wnet wybudujemy — uśmiecha się Żadan.

— Lepiej by na Wenus, Hryhorze Łukyczu — odpowiada ze smutnym uśmiechem Oksana. — Z boginią piękności i miłości weselej.

— Masz rację, lepiej lecieć do miłości. Chociaż może bez niej jest łatwiej. I prościej, i spokojniej.

— Co też pan, Hryhorze Łukyczu! — zaprzeczyła Oksana. — Właśnie dlatego miłość jest tak cenna, że budzi niepokój i oczekiwanie. Za piękną miłością warto potęsknić.

Mówiła to z własnego doświadczenia. Sercowe kłopoty powodowały w jej życiu wiele przykrości. Ale czy osiągnęła wreszcie szczęście? Czy i teraz nie niepokoi się o męża, który lubi wypić o jeden kieliszek za dużo, co odbija się na robocie?

Oksaną lubiano w fabryce i trochę się jej jednocześnie bało. Z pasją kobieta, takie nieczęsto się trafiają.

Wychowywała się w małej wsi na Czernihowszczyźnie, wśród łąk i zarośniętych oczeretem jezior, łęgów i zalewisk, wśród upajających leśnych zapachów. „Jestem dziewczyną z lasu — mówiła koleżankom. — Nigdy bym nie uwierzyła, że ktoś zwabi mnie do miasta. Leśne dziewczęta muszą żyć tak jak driady, leśne nimfy: na łonie przyrody”.

Ktoś jednak zwabił. I oto zajechała aż tutaj. Po ukończeniu dziesięciolatki wybrała się ze swoją małą czarną walizką, w krótkim zielonym paletku, w białej puchowej czapeczce z pomponikiem do miasta do wuja, który obiecał gdzieś ją urządzić. Wkrótce dostała się do pracy jako uczennica na rewolwerowej linii. Zapamiętała dzień przybycia do internatu. Był to nowy dom, oddany do użytku młodzieży pracującej. Pachniało jeszcze farbą, w wąskich korytarzykach było ciasno i gwarnie, trzaskały drzwi, rozlegały się śmiechy i nawoływania. Osiedlali się nie na dzień ani dwa, trzeba więc było obejrzeć wszystko gospodarskim okiem, tu zaczyna się ich samodzielne życie.

Oksana zamieszkała w jednym pokoju z chudą, sprytną i obrotną dziewczyną, która z miejsca zajęła łóżko przy oknie, wyjaśniając, że ma zadyszkę i zawsze brakuje jej powietrza.

Jako pierwsi złożyli im wizytę chłopcy z sąsiedniego pokoju, również nowicjusze. „Dzień dobry, dziewczęta! Dawno nie widzieliśmy się!” — zagadnął chłopak w modnym golfie. „Czekaliśmy na was osiemnaście lat” — odcięła się Oksana. Wsadził czubaty łeb jeszcze jeden. „Wstawcie nowe zamki, bo u nas ładne dziewczyny się wykrada”. „Uważaj, żebyśmy ciebie nie wykradły” — zaśmiała się Oksana. Zaglądali przez drzwi nowi dowcipnisie, śmiejąc się i drażniąc dziewczęta.

A potem był pierwszy dzień pracy. Oksanie chciało się beczeć z powodu swojej niezaradności. Całe szczę-

ście, że majster nie zawstydzał jej, nawet się nie złościł. Okazało się, że na początku wszystkie nowicjuszki są takie niezdarne, przecież to tylko uczennice, mają się wszystkiemu bacznie przyglądać i uczyć się od starszych, doświadczonych. Z tym wąsatym starszym majstrem, Hryhorym Łukyczem Żadanem, Oksana szczerze się zaprzyjaźniła.

Wieczorem, kiedy już położyły się spać, Oksana długo leżała z otwartymi oczyma, patrząc w sufit. Po pierwszym dniu pracy odczuwała w całym ciele drżenie, przekazane przez drganie tokarki.

„Dlaczego wzdychasz? — spytała koleżanka spod okna. — Nie przejmuj się. Oni mają obowiązek nas uczyć”.

„A dlaczego ty nie śpisz?”.

„Nie lubię cudzych łóżek. Twardo, wąsko. I w ogóle wpadłyśmy obie. Zobaczysz, że przez miesiąc nie zarobisz nawet stu rubli”.

„Sto, dwieście, trzysta...” — myślała ze smutkiem Oksana. Przypomniał się jej zalany światłem księżycowym Sejm, łagodny plusk wiosła, skrzywienie dulek. Chwiejne czółno płynie wzdłuż oczeretów, rzucając chybotliwy cień na lśniącą rzekę. Wiosła całują się z falą. Ona na rufie, a przy wiosłach... Kto wówczas był przy wiosłach? Andrij Horodniuk. Przyjechał z miasta i od razu do niej: „Chodźmy, Oksano, popatrzmy na Sejm. Tęskniłem za nim. I za tobą... Chcę odetchnąć naszym powietrzem. Całymi dniami w kabine, zupełnie się zasiedziałem. Jeszcze dotąd mam zamęt w głowie”.

Andrij uczył się w szkole lotniczej i Oksana bała się o niego, ale też pyszniła się, że jej kolega będzie wnet pilotem wojskowym, a może nawet zostanie bohaterem.

„Nawet we śnie widzę nasz Sejm — powiedział wtedy Andrij, energicznie zagarniając wiosłami smolistą

wodę. — Kiedy wznoszę się w powietrze, to i stamtąd go widzę. A kiedyś... Uwierzysz? Obniżyłem bardzo lot i patrzę: nasza wieś, nasza szkoła! I chyba ty koło drzewa”.

„Cyganisz!” — zaśmiała się.

„Naprawdę! — Andrij uniósł nad wodą wiosła, na fale posypały się diamentowe kropelki. — Patrzę, ktoś to taki przy tobie? Ano, myślę, zobaczymy. Robię immelmana, jeszcze raz zawrót, idę świecą w górę, potem pikuję i widzę, jak Wołodia Sorokopał strzela do ciebie oczami”.

„Rzeczywiście zobaczyłeś?”

„Mam celownik optyczny! Wszystko widzę i wszystko słyszę. I gdybyś mnie zdradziła, tobym cię ciężko skarał. O tak!...” — i pocałował Oksanę w policzek...

Kiedy to było? Sejm, księżyc, oczerety... A tu pokoik w internacie i rozgrzana poduszka, na której głowa jakoś nie może się ułożyć. Gdzie jest teraz Andrij? Może odbywa nocny lot nad Sejmem, wypatruje swojej szkoły i szuka wzrokiem jej, Oksany, i ich czółna przy brzegu?

„A ty ciągle jeszcze nie śpisz — burknęła koleżanka spod okna. — A ja leżę i myślę sobie, czy nie lepiej byłoby jutro przenieść się do sąsiadów. Widziałaś, jaką fabrykę wybudowali po drugiej stronie ulicy? Produkują aparaturę precyzyjną. Transporter, białe fartuchy, kultura!... Tylko stoisz i patrzysz, a pieniądze same wpadają do rąk”.

„Nie chcę, żeby same wpadały — pomyślała Oksana, uśmiechając się do swoich wspomnień. I znów płynęła w tym czólnie po nocnym Sejmie, miękko kołysana przez wodę i ogarniała ją ciepła fala wzruszenia. — Jeszcze wszystko będzie dobrze. Będzie cudownie... Musisz tylko być cierpliwa, Oksano... Musisz trochę po cierpieć”.

Żadan dobrze pamięta jej pierwsze kroki w fabryce. Tę dziewczynę o pełnej twarzy, błękitnych oczach i zgrabnych nogach wszyscy lubili i życie jej było jak wiosenne słońce, jak wonny wiatr, jak bezbrzeżne pole.

Pewnego razu wiosną pokrywali w fabryce dach. Dzień był wietrzny, na horyzoncie gromadziły się chmury. Niebo było zagniewane, drzewa trwożnie kołysały się na wietrze w przeczuciu zbliżającej się do nich jakiejś kary, w oczekiwaniu jakiegoś ciemnookiego straszdyła, ściemniało się coraz bardziej, na ziemię opadał mrok. W powietrzu czuć było rześkie powiewy burzy.

Hryhory Łukycz stał na dachu i kierował robotą. Musieli się spieszyć z bitumem. Nie bójcie się, chłopcy, zabrudzić rąk, wymyją się. Smoła to nic strasznego. Patrzcie, idzie burza. Żeby tylko zdążyć przed ulewą. Szybciej, chłopaki! Szybciej!

Oksana stała wówczas na dole obok dźwigu, na którym pracował Anatoli Żuraj. W pewnym momencie wyszedł z kabiny i zszedł na dół.

„Nie można w czasie takiej burzy pracować — powiedział, patrząc w górę na wysięgnik i nasłuchując jęku stalowych lin. — Pójdę do kierownika...” I zostawił Oksanę samą przy dźwigu. Deszcz był coraz większy, zaczęła żałować, że nie poszła w jego ślady, trzeba schronić się w kantorku. W pewnej chwili wiatr uderzył z dużą siłą, w górze coś zatrzeszczało. Oksana podniosła głowę i zobaczyła, że ramię dźwigu porusza się. Wiatr spychał je w bok i pochylał coraz niżej.

„A Toli nie ma — przestraszyła się dziewczyna. — Wysięgnik spadnie... Prosto na dach!” Wiatr targał linami, huczał w metalowym szkielecie, dźwig drżał, czepiał się szyn, rozpaczliwie opierał się atakom wichury, ledwie że nic chwycił się chmur. Nie było jednak ratunku, żadnej nadziei.

Przeklęta wichura! Och, będzie miał Tolka za swoje. Żal jej było chłopca, a jednocześnie bała się coraz bardziej. Nie panując nad sobą znów spojrzała w górę i... polazła po drabinie, po żelaznym trapie, z jednego schodka na drugi, coraz wyżej i wyżej, objając sobie ręce i dobywając ostatek sił. Cały świat chybotął się, chmury gnały gdzieś w popłochu... Żeby tylko dostać się na górę, do małej kabiny Toli... Jeszcze jeden schodek, ręce wczepiają się w poręcz, ciało dźwiga się do przodu, przechyla... Nareszcie! Pociągnęła do siebie dźwignię, szarpnęła nerwowo za rączki, w dole zawarzał motor, zachrzęściło żelazo, liny się naciągnęły.

Niebo powoli popłynęło w bok. Dźwig westchnął, jego ramię wyprostowało się. Już po wszystkim. Miała ochotę rozbeczeć się z radości. Nagle znów ogarnął ją strach: samiuteńka w maleńkiej, ciemnej kabinie wśród rozszalałej burzy. Z trudem zeszła po drabinie w dół. Przybiegł Anatoli. „A gdybyś spadła?! — krzyknął jej poprzez ulewę. — Kosteczek byś nie pozbiierała!...”

Wreszcie zjawiała się Hania. Chyba w niezłym nastroju, nawet wesoła. Szepcą coś z Oksaną przy warsztacie, oglądają gotowe części. Ale dlaczego się spóźniła? I czemu wyszła wczoraj wcześniej?

Hryhory Łukycz zwiększył czujność: do Hani przyczepił się zmienny majster Zaliski, chyba robi jej wymówki za spóźnienie. Zaczerwienił się, podtyka jej pod nos jakieś papiery. Trzeba jej spieszyć na pomoc, rozładować konflikt, uspokoić. Bo Oksana też się stawia, zaczyna się kłótnia.

Podszedł do nich. Co się stało? Zaliski nie może się opanować. Oto do czego doszło. Na zebraniu oddziału przyjęto zobowiązanie zwiększenia dyscypliny pracy, wykonywania dziennych norm, utrzymywania stano-



wisk roboczych w należyтым porządku, a Czepurna i Żuraj kpią sobie z tych zobowiązań i jedna drugą kryje.

— Nie ma o czym mówić — Żadan spróbował z miejsca osadzić Zaliskiego. — Miała moją zgodę.

Zaliski zamilkł zaskoczony i spojrział podejrzliwie na starszego majstra. Dlaczegoż to on nagle zaczyna opiekować się bumelantkami?

— Mógł mi pan o tym powiedzieć, Hryhorze Łukyczu — powiedział Zaliski obrażonym tonem. — Musimy respektować własne uchwały. Bumelantów karzemy grzywną, dlaczego mamy pobłażać Czepurnej? Nie widzę logiki w takim postępowaniu, szanowny Hryhorze Łukyczu.

Oksanę zatrzęsło. Podeszła bardzo blisko do zmianowego i zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

— Słuchaj, Wołodia... Czy ci nie wstyd?

— Proszę mnie nie tykać. Nie szastałem się z wami po kąpieliskach ani nie rozbijałem się wołgą.

— Ciebie nie powinno się puszczać nad morze. Sam siebie utopisz.

— O, pyskować to wy umiecie! — próbował zweeksłować sprawę na charakter, a nie sens sprzeczki. — Sądzę — zwrócił się do Hryhorego Łukycza — że należy stosować jednakowe wymagania wobec wszystkich. Jeśli karać, to wszystkich jednakowo, tak samo jak chwalić. Jak pan sobie chce, ale ja nie będę o tym milczeć. Powiem gdzie trzeba!

Ściągnął gniewnie brwi i ruszył w głąb oddziału.

Podczas przerwy obiadowej Wiktor Żadan zaprosił do swego gabinetu komsomolskich aktywistów. Powoli wyrabiał sobie opinię o każdym z nich. Sekretarz

komsomołu, Szyjka, usiadł w samym kącie przy drzwiach, wyjął notes. Punktualny, rzeczowy chłopak. Iwana Seliwanowa też można włączyć do pracy społecznej. A Sonia Sanczukowa? Zapalczywa, energiczna. Co prawda wyszła za mąż i ma rodzinne kłopoty, ale ma temperament i nie pozwala, by inni ją wyprzedzali. Z planistką Żuraj sprawa trudniejsza, narowisty charakter, ciągle kłóci się z Zaliskim. Trzeba zbadać, o co tam chodzi.

Wiktor obejmuje spojrzeniem cały gabinet. Nie wiadomo, dlaczego nie ma Zaliskiego. Powinien przecież przyjść. Ale oto i on. Wszedł po cichu i usiadł z brzegu obok Oksany. Trudno ich pogodzić. Wiktor westchnął z ojcowską pobłażliwością. Kto odnosi korzyść z waszej wrogości? Tyle mamy spraw do załatwienia, a wy nie możecie się dogadać.

Jego wzrok zatrzymał się na szczupłym, rudym Matwiju Szyjce. Też chłopak z charakterem. Już na czwartym roku politechniki, wnet zostanie inżynierem. Wciąż głowi się nad jakimiś urządzeniami i ulepszeniami. Niedawno wynalazł nową przystawkę do szybkościowego zwijania sprężyn. Trochę w gorącej wodzie kąpany. Wszczął przeciw Zaliskiemu całą kampanię: fotogazetki, karykatury...

— Widzę, że są prawie wszyscy — powiedział Wiktor wstając. — Już czas najwyższy, żebyśmy się poznali. Pracujemy na jednym oddziale, łączy nas wspólna sprawa, powinniśmy więc znaleźć wspólny język. — Obrzucił spojrzeniem obecnych i dodał z uśmiechem: — Cieszę się, że mamy na oddziale taki bojowy, młodzieżowy kolektyw komsomolski. Grozi mu co prawda jedno niebezpieczeństwo: za często urządzone są wesela...

Żartobliwy początek rozmowy ożywił zebranie.

Dziewczęta uśmiechnęły się, chłopcy poczynili dowcipne uwagi.

— No ale z problemami weselnymi jakoś sobie poradzimy. Znacznie poważniejsze są sprawy produkcyjne — Wiktor przebiegł oczyma leżący na biurku arkusz, zapisany cyframi. — Oto „fotografia dnia roboczego” naszego oddziału. Dokładnie ją przestudiowałem. To niewesoły obraz, przyjaciele. Około dziesięciu procent roboczogodzin tracimy na przygotowanie stanowiska pracy i składanie dokumentacji. Czas płynie jak piasek między palcami. Dziesięć procent! Proszę pomyśleć. To w rocznym bilansie wyniesie tysiące godzin. Wyrzucamy w błoto znaczne sumy. Ot, chociażby dziś: kolejka do narzędziowni, ludzie szukają kart technologicznych, w tokarni bałagan... — głos Wiktora był ostry. — Za taki bezład będę surowo karać, będę pozbawiać premii. Będę osobiście podliczał każdą minutę. Będę wymagał codziennego raportu od kierownika planowania pracy i planistek. Możemy dać sto czterdzieści tysięcy oszczędności, jeśli racjonalnie zorganizujemy swoją pracę. I damy je! Młodzieżowy oddział, któż ma przodować jak nie my?

Jego występ podobał się wszystkim. W gabinecie zrobiło się gwarno. Szyjka otworzył notes i coś zapisał, z zadowoleniem mrużąc oczy. O głos poprosił Zaliski. W starannie wyprasowanym kombinezonie, wygolony aż do połysku, przystojny i hardy.

— Wiktorze Hryhorowiczu, proszę mi powiedzieć z łaski swojej — spytał ze złośliwą naiwnością — kto na oddziale odpowiada przede wszystkim za dyscyplinę? Zmianowy majster czy kto inny?

Co za pytanie? Nawet zawsze poważny Matwój Szyjka zdobył się na uśmiech. Wszystkim przecież wiadomo, że zmianowy! Ponosi on odpowiedzialność za pro-

dukcję, za grafik, śledzi, jak kto pracuje, czy nie plotkuje gdzieś po kątach.

— Chcieliście coś powiedzieć? — spytał Wiktor.

— Nie, chciałem tylko usłyszeć odpowiedź na moje pytanie.

— Odpowiedź jest krótka. Wy, Wołodia, jako zmianowy odpowiadacie i za porządek, i za dyscyplinę, i nawet... — Wiktor ironicznie się uśmiechnął — za dobry nastrój dziewcząt.

Zaliski, nie podejmując żartobliwego tonu, pochylił głowę, pomyślał chwilę, rozejrzał się wokół i z tą samą udaną naiwnością spytał:

— Czy to jest dokładna odpowiedź?

— Absolutnie dokładna — potwierdził powściągliwie Wiktor.

— Dziękuję.

Zaliski usiadł, w kącikach ust zjawił się uśmiech zadowolenia.

Wiktor spojrział na zegarek — nie można dłużej przeciągać narady, ludzie muszą zjeść obiad. Załatwił więc jeszcze kilka spraw bieżących i zwolnił komсомolców. Pozostał tylko Szyjka.

— A co, macie jakieś koncepcje? — spytał go Wiktor przyjaźnie.

Szyjka patrzył w skupieniu na Żadana dużymi, rozumnymi oczami. Na podwyższonym początku łysiny czole lśnił pot. Chłopak był wyraźnie zdenerwowany, nie wiedział, od czego zacząć.

— Słucham was, towarzyszu Szyjka — zachęcał go Wiktor. — Proszę siadać.

Matwij wciągnął głęboko powietrze, usiadł przy biurku i zatarł nerwowo ręce.

— Chcecie zwolnić Mariję Naumenko z funkcji kierowniczkini narzędziowni? Czy to prawda?

— Czy chcę? Już ją zwolniłem, podpisałem zarzą-

dzenie — poinformował oschle Wiktor. — Naumenko wróciła z powrotem na tokarkę. Wiem — mówił już łagodniejszym tonem — to porządna i pracowita kobieta. Ale niestety nie ma technicznego wykształcenia. Zamierzamy przekształcić narzędziownię na bazę narzędziowo-techniczną, odpowiednio wyposażoną i z wykwalifikowanym kierownictwem, które mogłoby wszystko przewidzieć i przygotować, stwarzając robotnikowi optymalne możliwości pracy pełną parą, co rzecz jasna umożliwi nam realizację produkcji bez zakłóceń. Dlatego dobieramy tam odpowiednio przygotowanych technicznie fachowców.

— Rozumiem, Wiktorze Hryhorowiczu.

— Nie możemy za każdym razem biegać do narzędziowni dziesiątki, kłaniać się Browkinowi o każdą mufę i każde wiertło.

— Rozumiem, Wiktorze Hryhorowiczu — powtórzył Szyjka, ale z gabinetu nie miał zamiaru wyjść. — Chciałem was tylko prosić... w imieniu komitetu komsomołu... — i skończył zdecydowanym, mocnym głosem — żebyście porozumiewali się z nami, gdy będziecie zamierzali kogoś przerzucać. My w komitecie omawiamy takie sprawy.

— Naumenko, zdaje się, nie jest komsomołką.

— Nie... Ale Hania Czepurna to nasza aktywistka.

— Hania?! — wyrwało się Wiktorowi. — A co ona ma z tym wspólnego?

Szyjka nie kwapił się z odpowiedzią. To chyba był ten główny powód, dla którego pozostał w gabinecie. Wreszcie, lekko pochylony do przodu, zaczął opowiadać. Okazuje się, że przez Hanię dziś rano Oksana Żuraj kłóciła się z Zaliskim. Rzecz jasna, nikt nie ma prawa spóźniać się i w dodatku przekazywać swoje stanowisko pracy innej robotnicy. Ale nie jesteśmy przecież biurokratami! Musimy Hani współczuć. Ma

nielekkie życie, sama z dzieckiem... Dziś podobno chłopak zachorował, więc się spóźniła. A Zaliski od razu zrobił z tego sprawę.

— Jaką sprawę? Proszę mówić dokładniej — rzucił chmurnie Wiktor.

— Obwinia ją o bezprawne przekazanie stanowiska pracy Oksanie Żuraj. Już ja im dam nauczkę, powiada, napiszę raport do kierownika oddziału z żądaniem ukarania Hani. Wlepią jej nagane albo grzywnę. A jak nie zechce kierownik, to pójdę, powiada, do inspektora bhp, a gdy będzie trzeba, to i do samego Suworina.

— Bzdura! — mruknął Wiktor, wstając od biurka.

Podszedł do okna, zacienionego przez gałązki wierzby, i patrzył przez nie w zamyśleniu. Sprawa nie wygląda dobrze. Wiedział oczywiście, w czym Zaliski dopatrzył się wykroczenia. Żeby stanąć przy warsztacie, robotnica powinna otrzymać odpowiedni dokument z wydziału szkolenia technicznego. Przestrzegano tego bardzo surowo ze względu na bezpieczeństwo pracującego. Puść jakąś nie przeszkoloną gapę do tokarki — i nieszczęście gotowe. Tyle wypadków zdarza się przy pracy z powodu braku dozoru i nieostrożności! Dlatego przepisy są jak najbardziej słuszne. I Zaliski ma w zasadzie rację.

— Co prawda Żuraj nie jest rewolwerówką, ale kiedyś pracowała jako tokarz — wyjaśniał dalej Szyjka. — Uważam, że to czczy formalność i czepianie się.

— Chwileczkę! — przerwał mu Wiktor. — Wy ciągle swoje. A sprawa wygląda tak, że obie są winne, nie tylko Hania.

— Nie, Hania! — westchnął smutnie Szyjka. — Mówi wszystkim, że sama poprosiła Oksanę, by zrobiła te pojedyncze detale i niech piszą raport na nią.

Wiktor ogarnęła jeszcze większa złość — na Szyjkę, na Zaliskiego, na Hanię. Wyglądało tak, jakby każde

z nich miało rację. Jednak musi przecież być porządek, są przepisy bhp, istnieje poza tym elementarny system organizacji pracy. Ale jest też plan i jest grafik, i Łończyk... Trzeba wezwać Zaliskiego i załatwić to bez hałasu.

— Możecie już odejść, towarzyszu Szyjka — mąskując niepokój powiedział Wiktor. — Pomyślę o tym.

Sekretarz komsomołu podniósł się niechętnie, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Żadan demonstracyjnie położył rękę na telefonie. Na progu Szyjka zatrzymał się.

— Wiktorze Hryhorowiczu, Zaliski nie robi tego bez powodu — rzekł cicho. — On po prostu mści się na niej...

I zniknął szybko za drzwiami. Do gabinetu doleciał tylko tupot nóg po schodach.

Minęła minuta, może więcej. Nie chciało mu się nic robić ani nikogo widzieć. Żeby już jak najszybciej był wieczór, tak pragnął uciec od tego zamieszania i gwaru, od ludzi, od codziennych kłopotów i odpowiedzialności. Dajcie człowiekowi czas na spokój, nie targajcie jego nerwów...

— Śpisz? — Wiktor usłyszał głos ojca i otworzył oczy.

— Siadajcie, towarzyszu sekretarzu.

— Usiądę, towarzyszu kierowniku — Żadan odsunął ostrożnie krzesło i usiadł.

Wiktor patrzył na ojca jak na interesanta. Czarny sweter był przetarty na łokciach, krawat zbyt mocno ściągnięty, koszula nieco pomięta.

— No, pouczaj durnia, tatusiu — powiedział Wiktor miękko.

Żadan przygląda się uważnie synowi — chce odgadnąć jego nastrój, napotyka jednak na równą, gładką ścianę, która nie puszcza go ani na krok w głąb. Niewzruszony mur wyłożony jest takimi płytkami urazo-

nej próżności, że ojciec się nie przebije. Trzeba będzie prowadzić długotrwałe oblężenie.

— Zacząłeś nie z tej beczki, synu.

— Biurokrata, tak?

— Nie lubię sztampy.

— Więc kim jestem, ojcze?

— Powiem, poczekaj... — Hryhory Łukycz dobiera starannie słowa, by nie urazić syna. — Przyszedłeś do nas jako kierownik oddziału — Żadan zrobił pauzę. — Przyglądam ci się i widzę w tobie tylko kierownika.

— Rozumiem, ojcze — w oczach jego zadrgała ironia. — No i jakie są twoje konstruktywne rady? Co mi chcesz podpowiedzieć?

— Nie chcę ci niczego podpowiadać. Tylko pamiętaj o jednym: wszystkie twoje zarządzenia nie mają sensu, jeśli ludzie ich nie rozumieją. A z ludźmi trzeba delikatnie.

— Dziękuję, ojcze — rzekł Wiktor powściągliwie.

— Ludzie lubią szczerłość. Nie wybaczą kręactwa.

— Czy to nie za wiele? Co masz na myśli?

— Twoją przyjaźń z Zaliskim.

Wiktor mimo woli spojrział na drzwi. Tylko tego brakowało, żeby ktoś ich podsłuchał.

Z pewnym wahaniem powtórzył ojcu swoją rozmowę z Szyjką. Hryhory Łukycz słuchał w milczeniu, przyglądając się serwecie na biurku. Cóż mógł powiedzieć synowi? Sam musi poznać prawdę, tego nie da się załatwić zarządzeniem. Wołodia to mądrała i spryciarz, nauczył się osiągać fałszywe rekordy. Wyśmiewa się z kobiet. Wszyscy boją się jego złośliwego języka.

— Jesteś tu niedawno, nie znasz go jeszcze i tolerujesz jego wyskoki — Hryhory Łukycz bezradnie rozłożył ręce, gorzko się uśmiechając.

— Nie mam prawa decydować o waszych moralnych problemach.



— One są teraz również twoje.

— W porządku — Wiktor ciągle jeszcze nie chciał dopuścić do sprzeczki z ojcem. — Moje, twoje... U nas panuje niezdrowa atmosfera, nie podtrzymuje się odpowiednio autorytetu majstra, stąd wypadki naruszania dyscypliny pracy.

— Mówisz ogólnikami, Wiktorze — Żadan podwyższył głos. — Musisz obronić Hanię.

— W jaki sposób?

— Wezwij Zaliskiego i pogadaj z nim.

— Jest zmianowym majstrem, a więc tobie podlega.

— Boisz się? — ojciec spojrział kpiąco na syna. — Kiedy ja go wezwę do komitetu, to tylko pierze z niego poleci. A tobie przy okazji też się dostanie. — Pomilcz trochę, chcąc się opanować. — Nie od tego musisz zaczynać. Posłuchaj lepiej mnie i uważniej przyglądaj się ludziom. Zaliski to zdolny chłopak i my skierujemy go jeszcze na właściwą drogę. Myśleliśmy już o nim, naradzaliśmy się. No a teraz ciebie prosimy o pomoc. Zło trzeba odcinać od razu, jak suchą gałązkę. Weź do ręki sekator, Witia! Bierz sekator, mówię ci!

Zabrzmiało to jak groźba. Zdawało się, że Hryhory Łukycz nie żywił w tej chwili dla syna żadnych ojcowskich uczuć. I Wiktor zrozumiał, że musi ulec, bo w przeciwnym razie ten surowy, siwowąsy człowiek skieruje przeciw niemu cały swój gniew i całą swą partyjną władzę. Co prawda możliwe, że jednak nie wystąpi (to tylko strachy, ojczel!), mimo wszystko trudno oczekiwać od niego wyrozumiałego pobłażania. Plotkuje się o Hani? Ale nie wiesz, ojczel, że te plotki mogą bić w twego syna. Wołodia coś kombinuje, pragnie się zemścić. Chcesz, żeby i mnie podłożył świnię? Wiktor przypomniał sobie rozmowę z Łęhkostupem i irytacja jego spotęgowała się. Takie możliwości odkrywają się teraz przed nim, powierzono mu najwię-

kszy oddział w zakładach, a jeśli dobrze się sprawi, to w perspektywie jeszcze bardziej odpowiedzialne zadania i stanowiska. Dosiadł wysokiego konia... Do licha! Po jakiego diabła ma wścibiać nos do tej kłótni? Zostały naruszone elementarne przepisy bhp i za to trzeba ukarać. A gdyby ta Żuraj odcięła sobie palec? Albo kogoś skaleczyła? Lub popsuła warsztat? Kto byłby winien? Wówczas by nie pytali: jesteś brat czy swat... Nie, Witia, ojciec ojcem, a ty myśl o sobie. Nie wolno ci potknąć się już na samym progu. Hania to zrozumie i przebaczy. Pójdzie dziś do niej, jak postanowił, z kwiatami, z szampanem...

— Więc jak: porozmawiasz sam z Zaliskim? — ojciec wstał od stołu. — Czy też może pójdziemy razem? Tylko że...

Nie zdążył dokończyć, bo drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła Hania. Była ubrana nie po roboczemu, nie w ciemnym fartuchu i białej chustce, lecz w czerwonej letniej sukience, z gołą głową starannie uczesaną, w rękach czerwona lakierowana torebka — jakby przyszła nie do fabryki, lecz do teatru.

Hryhory Łukycz uważnie patrzył na dziewczynę. Wiktor poderwał się i zastygł w wyczekującej pozie.

— Przepraszam, ale się spieszę... — powiedziała, nie spojrzawszy na niego.

Wyglądała żałośnie w tej świeżej fryzurze, chuda, wyzywająco ubrana, o jaskrawo umalowanych ustach i podkreślonych tuszem oczach.

— Proszę o podpisanie — zabrakło jej głosu i dokończyła szeptem: — podania.

— Jakiego podania? — krzyknął Hryhory Łukycz, domyślając się wszystkiego.

— Opuszczam fabrykę — powiedziała pozornie obojętnym głosem.

— Chcą ci dać mieszkanie, a tyś wymyśliła coś takiego!

— Tu mi ciężko. Nie mam czasu zajmować się Łończykiem. Proszę podpisać to podanie.

Wyjęła z torebki arkusz papieru i położyła przed Wiktoorem. Stała przed nim wyprostowana, blada i zupełnie obca. W wąskich oczach migotały jakieś złe błyski, a może była po prostu zmieszana tym, że zmuszona jest stać przed nim i o coś go prosić.

Hryhory Łukycz podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Ale Hania energicznie uwolniła się od tego gestu, zwracając się raz jeszcze do Wiktora.

— Proszę to podpisać!

Wiktor chwycił arkusz i nie czytając napisał formułę wniosku: „Do wydziału kadr...” Potem zatrzymał się na sekundę, długopis zawisł nad papierem. Hania też zamarła. I Wiktor Łukycz znieruchomiał. Niedobry był ten rozpoczęty wniosek, litery skakały po białym papierze, jakby dostały z bólu konwulsji. Ręka z długopisem opadła na papier: położył podpis.

Hania wzięła podanie, spojrzała na starszego Żadana, usta jej poruszyły się bezdźwięcznie, szczerknął zamek torebki, podeszła do drzwi. Wiktor ciągle jeszcze trzymał w dłoni długopis, który mógł napisać jakikolwiek wniosek. Długopisowi to obojętne. Ale jemu nie było obojętne. Czuł w piersiach ucisk, który nie ustępował.

Za oknami prażyło słońce, w dole dudniła fabryka, wszystko było tak, jak miało być. Życie nie zatrzyma się ani na chwilę, niezależnie od tego, jakie wnioski pisałoby się na arkuszach papieru. Życie idzie naprzód żelaznym krokiem, chrzęszcząc maszyny, ziemia drga od wycia motorów i gromów wybuchów. Sputniki, rakiety, pociągi... Planeta wiruje w rytmach czasu, w potokach informacji, w rozszalałych namiętnościach. Miliardy ludzi, miliardy losów... Cóż kogo może obchodzić chuda

kobieta w czerwonej sukience, kogo obchodzi jej los, jej marzenia i oczekiwania?

Podobne myśli tłoczyły się teraz w głowie Wiktora, chociaż może nie w kształcie tych samych pojęć i obrazów. Napatrzył się na różne dziwy na świecie, miał poza tym prawo znaleźć dla swego postępowania właściwą, ostateczną motywację... Był już niemal spokojny, siła woli nie zawiodła go.

Ojciec, odwrócony do okna, przemyślał wszystko po swojemu. Miał ciągle przed oczyma chudą postać z czapą ufryzowanych włosów, o opalonej twarzyczce i niespokojnych oczach z iskierką niezagasłej nadziei. Gdyby on mógł rozdmuchać tę iskierkę! Gdyby to było w jego mocy! Podszedł do drzwi, na progu się odwrócił.

— Tak nie można... — powiedział ostro. — To nieładnie. Po pracy pójdziemy do Niny Wasylewny, porozmawiamy z Hanią. Słyszysz?

— Słyszę. Wieczorem pójdziemy do Niny Wasylewny. Ja z kwiatami — uśmiechnął się z przymusem — a ty z szampanem.

Ten dzień nie przyniósł Ninie radości. Hryhory Łukycz poinformował ją telefonicznie, że Hania zamierza rzucić fabrykę. Złożyła już podanie. Nina miała nadzieję spotkać Hanię o osiemnastej na próbie chóru fabrycznego „Astry”. Ale dochodzi już szósta, pod oknami wydłużyły się cienie topoli, a jej nie ma. Gdzie jej szukać? Może poszła do domu do chorego synka, pozostawionego pod opieką sąsiadki, który czeka na nią? A może miała jakieś inne plany?

Postanowiła zadzwonić do Hrycia Sokoła, który wzbudzał w niej zaufanie szczerością sądów, młodzieńczą zapalczywością i poczuciem humoru. Pomyślała też o Palijence, który tak wtedy posmutniał, gdy usłyszał

za drzwiami płacz Hani. Hryhory Łukycz też musi tu natychmiast ingerować. Powiedział jej dziś przez telefon: „Wszystko będzie dobrze. Poznam cię z Wiktorem”.

Mówił różnym głosem, ale Nina nie wierzyła mu. Spostrzegła, że Wiktor unikał jej, jakby miał coś na sumieniu. Nie chce — obejdzie się. Jakoś dogadają się sami z Hryhorym bez synowskiego błogosławieństwa. A Hania? Może Wiktor rzeczywiście dziś przyjdzie, posiedzą, porozmawiają, nie spodziewała się jednak, by z tej rozmowy mogło wyniknąć coś sensownego. Wyczuwała w nim obłudę, maskowaną przez tchórzliwe wykręty. Liczył pewnie na to, że w miarę upływu czasu sprawa Hani jakoś sama się rozwiąże.

Nina przysłała na próbę z opóźnieniem, chórzystki czekały już na nią w głównej sali technikum.

— Chyba pośpiewacie dziś same, dziewczęta — powiedziała, patrząc z poczuciem winy na swe młode przyjaciółki. — Bardzo się spieszę.

I ruszyła szybko do domu.

Ale zaraz po wyjściu z technikum uświadomiła sobie, że nie ma się po co spieszyć. To ona chce uciec od samej siebie, niepokoi ją to wczorajsze spotkanie. Spotkała wczoraj przypadkiem na ulicy dawnego komisarza partyzanckiego Antonowycza. Okazało się, że mieszka w Korsuńskim, gdzie wiosną czterdziestego szóstego roku w jego sadzie płoszyli pieśniami słowiki. Bardzo się postarzał, zapuścił brodę. Spojrzał na nią krótkowzrocznymi oczami przez grube szkła, zastanowił się chwilę i zawołał: „Nino!” Dowiedziała się od niego o niektórych przyjaciółach z tamtych lat. Sarakozow pracuje w Moskwie, Wartanenko umarł, Kola Hracz też... A czy pamięta Harbowskiego? Był łącznikiem, utrzymywał kontakt z marjanowskim podziemiem. Ten, który spalił w miasteczku komendanturę Gebietskomi-

sariatu. Padały na niego podejrzenia, potem gdzieś znikł... A teraz zjawił się w tych stronach, okazało się, że walczył, ma odznaczenia... „A mimo to coś tam jednak z nim było — kończył swą relację Antonowycz. — Nie wierzyłem mu i teraz też nie wierzę”.

Pożegnała się z komisarzem, ale zabrała z sobą jego niepokój. Ktoś ich zdradził. Może właśnie ten Harbowski? Zresztą teraz to już nie ma znaczenia. Dawne sprawy nie wrócą, przelanej krwi nie można odkupić.

Weszła do mieszkania i poczuła się bardzo samotna. Pokój wydał się jakby obszerniejszy. Meble stały nieruchomo, też jakby osamotnione: niezgrabna serwantka, kupiona w komisie, krzesła tulące się do stołu. Wszystko z drzewa, z metalu, ze szkła... Nic żywego.

Na stole leży zapisana kartka. Nina domyśla się, że to od Hani. Łończyka nie ma, a więc Hania wyprowadziła się od niej. Spojrzała na niewprawne pismo, na stawiane z męką i wahaniem litery: „Droga Nino Wasylewno! Żeby pani wiedziała, jak mi ciężko... Tylko proszę nie myśleć, że winny jest Witia. Widocznie tak już było sądzone. Odnalazłam krewnego i u niego zamieszkałam. Wieczorem wpadnę po rzeczy. Pani oddana na zawsze Hania”.

Położyła kartkę na stole, niech tam sobie leży, niech będzie jeszcze jednym świadkiem jej samotności, jak ten stół, jak ta serwantka, jak ta kanapa. Im więcej rzeczy, tym większa ich obcość.

„Pani oddana na zawsze Hania”... Każdy chciałby wiecznej miłości, wiecznej wierności, wiecznego szczęścia. Nie wystarczy jednak tylko pragnąć tego szczęścia, trzeba umieć o nie walczyć, a kiedy trzeba, to i nadstawić głowy.

Letni wieczór rozbrzmiewał w dole radosnymi krzykami dzieci, śpiewami i śmiechem. Na sercu zrobiło się lżej. Jednak nie na darmo męczyli się wtedy w party-

zanckich kryjówkach i chodzili pod kulami. Wywalczyli szczęście pokojowego życia. Wszystkiego mają pod dostatkiem, ale nie potrafią tego uszanować, nie nauczyli się dotąd żyć spokojnie, bez nerwów, bez pośpiechu, bez kłótni. W czasie wojny było tylko jedno pragnienie: „Dożyć! Dociągnąć! Żeby jak najszybciej nastał już pokój...” A teraz patrzcie: ten rozwodzi się z żoną, tam sąsiedzi się kłóca, tu znów scysje z kierownictwem.

Trzeba nauczyć się cenić to wielkie dobro, jakie mamy: szczęście pracy, szczęście spokojnych nocy, ład serca. I trzeba by jeszcze nauczyć się odróżniać prawdę od fałszu. I żeby w pogoni za chimerami i mrzonkami nie rozminąć się na krętych ścieżkach życia ze swoim losem. Kiedyś, być może, pożałujesz, Witia, że nie zajrzałeś głęboko w serce i tak pochopnie zdecydowałeś się rozstać z Hanią. Wspomnisz syna, będziesz chwycił się przeszłości, ale ona nie wróci.

...Tej deszczowej nocy nie mogli uratować nikogo. Aresztowano prawie całe podziemie i tylko jej i Wali udało się cudem tego uniknąć. Uprzedził je Polak, Zbigniew Zagdański ze Śląska, młody furazer z intendentury niemieckiej, przystojny i budzący zaufanie, chudy chłopak. Jeszcze na długo przed aresztowaniami zaczął odwiedzać Ninę. Gościły go mlekiem i gotowanymi ziemniakami, a niekiedy i kieliszkiem pieprzówki; chłopak zrzucał z siebie znienawidzony płaszcz wojskowy i lekko podchmielony marząco wspominał swą ojczyznę, przedwojenne, pokojowe czasy, wakacje spędzane w Warszawie, napomykając ostrożnie o tych, którzy przebywają w nadwiślańskich lasach, walcząc z okupantem.

W tę noc, kiedy Niemcy mieli przeprowadzić operację przeciw partyzantom, Zagdański obiegł całą wieś, szukając „slicznej panny Ninki”. Dopiero po północy spotkał się w ciemnym zaułku z przyjaciółkami. Wala

na odgłos kroków wyjęła pistolet, ale Nina poznała „swego żołnierzyka”. Porozpinany, w zabrudzonym płaszczu, zlany potem stał przed nimi i ciężko od-  
dychał.

— Co się stało, Zbyszku? — spytała Nina.

Ochłonawszy nieco Polak zaczął opowiadać. W dużej stodole, gdzie ich zakwaterowano, grał dziś w wolnej chwili w karty z polskimi kolegami też wcielonymi na siłę do Wehrmachtu. Grali o pieniądze, spokojnie i ospale, byli tu sami swoi, dlatego czuli się tak jak gdzieś w rodzinnej, polskiej wsi. A potem przyłazł niemiecki szofer z żandarmerii polowej, dobrze już podпиты, i przyłączył się do gry. Walił mocno kartami o stół, klnąc jednocześnie swego szefa, starszego wachmistrza, i odgrażając mu się. Z pijackiego gładzenia kierowcy Zbyszek wyłowił powód jego złego nastroju: wolałby już raczej pójść na front, niż od zmierzchu do późnej nocy wywozić na glinianki kobiety i dzieci, słuchać ich jęków i przekleństw, patrzeć, jak wachmistrz z wściekłą furią depte zasypany dół; więc męczą później szofera żandarmerii polowej koszarne obrazy. Dlatego dziś, kiedy otrzymali rozkaz przeprowadzenia ekspedycji karnej przeciw partyzantom, on, Heinrich Korn, udał śmiertelnie pijanego i jakoś udało mu się wykręcić...

Gdy Zbyszek skończył opowiadać, oparł się bezsilnie o gruby pień wierzby.

— Pani mi nie uwierzyła — zaczął znów mówić, łkając. — Pani się mnie boi. Rozumiem. Ale musi pani natychmiast uciekać! Do lasu, do samego diabła nawet! Dużo Niemców przyjechało z miasta. Gestapo i żandarmeria polowa. Uciekajcie, błagam was!...

— Nie, Zbysiu — odpowiedziała Wala, opanowując strach. — Jeśli naszych aresztowano, my nie będziemy uciekać. — Wzięła chłopca za rękę, głos jej stwar-



dniał. — Chodźmy, Zbysiu... Trzeba coś wymyślić. Musimy znaleźć jakąś pomoc.

Potem szli lasem, wymiecionym przez jesienne wiatry, między nagimi, bezlistnymi drzewami, przez parowy i wądoły, w szarej, smętnej ciszy, wśród czujnego milczenia świerków i brzoź — póki Nina i Wala nie odnalazły wreszcie swoich. Kiedy wartownik przypro-wadził ich do obozu partyzantów, omal nie rozplakali się z radości i nerwowego napięcia. Znalazszy się na skrawku wolnej, prawdziwie własnej ziemi dziewczęta usiadły zmęczone na suchych liściach przy ognisku i cały ten koszmar, który ich nie odstępował, gdzieś jakby się nagle oddalił i przygasł.

Dowódca partyzantów, słuchając relacji Wali, skubał nerwowo gęstą, czarną brodę.

— Więc powiadasz, że o piątej będą ich wieźli?

— Korn wygadał się Zbyszkowi, że wieczorem mają być w mieście.

— Jeśli padnie podejrzenie na Polaka, mogą naszych rozstrzelać — dodał po chwili, w zamyśleniu grzebiąc kijem w ognisku.

Iskry wzbiły się w górę, ogień buchnął silniejszym płomieniem, różowy blask padł na surowe oblicze dowódcy. Był jeszcze młody, przed wojną pracował w szkole w Marianówce jako nauczyciel matematyki. Zdawało się, że nic go nie interesowało poza formułami matematycznymi, żył samotnie, ale gdy tylko wybuchła wojna, jako pierwszy we wsi zgłosił się do wojska, chociaż będąc chorym na płuca mógł skorzystać ze zwolnienia. Po pewnym czasie, późną zimą czterdziestego drugiego roku, zjawił się w tych stronach na czele niedużej grupy partyzanckiej.

— Jedyna możliwość to czekać na nich przy drodze — zdecydował po krótkim wahaniu. — Do wsi się

nie przebijemy, tam teraz Niemców jak psów. Możemy odbić naszych tylko tu, w lesie.

Cały oddział obsadził leśną drogę, wzmocniono przednie strażę, przygotowywano się do boju. Gdzieś po piątej, gdy niewiele już pozostało do zmierzchu, na drodze wiodącej do Gronostajowych Chutorów zawarzały motory, a po chwili partyzanci ujrzeli trzy samochody ciężarowe, kryte plamistym, ochronnym brezentem. Aresztowanych, jak poinformował Zbyszek, mieli wieź w pierwszym samochodzie, eskorta była w dwóch następnych. Słońce chyliło się już ku zachodowi, po zboczach biegły ruchome cienie ciężarówek, których szyby odbijały czerwienią skośne promienie. Żandarmi lękliwie spoglądali na boki z gotowymi do strzału automatami. Było ich sporo: barczyści, zażywni, o tłustych gębach. Jechali w pełnym napięcia milczeniu. Ciężkie wozy zaczęły wspinać się pod górę, motory zawyły głośniej. Więźniowie byli powiązani, w tyle siedzieli strażnicy ze skierowanymi na nich automatami i palcami na spustach.

Nina dostrzegła głowę Żadana, serce jej ścisnęło się z bólu. Zdawało się jej, że lufa automatu skierowana jest prosto w jego oczy. Mógł zginąć w pierwszej sekundzie, stać się pierwszą ofiarą ich akcji. Dlatego też wzięła na cel konwojenta, żeby na dany sygnał natychmiast wystrzelić.

Obok usadowił się z karabinem maszynowym młody partyzant Harkusza, nieco dalej widać niebieski berecik Wali, spod którego wymykają się kosmyki czarnych włosów. W rękach trzyma mocno karabin. Nina obawia się, że Wala nie wytrzyma nerwowo i wystrzeli, zanim padnie komenda.

Pierwszy samochód jest już całkiem blisko. Nina przyciska do policzka kolbę karabinu, czując drżenie ręki i zeszywniały palec na spuście. Drugi samochód

pozostał jakieś dwieście metrów w tyle, koła mieżą rozmokłą glinę, wóz nie może się wydostać z błotniste-go dołu. Za nim zatrzymał się trzeci samochód.

Był to najodpowiedniejszy moment.

I wtedy właśnie wypalił karabin Wali, chociaż, być może, wszyscy wystrzelili jednocześnie. I tak celnie, z taką dokładnością, że obaj strażnicy nie zdążyli nawet zipnąć. A ci z kabiny skoczyli w krzaki, ale i ich dopę-dziły partyzanckie kule.

Nina pamięta, jak wdarła się na nadwozie i pierwsze, co zobaczyła, to posiniaczoną, zniekształconą twarz Hrycia. Boże, co oni zrobili z człowiekiem! Jakby nie miał oczu, a zamiast ust czarną ranę. Zaczęła rozwiązywać więzy; nóż by się przydał, nie pomyślała o tym wcześniej... A nad głową już bzykały kule, ktoś jęknął i od razu zaterkotał za nią karabin maszynowy. Nina domyśliła się, że to Harkusza osłania ich akcję. Dzie-siątki niemieckich automatów z obu pozostałych samo-chodów prażyły do partyzantów, trzeba było jak naj-szybciej się wycofać.

— Harkusza, do kierownicy! — krzyknął dowódca.

Harkusza leżał na błotnistej drodze i ostrzeliwał fa-szystów.

— Harkusza, do samochodu! — powtórzył rozkaz dowódca.

Nina dostrzegła w tym momencie, jak Wala podbie-gła do Harkuszy, padła obok niego, przyciągnęła do siebie karabin maszynowy i ponaglała chłopca: do sa-mochodu, szybciej! Niemcy otaczali już pierścieniem miejsce akcji. Silnik zawył, samochód ruszył.

— Walusza, biegnij! — krzyknęła Nina.

Karabin zamilkł, ale Wala nie podnosiła się.

Nina zeskoczyła z samochodu i podbiegła do przyja-ciółki leżącej twarzą do ziemi.

Wokół szalało piekło ognia. Ktoś uderzył ją kolbą

w plecy. Drzewa zachwiały się jak podcięte, niebo było niskie i ciemne. Nina dostrzegła jeszcze nadwozie swojego samochodu i zdawało jej się, że doleciał stamtąd krzyk. Daleki, głuchy krzyk jak we śnie. Ziemia pod nią rozmiękła, myśli rwały się spazmatycznie i wszystko wchłoneła dzwoniąca, gorąca cisza.

Po rozmowie z ojcem i złożeniu przez Hanię podania o zwolnienie Wiktor przesiedział cały dzień w gabinecie. Nikogo nie przyjmował, jest zajęty. Ludzie zresztą jakby wyczuli jego nastrój, bo go nie nachodzili. Pod koniec zmiany wynikła co prawda scysja z technologiem, ale szybko i rzeczowo ją rozładował. A w ogóle to jakie mogą być spięcia z podwładnymi? Rozkaz — i koniec. On, Wiktor Żadan, nie będzie tolerował samowoli. Potrafił jednak osadzić tego pyskatego inżyniera bez zbędnej gadaniny i wyjaśnień. Niech sobie myśli, co chce, ale ogniwa o grubości jedenastu milimetrów nie weźmie żaden frez, niech więc postara się o takie odkuwki, jakie są potrzebne na oddziale. Wszystko musi się kręcić zgodnie z planem. Żelazny porządek we wszystkim, żadnego pobłażania!

Poprawiły mu trochę nastrój dziewczęta z tokarskiej linii, z którymi Wiktor od pierwszej chwili znalazł wspólny język. Zlecił im robotę na trzy zmiany, a one zamiast odmówić przyjęły to z entuzjazmem. Poczucie godności robotniczej! Takie nie pójdą ze skargą, że zmusza się je do czegoś lub naraża na materialne straty. „Jak trzeba na trzy zmiany, to będziemy pracować od rana do rana. I zamówienie będzie jutro wykonane”. Tak powiedział starszy majster Suchołapka. „Co do tego nie powinien mieć pan żadnych wątpliwości, Wiktorze Hryhorowiczu” — zapewniał szefa.

Odczuwał jednak jakiś gorzki osad w sercu. No tak,

nie ma Hani. Porzuciła fabrykę. Powinien właściwie cieszyć się z tego, a tymczasem opanowywał go jakiś niejasny, chłodny lęk.

Nonsens, uspokajał sam siebie. Nie wolno tracić energii na drobiazgi. Najważniejsze, żeby być pożytecznym dla społeczeństwa, no i pewnie piąć się w górę. Ma niewyczerpane siły i głowę na karku. Tylko śmiało, nie oglądać się do tyłu. Wykoncypował właśnie cały system przebudowy technologicznej struktury oddziału. Trzeba przede wszystkim wzmocnić dyscyplinę i wprowadzić naukową organizację pracy. Potem pójdzie jeszcze dalej: wdroży elektronowy system obrachunku, ewidencji i kontroli, trzeba będzie koniecznie zainstalować komputer w dyspozytorni, dyrektorski pulpit zarządzania, tablicę przy każdym warsztacie, sygnalizację... A jeszcze magazyn gotowej produkcji, a unifikacja detali w granicach fabryki (podrzucić tę ideę Suworinowi). Towarzysze, dajcie Wiktorowi Żadanowi pole do działania, pomóżcie mu rozwinąć skrzydła, a rozślawi waszą fabrykę. Krocźcie śmiało naprzód razem z nim!

No i w życiu osobistym też warto by znaleźć jakiś przyzwoity modus. Ciężko jej? Komu teraz nieciężko? To nawet dobrze, że poszła z fabryki, bo położy to kres plotkom i obmowom. Wszystko wróci na swoje miejsce. Odeszła i kwita. Jej będzie lżej, a i on również ma łatwiejszą sytuację.

Nie było mu jednak ani lżej, ani łatwiej. Myśl powracała ciągle do stojącego samotnie, osieroconego warsztatu, milczącego wśród fabrycznego zgiełku. Jak gdyby pozostało coś tam z Hani ciepła, z jej serca, z jej oczu. Hryhory Łukycz też usiłował przemykać się bokiem, ale jemu również było ciężko. Po obiedzie przypomniał synowi, że wieczorem muszą pójść do Niny Wasylewny. Nie o ślub zresztą chodzi, trzeba

w ogóle porozmawiać o życiu Hani, o tym, jak jej pomóc.

Wiktor wyszedł z fabryki bez ojca. Chciał zadzwonić do Zoi Kindratowny, podziękować jej za zaproszenie. Teraz, w kilka dni po zawarciu z nią znajomości, nie wydawała mu się już tak pociągająca jak pierwszego wieczoru, myślał o niej spokojnie, nawet z lekką ironią. Królowa sceny! Strzeżcie się jej uroku!...

Letni dzień buchał jeszcze żarem. Ludzie z upragnieniem oczekiwali wieczornej ochłody. Zaraz za portiernią zobaczył przy domu kultury afisz z nazwiskiem Wasyla Mostowego. Podszedł bliżej. Ach tak, wystąpi w ich fabryce. Poeci idą do mas. Nieźle...

Na schodach przed wejściem stało kilku młodych robotników. Wiktor rozpoznał wśród nich sekretarza komsomołu Szyjkę. Operatywny chłopak, na wszystko znajdzie czas i wszędzie zdąży. Przyszedł chyba posłuchać poety.

Chciał już przejść mimo, ale Szyjka, ujrawszy go, szybko zbiegł po schodach.

— Przepraszam... Nie mogłem nigdzie was złapać. Pozwoliliście Czepurnej odejść. Jakże to tak? Była członkiem komitetu, aktywistką...

— U nas jest wiele aktywistek. I bardzo dobrze — odpowiedział sucho Żadan. — Nie będziemy nikogo zatrzymywać siłą.

— Proszę wybaczyć, Wiktorze Hryhorowiczu, ale trudno uwierzyć, że Hania bez powodu opuściła fabrykę. Podobno Zaliski ją obraził. Może właśnie przez to odeszła?

— Zaliski wypełnia sumiennie swoje obowiązki — próbował wziąć w obronę zmianowego majstra. — Bardzo sumiennie — dodał po chwili. — Szkoda, że nie jesteście po jego stronie. I w ogóle dajcie wreszcie spo-

kój tym scysjom. Jesteście sekretarzem komsomołu, trzeba młodzież jednoczyć...

— Jak z takim się jednoczyć? We wszystkim widzi tylko własny interes, wszędzie szuka wygody. I w dodatku fircyk. My takich nie lubimy.

— My, to znaczy kto?

— No wszyscy, cały kolektyw.

— To dobry majster, rozślawił nasz oddział we współzawodnictwie.

— On nas jeszcze nie tak rozślawi... — Szyjka przeszedł na poufny ton. — Dziewczęta chciały już pisać do gazety, że je napastuje, zaciąga do siebie i w ogóle — sekretarz machnął ręką. — Chodźmy lepiej posłuchać Mostowego.

Drzwi do sali bibliotecznej były uchylone i Żadan od razu spostrzegł Wasyla: stał przy stole, trzymając w rękach mały tomik. Głos miał cichy, nieco monotony w swej śpiewności, z nutą smutku. Wiktor pogrzyżył się z miejsca w smętnych horyzontach poezji Wasyla. Rozwiały się codzienne troski, ogarnął go nastrój domowego zacisza i spokoju. Przymknął oczy i słuchał jak we śnie, samotny, daleki od codzienności od ludzi, nawet od siebie.

Tylko myśl o Hani nie opuszczała go. Okazuje się, że cenią ją w kolektywie, sekretarz komsomołu wystąpił w jej obronie. Szczęście, że nie zna całej prawdy. Teraz już za późno ją ujawniać. To cała historia... Oczywiście mówiąc szczerze postąpił, no, może nie podle, ale jakoś nie po męsku. Moraliści od razu przyczepiliby mu etykietkę. Że nie po rycersku, że wobec takich ludzi należy stosować najwyższe kryteria moralne... Wyobraził sobie, jak u Niny Wasylewny zmywają mu teraz głowę. Ale wieczorem udowodni im, że nie zrobił nic podłego. Teraz już sam przyniesie szampana.

Korek wystrzelił i... Ciekawe, jaka będzie reakcja? „Musisz zrozumieć, Hanusiu, że nie mogłem inaczej. Pozwól ucałować twoje rączki. Czy Łończyk może jeść słodczyce? Nie? No to poczęstuj się sama. Bardzo smaczna czekolada”.

Skrzypnęły drzwi, weszła dyżurna, chuda kobieta w białej chustce, rozejrzała się po sali. Ujrzawszy Żadana, przywołała go skinieniem. Jest list do niego; na niebieskiej, zaklejonej kopercie widniał adres: Żadan Wiktor Hryhorowicz, kierownik 20 o.

Do rąk własnych. Od kogo? Wpadł jakiś chłopaczek, rzucił kopertę na stół, nie mówiąc, kim jest.

— Dziękuję — szepnął Wiktor.

Wrócił na miejsce, spojrzał raz jeszcze na list. Jakiś chłopaczek... Dziwne. Rozerwał nerwowo kopertę, wyjął arkusik, przebiegł go oczyma, przeczytał powtórnie. Wasył właśnie skończył recytować, rozległy się oklaski. Wiktor wstał pierwszy, wyszedł na gwarną ulicę, w różowość ciepłego wieczoru. List parzył mu palce, ale niósł go dalej, jak gdyby ból, który sam zadał, sprawiał mu rozkosz. List był krótki: „Może pan być zadowolony, że Czepurna odeszła. Uchroniło to pana od kompromitacji. Ona kocha innego”.

To wszystko. Bez podpisu, anonimowo, ze złośliwą satysfakcją w podtekście.

Wreszcie zdecydował się na podarcie listu, wrzucił go do kosza na śmieci. Odczuł ulgę. No i dobrze. Niech sobie ma nawet stu innych. Właściwie to wszystko jest w porządku. Na jakiej podstawie wyobraził sobie, że ona pragnie jego miłości, usankcjonowania ich stosunku, dybie na jego wolność. Ogarnęła go beztroska wesołość. Kocha innego? Wspaniale, cudownie! Niech kocha, na zdrowie, niech zakłada rodzinę. Śmiał się teraz głuchym, wewnętrznym śmiechem, z jakąś mściwą satysfakcją. Teraz był nawet skłonny litować się nad



samym sobą, nad swoją rzekomą krzywdą. Skrzywdzono jego, Wiktora Żadana! Poczul przyływ gniewu. No cóż, zasłużył na to, z tchórzami zawsze tak bywa. Ale mimo wszystko pójdzie tam dziś, postawi szampana, da dziecku cukierki (kupi najdroższe) i wtedy — koniec! Mość swoje gniazdko, przelotna ptaszyno!

Z biblioteki zaczęli wychodzić uczestnicy wieczoru poetyckiego. Wyszedł również Wasyl. W czarnym garniturze o zbyt szerokich spodniach, twarz obrzękła, chorobliwie blada. Nie mógł uwolnić się od tłumy słuchaczy, ciągle jeszcze podpisywał swoje tomiki, rozmawiał, uśmiechał się uprzejmie. Robisz się sławny, bracie! Na twarzy wyraz świadomej godności, a jednocześnie cierpliwość i skromność. Zauważył jednak swego dawnego przyjaciela, zostawił wszystkich i podszedł do niego.

— Czemu stoisz jak pomnik epoki? — objął Wiktora ramieniem.

— Sam pnie się na piedestał, a mnie wymyśla o pomników!

Wasył szczerze się ucieszył tym spotkaniem, co sprawiło Wiktorowi przyjemność. Ruszyli ludnym bulwarem, rozmawiając o literaturze. Jaki właściwie był charakter tego wieczoru? Mostowy wyjaśnił, że przy fabrycznym domu kultury pracuje klub artystyczny, w którym zbierają się miłośnicy poezji, muzyki, architektury, teatru, filmu. Czytają swoje utwory, a zdarza się, że krytykują nawet uznane znakomitości. U nas ludzie wygadani, nie dadzą się zapędzić w kozi róg.

— Szukasz nowych kadr poetyckich?

— Trafiają się tu zdolni ludzie. Nie to jest jednak najważniejsze. Chodzi o to — kontynuował po chwili namysłu — żeby zaszczepić w robotnikach poczucie dobrego smaku, wyrobić w nich wymagania estetyczne. Dlatego uważam, że poezja winna trafiać jak najszerzej

do mas. Nie jest to tylko hasło retoryczne. Bliskie kontakty z poezją wzbogacają duszę. Człowiek wyrabia w sobie potrzebę obcowania z pięknem, szlachetnieje, oczyszcza się z banalnych nawyków codzienności. Obcujący z poezją robotnik spotykając się z towarzyszem używa w rozmowie poprawnych i ładnie brzmiących słów, z wykonawcy zmienia się podczas pracy w artystę, twórcę. Pragnie we wszystkim doskonałości, odczuwa organiczną potrzebę upiększania swego otoczenia i utrzymywania go w czystości, pragnie, by każdy wykonany detal przypominał małe arcydzieło.

Po tej długiej tyradzie Wasyl jakby nią zmęczony zamilkł na chwilę. Wieczór zakradał się cieniami przez szpary pod bramami, przez okna, pod namioty drzew. Muzyka wielkiego miasta łagodniała i zagęszczała się szeptami, neony wciskały się natrętnie w pociągający tajemniczością mrok.

— Zazdroszczę poetom — powiedział Wiktor tonem myśliciela, rozpoczynającego polemikę. — Laciecie sobie nad ziemią jak motyle. Szukacie piękna, dostrzegacie tylko piękno.

— A wy? — Mostowy gwałtownie zwrócił do niego pełną twarz.

— To nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać. Zanim zaczniesz się uprawiać piękno, trzeba wpiery przygotować odpowiedni grunt.

Mostowy nie odpowiedział. Szedł długo w milczeniu zamyślony, z opuszczoną głową, pogrążony w zagadkach swej duszy. Potem zaczął mówić szybko, z pasją o własnym rozumieniu piękna i o dialektyce tego, co piękne. Wiktor nie ma racji, kiedy pomawia poetów, jakoby bujali nad kwiatkami zapominając o ziemi, która daje tym kwiatom siłę i pożywienie. Uroda kwiatnych płatków powinna interesować artystów ornamentalistów, prawdziwych poetów natomiast po-

ciąga przede wszystkim piękno ludzkich uczuć, pragnień, dokonań.

— Kiedyś John Bernal powiedział — kontynuował po chwili milczenia — że przez całe jego życie bodźcami do pracy były trzy pasje: pasja piękna, pasja poznania i pasja tworzenia dobra. To jest chyba to najważniejsze, dla czego warto żyć.

— Znów przemawia przez ciebie poeta.

— Daj Boże, żeby poetów było jak najwięcej! — Wasyl uśmiechnął się delikatnie, jakby właśnie w tym momencie ujrzał kwiat serca, o jakim zawsze marzył. I wydobywając się nagle z zamyślenia spojrzął na Wiktora z szelmowskim uśmieszkiem. — Zagadaliśmy się i omal nie zapomniałem przekazać ci zaproszenia. Zoja Kindratowna przekracza dziś entą granicę wieku i z tej okazji prosi na przyjęcie.

— Wiem.

— O, masz już własne kontakty.

— Po linii służbowej, nic więcej.

— No więc jak, pójdziesz?

— Zobaczymy. Mam jej telefon.

W głosie Wiktora wyczuwało się wahanie. Ciągłe nie mógł się zdecydować: zatelefonować czy nie? Ale dla czego właściwie miałby nie zadzwonić? Po ujawnieniu pewnych szczegółów z intymnego życia panny Hani powinien przecież jakoś uczcić zerwanie tych więzów.

— No to czekamy na ciebie — zakłócił jego rozmyślenia Mostowy. — Pójdziemy razem od nas.

— Nie wiem... Jeśli mi się uda urwać z roboty, to przyjdę...

Na wszelki wypadek zapisał adres Zoi. Ale wciąż jeszcze się wahał. I nawet gdy już został sam, w dalszym ciągu roztrząsał tę sprawę: pójść czy nie pójść? Jak trudno niekiedy dojść do ładu z samym sobą! Ha-

nia... Zaliski... W myślach chaos, w sercu chaos. Starożytni radzili, by poznać samego siebie. Jakie to proste. I jak niewiarygodnie skomplikowane!

„Jest! — zdecydował się wreszcie. — Jest trzecie wyjście. Kompromisowe. Tylko nie trzeba obawiać się banalnych słów. Pójdzie do Hani, a później zdąży jeszcze złożyć solenizantce życzenia”.

Nina Wasylewna czekała na gości, obserwując z balkonu gwarne podwórze, na którym dzieci biegały po alejkach między huśtawkami, dużymi grzybkami i ławkami; słychać było pobrzękiwanie gitar i jakąś beztróską, skoczną piosenkę.

Przyszedł Hryhory Łukycz. Już na progu spytał o Wiktora. Mieli wspólnie porozmawiać.

— Nie było nikogo. Napijesz się herbaty? — spytała Nina z jakąś już nawet nie kobiecą, lecz siostrzaną troskliwością.

Odparł zmęczonym głosem, że wolałby coś konkretniejszego, od śniadania jest na nogach. Aż wątroba się odezwiała... Zawsze gdy tylko się zdenerwuje albo się przemęczy, to od razu daje znać o sobie.

No cóż, ma już swoje lata, na skroniach siwizna... Jak bardzo się zmienił od tamtych czasów. Pamięta, jak w Marianówce, kiedy walczyli z hitlerowcami, sam jeden chodził „zdejmować” ich patrole. Może i teraz ma jeszcze siłę w rękach, ale oczy już nie te, przygasły. I jakby nieco zmalął. Dlaczego tak się dzieje: człowiek starzeje się i staje się jakby mniejszy? Ciągnie do ziemi. Widocznie przenika stopniowo do swej wieczystej siedziby.

W korytarzu rozległ się dzwonek, Hryhory Łukycz słyszy Hani głos i rozpoznaje poza tym głos lotnika

Palijenki. Przyszli razem? Dlaczego? Kiedy zdążyli się poznać? Oficerska przedsiębiorczość i natarczywość... Hania też chyba w lepszym nastroju. A oni tak tu nad nią rozpaczali...

Hania przywitała się powściągliwie z Hryhorym Łukyczem i przeszła do drugiej izby. Ma tam swoje rzeczy, chce je zabrać i właśnie po to przyszła. Nina poprosiła Palijenkę do kuchni i o czymś z nim rozmawiała. Przewyższał ją prawie o głowę. Słuchał jej uważnie, uprzejmie się uśmiechał, jego postawa wyrażała szacunek dla rozmówczyni. Powiedział Ninie, że Sokił zadzwonił do niego, iż Hani trzeba jakoś pomóc. Więc przyjechał akurat wtedy kiedy Hania, spotkali się przed domem. Poprosiła go, żeby zniósł jej walizkę, podobno chce się gdzieś przeprowadzić.

— Niech ją pan odprowadzi — poprosiła Nina, biorąc Palijenkę za obie ręce i ściskając je błagalnie. — To wspaniała dziewczyna. Pan nawet nie wyobraża sobie, co to za wspaniały człowiek!

Nie trzeba go było przekonywać. Gdyby Nina Wasylewna wiedziała, ile on przemyślał w ciągu tych dni, ile razy, nawet podczas lotów, w jakimś dalekim rejsie, sam na sam z maszyną, zagubiony na podniebnych szlakach przyłapywał się nagle na myśli, że jednak nie jest sam, że ona znajduje się gdzieś blisko, jakby obok niego, i nie taka jak wtedy, chłodna i niewrażliwa, ale ta wymarzona, pożądana... Oczywiście kiedy jest się tam, w górze, w ustawicznym napięciu, nie czas na marzenia; te zwidzenia były jak błysk ognia, jak iskra. Uderzą w piersi i ciepło przenika całą jego istotę. Ona jest! Jest gdzieś tutaj...

To jego tajemnice, jego młodzieńcze upojenia (ładny mi młodzieniec pod trzydziestkę!), natomiast rzeczywistość jest nieco bardziej prozaiczna, więc Palijenko wstydząc się udaje obojętną uprzejmość człowieka za-

przątniętego swoimi służbowymi sprawami. Po wysłuchaniu Niny Wasylewny przyrzeka pomoc Hani, w czym tylko będzie mógł.

Wrócili do pokoju. Hania stała już spakowana obok stołu.

— Dlaczego tak się spieszysz, Haniu? — spytała Nina z zakłopotaniem. — Jewhenie, napije się pan z nami herbaty. Czyelnicy się tu porozsiadali — zwróciła się z żartobliwą wymówką do Hryhorego Łukycza, który przeglądał gazetę. — A na drogę nie grzech coś mocniejszego od herbaty. Hanusiu, podaj kieliszki. Jewhenie, proszę odkorkować butelkę.

Hryhory odkłada gazetę, chowa do kieszeni okulary, obejmuje chmurnym spojrzeniem Palijenkę i Hanię. Spodziewał się innego gościa. Nie ma Wiktora. I nie ma szampana i kwiatów, tak jak się umówili. Siedzi natomiast ten skromny oficer i Hania jakaś spokojna, nawet jakby zadowolona, nie widać na jej twarzy żadnego bólu. Cieszy się naprawdę czy też udaje?

— Hanusiu — mówi ostrożnie Nina, rozstawiając talerzyki — wiem, że ci teraz ciężko. Ale nie zapomnij, że jesteśmy dla ciebie jak rodzina. Gdzie będziesz mieszkać, to oczywiście twoja sprawa...

— U krewnego ojca z Marianówki. Może państwo słyszeli nazwisko Haładij?

— To brat Mykyty Haładija — wyjaśnia Hryhory Łukycz.

— Młodszy brat, prawda? Bo Mykyta zmarł jeszcze przed wojną.

— Jest kierowcą taksówki — dodała Hania, zadowolona, że i Hryhory Łukycz, i Nina Wasylewna przypomnieli sobie Haładija. — No więc nie wybieram się do obcych.

— Szkoda, żeś rzuciła fabrykę — mówi Nina.

— Tak trzeba... — Hania lekliwie i z poczuciem

winy zerknęła na Żadana. — Hryhory Łukycz miał przeze mnie nieprzyjemności. I Oksana, i Wiktor...

— To wszystko głupstwa — zauważył Żadan. — Jakoś się ułoży. W pracy różnie bywa... — zamilkł i zamyślił się.

Wiktor! Palijenko dopiero teraz zorientował się, o co chodzi, i zrobiło mu się strasznie głupio. Jak on śmiał przyjść do tego domu? Wiktor Żadan, syn Hryhorego, powinien teraz zamiast niego siedzieć tu przy stole. Prawda poraziła go na chwilę. Lepiej byłoby jej nie poznać, bez niej miałyby jeszcze nadzieję na to swoje szczęście.

Oto dlaczego Wiktor tak się zachowywał po tym koncercie. Palijenko wszystko sobie przypomniał i zrekonstruował. Oni tu są sobie bliscy, krewni, przeżywają jakoś razem wspólne zmartwienie, chcą, by wszystko było jak dawniej... I tylko on, nie wiedząc o niczym, wdepnął tu jak Piłat w credo. Jego rola to bagażowy. Walizka w rękę — i niczego więcej nie można się spodziewać.

To jasne, że zebrali się tutaj, by się pogodzić. Rada familijna, można rzec. Zaraz przyjdzie Wiktor, powie swoje decydujące słowo, i Hania, szczęśliwa, wróci do niego. Tak zresztą powinno być.

— Wszystko jakoś się ułoży — powtórzył Hryhory Łukycz. — Masz otrzymać pokój w domu fabrycznym. Jesteś przecież pierwszą solistką w naszym chórze. Nawet dyrektor cię zna. Pyta mnie kiedyś: dlaczego wasza Czepurna tak rzadko występuje na koncertach, to zdolna dziewczynka, powinna się kształcić. A ja mu na to: ta dziewczynka ma już trzyletniego syna... Umyślnie mu to powiedziałem, żeby przypomnieć o mieszkaniu. No i nie zapomniał, wstawił cię na jedną z list.

Hania w milczeniu mieszała herbatę. Potem spojrze-

ła na Hryhorego Łukycza i na Ninę Wasylewną i nagle oczy jej rozbliły.

— Wczoraj Lończyk po obudzeniu się przybiega boso do kuchni i mówi do mnie: „A mnie się śniły białe gęsi! Takie jak u babuni... Bielutkie, bielusieńkie... I miały na skrzydłach zielone piórka”.

— Gęsi śnią się przed drogą — westchnęła Nina.

— Pojedziemy do Marianówki — powiedziała Hania i posmutniała.

Widocznie rana niezupełnie jeszcze się zagoiła. Palijenko odczuł to, spojrzął na zegarek. Czy nie czas na nas?

Istotnie było późno. Hania wstała, rozejrzała się po pokoju i bez słowa wyszła. Palijenko wziął walizkę, pożegnał się i ruszył za nią. Hania zatrzymała się w ciemnym przedpokoju i przypadła twarzą do ramienia Niny Wasylewny.

— Dziękuję za wszystko. Za wszystko, za wszystko... Potem zajrzała jeszcze do pokoju.

— Nie róbcie Witii wyrzutów — powiedziała szybko. — Niech żyje szczęśliwie.

Jeszcze raz objęła Ninę, ucisnęła rękę Hryhoremu i zbiegła po schodach za Palijenką.

W niepewnym nastroju Wiktor zbliżał się do domu Niny. Jakby mu ulżyło, ale jednocześnie było jeszcze ciężiej, niepokój jego wzrósł.

Typowy dom z niebieskimi osłonami na balkonach, obsadzony wokół młodymi topolami. Przed bramą stare kobiety z zachłanną uwagą obserwują przechodniów. Z jasno oświetlonych okien wypływa muzyka, rozlewając się szeroko; aż tu, na dole, słyhać, w jak dobrym nastroju są ludzie.



Chciał spuścić windę, ale w ostatnim momencie rozmyślił się. Jakiś profesor radził, by do piątego piętra chodzić piechotą, zwłaszcza po czterdziestce, w wieku, jak to mówią, sklerotycznym. Jemu co prawda jeszcze do tego daleko, warto jednak posłuchać profesora. Trzeba utrzymywać się w formie.

Ruszył schodami w górę. Tknęło go jakieś przecucie, nakazujące czujność. Długo jednak idzie się po tych schodach. Dawniej ludzie nie znali wind i nie potrzebowali ich. Trenowali serca, trenowali nerwy. Nagle doleciała go z góry rozmowa. Poznał głos Hani. I jeszcze jakiś inny: „Bądź zdrowa!” Trzasnęły drzwi i na schodach rozległ się drobny tupot obcasów, Wiktor stanął, zaczął nasłuchiwać. Ktoś jeszcze szedł za nią ciężko, słyszał urywane słowa i śmiech.

I wreszcie zobaczył ich: Hania, a za nią ten kapitan. Tak, to lotnik Palijenko. Zdawało mu się, że Hania cofnęła się nieco na jego widok, w oczach pojawił się lęk, ustąpił miejsca zdziwieniu, a wreszcie zamigotały w nich jakby iskierki triumfu. Uniosła wyżej głowę i wyprostowana przeszła obok niego. Gdy go mijała, odczuł jej nerwowe napięcie, przejawiające się w jej postawie i zbyt szybkiej rozmowie z lotnikiem. Kiedy się oddalili, Wiktor westchnął ciężko i zwolnił kroku. Tak, przyjacielu, przyroda nie znosi próżni, wszystko dąży do pełni, do harmonii. „Przystojny chłopak — pomyślał nie bez zazdrości. — Niech będą szczęśliwi. Życzę im jak najlepiej”.

Ogarnął go jakiś dziwny popłoch. Wyobraził sobie spotkanie z ojcem, ceremoniał przedstawienia go Ninie Wasylewnie i rodząca się niechęć do złożenia tej wizyty zmieniała się w protest (po jakiego licha ma iść na ten ich sąd?), i nagle się zdecydował: nie pójdzie!

Życie za nich zadecydowało. Nigdy nie trzeba się spieszyć. Należy tylko uzbroić się w cierpliwość,

a wszystko samo się ułoży. On właśnie zdobył się na to i teraz chyba znalazło się rozwiązanie, jest wolny. „Strony osiągnęły całkowitą zgodę” — powiedziała by prawnik.

Przypomniał sobie Łehkostupa, Zoję Kindratowną, wyraźne aluzje, własne nie w pełni uświadomione oczekiwanie czegoś bardzo pożądanego, podświadomą tęsknotę za wolnością, za zerwaniem krępujących go więzów. Boże, jak łatwo pozbył się tego wszystkiego! A tam solenizantka pewnie nie może się go doczekać. Musi pójść do niej, skoro obiecał.

Nie zdążył już zatelefonować. Zatrzymał taksówkę i pojechał do Zoi.

No i tak, towarzyszu Palijenko, zdarzają się wręcz baśniowe metamorfozy. Spodziewałeś się wszystkiego najgorszego — i nagle: „Żenia, proszę mnie odwiedzić do nowego mieszkania”. Mógł co prawda domyślać się, że w tym dramacie Hani przypadła mu niezbyt pociągająca rola, ale kto wie, wszystko może się zdarzyć.

Tymczasem Hania milczy w taksówce, jakby obawiała się jego pytań, jego ciekawości. Ale on jest dyskretny. Jeśli ona ma swoją tajemnicę, to niech z nią żyje. Być może kiedyś sama wszystko mu opowie. Jeśli oczywiście nie pogodzi się z Wiktorem. Palijenko wiedział, jak kończą się często takie rozstania i ile pragnień i tęsknot mieści się pod maską nieprzejednanej wrogości. Wyobrażał sobie stan ducha porzuconej kobiety, pełne czujnego napięcia oczekiwanie, głęboko ukrytą wiarę w powrót szczęśliwej miłości.

Jechali długo. W jakimś miejscu naprawiano szyny tramwajowe i trzeba było jechać okrężną drogą. Siedząc w ciemnym samochodzie, połączeni kapryśnym przypadkiem, czujni w swej nieufności, wsłuchani we

własne myśli — Hania i Palijenko też jakby zaczynali nową drogę w swym życiu i ten nie przewidziany objazd nie tylko nie był dla nich uciążliwy, ale chyba stanął u narodzin niezwykłej, przez nich samych jeszcze nie uświadomionej tajemnicy, która była już im obojgu droga.

— To wspaniali ludzie — powiedział cicho Palijenko.

Hania zrozumiała, o kim mówił, więc tylko uściśniła mu rękę; Palijenko uświadomił sobie teraz jeszcze wyraziściej, jak ciężko jej było odjeżdżać od tych ludzi w mrok nocy, porzucić ich dom, ich gościnność, i w obawie, by nie zadać jej bólu, też milczał, oddając jedynie uścisk dłoni, jakby chciał tym wyrazić swą solidarność z nią i zrozumienie dla jej przeżyć i jej sytuacji, jak również uczucia dla bliskich jej osób. Przypomniały mu się słowa Niny Wasylewny: „Niech jej pan towarzyszy”. Wyczuł w nich teraz grożące Hani niebezpieczeństwo oraz ryzyko jakiejś decyzji, którą podjęła lub też zamierza podjąć. I wreszcie zdecydował się. Bez ogródek spyta ją o wszystko. Zbyt daleko zajęchali tym samochodem, zbyt wiele mroku ich otaczało. Ujął jej obie dłonie, odwrócił jej twarz do siebie i...

— Zdaje się, żeśmy przyjechali — powiedział ochrypłym głosem taksówkarz. Wyrzwał przez okno, coś tam zauważył na płocie, potem zwrócił się do pasażerów. — Proszę pozdrowić Haładija. Od Tolka z trzeciego parku maszynowego.

— Może pan wstąpi na chwilę do niego — zaproponowała Hania.

Taksówkarz kiwnął przecząco głową, wyłączając licznik. Ma jeszcze sporo z dziennego planu do wykonania. A Haładija zna już dawno i prosi, żeby koniecznie przekazać mu pozdrowienia.

Oto i Haładij. Dobry i serdeczny, chętny do pomocy

i uczynny dla każdego, kto ma jakieś kłopoty, ten sam kierowca, który wtedy w nocy okazał się krewnym ojca Hani. Jeszcze wczoraj odnalazła jego dom (całe szczęście, że zachowała się kartka z jego adresem) i spytała go wprost, czy może u nich zamieszkać, wynajmując pokój lub nawet tylko jakiś kątek dla siebie. Odpowiedział jej, że może mieszkać tak długo, jak zechce, a o zapłacie niech nawet nie myśli, bo kto w takiej sytuacji miałby sumienie brać od niej pieniądze.

Palijenko i Hania zatrzymali się przy furtce. Za ciemnymi gałęziami drzew ledwie majaczy czerwony dom, nad numerem pali się żarówka, w oknach żółte światło. A więc jeszcze nie śpią.

Hania zastukała. Otworzył sam gospodarz, tęgi mężczyzna w kraciastej koszuli z gazetą w ręku. Spojrzał na Hanię spod okularów, wziął od Palijenki walizkę i zaprosił gości do wnętrza. W dużym pokoju siedziało kilka kobiet, bursztynowe szklanki z herbatą jarzyły się na obrusie jak lichtarze, lśniły srebrem łyżeczki. Hania i Palijenko byli nieco speszeni tym, że zakłócili rodzinny spokój. Wszyscy nagle umilkli, przerywając prowadzoną rozmowę; kilka par ciekawych oczu wpiło się w Hanię i kapitana.

Haładij zaniósł do drugiego pokoju walizkę Hani i wrócił po chwili, trzymając za rękę Lończyka z zaczerwienionymi od płaczu oczami.

— Tak wygląda nasze mieszkanie — gospodarz wykonał odpowiedni ruch ręką, zwracając się przede wszystkim do Palijenki. — Może herbaty?

— Nie, dziękuję — odparł powściągliwie lotnik, dostrzegając od pierwszej chwili zakłopotanie gospodarki, i znów odczuł niezrozumiały lęk.

Hania pieściła Lończyka, szepcząc mu coś do ucha. Dziecko napłakało się bez matki, zmarniało, główka mu

opadała, powinno już dawno spać, a trzeba jeszcze je wykąpać i nakarmić. Palijenko poczuł się tu zbyteczny. Kobiety też patrzą na niego zezem, właściwie nie wiadomo, kim on jest, lepiej, jeśli się wyniesie jak najszybciej i nie będzie drażnił ludzi swoimi oficerskimi szlifami i wojskowym drylem. Ale trwożne przecucia nie opuszczały go, bał się pozostawić Hanię samą. Jakies dziwaczne jest to mieszkanie: i te kobiety siedzące przy długim stole, i ta stęchlizna obok bijącej w oczy czystości, wręcz sterylnej, jakby to było nie mieszkanie dla ludzi, lecz jakieś małe, prowincjonalne muzeum.

Palijenko włożył czapkę. Nie pozostawało mu nic innego jak się pożegnać. Hania wyszła za nim. Stanęli na chwilę na wąskiej ścieżce między gęstymi krzakami bzu. Drzwi były uchylone i słychać było znowu gwar; doleciał też głos Lończyka, który wołał mamę.

— Przepraszam... to ja już pójdę — powiedziała Hania.

— A jutro? Może się spotkamy? — odważył się Palijenko zatrzymując jej rękę w swojej dłoni, miał bowiem świadomość, że jest to ostatnia szansa przeszkodzenia czemuś, wstrzymania czegoś. — Przyjadę po panią... Zabierzemy oczywiście Lończyka...

— Nie, nie! — zawołała spłoszona Hania. — Proszę już iść. Długo tu nie pomieszkam. Dziękuję panu... Do widzenia!

Wróciła do domu, oparła się plecami o drzwi. Lończyk jeszcze płacze? Zaraz mu przejdzie. Teraz wszystko po nowemu, nie tak jak dotychczas... Przeciąć to od razu, bezpowrotnie, żeby nie pozostał żaden ślad!

Weszła do mieszkania. Haładij trzymał na rękach Lończyka, zabawiając go. Przy stole krzątała się żona Haładija, cicha, gładko uczesana kobieta.

— Dlaczego nie jecie, siostrzyczki? — zwróciła się

do kobiet płaczkliwie. — Haniu, chodź też do stołu. Nastawię jeszcze czajnik. Posiedzimy, porozmawiamy. A to — zwróciła się do kobiet — córka Petra z Marianówki. Urodziła się już po wojnie. Ojciec, wiecie, popijał, a nieboszczka matka też nie gardziła kieliszkiem. Gdyby nie Fedir, to dziewczyna by przepadła. Z ulicy, można powiedzieć, ją zgarnął.

— Bóg tak chciał! — odezwała się jedna z ciotek w ciemnej bluzce, spojrzawszy współczująco na Hanię.  
— Ano, bez Jego pomocy zginęlibyśmy.

Hania usiadła przy końcu stołu. Nalali jej mocnej herbaty, podsunęli kawałek chleba. Chleb był wyschnięty i ręce gospodyni też były wyschnięte. Trzeba jednak wziąć ten kawałek chleba i zachowywać się jak w celi klasztornej, nie wolno podnieść oczu. Wszyscy czekają, kiedy ona weźmie ten chleb, ugryzie go, przełknie. Więc ugryzła i przełknęła kawałek, popijając łykiem herbaty. Nagle zaczęło ją nudzić. „Przepraszę, powiem, że jestem śpiąca”. Przeprosiła, wyszła do drugiej izby i upadła na kanapę twarzą do poduszki. Pogrzyżyła się w mroku. Wszystko zgasło, zmierzchno, rozwiało się...

Kiedy się ocknęła, usłyszała głośną rozmowę za drzwiami. Haładij sprzeczał się z jakimś mężczyzną, który usiłował go o czymś przekonać. „Co on tam głowę Haładijowi zawraca. Haładij to dobry człowiek... Wymienił jej imię? Po co? Powinna zaraz wstać i zabrać się stąd... Do hotelu robotniczego, do Oksany, pojechać do ojca... A gdzie ojciec Lończyka? Dziecko musi przecież mieć ojca. Będą ją wszędzie o to pytać, osądzać, nie będzie wiedziała, gdzie ma oczy podziać. A tam za ścianą ciągle się sprzecząją. Biedny Haładij nic już nie mówi. Milczy i słucha pokornie...”

Zaciekawiona uniosła głowę, podparła ją ręką i zaczęła nasłuchiwać. Tak, mówiono o niej.

— Dokąd ona będzie spać? — pytał nieznajomy. — Krzyknij na nią.

— Niech śpi — odparł łagodnie Haładij. — Może innym razem...

— Szkoda — usłyszała westchnienie. — Moglibyśmy się zaraz dogadać. Trzeba się spieszyć, dopóki jest miejsce. Przecież dla niej to robię. I dobrze zarobi. Niezła pensja, prowizja, dobowe...

— Może innym razem, nie dziś... Jutro sam ją przyprowadzę.

Potem zaczęli coś szeptać. Hani znudziło się to podsłuchiwanie, ręka zdrętwiała, więc położyła się na wznak i pomyślała nieco pocieszona: „Jakaś prowizja, dobowe... Haładij wszystko może. I tamten też widać porządny człowiek. Wszyscy o mnie dbają...”

Ogarnął ją błogi spokój, westchnęła i powoli zaczęła pogrązać się w sen.

Nowego gościa dawno już oczekiwano w tym domu. Rozkręcała się bez przerwy taśma magnetofonu, rozbrzmiewały śmiechy i nawoływania. Kiedy Wiktor z pogniecionymi już trochę, wyjętymi z teczki kwiatami wszedł do pokoju, rozmowy przy stole ucichły. Przyłgnęło do niego z życzliwą ciekawością wiele spojrzeń. Zoja Kindratowna, która wprowadziła Wiktora, posadziła go obok siebie. Poczul się w tym domu jak stały bywalec, który zna wszystkich i którego wszyscy również znają. Duszą towarzystwa był brat Zoi, Illia Kindratowicz Łehkostup. W szarym garniturze, kolorowym, szerokim krawacie, ruchliwy, uśmiechnięty, skory do entuzjazmu. Czuje się tu jako starszy brat solenizantki gospodarzem i z wdziękiem pełni tę funkcję. Teraz udziela głosu Wasylowi.

— Uwaga, przyjaciele! Głos ma sługa Parnasu!

Mostowy wstał i z kieliszkiem w ręku zwrócił się do solenizantki.

— Życzę ci, droga Zoju, byś nie zagubiła swego wspaniałego talentu na ścieżkach tuzinkowej sławy. Kiedyś byłem zafascynowany twoim debiutem. Oczekuję nowego wlotu. I piję za niego!

Toast wypadł niefortunnie, zawierał bowiem aluzje do niezbyt udanych kreacji Zoi z ostatnich lat. Ten poeta musi zawsze z czymś wyskoczyć. Na twarzy Zoi pojawił się kwaśny uśmieszek. Wypić czy nie wypić taki toast? Sytuację uratował Łehkostup.

— Jesteśmy ci wdzięczni za szczerość, Wasylu! — zawołał wesoło. — Niech ci się też pisze jak najlepiej. Ale podobno cybernetycy wynaleźli komputer, który sam klepie wiersze. I ponoć wcale nieźle. Tanio, szybko, bez honorarium.

— Muszę jednak zasmucić zwolenników postępu technicznego. Otóż kiedy naciśnie się w tym komputerze odpowiedni guzik, to aparat podaje stereotypową informację: „Tylko dla ignorantów”.

— Bardzo możliwe... — Łehkostup nie potrafił dowcipnie zareagować i obrócił wszystko w pojednawczy żart. — Niech więc ignoranci szeszna, a poetom niech się dobrze pisze!

— Niech żyje gęsie pióro współczesności! — zawołał ktoś z gości.

— Za poezję wieku maszyn, przyjaciele! — Zoja objęła wszystkich spojrzeniem swych pięknych, dużych oczu. — Ale bez maszyn i chrzęstu żelaza.

— Za naszą Zoję!

— Za chlubę naszego teatru!

— Nie chciałem pana obrazić, Wasylu — Łehkostup usiadł obok Mostowego, kładąc rękę na jego ramieniu. — Ale tu chodzi o sprawę zasadniczą.



— Dyskredytuje pan to, czemu sam służy — odpowiedział Mostowy.

— Nie rozumiem.

— Pan uważa, że praca to tylko wysiłek, napięcie sił fizycznych i intelektualnych. I nic więcej, żadnej przyjemności, żadnej radości.

— Radość jest. Powiedzmy, dobra pensja, bodźce finansowe, premie...

— Nie to mam na myśli — zachnął się Mostowy. — Mój dziadek wyrabiał łyżki. Kiedy byłem mały, często przyglądałem się jego pracy. Siedzi zimą przy oknie i struże swoje łyżki...

— Oczywiście na sprzedaż?

— Na radość sobie i ludziom! Rozdawał je darmo. Te łyżki były jak słońce. Żółte, miodne, wzorzyste. I mój dziadek też jaśniał jak jego łyżki. Była to radość twórcy. Może właśnie wtedy zafascynowało mnie na zawsze piękno.

Zoja, której ta rozmowa już nie interesowała, zwróciła się do Wiktora.

— Pan nic nie je.

Chciała wziąć jego talerz, żeby mu coś nałożyć. Czuł jej bliskość i uściśnął cienkie, wrażliwe palce. Nie miał ochoty ich wypuszczać, by odczuć ich miękkość, ich uległość, ich pragnienie czucia jego ciepła. Podniósł wzrok i zauważył, że twarz Zoi jest zmęczona i mizerna. Czując na sobie jego spojrzenie zarumieniła się.

— Proszę jeść!

Nie chciało mu się jeść, nic mu się nie chciało. Głosy dochodziły jakby z daleka, zbędne i natrętne. Niektórzy goście zaczęli się żegnać, początek zrobili Wasyl i Sofijka.

— Idziesz z nami, Witia?

Dobrze, że go zawołali, ma pretekst do wcześniejszego wyjścia, niech Zoja nie myśli, że na coś liczy. Za-

chowa też twarz wobec Łehkostupa, przecież razem pracują.

Powiedział Zoi, że wychodzi z Mostowymi, idą w jedną stronę.

— Proszę bardzo, niech pan idzie! — solenizantka obraziła się.

W przedpokoju pożegnała się wylewnie z Sofijką, wnosząc przy okazji korektę do jej modnej fryzury. Ten wybuch czułości miał jednak wyraźnie innego adresata; zrozumieli to obecni, a przede wszystkim Wiktor. Pochylił się, pocałował Zoję w rękę, którą przycisnęła do piersi, poczuł zapach delikatnych perfum.

— Wcześniej pan wychodzi. Mógłby pan jeszcze posiedzieć — powiedziała zagadkowo. — Proszę wrócić, napijemy się kawy.

Czyżby się w nim zakochała? Życie jest jednak piękne! Słyszycie, poeci? Wieczni poszukiwacze prawdy! Prawda jest tu, tam, gdzie bije serce. Gdy człowiek jest szczęśliwy, zdolny jest tworzyć cuda! Jutro zobaczą w fabryce, co on potrafi!

Wyszedł z Mostowymi. Na ulicach gasły już błękitne neony, na niebie drżały gwiazdy. Sofijka szła w milczeniu, była wyraźnie zmęczona. Wasyl ciągle jeszcze nie mógł się uspokoić po dyskusji z Łehkostupem, coś tam mruczał o przeklętych technokratach, którzy zapominają o tym, że poza duchowymi i estetycznymi kategoriami nie można osiągnąć żadnych wyżyn.

— No ale przyjęcie było niezłe — powiedział ugodowo Wiktor.

— I ty, Brutusie... — zareagował ostro Wasyl. — Widzę, że Zoja zawróciła ci już w głowie.

— Zgadłeś. Lubię ładne kobiety, lubię życie, lubię twoje wiersze...

— A prawdę lubisz?

— Przecież ci mówię: lubię życie.

— Kiedy w życiu jest też podłość. I są tacy jak Łehkostup.

Sofijka przerwała mu. Po co tak źle się wyrażać o człowieku? Słyszała, że Illia Kindratowicz to świetny fachowiec, dobry brat, sama widziała, jak skacze koło siostry. A w ogóle jak się idzie do czyjegoś domu, gdzie okazują nam szacunek i gościnność, to nie można obmawiać gospodarza, niezależnie od tego, jaki jest.

— Nikogo nie obmawiam — tłumaczył się półgłosem Wasyl — ale więcej już tam nie pójde, zapamiętaj to sobie.

Wiktor odprowadził ich do samego domu. Była północ. Na miasto spadła cisza, wszystko na ziemi pochłaniał mrok, rozgwieżdżona noc rozpoczynała swe czary. Człowiek poruszał się w tej milczącej pustce również jak wąty promień gwiazdny, jak jedno ze światel nocy, bo są w nim wszystkie galaktyki, bo jest mądrzejszy od nich, bo jest ich włodarzem. Być może kiedyś odkryje się przed człowiekiem cały bezmiar świata, stanie przed nim inna rzeczywistość, istota i sens wszechświata, wszystko wokół niego zagra innymi barwami, zniknie to, co uważaliśmy za wieczne, niewzruszone.

„Fanfaronada” — skarcił sam siebie za te myśli. Był znów trzeźwy i rzeczowy. Po licha mu te dalekie galaktyki! Najbardziej pożądana galaktyka to dom uroczej kobiety, do którego teraz wraca.

Powrót bardzo mu się dłużył. Kto je wymyślił, te długie nocne trasy, po co one są, kiedy każda chwila jest droga i serce wyrywa się z piersi? Szedł szybko, przebiegał przez skwerki, przez jakieś zaułki i place. Przed samym domem Zoi zawahał się. Może zawrócić? Jakoś nie wypada. Tak przecież mu zależało na tym, żeby wydać się tam powściągliwym i dobrze wychowanym. Ale jeśli ucieknie i zignoruje jej zaproszenie?

Czy to świadczy o dobrym wychowaniu? Okazała się dla niego łaskawa, więc trzeba to cenić i być za to wdzięcznym. A może jednak zawrócić? Czy to ładnie przychodzić w nocy do czyjegoś domu?

Ale na wątpliwości było już za późno. Stał właśnie przed drzwiami jej mieszkania: numer 32. Ma właśnie tyle lat. Przypadek czy zrządzenie losu? Krótko zadzwonił, zamarł nasłuchując. Dość długo każą mu czekać, wypróbowując jego nerwy... Wreszcie usłyszał w przedpokoju drobne kroki, drzwi otworzyły się, ujrzał Zoję z lekko ironicznym uśmieszkiem na ustach.

— Ciii...

Delikatnie, ale stanowczo wysunęła dłonie z jego rąk i pogroziła mu palcem. Och, kokietka... Kto tu się kogo boi?

Weszła do pokoju, zapaliła wszystkie światła żyrandola. Na stole zalśniły kryształły, niczego się jeszcze nie uprzątało, nie wynosiło do kuchni.

— Będziemy jeść drugą kolację? — spytał żartobliwie, chcąc rozładować nieco napiętą sytuację.

— Obiecałam panu kawę. Illiusza zaraz przyniesie.

Illiusza? Był wyraźnie zaskoczony. Wygląda to na kiepski żart. Więc Łehkostup czekał na niego. Niech go diabli! No cóż, niech będzie Illiusza, nawet wszyscy święci niech tu przyjdą!

Zoja, jakby chcąc przeprosić go za ten figiel, siadła obok niego, wzięła go za rękę i podniosła je do swoich oczu.

— Czy pan gra?

— Chciałem kiedyś grać.

— Ma pan palce pianisty.

— Rzeczywiście miałem zamiar zostać muzykiem, chodziłem nawet do szkoły muzycznej. Ćwiczenia Czernego. Słyszała pani o takim?

— Słyszałam o wielkim Paganinim, o wielkim Rachmaninowie... Tylu było kiedyś tych wielkich!

Rozmowa potoczyła się lekko, w sposób niewymuszony, nie zahaczając o nic konkretnego, poruszając się tylko po powierzchni faktów, po grzbietach fal dawnych wieków, gdzie wszystko wydaje się teraz niezwykle, legendarne. Wiktor próbował udowodnić, że dokonania naszej współczesności też w przyszłości będą uważane za wielkie: olbrzymie odkrycia w nauce, kosmiczna epopeja...

— To jednak nie to, nie to! — zaprzeczyła żywo. — Gdzie współcześni twórcy tacy, jak: Dante, Petrarca, Szewczenko, Puszkini? Naukowy maksymalizm bierze górę nad światem barw i dźwięków. Czy nie mam racji?

— Chyba tak.

Wszedł Illia Kindratowicz z filiżankami czarnej kawy na lśniącą tacy.

— Dziękuję, kochany.

Usiedli do stołu. Illia Kindratowicz pełnił rolę troskliwego gospodarza, stawiając ostrożnie przed siostrą i Wiktoorem filiżanki. Nastrój jego się pogorszył, przyszedł kryzys, jak to bywa u ludzi impulsywnych, którzy nie potrafią gospodarować swoim temperamentem. Mając ponad pięćdziesiąt lat doznał już i wzlotów, i gorzkich rozczarowań, po których długo trzeba było goić rany i piąć się na nowo w górę po szczeblach drabiny życia. Zdarzały się w przeszłości błędy i pomyłki, których nie mógł sobie później wybaczyć, zwłaszcza że można było ich uniknąć, przechodząc bez szwanku przez niejedną wyrwę. I dopiero teraz poczuł wreszcie pod nogami twardy grunt, doczekał się uznania i pewnym krokiem szedł po drodze kariery służbowej, dostatku, wzmocnienia autorytetu.

— Może jeszcze kawy? — spytał przyjaźnie Wiktora.

Żadan podziękował i gdy stawiał pustą filiżankę na spodku, zauważył w oczach Łehkostupa jakieś przyczajenie. Zdawało mu się, że naczelny inżynier szuka z nim zbliżenia. Stąpa wokół niego ostrożnie jak po cienkim lodzie. Idzie bokiem, obmacując kosturem lód, boi się posuwać do przodu, a jednak się nie zatrzymuje...

Zoja wzięła filiżankę Wiktora i poszła do kuchni. Wówczas Łehkostup zrobił ostatni krok i lód przestał trzeszczeć; znaleźli się obaj na twardym gruncie szczerości.

— Bardzo się cieszę z pańskiego przyjazdu — mówił wolno Łehkostup, odsuwając filiżankę i zapalając papierosa. — Zwracano się do mnie w pańskiej sprawie, opowiedziałem się za pańską kandydaturą na dwudziesty.

Jego kawa stygła, w powietrzu wił się dym z papierosa. Wiktor też zapalił. Rozmowa ta łechtała jego próżność, nie chciał jednak okazywać tego po sobie. Niech Łehkostup nie sądzi, że uszczęśliwił Wiktora Żadana. Wiktor Żadan zna dobrze swoją cenę.

— Dziękuję za poparcie — odparł powściągliwie. — Obawiam się jednak, że nie jestem tym kandydatem, który potrafiłby pana zadowolić.

Och, ci młodzi opozycjoniści! Jak oni nie potrafią się maskować. Można wyczytać z twarzy wszystkie ich myśli. Łehkostup, który z łatwością rozszyfrował Wiktora, pozwolił mu jeszcze trochę pobawić się poza skromnisią.

— Dlaczego pan ma takie mniemanie o sobie? — spytał podstępnie dobrodusznym tonem.

— Lubię mówić prawdę, nawet tym, którzy mnie protegują.

— Doskonale! Ja też.

Na twarzy Łehkostupa pojawił się na chwilę zagad-

kowy wyraz jakby rezygnacji. Westchnął, pokręcił guzik przy marynarce.

— No więc obaj jesteśmy prawdomówni, Wiktorze Hryhorowiczu. To bardzo ważne. Może najważniejsze. Ale — kontynuował po krótkiej przerwie — powstaje problem: jak walczyć o tę prawdę? Pan znalazł elementarny sposób na to: wykrywać nasze słabości. Ale jeśli wykryje się słabości, to trzeba też ujawnić winowajcę. Kto ponosi winę za popełnione błędy? Łehkostup! Dlaczego jest niska efektywność wykorzystania parku maszynowego? Spytajcie o to Łehkostupa. Płynność kadr? Bicie za to Łehkostupa. Nawet moralne mankamenty niektórych towarzyszy jak chociażby Zaliskiego...

— Nie, nie! — przerwał mu Wiktor. — Chyba się pan zagalopował.

— A mnie się wydawało, że pan uległ wpływowi pewnych osób...

— Sytuacja co prawda skomplikowana...

— Dla kierownika nie ma skomplikowanej sytuacji. Tylko woła i stanowczość. Demagogiczne kokietowanie mas nie prowadzi do niczego dobrego — powiedział ze złością; nad jego górną wargą pojawiły się krople potu. — Idzie pan do boju bez armii. Nie ma pan żadnego oparcia, twardego gruntu pod nogami. A bez tego jest pan niczym. Próżnią. Administracyjnym zerem!

Łehkostup nagle się uśmiechnął. Aż dziw, jak mógł tak prosto i lekko się uśmiechnąć. Z twarzy momentalnie zniknęło napięcie, zmarszczki w kącikach ust wygładziły się.

— Ale chciałem porozmawiać z panem o czym innym — powiedział przyjaznym tonem. — Będziemy robić razem. Niech mi pan pomoże. Bez zwad, bez nieufności. Mam ciekawą ideę — nachylił się do Wiktora i zajrzał mu w oczy. — Zamierzam dźwignąć pański

oddział, stworzyć warunki jego rozwoju. Porobiłem w tej sprawie pewne notatki — wyjął z kieszeni notes. — Sto czterdzieści tysięcy oszczędności rocznie, wzrost rentowności, pełne zatrudnienie, elektroniczne zarządzanie...

— I to wszystko dla nas?

— Dla pana, przyjacielu. Tylko dla pana! Widzę w panu technicznie myślącego człowieka. Dlatego mam do pana pełne zaufanie. Potrzebny mi jest przyjazny sprzymierzeniec do śmiałych eksperymentów.

Podeszła Zoja, która jakby tylko czekała na ten uroczysty moment.

— Przyjaźni nie zapija się kawą — światło żyrandola zaróżowiło jej twarz. — Proponuję ten toast za mężczyzn, którzy... umieją uszanować kobiety!

Zoja napełniła po brzegi kieliszki panów, nalala też sobie. Illia Kindratowicz wstał z godnością i z rytualną powagą na twarzy powoli wypił.

Tej nocy Maria Chrystianowna prawie zupełnie nie spała. Wieczorem zdrzemnęła się na krótko, a po północy leżała już cały czas z otwartymi oczami i myślała, myślała... Niepokoiło ją zdrowie syna. Nie pierwszy rok jest przecież w lotnictwie — służył na Północy, latał nad pustyniami azjatyckimi, ale nigdy się nie skarżył. A teraz schudł, zmarniał, stał się milczący.

To był jej jedyny syn. Mogła oczywiście wyjść za mąż, założyć nową rodzinę, nie spotkała jednak nikogo, kto by potrafił przyćmić pamięć o jej mężu. Jeszcze dotąd przychodzi do niej w nocnych majakach i zawsze jest taki jak w tę najstraszniejszą chwilę pożegnania koło rozwalonego domu straży granicznej.

Długa, męcząca noc. Ileż to różnych myśli przewinie



się do rana, ile rozmaitych obrazów! Przedtem, kiedy Jewhen pracował w fabryce, rzadko nawiedzały ją te bolesne wspomnienia, no ale dobrze się stało, że chłopak włożył ten wojskowy mundur. A teraz często wracają obrazy z tamtych straszliwych dni: to strażnica w kłębach dymu, to trupy dzieci jak stare łachy porzucane po bruku, to niemiecki czołg, wysadzony w pobliżu ich domu przez któregoś z wopistów.

Która to godzina? Żenia prosił o nastawienie budzika na czwartą. O wpół do piątej miał już być w jadalni pułkowej, bo dziś przypadał dzień lotów. Ale Maria Chrystianowna chciała sama obudzić syna. Przerazało ją głośne dzwonienie w nocy. Pamięć wojny żyła w niej niewygojoną raną, starała się więc unikać wszystkiego, co jątrzyło ten zadawniony ból.

Za oknami szarość przedświt, pokój powoli rozjaśnia się i staje się jakby większy. Czas wstawać. Jewhen śpi w sąsiednim pokoju na szerokiej otomanie, którą nazwał kiedyś w żartach magnesem; bo jak tylko usiądzie na niej, zaraz kusi go, żeby się położyć i zdrzemnąć. A sypia mało, nocne loty, dyżury, wyjazdy na poligon. Trzyma się jednak mocno dzięki silnej woli i mocy ducha, odziedziczonej po ojcu.

Oto on, jej Żeńka. Trzydzieści lat, dorosły mężczyzna. Inni w jego wieku chodzą już z synami na ryby, zapuszczają brody, poważnieją. A Żeńka? Śpi ten jej kochany mężczyzna. Od białej poduszki odbija w rzednącym cieniu jego głowa o bujnych włosach, na kołdrze leżą muskularne ręce. I oto on poprowadzi dziś w niebo swego stalowego ptaka. Moje ręce kochane, moje drogie oczy!...

Matka stoi rozczulona nad synem. Każdym nerwem odczuwa swoje drogie dziecko, jego oddech, jego ciepło. Czy strzeżesz ty siebie tam, w niebie? Czy pamiętasz, że masz przed sobą jeszcze całe życie?

Pora go obudzić. Minuty uciekają, ranek zagląda w okno, gdzie już wschodzi słońce, a ona chciałaby teraz dla syna cieplej, zacienionej ciszy, żeby wszystko na ziemi zamarło i jej Żenka mógł pospać chociaż jeszcze godzinkę. Maria Chrystianowna siadła na skraju otomany, bierze syna delikatnie za rękę, odczuwa dotyk jego palców, przekazując im kroplę macierzyńskiego ciepła.

— Mamo! — Jewhen uniósł głowę.

I tak jest zawsze. Jakby oczekiwał jej dotyku. Los wojskowych: w ciągłym oczekiwaniu, w ciągłym napięciu. Mógłby jeszcze trochę poleżeć, podrzemać. Ale wstaje, szybko się ubiera.

— Może chociaż dzisiaj wpadnij na obiad — przypomina matka. — Będzie Nadija Pawlewna.

Nie odpowiedział. Dobrym uśmiechem wyjaśnił matce wszystko. Zrozumiała: nie może.

Po wyjściu na dwór Jewhen odczuł od razu zbliżającą się burzę. Przedranne burze są szczególne, zawsze zaskakują swą grozą. Spojrzał w górę: granatowoczar-na chmura przesłoniła już pół nieba i tylko jeszcze na wschodzie ledwo-ledwo krwawiła smuzka świtania.

Nagle zagrzmiało, zaryczało, ranek zaszumiał ulewą. Drzewa zareagowały trwożnym szelestem, cała ziemia w wodnych banieczkach, w potokach, w parnej mgle. Już za późno było wracać do domu. Czas nie zważał na kaprysy nieba, nie obchodziło go, czy pogoda nadaje się, czy też nie nadaje do lotów, czas był nieubłagany wobec wszystkiego, jak bywa nieubłagany obiektywizm praw, którymi trzeba się kierować lub ślepo im się podporządkować, jak bywa nieubłagana najbardziej bezlitosną siłą na świecie — siłą własnej woli.

Jewhen ruszył wśród ulewy topolową aleją, przez lśniące kałuże, które odbijały drżące drzewa. W górze

waliły gromy, niebo to pogłębiało się, to obniżało, po ciemnej mapie rozlewały się granatowe kontury zagadkowych rzek.

Zdawał sobie sprawę z tego, że pogoda nie jest „lotna”, że tam w górze nie ma żadnego samolotu, że niebo jest puste i martwe, ale wiedział też, że gdyby uderzyła inna burza, ruszyliby na przekór żywiołom, na przekór wszystkiemu, poderwaliby swoje pościgowce i runęli na to wzburzone niebo, na te błękitne rzeki błyskawic, żeby odnaleźć skierowaną przez cudzą wolę śmierć, zwyciężyć ją i powrócić żywym, koniecznie żywym, na swą rodzinną ziemię, gdzie wszyscy są nam bliscy, gdzie nawet burza o świtaniu kryje w sobie jakieś niezwykle, surowe powaby.

Zawód ma ryzykowny, to prawda. Nie każdy wytrzyma. Ale jaką radość sprawia świadomość, że powierzają ci potężną maszynę, spokój ojczystego nieba — tego, co teraz jest całe w grzmotach i błyskawicach. A potem będzie słońce, zajaśnieje tęczowo błękit i ty, pilot samolotu odrzutowego, możesz się uważać za wszechwładnego gospodarza powietrznego oceanu. Sam kąpiesz się w tym błękitnym żywiole, sam ciskasz gromy na olbrzymią, spokojną ziemię.

Jadalnia oficerska zapełniała się lotnikami, którzy biegli tu ze wszystkich stron; jedni przykrywali się gazetami, inni mapnikami, a byli i tacy, którzy zdejmowali czapki, by się nie zdefasonowały, i biegli z gołą głową, deszcz na pewno nie zaszkodzi bujnym włosom.

— Palijenko! Wołają cię — krzyknął któryś z lotników, otrząsających się z deszczu obok szatni.

— Kto?

— Ktoś z podniebnej kancelarii — zaśmiał się lotnik. — Słyszeli, że podobno umiesz przechwytywać burzę. Proszą, żebyś pomógł świętemu Ilji.

— Niech święty Ilia zwróci się do iljuszynowców \* — odparował Palijenko, strącając z siebie deszczowy pył.

Weszli do sali. Posiadali przy stole. Poszczególne klucze miały stałe miejsca, kelnerki orientowały się więc nie tylko w tym, gdzie kto siedzi, ale wiedziały też, kto aktualnie lata; krążyły wśród stolików w białych fartuszkach i białych chustkach na głowach.

— Nineczko, dla mnie bez sosu — prosi jakiś tęgi włodarz nieba.

— Wiem, panie majorze. Pamiętam.

— Olu, można cię prosić na chwileczkę? — rozlega się od innego stolika.

Głowa w białej chusteczce nachyla się do ramienia lotnika. Młody chłopak, zakrywając ręką usta, coś szybko mówi, chyba opowiada jakiś dowcip. W oczach uśmiechniętej dziewczyny pojawiły się kokieteryjne błyski, pogroziła mu palcem.

Po śniadaniu lotnicy dogadywali sobie półgłosem i żartowali, Palijenko wie jednak, że myślami są daleko stąd i że właściwie lot już się rozpoczął. Nawet tematy ich rozmów związane są bezpośrednio z lotnictwem. Właśnie Kawura prosi Buszmę o streszczenie jakiegoś artykułu, który ten studiował wczoraj w bibliotece.

Jak wynika z ich rozmów, technika lotnicza osiągnęła nowy, atomowy pułap. Dokonuje się jeszcze ostatnich prób, konstruktorzy sprzecają się jeszcze o detale, ale teoretyczne podstawy tej nowej techniki zostały już ugruntowane. Olbrzymie perspektywy, nie notowany dotąd w dziejach lotnictwa skok. Zapomniawszy o jedzeniu lejtnant Buszma z zachwytem opowiada

---

\* Żart związany z nazwiskiem znanego radzieckiego konstruktora samolotów typu „Il”, gen. Siergieja Iljuszyna (przyp. tłum.).

o jakimś fantastycznym samolocie o napędzie atomowym systemu „Boeing 747”. Podczas rozbiegu i nabierania wysokości, jak również w czasie lądowania będą pracować silniki na paliwo chemiczne, w powietrzu natomiast zasili je energia jądrowa. Bierze się pod uwagę dwa warianty przetwarzania ciepła na siłę napędową: bezpośredni i zamknięty. Przy bezpośrednim energia cieplna przekazywana jest wprost do ruchomego potoku powietrznego, a więc sam reaktor służy jako komora spalania. Przy wariacie zamkniętym jako przewod ciepła wykorzystana się rzadki metal. Silnik będzie mógł pracować bez uzupełniania paliwa tysiąc godzin, a w przyszłości do dziesięciu tysięcy.

— Wyobrażacie sobie te fantastyczne możliwości! — zapalał się Buszma. — Można będzie stworzyć globalny system transportowy.

— A bezpieczeństwo załogi i pasażerów? — spytał Jewhen.

— W tym jest cały problem — Buszma uniósł w górę palec. — Atomowa łódź podwodna praktycznie nie jest ograniczona ani rozmiarami, ani wagą, samolot natomiast to inna sprawa. No ale na pewno coś już tam wykombinują.

— Na naszą głowę — zauważył chmurnie Palijenko, mieszając herbatę.

— Może na naszą, ale być może i dla naszej.

— Jak dotąd, z rozwojem energii atomowej mamy tylko same kłopoty. Możesz uważać mnie za konserwatyście, niekiedy jednak wydaje mi się, że ludzkość zbyt szybko pospieszyła ze swoimi odkryciami w dziedzinie fizyki jądrowej. Nie jest jeszcze do tego przygotowana.

— Ludzkość nabiera stopniowo rozumu — uśmiechnął się Buszma — A my z tobą też chyba nie darmo latamy na naszych naddźwiękowcach.

Darmo czy nie darmo?

Nagle Jewhen poczuł ucisk serca. Przypomniało mu się, jak Hania żegnając się spojrzała mu z wdzięcznością w oczy i pobiegła do domu nie powiedziawszy ani słowa. To było zaledwie wczoraj, upłynęła tylko krótka, letnia noc, a jemu wydawało się to wiecznością.

Szczęście bywa iluzoryczne. Czujemy, jak lgnie do nas — uśmiech, łagodność, delikatny uścisk dłoni — i nagle w oczach pojawia się lęk, który je spłoszył, ulotniło się gdzieś, pozostaje znowu tylko samotność. Jewhen czytał kiedyś opowieść o dziwaku, który ślepo wierzył w przesady. I może była w tym jakaś racja. Bo jeśli doznamy wielkiej radości, nie wolno się jej poddawać, trzeba być przygotowanym też na nieszczęście. A gdy ono przyjdzie, nie należy oddawać się rozpacz, bo po nieszczęściu los ześle nam jakąś nową radość.

A niech to licho porwie! Lotnik nie może wierzyć w przesady. Czeka go ciężkie zadanie: ostrzeliwanie naziemnych celów. Jak się uda ten dzisiejszy lot? Przygotowali się do niego wczoraj bardzo solidnie, studiując dokładnie w sztabie eskadry mapę wyznaczoną miejscowości, rysowali schematy poligonu, oznaczając wzniesienia i doliny.

— Jedziemy, autobus podstawiony! — krzyknął Kawura z korytarza.

W samochodzie było ciasno i gwarno. Świeży i przejrzysty ranek lśnił perełkami deszczu, słońce kąpało się w kałużach. Jak gdyby nie było burzy. Odświeżyła ziemię, obmyła niebo i przesunęła się za daleki horyzont.

Jako ostatni wcisnął się do autobusu podpułkownik Jekłema. Jego niemłoda, poorana głębokimi zmarszczkami twarz była zatroskana i szara. Kiedy wiosną otrzymał nominację na dowódcę pułku, z miejsca spadły na niego liczne kłopoty. Już nie pamięta nawet, kiedy ostatni raz latał. Bał się ciągle telefonów „z gó-

ry”, żył w nieustannym lęku, by jego władze nie przy-  
czepiły się do naruszenia jakiejś instrukcji lub regula-  
minu. Koło Palijenki było wolne miejsce, więc usiadł  
obok niego.

— Dzień dobry, kapitanie!

— Dzień dobry, Sergiju Iwanowiczu.

— A gdzie pański kolega?

— Jeśli ma pan na myśli kapitana Sydorowskiego,  
to on już trzeci dzień choruje.

— Trzeba go odwiedzić. Klóćimy się, obrażamy sie-  
bie wzajemnie, a potem serce, zawał, inwalidztwo.

— Obawiam się, Sergiju Iwanowiczu, że choruje on  
nie na to, o czym pan myśli. Jego choroba to zadufana  
w sobie zarozumiałość.

— Ma być z czego zarozumiały. Najlepszy lotnik  
w całej jednostce.

— Powiadają, że ponoć nawet w całym okręgu.

— Dziwi mnie pańska ironia, Jewhenie Dmytrowi-  
czu — powiedział ugodowym tonem Jekłema, zapa-  
lając papierosa. — Sam dowódca interesuje się jego  
sukcesami.

— Więc trzeba będzie jego wysokość króla asów  
lotniczych na kolanach prosić o przebaczenie. Ale mnie  
teraz niepokoi co innego, Sergiju Iwanowiczu: jak uda  
się dziś poligonowe ostrzeliwanie. Szkoda, że nie ma  
Sydorowskiego, pokazałby swoją klasę. Zdaje mi się,  
że inni są gorzej przygotowani.

Jekłema zaciągnął się kilka razy dymem z papierosa,  
jakby chcąc uniknąć rozmowy na ten temat, rozmyślił  
się jednak.

— W zimie były niekorzystne warunki meteorologi-  
czne, dlatego więcej czasu poświęcaliśmy na loty ćwi-  
czebne na przyrządach, na przechwytywanie w chmu-  
rach. Chyba pan pamięta, że wówczas na zebraniu  
partyjnym obiecałem, iż w lecie zajmiemy się celami

naziemnymi — podpułkownik przyjaznym gestem położył Palijence na ramieniu dłoń pokrytą rudym puszką. — Mówiąc między nami, Jewhenie Dmytrowiczu, czego dowództwo domaga się w pierwszym rzędzie? Lotów w trenażerach, nocnych lotów, doskonałej znajomości RP\*. A pilnują tego skrupulatnie. Jedna inspekcja za drugą. I powiem panu, że mają rację. Bo jacy z nas przechwytywacze, jeśli nie opanowaliśmy dobrze systemów lokacyjnych!

— Opanowaliśmy tak, jak trzeba.

— Należy się ciągle doskonalić, nie ma granic w dążeniu do doskonałości.

„Poukładałeś sobie wszystko na odpowiednie półki, szanowny podpułkowniku — miał ochotę zawołać Palijenko. — Góra śledzi, góra pilnuje, góra naciska... Zimą, latem... A ty sam? Czy oduczyłeś się już myśleć bez telefonów „góry”?”

Jewhen poczuł ciężar w piersiach. Żeby jak najszybciej przysłali nowego dowódcę pułku. Niech podpułkownik Jekłema bawi się swoimi papierkami. Odwrócił się do okna i siedział w milczeniu przez cały czas, aż do lotniska. Jekłema poczuł się tym dotknięty i też pograżył się w swoich myślach.

Niebo było już czyste, wymyte, i ta jego czystość spadała na ziemię. Lotnisko zdawało się nie mieć końca, dał uciekała w błękitny cień horyzontu.

Po wyjściu z autobusu Palijenko spojrział w zamyśleniu na pole startowe. Wkrótce będzie gdzieś tam nad ziemią, ale jakoś nie myślał o tym, o niczym zresztą konkretnie nie myślał, poddając się urodzie tego poranka z łagodnym, cichym niebem, przesuniętym aż na krańce ziemi horyzontem i bezbrzeżną przestrzenią. Odczuwał niemal fizycznie jakby czyjaś obecność

---

\* Urządzenia radiolokacyjne.



w pobliżu i skierowane na siebie pytające spojrzenie, w którym było oczekiwanie na jego słowa i czyny. Oczy ocienione gęstymi rzęsami, czarne, cienkie brwi, w kącikach ust błędy ładny i smutny uśmiech...

— Jewhenie Dmytrowiczu, już niewiele czasu zostało — przypomniał mu przechodzący obok major Trehub.

Jewhen spojrzał na lotnisko, posłał gdzieś w dal zamysłony uśmiech i ruszył do swego samolotu. Słońce wypłynęło już zza horyzontu, czerwona kula zawisała nad smugą obłoków, nad odległymi zarysami miasta. Było to tak niezwykle w swym niepowtarzalnym pięknie, jak gdyby słońce wschodziło po raz pierwszy na świecie i jakby chciało się ukazać w całej swej strojności i urodzie i zalać ziemię tak czystym światłem, by oślepiła nim, na długo oniemiała z podziwu.

Palijenko szedł wprost w słońce. Nie opuszczał oczu i nie zakrywał ich dłonią. Był zarumieniony, zgrzany, podniecony. Samoloty były wycelowane w przestrzeń, wszystkie w jednym kierunku. W ich pozycji czaiła się jakaś niecierpliwość, gwałtowność, agresywność. Ostre rurki Pitota jakby wwąchiwały się w powietrze, dyżąc żądzą lotu i szalonych szybkości.

— Towarzyszu kapitanie, samolot 30 gotowy do lotu — zameldował młody technik w granatowym kombinezonie i ciężkich butach, lejtnant Kalużny.

— Dzień dobry, Paszo! — Jewhen uściśnął mu dłoń.

Na Kalużnym można polegać, kocha maszynę, zna ją do najdrobniejszych śrubek. I uwielbia Palijenkę. Możliwe, że gdzieś w głębi duszy tli się coś w rodzaju zazdrości, jakaś odrobina pretensji do losu o to, że tę swoją najmilszą „ptaszynę”, to cudo z odrzuconymi do tyłu skrzydłami, z całym sanktuarium dźwigni, przewodów, wyłączników — może pieścić tylko tu, na ziemi, bo w powietrzu jego „ptaszyna” staje się zuchwała

i wolna, tam włada już nią nie on, lecz lotnik Palijenko.

Zamknięto kabinę, włączono wszystkie tumblery.

— Tu trzydziesty. Proszę o pozwolenie na zapuszczenie silnika.

— Trzydziestemu zezwala się na zapuszczenie silnika — brzmi w hełmofonie głos kierownika lotów.

Rozległ się warkot, przechodzący w miarę wzrastania wibracji w coraz wyższe i cieńsze wycie, maszyną wstrząsały dreszcze.

— Trzydziesty prosi o zezwolenie na lot.

Możesz lecieć, kapitanie Palijenko! Przed tobą wolna droga, wolny pas betonu z wilgotnymi jeszcze plamami i strumykami po deszczu.

Manetka gazu do przodu... Maksymalne obroty... Precz hamulce! I momentalnie: ani betonu, ani ziemi, ani rozświetlonych jezior, tylko szaleństwo ruchu... Zapadł się gdzieś horyzont, cała ziemia runęła w przepaść, jest tylko lekkość — błękitna, delikatna, bezkresna, słoneczna...

Jewhen wiedział, że zaraz po nim poderwały się z ziemi inne maszyny. Maksymowicz na pewno skulił się w kabinie i pochylił całym ciałem nad tablicą przyrządów pokładowych. Kawurow siedzi prosto, zrównoważony i jakby obojętny, napinając tylko mięśnie. A jak tam ich teoretyk Buszma? Chyba nie w głowie mu teraz atomowe schematy.

Na odprawie przed lotem powiedziano im: uderzyć w samoloty „przeciwnika”. Uderzać parami, atakować cel z zawrotu bojowego pod kątem pikowania dziesięć stopni. Do celu podchodzić na minimalnej wysokości.

Żeby tylko chłopcy nie zawiedli. Palijenko nie był dziś ich pewny. Ani siebie. Jest przechwytywaczem, jego żywioł to podniebny ocean, przecinanie przypuszczalnych tras wroga. Ale przecież podczas wojny po-

ścigowcom zdarzało się bić również w naziemne formacje faszystów, palić ich czołgi w biegu, ostrzeliwać nieprzyjacielską piechotę. Jeśli się jest powietrznym żołnierzem, trzeba być przygotowanym na wszystko.

Jewhen obejrzał się do tyłu. Kącikiem oka widzi sylwetkę maszyny Buszmy, który leci w drugiej parze jako prowadzący. Teraz zrobili klucz całkiem nieźle. I Maksymowicz już nie odstaje. Jednak te zajęcia z modelami, rozgrywanie „bojów” powietrznych w pieśnym szyku, nie poszły na marne.

Spojrzał w dół. Po kilimie lasu mknęły cienie samolotów jakby złączone niewidoczną linią.

Zaraz będzie poligon. Atak na naziemne makiety. Zdawałoby się, że to żadna sztuka, ale nie ma pewności, czy chłopcy wykonają prawidłowo zawrót.

Spirał się kiedyś na odprawie z kapitanem Sydorowskim o to, jaki manewr jest bardziej efektywny: z zawrotu bojowego czy z „górkę”? Sydorowski opowiadał się za „górkę”, w ogóle lubił manewry gwałtowne, pionowe, efektowne. Palijenko przeciwstawił mu się, oficerowie trzymali stronę oponenta. „Górka” przy ataku na małych wysokościach nie gwarantuje sukcesu, bo nie widzi się wcześniej celu. Przegapi się go — i cała „górkę” na nic.

Wychodziły na trawers cele. W dole rozpościerał się wielki, leśny masyw. Lecieli z gwałtowną szybkością jak w olbrzymim tunelu aerodynamicznym. Po obu stronach uciekały do tyłu okryte lasem wzgórza, w dole migiała ruda droga, z góry uderzała oślepiająca biel.

— Rozpoczynamy manewr — wydał rozkaz Palijenko.

— Widzę cel — zameldował przez radio Buszma.

No, żebyś teraz nie chybił, kapitanie. Tam z lewej strony wśród lasu goła polana, a na niej coś... Tak, to

właśnie cel! Wychodzą na trawers. Zwrot w lewo. Jeszcze bardziej w lewo. Ścisnął mocno drążek. Zaczynaj! Drążek lekko od siebie. Samolot pikuje. Jeszcze bardziej od siebie... Kochana maszyna. Cóż za siła! I co za uroda!

Ognia!

Wystrzelił raketę. I w tym samym momencie odczuł całym ciałem, jak wstrząsnęło samolotem. Zmykać, zmykać!

Ściągnął drążek sterowy na siebie, poszedł w górę; wracał do bazy. No, co tam?

Radio milczało. Pędził za nim tylko warkot i niepewność. W pewnym momencie usłyszał spokojny, zadowolony głos dyspozytora.

— Słuchajcie, trzydziesty. Dowództwo poligonowe komunikuje: trzy trafienia. Gratulacje, trzydziesty!

No tak, jednak ktoś spudłował. Chyba znowu Maksymowicz. No cóż, trzy trafienia też piechotą nie chodzą. Mogło być gorzej.

Jedli obiad w milczeniu, bardzo zmęczeni. Było już dokładnie wiadomo, że nawalił istotnie Maksymowicz, który teraz bez apetytu bełcze łyżką w talerzu. Na okrągłej twarzy poczucie winy i zmieszanie. Palijenko kładzie mu przyjaźnie dłoń na ramieniu. Nie martw się, chłopie, wszystko będzie dobrze! Damy i temu radę. W naszym kluczu same asy. Taka jest dewiza palijenkowców!

Kawura próbował jakoś rozładować sytuację. W czasie lotu trzymał się dzielnie, zwłaszcza kiedy wracali „na punkt”, na swoje lotnisko. W powrotnej drodze zostali zaatakowani przez samoloty „przeciwnika”. Zawiązała się błyskawiczna walka, w której palijenkowcy pokazali wysoką klasę. Teraz Kawura, surowy z wy-

glądu, sympatyczny olbrzym, opowiadał o swoim manewrze i o zwycięskiej walce z „wrogiem”.

— Tamten nie miał nawet pojęcia, że jestem z tyłu. Gdyby to była prawdziwa bitwa, bądźcie pewni, że paliłby się teraz gdzieś w lesie. Taki radiolokacyjny celownik to jednak wspaniała rzecz! Uchwyciłem tego typu na dalmierz elektromagnetyczny, no i gotów!

— Nie ciesz się za bardzo — próbował go zgasić Buszma. — Teoria i praktyka to dwie różne rzeczy.

— Jestem pewny, że moje trafienia były dokładne — zareagował Kawura nieco obrażonym tonem. — Zaraz sprawdzą taśmę, to się przekonasz!

— Mówię nie o taśmie filmowej, lecz o wojnie — nie ustępował Buszma. — Gdybyś atakował realnego przeciwnika, mogłoby się inaczej skończyć.

— Nie rozumiem. Realny, nierealny... Technika nie zawiedzie nigdy.

— A jak włączyłeś, Sasza, swój RP, to widać cię było na cały świat. No więc pomyśl, chłopie: czy postępowałeś prawidłowo jak na realne, wojenne warunki?

Kawura, czując się dotknięty, odłożył łyżkę, ale nie zamierzał się poddać. Pochwalił go dziś sam major Trehub, dowódca ich eskadry. To jasne, do czego zmierza szanowny „teoretyk”. Że niby celownik celownikiem, ale trzeba również pamiętać o własnych oczach.

— Mój drogi! — powiedział Kawura ugodowo, z roz pogodzoną już twarzą. — Nie ciągnij mnie w prehistorię lotnictwa. Wprawdzie mój dziadek własnymi oczami „zdjął” pod Moskwą dziesięć messerów, co było wyczynem nie lada, jednak współczesna nauka Bogu dzięki dała nam coś lepszego niż oczy.

Palijenko czuł, że powinien też zabrać głos. Stwierdził więc autorytatywnie, że Buszma miał zupełną rację. Jeśli jest okazja zaatakować nieprzyjaciela starym, „dziadkowym” sposobem, to trzeba atakować. Bo

w powietrzu różnie bywa. Na przykład może się popsuć celownik radiolokacyjny. I co wtedy? Przerwać walkę? Nie, w niebie, jak mawiał sławny Kożedub\*, lotnik powinien bez przerwy prowadzić wizualną lustrację, musi widzieć wszystko, być w każdej chwili gotów do ataku, do zniszczenia wroga. A decyduje szybka reakcja. I tutaj Buszma ma rację. Jeśli prowadzi się poszukiwania radiolokacyjne przez dłuższy czas, wróg łatwo odkryje taki samolot, ujawni bowiem źródło promieniowania, no i rzecz jasna zniweczy zamierzony atak na niego.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że celownik radiolokacyjny jest w ogóle nieprzydatny? — atakował Kawura.

— Nie, Saszko, upraszczasz sprawę — odpowiedział wyrozumiale Palijenko. — Bez RP nie potrafisz się obejść w nocy, w chmurach, na dużych wysokościach. Ale tam, gdzie to możliwe, lepiej pracować bez niego. — Po chwili namysłu Palijenko zwrócił się do całej grupy. — Problem jest zresztą znacznie szerszy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w razie potrzeby poradzicie sobie z przeciwnikiem. Zawsze jednak uważałem, że lotnik powinien być silniejszy od maszyny. Otóż technika niekiedy zaczyna brać górę nad nami. Tak, tak, w bojowych lotach ćwiczebnych zdarza się nierzadko, że tracimy smak do pilotowania, zapominamy o konieczności energicznego manewru, oddajemy przewagę płynnym ewolucjom według prawideł klasycznego schematu. Wiecie, jak jest na zajęciach w akademii: cel sunie ostro, po przewidzianej prostej, równomiernie, dokładnie, nie schodząc z kursu, i my

---

\* Iwan Kożedub (ur. 1920), generał lotnictwa radzieckiego, Ukraińiec, wstąpił się w czasie wojny strąceniem 62 samolotów niemieckich w 326 lotach bojowych (przyp. tłum.).

z całą rzetelnością, jak na wspomnianych zajęciach, nieomal z linijką i kawałkiem kredy w rękach, obliczamy wszystkie parametry ataku. Przyspieszenie... Rakietą... Trafienie! — Palijenko uśmiechnął się z gorzką ironią. — Ale na wojnie sprawa jest chyba bardziej skomplikowana. Trzeba się orientować nie tylko na podstawie przyrządów, ale jeszcze czegoś więcej, za pomocą szóstego zmysłu. Technika techniką, ale jeśli zawiedzie nasz własny aparat — wskazał ręką na serce — to wszystko na nic.

Do ich stołu podeszła kelnerka Nina. Co się stało? Źle latali? Dowództwo niezadowolone? Trzeba solidnie się pokrzepić i wszystko będzie dobrze. Tylko jedzcie, chłopcy, jedzcie! Nie zabierze z powrotem ani okruszynki. Tak nie można, Jewhenie Petrowiczu! Widział to kto? Kucharka stara się dla was, a wy nosy na kwintę. Nie można sprawiać ciotce Paszy takiej przykrości.

Stała nad lotnikami dobrotliwie gderając, z jasną twarzą i wydatnymi piersiami; czuli, jak promieniuje od niej życzliwość. Kiedyś pracowała na stacji radiolokacyjnej, była znakomitym operatorem naprowadzania. Potem wyszła za mąż, zjawiły się dzieci, no i teraz krząta się w stołówce. Ale od lotnictwa nic jej nie oderwie.

— Jewhenie Petrowiczu! — przypomniała sobie nagle. — Listonosz przyniósł list do pana — podała Palijence kopertę. — A weselisko wnet będzie?

— Wkrótce, Ninoczko — uśmiechnął się z przymusem.

— Nie wierzę.

— Niech chłopcy powiedzą — spojrzał przymrużonymi oczami na lotników. — Moja narzeczona sprawdzona, nie zawiedzie. Tylko bardzo hałaśliwa. I szybkonoga, nie można jej dogonić w stratosferze.

— Pan to zawsze tak — obraziła się kelnerka. — Mówię poważnie: niech się pan ożeni. Pamięta pan Walę, tę ze sklepu wojskowego? Taka ładniutka, o zadartym nosku i bardzo jasnych włosach. Pewien major ją wziął, gdzieś w sztabie pracuje. Chyba wkrótce wyjadą do Moskwy... Jak ona pana kochała! — Nina nachyliła się nad stołem z poufną miną. — Powiedziała do mnie wczoraj: gdyby Żenia chciał, tobym tego starego czorta bez namysłu rzuciła.

— Na to nie mógłbym się zgodzić — odpowiedział Palijenko bez cienia żartu. — Po pierwsze, da Bóg, też kiedyś zostanę majorem. A po drugie... patrz, widzisz? — wskazał na swoje skronie. — Już pierwszy dzwonek, pierwszy śnieżek na głowie kapitana.

— Wielka rzecz! A życie ucieka, bieganina, krzątanina, ani chwili spokoju... — spoważniała, zaczęła zbierać naczynie. — Ale proszę jeść. Znajdę panu narzeczoną. I wam, chłopcy, też, bo przelatacie tak całe życie i na starość nie będzie co wspominać.

Jewhen rozerwał kopertę, przeczytał krótki list: „Jewhenie Dmytrowiczu! Muszę się z panem zobaczyć. Bardzo ważna sprawa. Jeśli Pan może, to proszę przyjść. Hanna”.

List ten zaniepokoił go, ale jednocześnie uradował, ożyła znowu nadzieja, obietnica czegoś niepewnego, lecz pożądanego i wielkiego.

Koledzy udawali, że nic nie zauważyli, wiedział jednak, że oczekiwali od niego wyjaśnienia. Nie mieli przecież przed sobą żadnych tajemnic, stanowili jedną rodzinę.

Wyszli całą grupą z jadalni, Palijenko udał się do sztabu eskadry. Dowódca od razu poczęstował go zimnym prysznicem, rozpoczynając rozmowę od jego konfliktu z Sydorowskim.



— Podobno nazwał go pan przy wszystkich niedolotkiem.

— Niedokładna informacja, panie majorze — odpowiedział Palijenko powściągliwie. — Mówiło się o tym, że jeśli będziemy tak latać, to nie dolatamy się niczego. No i ktoś zaraz ukuł kalambur: „Kto lubi kielich i plotki, ten jest niedolotkiem”. Nikt jednak nie miał na myśli Sydorowskiego, chyba że on sam siebie poznał w tym kalamburze.

— Och, Jewhenie Dmytrowiczu! — twarz Trehuba nieco złagodniała. — Niechże się pan z nim pogodzi. Trzeba zajmować się pracą, a nie intrygami. Jesteśmy przecież jedną rodziną.

Palijenko wyszedł ze sztabu zdenerwowany. Jedna rodzina. Jedna bojowa rodzina... I bądź tu mądry. Ale gdy jest piękna pogoda, kiedy słońce tak figlarnie zagląda przez wierzchołki topoli i zapowiada się ciepły, pachnący wieczór — nie chce się pamiętać o żadnych sporach. Trzeba będzie pójść zaraz do Sydorowskiego i szczerze o wszystkim pogadać. Są przecież z jednej uczelni, razem zaczynali.

Przypomniał sobie o liście: „Muszę się z panem zobaczyć... proszę przyjść...” Jak to się w życiu plecie. Nawet mu to do głowy nie przyszło, na nic nie liczył, nie wierzył, by się coś mogło zmienić, i nagle rzucone prosto w serce kilka słów powoduje zamęt i radość. Ona chce go zobaczyć. I on oczywiście pojedzie. Jeszcze dziś. Możliwie jak najszybciej. Wpadnie tylko do Sydorowskiego. Przyjacielska rozmowa, a potem — dobry wieczór, Haniu. Pani płakała? Kapitan Palijenko melduje się na wezwanie.

Oto długi budynek — dom oficerski. Palijenko wszedł na korytarz, zaczął się rozglądać. Było ciasno, stały jakieś nie rozpakowane rzeczy. Mieszkali tu nie tylko samotni oficerowie, ale i ci z rodzinami, którzy

czekali na samodzielne mieszkanie. W kącie mały chłopczyk bawił się z kotem, dochodziło stamtąd żalosne miauczenie i głos przemawiającego z powagą dziecka. Podeszła portierka Łukiwna, stara kobieta o ostrych rysach. Na widok Palijenki jej twarz rozjaśniła się. Pan kapitan przyszedł do Sydorowskiego? Czy był dziś u niego lekarz? Na twarzy portierki odmalowało się zdziwienie. Lekarz? Pierwszy raz słyszy.

— Koleżki z miasta przyjeżdżały. I jeszcze jakaś lafirynda. Chuda jak żerdź. Ale lekarza nie było. .

Zaskoczyło go to, ale i pocieszyło: widocznie już wydobrzezał. Zajrzy do niego tylko na chwilę i pojedzie do Hani. Chyba trzeba zapukać, Sydorowski zapewne odpoczywa. Podeszedł do drzwi.

Stojąca za nim Łukiwna jakoś dziwnie i zagadkowo się uśmiechała; nie mogła w żaden sposób zrozumieć, po co Palijenko tu przyszedł.

— Niech pan wejdzie.

Wszedł do pokoju. Ciemno, jakiś słodkawy, mdlący zaduch. Namacał kontakt, przekreślił. Na chwilę oślepiło go światło. Sydorowski leżał na wznak bez ruchu, pogrążony w ciężkim śnie. Na stole flaszki, na talerzykach jakieś resztki jedzenia, śmiecie. Niezłe się tu zabawiali...

Może go obudzić? Kiedy jednak spojrzął na obrzękłą twarz Sydorowskiego, poczuł do niego obrzydzenie, więc zgasił światło i wyszedł.

Stara portierka ze złożonymi pobożnie na piersiach rękami odprowadzała Palijenkę ironicznym spojrzeniem. Z czego ona ma taką uciechę? Stał niezdecydowany, czując, jak wzbiera w nim gorycz. Taki lotnik, taki chłopak! Ech, Kola! Lataliśmy razem na Biegunie Północnym, prowadziłeś mnie przez śnieżne burze do lądowania.

— Przez całą noc bumbłowali — powiedziała odzwierna ze złośliwym grymasem.

Palijenko popatrzył na drzwi czujnym i ciężkim spojrzeniem.

— Wpadnę tu wieczorem — zwrócił się do portierki. — Albo jutro rano przed pracą. A na razie proszę do niego nikogo nie wpuszczać. Zwłaszcza tej lafiryndy. I niech pani powie, że kapitan źle się czuje i lekarz zabronił odwiedzin. Absolutnie nikogo!

Była już chyba ósma wieczorem, kiedy Jewhen wrócił do domu. Na zatroskane pytanie matki, czy zje coś, machnął tylko ręką. Gdzie mu teraz do jedzenia. Otrzymał list od Hani, prosi go, by przyszedł do niej. Widocznie coś się przydarzyło. Pojedzie tam zaraz.

Pokazał zapisaną kartkę ze szkolnego zeszytu, Maria Chrystianowna przeczytała i zamyśliła się. Jewhen nie miał lepszego przyjaciela od matki. Delikatna, nie narzucająca się natrętnie z radami, ze swoją znajomością życia, ale pod tą delikatnością kryła się siła i doświadczenie, bezkompromisowość i nieugiętość w sprawach fundamentalnych, dla człowieka świętych. Miała zdolność przeczuwania nieszczęścia. Jakimś podskórnym instynktem wyczuwała przypuszczalny rozwój wydarzeń, zwłaszcza jeśli chodziło o syna. Więc i teraz ten pozornie niewinny list wywołał w niej niepokój, jak gdyby wyczytała między wierszami coś, co napełniało trwogą.

— Hania rzuciła fabrykę? — spytała ostrożnie.

Tak, odeszła stamtąd. Opowiedział matce wszystko, co wiedział o Hani: jak poszła z fabryki, jak zrzekła się mieszkania, jak on przewiózł ją na dalekie przedmieście do jakiegoś jej krewnego, gdzie ciotki w czerni popijały herbatę, a gospodarz, taksówkarz, opiekował się troskliwie jej synem.

— No to jedź — powiedziała Maria Chrystianowna. — Jedź, póki nie za późno.

— I w tym widzę, mamó, moje bojowe zadanie na wieczór — odrzekł Jewhen, siląc się na wesołość.

Wyjął z lodówki mleko (bardzo lubił właśnie takie, żeby butelka była oszroniona) i wypił wprost z butelki, po czym wybiegł z domu i pomknął do przystanku autobusowego.

Ten wieczór miał dla Hani decydujące znaczenie. Nie wiedziała, że właśnie teraz siada do autobusu bardzo zaniepokojony jej listem Jewhen, spiesząc natychmiast na jej wezwanie, gotów zrobić wszystko, by zaradzić jej nieszczęściu. Właśnie karmiła w kuchni Łończyka: łyżeczka po łyżeczce, jeszcze, synku, jeszcze jedną!

Z ulicy dolatywały jakieś śpiewy, jej zdawało się jednak, że dochodzą gdzieś z daleka, zza rzeki, rozlewając się powoli i szeroko. Haładij jeździł całą noc, więc teraz odsypia, a jego żona wybrała się do krewnych na wieś. Wszystko zamarło, przyczaiło się. Wieczorne cienie sycą się ciszą. I w tej ciszy tłuką się myśli Hani — musi się zdecydować: tak albo nie. Tak postanowiła wczoraj. Pojechać czy nie pojechać?

Dwa ostatnie tygodnie były dla niej ciężkie. Wprawdzie Haładij bardzo ją lubił, a jego pobożna żona również troskliwie nadskakiwała „córeczce”, częstując ją pierniczkami i innymi domowymi smakołykami, opiekowała się też sama chłopczykiem, a nawet wyprała mu koszulę i porteczki i poukładała w osobnej szufladzie w szafie.

Hania chodziła po mieście jak błędna. Była teraz wolna, miała mnóstwo czasu, może robić, co jej się podoba, nie ma nad sobą ani majstrów, ani dyrektorów.

Pomyślała przede wszystkim o pracy. Przecież trzeba

z czegoś żyć, ma Łończyka na głowie, poza tym zima się zbliża. Maria Trochymowna poradziła jej, by się zgłosiła do biura usług, może dostanie pracę dochodzącącej. Hania poszła tam. Pierwszego dnia wypadło jej sprzątanie mieszkania u jakiejś siwej staruszki, zmywanie podłogi w kuchni i trzepanie dywanów. Roboty właściwie niewiele, ale staruszka zameczała ją swoim współczuciem, wzdychaniem i bezustannymi pytaniami: a dlaczego bez rodziców, a kto miał sumienie wypuścić do miasta takie jeszcze dziecko. Wciąż sadzała Hanię przy stole i karmiła ją różnymi smakołykami, od których lodówka aż pękała. Zjedz świeże jajeczko, a może serka pokosztuj, sierotka chyba głodna — znowu się zaczynały „ochy” i natrętne wypytywania:

— Powiadasz, że matka umarła? Biedactwo ty moje! Miłości matki nic nie zastąpi. Jedz, dziecko, jedz, częstuj się.

Pod wieczór, hamując rozdrażnienie, Hania z trudem wyrwała się z mieszkania staruszki, która chciała jej zapłacić powyżej stawki (z serca, dziecino), Hania jednak wzięła tylko to, co się jej należało zgodnie z cennikiem.

Ma dość takiej pracy. Zaśniedzieje w brudzie, w kuchennych pomyjach. I nie trzeba jej cudzego współczucia. Niech współczują kalekim i ślepym. Ona nie uważa się za nieszczęśliwą.

Wkrótce najęła się do kopania w ogrodzie botanicznym. Miała nadzieję, że znajdzie tu odpowiedni przystanek. Robotą kierowała brygadzistka. Dziewczęta w spodniach wywołują śmiech, praca chyba prosta, niezbyt wyczerpująca, właściwie nawet nie praca, lecz wypoczynek — tam zgarną liście z alei, w innym miejscu uporządkują grządki. Musiały jeszcze karmić wieiórki, wsypując im orzechy do drewnianych skrzynek.

— Patrz, Haniu, jaka śliczna! — zawołała wesoła

dziewczyna o pełnej twarzy, nazwiskiem Kawa, biorąc na dłoń wiewiórkę i całując ją w nosek. — Jak ja Kocham takie małe stworzonka! Patrz, śmieje się do mnie! A jakie łapki, jaki ogon!

Ogród oddychał zielonymi płucami i parował omdlewająco w słońcu jak olbrzymia zaciszna oaza wśród kamiennego chaosu miasta. Nie słychać szczęku metalu, nie trzeba pochylać się przez cały dzień nad nożem tokarskim. Wiewiórki, zielone gąszcza, cisza. Jak gdzieś w Afryce lub w tych dżunglach, z których powrócił jej Wiktor...

Serce ścisnęło się z żalu. Czyż on jej? Nie wolno wspominać, nie wolno nawet myśleć o nim. Kiedy była tam, mogła jeszcze czegoś się spodziewać. A teraz tutaj? Niewykwalifikowany robotnik. Najbardziej dziś deficytowa kategoria pracowników, bardzo rzadki zawód... Czyścić ścieżki, hodować wiewiórki, upijać się nagrzaną ciszą ogrodu...

Po pracy Kawa zaprowadziła wszystkie do altanki pod rozłożystym, cienistym klonem.

— Bankiet na cześć sługi bożej, Hanny! — zawołała komicznym basem i wyciągnęła spod stołu z zardzewiałymi gwoździami dwie flaszki wina. — Nalewajcie, dziewczęta! Mamy w naszej brygadzie tokarza. Haniu, jak się nazywa twój warsztat? Aha, tokarnia rewolwerówka! — Kawa wskoczyła na ławkę i trzymając nad głową graniastą szklanę, wzniosła toast: — Niech żyją rewolwerówki, niech żyją pistoletówki, niech żyją muszkietery! Pojedziemy w gąszcza Tanzanii i tam wypijemy za zdrowie naszych czarnoskórych sióstr!

Następnego ranka Hania nie poszła do swoich wiewiórek. Ten jeden „bankiet” zupełnie wystarczył. Głowa jej pękała, czuła bez przerwy mdłości. Trzeba było wysłuchać uszczypliwych uwag Motrii Trochymowny:

— Wielki Boże, córeczko! A to co takiego! Niech cię

ręka boska broni od złego! Bezbożnym zielem zatrujesz swoją duszę.

Haładij też się dąsał. Ma dla niej dobrą robotę, a ona gdzieś się pęta, nie wiadomo z kim...

— Czy to ten, co obiecał prowizję? — Hania z trudem hamowała gniew.

— No tak, obiecał... — Haładij zmieszał się. — Spokojna praca.

— Nie chcę takiej!

— A jaką chcesz?

— Żadnej!

— Uspokój się, Haniu — stary taksówkarz przemawiał do niej tonem ojcowskiego wyrzutu. — Masz dziecko, musisz o nim pomyśleć.

Ma rację, musi o nim pomyśleć. Leżała na wąskiej kanapie, bojąc się poruszyć, by nie przycisnąć dziecka do ścianki. W ogrodzie botanicznym było nie najgorzej, a jako dochodząca też by mogła zarobić. Może i w tej nowej pracy również ułożyłoby się jej dobrze. Czuła jednak wzrastający w niej głuchy protest, z góry odrzucała wszelkie warianty, wszystko, co zobaczyła, i wszystko, co jej obiecywano. I gdyby ktoś spytał dlaczego, nie potrafiłaby sensownie odpowiedzieć. Tylko gdzieś na dnie serca tliło się pragnienie wyrwania się z tej grząskiej miałkości, dokonania czegoś niezwykłego, co przypomniałoby o niej tam, wszystkim w dwudziestym oddziale. Myśleliście, że Hania Czepurna jest nędzną dezserterką? Mylicie się! Więc dlaczego wyrzekli się jej, zapomnieli o niej, znieważyli ją?!

„Nikt cię nie znieważył” — próbowała sama sobie zaprzeczyć.

„Znieważyli, zniesławili!”

„Kto? Zaliski?”

„Gwiżdżę na Zaliskiego”.

„A więc jednak Wiktor? Nie możesz uciec od swojej miłości?”

„Nie kocham go. Innego kocham i będę kochać innego. Muszę stać się dla niego piękną, uczciwą, godną ludzkiego szacunku. Weźmie mnie nie jak kalekę kawkę z drogi, nie jako uwiedzioną i zhańbioną, lecz jako bohaterkę, rekordzistkę, przodownicę. Żeby zobaczyć w gazecie moją fotografię, przeczytał moje nazwisko, dowiedział się z niej o moich osiągnięciach. Pojadę gdziekolwiek, udam się na koniec świata, w tundrę, na piaszczystą pustynię, do kamieniołomów”. On też o niej usłyszy, ten ich nowy kierownik, ojciec Łończyka, który odwrócił się od niej, wzgardził jej miłością. Przybiegnie wtedy do niej, do nóg jej upadnie: „Przebacz! Wszystko odpokutuję!” Może nawet zapłacze i zacznie całować jej kolana: „Przebacz, przebacz!”

Poduszka była mokra od łez. Płakała głucho, ale była w tym płaczu jakaś dziwna, kojąca słodycz, bo łzy mieszały się z podsuwanymi przez wyobraźnię obrazami skruszonego Wiktora oraz wspomnieniami z ostatnich dni. Oto Wiktor z bukietem kwiatów. Zaliski podsuwa jej pod oczy plik papierów. Zamyślony Hryhory Łukycz posyła jej znad swego stołu pokrępiający uśmiech: „Nie martw się, Haniu, wszystko będzie dobrze...”, i przytakuje głową.

Rano Haładij namówił jednak Hanię, by poszła z nim do bazy. Jej kierownikiem był mężczyzna o solidnej i poważnej powierzchowności, uprzedzająco grzeczny. Miał skąpą bródkę i grube okulary, które upodabniały go do doktora Ojboli, jak nazwała go Hania w myśli. Siedział przy małym biurku w mrocznym pokoiku i zagłębiał się w czytaniu.

— To pan przyszykował mi to ciepłe miejsce z prowizją? — zagadnęła Hania z ironicznym uśmiechem.

Kierownik skinął poważnie głową i chytrze się



uśmiechnął, pytając, dlaczego tak długo nie przycho-  
dziła, czekał chyba dwa tygodnie.

— Nie wiedziałam, że pan czeka — odpowiedziała  
cicho.

Przyglądała się nieufnie swemu przyszłemu szefowi.  
Jaki tam z niego doktor Ojboli, nie ma w sobie żadne-  
go rysu dobrego lekarza zwierząt: ostre spojrzenie  
spoza grubych szkieł, przymilny głos z nutkami lękli-  
wej ostrożności.

Przyszła tu dlatego, że musiała gdzieś prowizorycz-  
nie się urządzić, o czym przekonał ją Haładij. Zarobi  
tu nieźle, a być może załatwią też dla niej jakieś miesz-  
kanie. A wówczas...

— Cieszę się, dziewczyno, że się wreszcie ciebie do-  
czekałem. Robię to jednak nie dla ciebie — kierownik  
oparł się ciężko łokciami o stół, w jego głosie zadźwię-  
czały stalowe nuty. — Nie dla ciebie to robię, Hanno  
Petrowno, lecz dla twojego ojca. Tak, tak, dziecko.  
Mamy ze starym Czepurnym zadawnione rachunki.  
Zadłużyłem się u Kornijowicza, ale i on jest mi coś  
winien. Jesteśmy związani na całe życie. Dlatego mu-  
sisz wiedzieć, że Harbowski, to znaczy ja, życzy ci jak  
najlepiej — uśmiechnął się słodko i uściśnął jej  
dłoń. — Masz szczęście, żeśmy się spotkali...

Kiedy wracali do domu, nie mogła się pozbyć świ-  
drujących ją nawet teraz oczu spoza grubych okula-  
rów. Myślała o ojcu, o którym dziś się wspominało, co  
powiększało tylko jej niepokój. Co ich mogło łączyć?  
Ojciec jest uczciwy, pracowity, przez całą wojnę wal-  
czył w partyzantce. A ten? Ma wprawdzie na piersiach  
jakieś baretki, wyraźnie chełpi się nimi, a jednak...  
„Mamy ze starym Czepurnym stare rachunki”. A więc  
z powodu tych rachunków zapewnia się jej teraz dobrą  
pracę. Dla ojca to robi...

Leżąc w nocy z synem na wąskiej otomanie rozpa-

miętywała tę rozmowę, rozkładając po półkach świadomości wszystkie jej szczegóły, wszystkie akcenty i niedomówienia, wszystkie jego gesty, uśmiechy, intonacje głosu. I przejmował ją coraz większy chłód. Kto to jest ten Harbowski? Więc tak ma rozpoczynać tę swoją nową drogę? Żeby wszyscy o niej usłyszeli, żeby pisały o niej gazety? Jak przyjmie tę pracę, to nie napiszą. Może tylko wsławić się czym innym...

Trzeba wynosić się stąd jak najszybciej, gdzieś wyjechać, rzucić się w wir najcięższej pracy, żeby cały świat się zadziwił; ona jeszcze pokaże wszystkim, co jest warta.

Łończyk rozrzucił ręce. Otuliła go kołdrą, dotknęła ustami jego gorącego policzka. „Ciebie też wezmę, syneczku. Będziemy razem szukać naszego losu. Nic dla nas nie jest straszne, prawda, synku? Na naszej ziemi nikt nas nie skrzywdzi”.

Rano napisała list do Palijenki. Była pewna, że przyjedzie, pomoże jej, rozwieje wątpliwości. Do Harbowskiego już nie poszła. Haładij sam przyniósł jej pozostawioną tam wczoraj książeczkę zatrudnienia. Harbowski bardzo się złościł, groził nawet, że napisze do ojca Hani.

Weszła z tą książeczką zatrudnienia do napotkanego biura werbunkowego. Na komsomolską budowę? Doskonale. Niedaleko od Dniepru? Tym lepiej, mniej kłopotu z dojazdami, no i Łończyk będzie w pobliżu. Jednak przez tydzień lub dwa, zanim się jakoś urządzi, zamieszka bez niego.

Dziś miała wyruszyć na budowę. Już trzeci dzień jak wysłała list. Pewnie mu coś wypadło. A właściwie dla czego Palijenko miałyby dla niej tracić czas? Kim ona jest dla niego? Co ich łączy? Idiotka! Oksanie nie powiedziała ani słowa, a przypadkowemu znajomemu

chciała się zwierzyć ze wszystkiego. No i teraz ma nauczkę: pozostała zupełnie sama.

Przyczłapał do kuchni zaspany gospodarz. Twarz obrzękła, oczy zaczerwienione i podkrążone.

— Jedziesz?

— Tak. Zaopiekujcie się Lonią — powiedziała Hania, zsadzając z kolan syna. — Już czas na stację.

Włożyła płaszcz, wzięła do ręki walizkę.

— Masz słuchać wujka, Loni — przygarnęła chłopczyka, wycalowała. — Zabiorę go w najbliższą niedzielę — zwróciła się do Haładija. — Zajmijcie się nim.

— Bądź o niego spokojna.

— Dzięki, Kuźmo Ołeksijowiczu! Będę panu wdzięczna do końca życia.

Wybiegła z domu, po chwili skrzywnęła za nią furтка.

Przeszedłszy wąskim chodnikiem przez ogródek Jewhen zatrzymał się przed werandą. Drzwi były zamknięte, dom jak wymarły. Żadnego dźwięku, żadnego szelestu. Niepewnie poruszał klamką, odczekał, zajrzał przez okno. Czyżby już spali? Dopiero dochodzi dziesiąta.

Zapukał energicznie, jak pukają ci, co przyszli z twardym postanowieniem dopięcia swego. Szkło werandy zadźwięczało. Szczęknęła zasuwka. Na progu pojawił się Haładij w koszulce sportowej i czesuczowej marynarce.

— Przepraszam, czy zastałem Hanię?

— Nie ma Hanny Petrowny.

Stali nieruchomo naprzeciw siebie. Gdzieś warczał wspinający się pod górę samochód, gęste krzaki bzu wokół domu tworzyły ciemny mur. Haładij nie zapraszał gościa do wnętrza.

— A gdzie Hania? — spytał Jewhen z niepokojem.

— Niech pan wejdzie. Hanna Petrowna właśnie wyjechała. — Poczłapał do mieszkania. — Kłopot z małym... Nie chce spać.

Zaświecił stojącą lampę i Palijenko ujrzał Łończyka; siedział na poduszce zapłakany i przestraszony, z karnapy spadło zmięte prześcieradło.

— Łończyk, dlaczego nie śpisz?

— A mnie mama przywiezie niedźwiadka — powiedział chłopczyk sennym głosem.

— Przywiezie, Łończyk, przywiezie. A teraz połóż się, przykryj i śpij.

— Nie odchodź ode mnie!

— Śpij, śpij...

Palijenko rozejrzał się po mieszkaniu. Hania nie do czekała się go. Przyszedł tu na darmo. Nigdy nie trzeba za wcześniej się cieszyć, radować się z pierwszego uśmiechu losu.

Zgasili światło, przeszli do kuchni. Palijenko zajrzał staremu w twarz.

— Więc nic pan nie wie? — spytał podejrzliwie.

— Nie wiem, słowo honoru — Haładij usiadł przy kuchennym stole i położył na nim ręce. Odnosiło się wrażenie, że zamierza odbyć z Palijenką długą i zasadniczą rozmowę. Policzki pełne, ze sklerotycznymi żyłkami, w oczach smutek. — Dlaczego się pan na mnie gniewa, drogi panie oficerze? My przecież jedna rodzina z Hanią, jedna krew. Łończykiem się zaopiekujemy. Więc o co się gniewasz?

To przejście na „ty” było jakieś naturalne i przyjazne, jakby Haładij chciał odkryć przed Palijenką duszę. I rzeczywiście — zaczął mu mówić o swoich zasadach życiowych: żyć uczciwie, nie zapijać się, nie krzywdzić innych, szukać w sobie prawdy.

Długo rozmawiali. Palijenko wreszcie spojrzął na zegarek, wstał.

— Chcę pana o coś prosić — powiedział, wsłuchując się w ciszę mieszkania. — Może małemu będzie coś potrzebne, zanim Hania go zabierze. Proszę mnie zawiadomić. Oto mój adres.

Wyrwał z notatnika kartkę, zapisał, położył na stole.

— Może pan kapitan być spokojny — uśmiechnął się szeroko Haładij. — Jeśli coś, to zaraz dam panu znać.

Wyszli do ogródka, gdzie stały gęste szpalery przekwitłego bzu, pożegnali się. Palijenko zamykając za sobą furtkę spojrzął raz jeszcze na dom. Haładij odprowadzał go wzrokiem. Na ganku odznaczała się w mroku jego jasna sylwetka, szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy. Jewhen szedł powoli, w zamyśleniu, kierując się w dół ku centralnej ulicy, skąd dochodził głuchy szum. Lotnik boleśnie odczuł samotność. Przyspieszył kroku. Zmierzał tam, gdzie jest światło, błękitnieją neony, jeżdżą trolejbusy.

Słychać było odległe grzmoty. Nad miasto nadciągała burza. Nacierала z jakąś radosną pasją na jego mury, żeby w świetle błyskawic i wśród ryku gromów lunąć na ulice oceanem wody, rzucić na nie zbójeckie potoki. Zwykle po takiej burzy wstawały perliście przejrzyste poranki i niebo, jakby się wstydząc swoich nocnych orgii, przystrajało się w aksamitne zwoje błękitu na powitanie radosnego i ufneńgo słońca.

Palijenko wdychiwał chłód nocy czując, jak myśli jego stopniowo się przejaśniają. Krytyczny moment. No i co z tego? Czyż nie zrozumiał tego, co dlań najważniejsze i najistotniejsze? Hania zwróciła się do niego właśnie, więc nie był jej obojętny; reszta zależy już od jego stanowczości, musi jej pomóc, podtrzymać ją na duchu i wszystko będzie jeszcze dobrze.

Nie ma takiego zła, którego nie dałoby się odwrócić,

jeśli się tego bardzo pragnie. Może to naiwne, ale niepełnie. Pomoże jej. Musi jej pomóc.

Szedł w świetle latarni, pokrzepiony tą decyzją, stanowczy, przystojny, młodzieńczy, w przesuniętej na bakier czapce, w zielonej lotniczej koszuli z krawatem. I nagle zmroziła go myśl: „Co on może? Kogo wezwać na pomoc?” Zwolnił kroku, zagłębił się w niedobrych myślach, do serca zakradło się wahanie, opadły go wątpliwości. Odtrącono go, zapomniano o nim, pozostawiono bez słowa... Kaprys kobiety! „Proszę jechać, ratować!” Przyjechał — nie ma. Tylko uśmiech Haładija, tylko przestraszone oczy Lończyka na kanapie.

Wszedł do budki telefonicznej, nakręcił numer Niny Wasylewny. Długi sygnał... Tam na ciebie też nie czekają. Może tak nakręcać numery całego świata — wszędzie odezwie się ten długi sygnał nieobecności. Wszędzie pustka i samotność, puste i samotne niebo, pusta i samotna migocąca na nim gwiazda. Dla jednego to niezliczone galaktyki, spiralne schematy, parseki, odległości lat świetlnych, dla drugiego — rozpuszczona farbka do bielizny, upstrzona złotym pyłem... Długo nie odkładał słuchawki, mając jednak nadzieję, że ktoś się odezwie. Aż mu ręka ścierpła. Tak jak podczas dalekich lotów. Trzymasz, ściskasz, czujesz drządek, jedno szarpnięcie do przodu i lecisz w bezdenną przepaść. Drządek na siebie — i już mkniesz do gwiazd. Jesteś potęgą, wszystko jest ci podporządkowane, wszystko zależy tylko od ciebie.

Ale teraz nie znajdował w sobie siły. Nie czuł nic. Wciąż brzmiał ten sam, długi sygnał, ze słuchawki wionęło pustką. Powoli myśli zmieniały swój bieg. Zobaczył w wyobraźni rzędy warsztatów, a przy nich dziewczęce postaci, ujrzał przymrużone oczy Hrycia Sokoła.

„Jeśli nie poszedł z Kateryną do kina, to znajdę go w domu — pomyślał. — Dziesiąta godzina...”

Sokił mieszkał w przyfabrycznym hotelu robotniczym. Zajmował tam z kolegą nieduży pokój, do którego wchodziło się ze wspólnego długiego korytarza. Szafy, komody, wazony z kwiatami, zapach smażonego mięsa. Żółtawe światło słabej żarówki. Kiedyś pomagał przyjacielowi urządzić się tutaj.

Przeszła młoda kobieta, obejrzała się z ciekawością za Jewhenem.

— Pan do Hrycia?

— A jest w domu?

— Mamy wszyscy wspólny dom. Niech pan zapuka w te drzwi — wskazała ręką. — On jest tam.

Widocznie Hryć poszedł do któregoś z sąsiadów na kominki. Nie wypada wchodzić, trzeba wracać. Ale kobietka, chyba trochę podchmielona, wzięła Jewhena śmiało pod rękę i podeszła z nim do uchylonych drzwi.

— Proszę państwa, mamy gościa! Nalać mu karniaka! — powiedziała tonem świadczącym, iż jest gospodynią tego pokoju.

Ciasnota, aż gęsto od dymu papierosowego, stół zastawiony napojami i przekąskami. Hrycia wepchnięto w sam kąt; zaróżowił się, oczy mu błyszczą. Palijenko usiadł obok poważnej, milczącej, młodej kobiety o wysokich brwiach.

— Mojemu najlepszemu przyjacielowi Żeni pełną szklaneczkę! — woła przez stół Hryć. — A propos, piękne panie... — chwije się, znajduje jednak jakieś oparcie, wyprostowuje się, podnosi kieliszek — musicie wiedzieć, że kapitan Palijenko to najlepszy lotnik na Ukrainie! I kapitan Palijenko jest kawalerem! Słyszycie? Absolutny, niewzruszony kawaler... Za to właśnie go lubię! Nalejcie kapitanowi Palijence pełną szklanę. Natychmiast mu nalać! I niech wypije.

Uwaga wszystkich zwrócona była na Jewhena. Mężczyźni czekali, co odpowie swemu przyjacielowi, kobiety taksowały jego urodę, próbując odgadnąć coś więcej. Moment napiętej ciszy.

— Ja nie piję — powiedział Palijenko, przykrywając dłonią stojącą przed nim pustą szklanę.

— Żenia! — zawołał z wyrzutem Sokił.

— Nie piję! — powtórzył zdecydowanie, nie znosił, gdy go zmuszano.

Rozległ się męski gwar. Jakże tak? Zjawić się w towarzystwie i odmawiać picia? To niepoważne, panie kapitanie, to afront, panie kapitanie! Nie wypić za solenizantkę? Za taką kobietę?! Solenizantka, właśnie ta, która go tu wprowadziła, pochyliła się nad nim, czuł na karku jej gorący, cierpkosłodkawy oddech: za jej zdrowie nie wypije?

Sytuacja była kłopotliwa. Tłumaczyć się zdrowiem? Nie uwierzą: gdzie teraz znaleźć lotnika z kiepskim zdrowiem. Podawać jakieś zasadnicze motywy abstenencji? Jeszcze gorzej. Był oburzony na Hrycia: inteligentny, rozumny człowiek, a spił się jak bela.

Przysła mu w sukurs sąsiadka.

— Czy wy już zupełnie nie macie sumienia? — zwróciła się do obecnych. — Człowiek wołałby po prostu posiedzieć, porozmawiać, a wy chcecie na siłę truc go tym przeklętym zielskiem!

Odwróciła się do Palijenki i położyła mu na ramieniu piękną, białą rączkę. I w tym momencie poznał ją: to przecież Oksana Żuraj. Widział ją niedawno przelotnie w fabryce.

— Co się pan tak patrzy? Pamięta pan? Jak pan szedł do lotnictwa, byłam jeszcze uczennicą. Na czwórce, w montażowni.

Pamiętał dobrze. Tylko jej głos jakby się zmienił, a w twarzy pojawiły się akcenty jakiejś macierzyńskiej



powagi. Zawiązała się rozmowa. Oksana z pełnym zaufaniem powiedziała mu, że ma kłopoty z mężem. Siedzi tam, widzi pan? Ma już dosyć. Będzie musiała zaprowadzić go do łóżka, całe szczęście, że to blisko, w tym samym domu. Taki majster, dusza chłop! A bez kieli cha ani rusz, codziennie popija. Synek wszystko już rozumie. „Wiesz, mamó, chyba pojedziemy na wieś do babci”.

— A pan z czym do nas? — zmieniła temat.

— Mam pewną sprawę... — Jewhen zawahał się, bo czy w ogóle jest sens teraz o tym mówić.

— No, niech pan powie — zachęcała go Oksana.

— Chciałbym porozmawiać z kimś od was, z waszych aktywistów... Z sekretarzem komsomołu albo z kimś z komitetu zakładowego.

— A w jakiej sprawie?

— Chodzi o... o Hanię Czepurną.

Dostrzegłszy szczerą troskę na twarzy Oksany poczuł do niej zaufanie. Przyciszonym głosem zaczął opowiadać o swojej znajomości z Hanią i o dzisiejszym pobycie w domu Haładija, gdzie przebywa teraz Łończyk.

— Boże mój! — Oksana z wrażenia aż klasnęła w dłonie: nareszcie od kilku dni jakaś wieść o przyjaciółce. — Jewhenie Dmytrowiczu, proszę mi pomóc odprowadzić Tolę, a potem się naradzimy.

Opierał się, ale jakoś go doprowadzili. Chciał koniecznie wiedzieć, dokąd go wloką i dlaczego zostawiają tak miłe towarzystwo. Gdy był już z żoną w mieszkaniu, nadal coś burczał pod nosem, nie pozwalał się rozebrać, potrząsał głową, odtrącał żonę, wyrывał się, chciał wracać do gości. Oksanę porwała złość, zadyrzała się, pchnęła go na łóżko. Zatoczył się, uderzył o ścianę i upadł na wznak. Oksana z przerażeniem dostrzegła, że bardzo zbladł.

— Tolu! — wyszeptała.

Patrzył nieruchomo w sufit, na twarzy pojawił się lęk.

Czy ona oszalała? Własnego męża? Taki jakiś zagubiony, bezradny. Jeszcze jej się tu rozpłacze.

Z pamięci wynurzyła się rodzinna wieś wśród zielonych sadów, topolowa aleja między buraczanymi polami. Nad horyzontem olbrzymi księżyc — różowa planeta z plamami lądów. „Polecieć by tam we dwoje...” — mówi Tola, wpatrując się w chłodną, srebrną tarczę. Ciągle jeszcze pogrążony w swym marzeniu niesie ją na rękach wśród łożyny nad rzekę. I znowu księżyc, tylko teraz w wodzie, a Tolek jakby już nie Tolek, bo bardzo podobny do tego drugiego... do lotnika Andrija... Czy to nie z nim błąkała się wśród buraczanych łąków nad jeziorami? I czy to właśnie nie on nosił ją na swych mocnych rękach?

Nie potrzebuje teraz żadnego Andrija. Skończyła z przeszłością. A terażniejszość to ten pokój, to Tola. Przyniosła z kuchni ręcznik, wytarła mu twarz. Poczwała dla niego litość, miała ochotę przygarnąć go, uspokoić. Ciągle patrzyła na męża, odnajdując wśród znajomych rysów coś nowego, czego przedtem nie było i co ją właśnie teraz pociągało i budziło czułość. Jego blada twarz pod czarną czapą włosów wydała się jej teraz jaśniejsza, piękniejsza, z piętnem cierpienia. Jaki jest, taki jest, ale to przecież jej mąż, prawowity, ślubny. Ten sam, którego duży portret wisiał kiedyś w pobliżu portierni, który naprawiał krany wszystkim sąsiadom i pompował wodę do polewania podmiejskich ogródków działkowych, ten sam, który pierwszy zjawiał się w przedszkolu po Andrija. (A jednak nazwała dziecko Andrijkiem, Andrijkiem, Andrijkiem!).

Ostrożnie przykryła męża puchową kołdrą, poprawiła poduszkę. Śpij! A jutro porozmawiamy.

Wyszła na korytarz, cicho zamknęła drzwi. Czekali tam na nią: skupiony i poważny Palijenko oraz zmieszany Hryć Sokił z mętnymi oczami. Teraz mogli spokojnie porozmawiać.

Czoło sekretarza komsomołu Szyjki sposepniało.

— Kto wydał takie zarządzenie? — podszedł do wysokiego, chudego ślusarza, który majstrował coś z kluczem przy warsztacie, podczas gdy jego pomocnik klęcząc odkręcał mutrę na fundamencie. — Zdaje się, że wy sami go montowaliście. Dziś tak, jutro siak, co to jest właściwie?

— Nie gorączkuj się, chłopcze — odezwał się spokojnie ślusarz. — Nie nasza sprawa.

— Nie nasza? A czyja jak nie nasza?! — zawołał Szyjka do stojących wokół niego robotników. — Ale może mi jednak wyjaśnicie, z czyjego rozporządzenia demontujecie linię?

Robotnik się wyprostował. Oczywiście, że wyjaśni. Otrzymał polecenie od brygadzysty. Czy to ma jakieś znaczenie? A brygadziście zlecił mechanik. A temu zapewne kierownik oddziału. Czy to ważne? Ważne jest teraz, jak wyrwać z fundamentu. Przyrdzewiało to przeklęte żelastwo na sto lat.

Podszedł starszy majster, Hryhory Łukycz.

— To znaczy, że uzgodniono to z kierownikiem oddziału? — spytał z nie ukrywaną irytacją.

Ślusarz zmieszał się.

— Tak jest, towarzyszu generale! — zażartował niedorzecznie. — Wiktor Hryhorowicz wydał osobiście takie zarządzenie. Zdemonstrować całą linię, powiedział, na czysto.

Hryhory Łukycz poszedł szukać Wiktora. Powiedzieli mu, że jest chyba u naczelnego inżyniera. Żadan udał

się do Howiady, zastępcy Wiktora. Zamknął dokładnie drzwi za sobą, podszedł do biurka, przy którym Howiada coś pisał.

— Wiecie przecież, że kompletujemy linię rewolwerową. Jak mogliście?

— To nie ode mnie zależy, Hryhorze Łukyczu — westchnął zaaferowany. — Był nakaz z góry. — Wstał od biurka, otworzył szafę i zaczął grzebać w papierach. — Niepotrzebnie się pan denerwuje. Zabiorą zbędne warsztaty do narzędziowni, niech tam sobie stoją na zdrowie albo niech się kręcą. Wie pan przecież, że mamy mało doświadczonych robotnic, dlatego moce produkcyjne są nie wykorzystane. — Zamknął szafę, podszedł do Żadana, zagadkowo przymrużył zaczerwienione oczy. — I pańskiemu synowi będzie teraz lżej.

— A czyj to nakaz? Kto polecił?

— Nie interesowałem się, dalibóg. Z góry lepiej widać. Oni już tam wiedzą co i jak. Wiktora Dmytrowicza wezwano do inżyniera Łehkostupa. Chyba właśnie w tej sprawie.

Żadan podniósł słuchawkę. Może Wiktor przerwie wykonywanie tego absurdalnego zarządzenia? Może nie był dobrze zorientowany w tym wszystkim? Sekretarka poinformowała go, że kierownik dwudziestki rozmawia teraz z naczelnym inżynierem i że zabroniono im przeszkadzać. Mają ważną konferencję... Żadan zszedł na dół z ciężkim sercem, przemierzył halę, minął zajętych monterów, wyszedł na dwór. Było chłodno i wietrznie, mglisto i szaro, jesiennie. „Pańskiemu synowi będzie teraz lżej...” Czyżby właśnie dlatego trzeba wszystko rujnować, wyrzucać, niweczyć? Żadan przypomniał sobie, z jakim zapałem młodzież kompletowała w ubiegłym roku linię rewolwerową. Technolodowie męczyli się dzień i noc. Przemysłano i obli-

czono cały proces produkcyjny. A teraz to wszystko zrujnować dlatego, żeby komuś było łatwiej? Aby był mniejszy plan i mniej kłopotów?...

Ani się spostrzegł, jak doszedł do dyrekcji fabryki. No cóż, spróbuje uderzyć na alarm, uratuje to, co da się jeszcze uratować. A jak trzeba, to pójdzie do egzekutywy, jest się kogo poradzić, tam liczą się z jego zdaniem.

Przed wejściem do gabinetu Łehkostupa Żadan zawahał się. Wyobraził sobie jego obrzękłą, bladą twarz i pewny siebie uśmiezek: nie ma się czym przejmować, wszystko będzie dobrze... Zdenerwowanie wzrastało. Może pójść wprost do Suworina? Frontowy towarzysz, kiedyś razem zaglądali śmierci w oczy. Nie, nigdy nie chodził do Suworina się skarżyć i teraz też nie pójdzie. Nie ta ranga, żeby prowadzić pertraktacje. Jeśli trzeba porozmawiać otwarcie, to już lepiej na egzekutywie.

Hryhory Łukycz wszedł do sekretariatu. Nie da się jednak uniknąć rozmowy z Łehkostupem. Sekretarka zajrzała do gabinetu i po chwili wyszła.

— Może pan wejść.

W obszernym gabinecie panował półmrok, drzewa zasłaniały okna. Przy bocznym stoliku siedział Wiktor z jakąś kobietą, odwróconą plecami do drzwi. Łehkostup był w dobrym humorze. Wskazał Żadanowi krzesło pod ścianą.

— Cały ród Żadanów w komplecie!

Hryhory Łukycz usiadł. Dostrzegł na twarzy syna ledwo widoczny uśmiech. Przeniósł wzrok na Łehkostupa. Co to za uroczystość? Zebrali się tu na jakąś wesołą pogawędkę? W tym momencie kobieta odwróciła się. Ależ tak! To przecież Nina Wasylewna!

— Proszę bliżej, Hryhory Łukyczu! Porozmawiamy razem.

Przysunął krzesło, usiadł obok niej. Czuł się tak, jakby kierownictwo wezwało go do raportu. Nina Wasylewna z gniewnym i stanowczym wyrazem twarzy podjęła przerwana rozmowę.

— Ja nie proszę, ja żądam! Niemal co wieczór trzeba odwoływać zajęcia. To jest niedopuszczalne! — I zwracając się bezpośrednio do starszego Żadana: — Komunikuję ci oficjalnie, jako członkowi egzekutywy: musicie coś zrobić!

— O co chodzi?

— Tu, moi drodzy, taka sprawa — uśmiech zadowolenia z siebie nie zniknął z twarzy Łehkostupa. — Na drugiej zmianie pracuje u nas wielu studentów z technikum wieczorowego, więc opuszczają zajęcia, zaniedbują się w nauce. To jest oczywiście niedopuszczalne. Jesteśmy pani, Nino Wasylewno, szczerze wdzięczni za ten sygnał. Trzeba będzie pod tym kątem przejrzeć skład drugiej zmiany. A co — spytał innym tonem, obejmując zebranych wesołym, zuchwałym spojrzeniem — jeśli przekształcimy technikum wieczorowe w filię instytutu? Nasze zakłady mają wszechzwiązkową rangę, więc chyba się uda.

— Idea słuszna — podtrzymała go Nina. — Większość z tych, którzy kończą technikum, wstępuje potem do instytutu, tracąc kilka lat.

— A pan z czym, Hryhory Łukyczu? — Łehkostup zwrócił się do Żadana.

— Właściwie to szukałem kierownika naszego oddziału — odparł powściągliwie. — U nas na linii rewolwerowej demontują warsztaty.

Łehkostup wymienił z Wiktorem szybkie spojrzenie, potem wstał i całym ciałem oparł się o stół.

— Hryhory Łukyczu — zaczął mówić z rzeczową powagą. — Niepotrzebnie się pan przejmuje. To z mojego polecenia. Na dwudziestym brak ludzi. Seryjnych

zamówień też na razie mało. Więc postanowiliśmy uwolnić was od balastu. Tak żeby i rentowność wzrosła i żeby z planem było mniej kłopotów. Robotnicy też chyba powinni być z tego zadowoleni, bo ustabilizują się zamówienia. — Dostrzegłszy na twarzy Żadana rozdrażnienie, Łehkostup podniósł w górę rękę, jakby chciał przeciąć wszelką dyskusję na ten temat. — My widzimy lepiej, Hryhory Łukyczu. Proszę mi wierzyć: robimy to, co dla zakładów najlepsze. Darujcie, towarzysze — uśmiechnął się przepraszająco, wskazując na biurko zavalone papierami. — Nie chcę was dłużej zatrzymywać.

Wyszli we troje z gabinetu. Hryhory Łukycz wziął pod rękę Ninę i syna.

— Mam nadzieję, że nie muszę już teraz was przedstawiać? — spytał, uśmiechając się. — Taki oto jest ten mój syn, Nino. Wkroczył na wielki szlak.

— Nie za ciasno wam na nim? — zażartowała Nina.

— Niekiedy za ciasno — odpowiedział poważnie Hryhory. — Sama dziś słyszałaś.

— Ojczy, później o tym pomówimy.

— Nie kłóćcie się — wtrąciła się Nina. — I tak nie znam się na waszych sprawach. Wiecie co? Pojedziemy jutro na działkę. Wiktorze, co pan na to? Ma pan wolną sobotę?

— Tak, wolną — odpowiedział za syna Hryhory.

— Więc jedziemy?

Ostatnie słowo należało do Wiktora.

— Ja bym z radością... — nie wiedział, jak się wykręcić, bo umówili się z Łehkostupem, że wypuszczą się motorówką na Dniepr w nieznane miejsca, będą łowić ryby, posiedzą nocą przy ognisku. — Może lepiej w niedzielę?

— Noc z piątku na sobotę obiecana Łehkostupom — ukłął Wiktora ojciec.

— Obiecana. No to co?

— Nic. Pojedziemy, synu, bez ciebie — Hryhory z trudem powstrzymywał rozdrażnienie. — Jeśli się namyślisz, będziemy radzi cię widzieć. Możesz przywieźć z sobą Łehkostupów, przyrzekam ci, że powstrzymam się od krytyki.

Wiktor westchnął. Rozumiał ojca, wiedział też, że nie powinni wszczynać sporów w obecności Niny.

— Proszę mi wybaczyć — przyłożył rękę do serca — muszę wpaść do narzędziowni. Do jutra, ojcze.

— Nie zajrzysz na oddział?

— Wątpię.

— U nas likwidują warsztaty.

— Nie przejmuj się. Kiedy będzie trzeba, to je zabierzemy z powrotem. — Skłonił się przed Niną. — Bardzo się cieszę, że panią poznałem. W niedzielę ugotujemy razem na działce mamałygę.

Motorówka wyskoczyła na pełny Dniepr i prując fale mknęła ku ledwie widocznym wiązarom żelaznego mostu. W łodzi znajdowało się wesołe towarzystwo: Zoja, Łehkostup oraz jakiś młody reżyser z żoną. Grali w kajucie w karty, słychać było śmiech. Wiktor prowadził łódź: jedna ręka na kierownicy, drugą opuścił za burtę i zanurzył palce w bystrym nurcie; woda bulgotała, przyskała w twarz, stawiała ręce opór.

Ci, co siedzieli w kajucie, chyba nie po raz pierwszy wybierali się na nocną wyprawę, bo nic ich nie interesowało poza kartami; ani rozległa przedwieczorna panorama rzeki, ani szkarłat fal, ani majestatyczne brzegi — wszystko to widzieli już nieraz. Wiktor natomiast, który przez dwa lata oglądał tylko obce wody, rozkoszował się wszystkim. Mknęłoby się tak w dal pod wszystkimi mostami, poprzez sztuczne jeziora,



śluzy, kanały i żeby słońcu nie spieszo było chować się za lesistymi wzgórzami, żeby się tylko zanurzyło na krótko i znów wypłynęło jak ciekawy wędrowiec, którego też korci. by dotrzeć do morza i zajrzeć w jego głębiny.

Wiktor w zamyśleniu patrzył przed siebie. Nie wiedział, że Zoja może być taka bezpośrednia, towarzyska, taka żywiołowo wesoła. Ta rozbrykana dziewczyna nie przypominała dziś niczym znanej aktorki teatru dramatycznego. Była w krótkich szortach i czerwonej bluzeczce. Chociaż motorówka należała do jej brata, jednak czuła się tu prawdziwą gospodynią. To ona właśnie zdecydowała, by oddać ster łodzi w ręce Wiktora. Dla niego był dniewowy wiatr, dla niego orzeźwiająca bryzgi wody w twarz, dla niego słońce biegnące nad głębokimi jarami. Domyślił się, że chciała mu dogodzić, że wszystko, co najlepsze w tej wycieczce, to dla niego, tylko dla niego.

Nietrudno było domyślić się, że podobał się Zoi. I zamiary Łehkostupa również nie stanowiły dla niego tajemnicy. Zabiegi naczelnego inżyniera o zdobycie jego sympatii i pozyskanie go dla własnych planów Wiktor uważał nie za przejaw egoistycznego praktycyzmu, lecz za świadomie przemyślane działanie mądrego kierownika, który szuka oparcia dla realizacji pewnych przedsięwzięć produkcyjnych. Dlatego też taktyczne zabiegi Łehkostupa przyjmował bez irytacji czy podejrzliwości.

Motorówka przemknęła pod mostem, na moment zanurzyła się w gęsty cień między omszałymi filarami, z wyciem przeskoczyła pod żelazną konstrukcją mostu i wydostała się na gładziznę.

Wiktorowi psuło nieco nastroj wspomnienie o dzisiejszym nieoczekiwanym spotkaniu z Niną Wasylewną w gabinecie Łehkostupa. Unikał jej (tak, uczciwie

przyznał się przed sobą, że jej unikał), z różnych powodów nie mógł dotąd znaleźć czasu na złożenie jej wizyty. No i tu się spotkali: przy biurku Łehkostupa, w roboczych warunkach. I dobrze, że właśnie tak się poznali. To od razu polepszyło sytuację, ich stosunki unormowały się bez dramatyzowania, w sposób naturalny. Tylko później niedobrze wyszło z tym zaproszeniem na działkę. Swą odmową wyrządził ojcu krzywdę. Nina Wasylewna też chyba poczuła się dotknięta. Musi tam jednak pojechać. Przez całe lata czekali na ich poznanie się i w wyniku głupiego zbiegu okoliczności on, Wiktor, zranił najdroższego mu człowieka: ojca. Musiał, musiał...

— Gazu, dodaj gazu, Wiktorze Hryhorowiczu! — krzyknął z kabiny Łehkostup wesołym głosem, wygrawszy pewnie pierwszego robra.

Czuł się coraz lepiej w towarzystwie naczelnego inżyniera, zwłaszcza dziś, na motorówce. Z przełożonego z fabryki nie pozostało ani śladu, do łodzi wskoczył z młodzieńczą werwą mężczyzna lekko otyły, w białej koszuli i białej, płóciennej czapce, zakrzętnął się energicznie przy silniku i gdy wszyscy zajęli miejsca, nacisnął guzik startera. Łódź wesoło zadudniła, wstrząsnęły nią dreszcze, jakby pożądała ruchu. Illia Kindratowicz pewną ręką wyprowadził ją z przybrzeżnego tłoku, dodał gazu i dopiero wówczas zwrócił się do Wiktora.

— Metal, a taki posłuszny — powiedział z jakąś radosną satysfakcją. — I w tym właśnie siła.

— W czym?

— W podporządkowaniu sobie metalu. Czy pan, przyjacielu, zastanawiał się kiedyś nad tym, w czym tkwi sens życia? Mam na myśli nie jego biologiczną sferę, lecz życie jako rzeczywistość we wszystkich jego aspektach. Społeczeństwo, kosmos, mechanika... Za-

równy w martwym, jak i żywym świecie wszędzie działają systemy: system krążenia, system planetarny, system molekularny, system atomowy, system jądrowy, system państwowy, system rodzinny... I kiedy przyglądam się tym różnym systemom, uderza mnie... — skierował lekko motorówkę na środek rzeki. — Otóż dostrzegam, że w każdym systemie jest i musi być organizujący początek, nazwałbym go modus władzy, a więc jakaś osobliwa forma ujawnienia woli. Stąd płyną oczywiście odpowiednie wnioski. I rzecz najważniejsza: system będzie działać prawidłowo tylko w takim wypadku, gdy jest zabezpieczony silnym modusem.

— Zrozumiałe, towarzyszu kapitanie! — włączyła się do ich filozoficznej rozmowy zarumieniona przez słońce Zoja. — Zachciewa się wam władzy, pociąga was dyktatura... Proszę państwa! Na naszym statku pojawił się nowy Tamerlan. — Była podniecona, zaróżowiona twarz miała wyraz wesołego natchnienia. — Dlatego proponuję zdetronizować Łehkostupa i przekazać władzę... — objęła zuchwałym wzrokiem towarzystwo. — No, jak myślicie, komu? Oczywiście mnie, mądrej, czarującej kobiecie. — I żeby podkreślić tę swoją władzę, pociągnęła brata do kabiny, a koło sterowe przekazała Wiktorowi. — A pan, mój wierny rycerzu, niech nas wiedzie dalej do brzegów Kolchidy. Tylko proszę nie zapominać o dnierzańskiej milicji.

Wiktor prowadzi łódź już ponad godzinę. Słońce schowało się za stromymi skarpami prawego brzegu, po ciemnozielonkawej tafli wody snują się cienie, rzeka jakby stała się głębsza, utraciła odświeżone barwy, przycisnęła, spochmurniała.

Gra w kajucie skończyła się. Zoja ulokowała się obok Żadana, opierając się o jego lewe ramię; czuje jej leniwe, miękkie ciało. Zimno jej, więc wkłada puszysty

szlafrok kąpielowy. No, chyba dość już tej jazdy. Oto brzeg z zacisznymi wierzbami i piasek jak nad morzem.

— Dobijamy do brzegu!

Motorówka zaryła nosem w glinę, silnik zakaszłał i umilkł. Wysiedli. Wybrali odpowiednie miejsce na biwakowanie, nazbierali szybko gałęzi i zaczęli układać ognisko. Wiktor czuł się już pełnoprawnym członkiem towarzystwa, krzątał się energicznie wśród łożyny, znosił chrust, przenosił ziemniaki z motorówki, naczynie.

— Witienko, gdzie pan podział nóż? — pyta Zoja, szykując się do gotowania kolacji.

Znalazł szybko nóż i warował w pobliżu, by jej pomagać. Ogień buzuje wesoło chybotliwymi językami, pod korzeniem wierzby bulgoce woda, od rzeki ciągnie chłodem i spokojem. Zniknęły gdzieś wszystkie troski. Bo jak może być inaczej, kiedy wyrwali się wreszcie z miejskiego kieratu do królestwa spokoju i ciszy i mogą chociaż jedną noc i jeden dzień obcować sam na sam z przyrodą.

Ręce Zoi zajęte są ciągle przy kotle. Illia Kindratowicz przykucnął przy ognisku, zabawiając przyjaciół przeróżnymi anegdotami; od czasu do czasu wyciąga dłonie nad płomieniem, jakby chciał schwytać jednego z tych błękitnych, ognistych motyli, które wyrrywają się z palących się gałązek. Rzecz jasna anegdoty dotyczą głównie Zoi, opowiada o niej to z humorem, to ze szczerym zachwytem, a niekiedy z uszczypliwą ironią, nie zawsze bowiem pochwała zbyt ekscentryczne kaprysy siostry. Proszę tylko nie sądzić, że to jakiś aniołeczek w szortach, niewinny i posłuszny. Gdy Zoję ugryzie giez, to może wyciąć nawet taką sztukę, jak w ubiegłym roku w Jugosławii, w nadmorskiej miejscowości Zadara, dokąd pojechała jako turystka. Wyobraźcie sobie gorący, sierpniowy dzień, plaże przepełnione, ludzie kąpią się, fotografują, smażą się na słoń-

cu. A w centrum uwagi nasz miły aniołek. Wszędzie słychać tylko: „Madame! madame!...” Otóż w Adriatyku zaczęły się pojawiać niebezpieczne małe rekiny, zwane też psami morskimi. Plażowiczów ostrzegano przed niebezpieczeństwem grożącym im ze strony tych drapieżników: „Strzeżcie się groźnych rekinów”! „Uważajcie w morzu na niebezpieczne psy morskie!”

Łehkostup wstał od ognia, rozprostował ścierpnięte nogi, odpoczął chwilę, po czym wskazał ruchem głowy na zakłopotaną kucharkę. Patrzenie, jak ucichła, jaka skromna, a wtedy w Zadarze jakby oszalała. Rekiny? Zagrożają życiu? Nie wolno zbyt daleko wypływać w morze? Bzdura! Wdrapała się szybko na wieżę skoków, skoczyła jaskółką w dół, potem kraulem aż do chroniących lagunę bonów, w królestwo drapieżnych rekinów. Na brzegu powstał popłoch, mężczyźni krzyczeli, machali rękami, powłazili na wieżę...

Łehkostup zapalił papierosa i znowu przykucnął przy ognisku, wpatrując się wesołymi oczami w ogień.

— I czym zakończył się ten heroiczny wyczyn? — spytał Wiktor z nie ukrywanym zachwytem.

— Musiałem przejść od słów do czynu — odparł skromnie Łehkostup. — Popłynąłem za nią i zawróciła z hańbą.

— Z triumfem, braciszku! — zaprotestowała Zoja, która właśnie przymknąwszy oczy wsypywała do małygi drobno posiekaną cebulę. — Był to mój wielki sukces na międzynarodową skalę!

W nocy Wiktor długo siedział z Zoją przy dogasającym ogniu, wsłuchując się w milczeniu w niewyraźne szumy, dochodzące z ciemności od rzeki. Oboje wyczuwali w tym zamyśleniu swą intymną bliskość. Wiktor przygarnął Zoję do siebie i otulił płaszczem kąpielowym, nie odważył się jej jednak pocałować ani też żadnym słowem nie ujawniał swoich uczuć.

Przywiązana do wierzby motorówka sennie kołysała się na smolistoczarnych falach, w ognisku zgasły już ostatnie węgielki, dochodziła woń wilgotnego popiołu.

— Trzeba chyba iść spać — powiedziała wreszcie Zoja. — Jutro mam spektakl.

Podniosła się, opierając się o ramię Wiktora, postąpiła chwilę, potem gorącą ręką przycisnęła do siebie jego kędzierzawą głowę i pieszczotliwie zburzyła mu fryzurę.

— Dobrych snów, Witia! — powiedziała i poszła do motorówki, gdzie czekała na nią ciepła pościel.

Palijenko i Sokił szli nocnym miastem. Po długim uctowaniu i jeszcze dłuższych rozmowach byli trochę podnieceni i skłonni nadal sprzeczać się o Bóg wie jakie światowe problemy. Hryć kulił się z zimna, wyszedł bowiem w samej koszuli.

— Więc nic nie dowiedziałeś się o uciekinierce? — spytał ostrożnie Jewhen, wracając do rozmowy, która sprowadziła go właściwie do przyjaciela.

— A ty ciągle jeszcze rozpaczasz z jej powodu? — odpowiedział pytaniem na pytanie Hryć, z trudem hamując rozdrażnienie.

— No cóż, trzeba przecież troszczyć się o człowieka.

— Myślę, że należy to do kierownictwa fabryki — Hryć zaczął dla rozgrzewki ruszać ramionami. — A w ogóle to nie lubię dezterterów. Niech tylko trochę przypiecze, od razu nogi za pas. A gdyby wszyscy tak?

Zaczął opowiadać o swoich stosunkach z głównym inżynierem. Nie ma do Łehkostupa zaufania. Jest bardzo natrętny, robi wszystko na pokaz, mydli oczy kierownictwu i innych do tego zmusza.

— Zachodzę w tych dniach na dwudziesty oddział, a tam monterzy zdejmują warsztat z fundamentu. Mó-

wią, że to z zarządzenia inżyniera Łehkostupa. Przerzucają do narzędziowni dziesięć frezarek i pięć rewolwerówek. A Wiktor Żadan stoi obok. „Illia Kindratowicz — powiada — wie lepiej”. Cała technologia idzie na zбитy łeb, a tamten wie lepiej.

— Jesteś pesymistą, Hryciu.

— A jak tu być optymistą?

— Patrzeć na ziemię z zenitu.

— Kiepski z ciebie doradca — uśmiechnął się gorzko Sokił. — Łehkostup też by tego chciał. Ale ja jestem empirykiem, wrośniętym korzeniami w ziemię. A prócz tego lubię we wszystkim porządek. Taki się narodziłem i taki już umrę.

Palijenko pomyślał, że czas najwyższy wracać do domu. O tak późnej porze można dostać się do miasteczka tylko na łebka. Zatrzymali starego moskwicza. Wsiadając do samochodu Palijenko krzyknął do przyjaciela:

— Dowiedz się jednak czegoś!

— Jutro otrzymasz wyczerpujące informacje — obiecał Hryć.

Powlókł się do domu. Pociągnięte emalią nocy okna patrzyły nieprzyjaźnie, w kasztanowych liściach szeleścił wiatr. Hryć był speszony wizytą przyjaciela. Jakoś dziwnie układały się stosunki między nimi. Obaj bezkompromisowo uczciwi i obaj w gorącej wodzie kąpani. Patrzcie go, przyjechał aż z miasteczka wojskowego tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o „dezterterce”, włóczy się nocami po mieście, by trafić na jej ślad, a jemu radzi „patrzeć na ziemię z zenitu”! Katarzyna wyznała mu wczoraj ze smutkiem: „Będziemy mieli dziecko”. Pójść do dyrektora i opowiedzieć mu o wszystkim jak jest? Czy może kłaniać się Łehkostupowi? Właściwie wszystko ułożyłoby się tak prosto, gdyby mu dali mieszkanie. Wystarczy tylko milczeć,

uśmiechać się i podpisywać papierki. Nie jest przecież jakąś tam ważną figurą. Przed nim jeszcze główny technolog, główny inżynier, jest wreszcie dyrektor.

Jewhenowi dobrze radzić o tym „zenicie”. A tu — oczy Katrusi we łzach, wciąż tylko wzdycha, tak że w końcu sam siebie zaczynasz nienawidzić. Nie umiesz żyć! Naiwniak z ciebie, Hryciu! Kiedyś Łehkostup, niby tak mimochodem, położył mu rękę na ramieniu: „Myślę, że za długo zasiedział się pan na jednym miejscu. Trzeba rosnać, przyjacielu!” Nie wyjaśnił bliżej swojej aluzji, ale Hryć w mig ją rozszyfrował: wkrótce miał iść na emeryturę zastępca głównego technologa, Griszin, i w dyrekcji dyskutowało się na temat jego następcy. Wymieniano też nazwisko Hrycia: młody, zdolny, trzeba takich popierać. No więc Łehkostup położył mu rękę na ramieniu. A Katria wieczorami płacze...

Sokił przywłókł się do domu przed świtem. Niebo już się przejaśniało, różowiło się ciepłymi smugami, dzień był blisko. Hryć odczuł w sercu przypływ delikatnej czułości i łagodnego smutku. Katria płakała? Dlaczego? Takie czyste niebo. Tylko żyć, cieszyć się pięknem. Trzeba patrzeć na wszystko z tych największych wysokości nieba, o których mówił Jewhen.

Wszedł ukradkiem do pokoju, drzwi westchnęły żalnością i sennie umilkły. Kolega z sąsiedniego łóżka przewrócił się na drugi bok. „Z zenitu...” — pomyślał Hryć, usiadł na łóżku i zaczął mechanicznie rozpinąć koszulę.

Hryhory Łukycz spotkał Wiktora w fabrycznej alei.

— Daleko idziesz, ojczu?

— Do komitetu, synu.

Dopiero zaczął się dzień, a twarz ojca jest już ziemstoszara, zmęczona. Wezwano go na egzekutywę w nie-



przyjemnej sprawie: zbiorowa skarga z rewolwerowej linii na Zaliskiego. Czegoś podobnego jeszcze nie było!

— Tam już odpowiednio się tym zajmą — rzucił sucho Wiktor.

Chciał iść dalej, ale ojciec go zatrzymał.

— Dzwonił z portierni Czepurny. Chciał się dowiedzieć, gdzie jest Hania. A czy ja wiem gdzie? Powiada, że dokądś wyjechała. Zaprosiłem go na wieczór do nas. Porozmawiamy.

Rozstali się. Hryhory Łukycz poszedł do budynku dyrekcji, gdzie mieścił się komitet partyjny, a Wiktor do swego oddziału. Nastrój jego momentalnie się zmienił. Jasny do tej chwili horyzont przesłoniły nagle chmury. Ostatnie dni upłynęły pod znakiem sukcesów. „Ma pan niezły rozruch” — pochwalił go wczoraj sam dyrektor. I on skromnie, ale z godnością przyjął tę pochwałę. No cóż, zasłużył na nią. W ogóle wszystko układało się pomyślnie. Ma już pierwsze konkretne osiągnięcia: zmniejszyły się przestoje warsztatów, nie ma kolejek po narzędzia. Wieczorem wszystko było przygotowane na dzień następny: noże, karty technologiczne, wykresy, narzędzia. Gdy przychodziło się na zmianę, wszystko znajdowało się już pod ręką i mogli natychmiast zacząć pracę. Zmalały też przerwy na papierosa, nowy kierownik ostro zabrał się do pijaków: dwóch zwolnił z miejsca, kilku otrzymało ostrzeżenia, bo „u nas, chłopcy — jak powiedział — nie restauracja. Izby wytrzeźwień też nie zamierzamy otwierać. Więc piszcie podanie o zwolnienie na własne żądanie”.

Wszedł na teren oddziału. Po obu stronach ciągnęły się warsztaty — rewolwerówki. Pracowały przy nich dziewczęta w czarnych fartuchach i czerwonych chusteczkach. Tutaj wiadomo: czasu nie marnują. Żeby tylko było co robić. W ostatnich dniach robotnicy pracowali ze szczególną pasją, wykonując bułgarskie za-

mówienie. Koło każdej tokarki stopy wiórów, nie było czasu na ich uprzątnięcie. Ręce nie odrywają się od suportów, nie milkną ani na sekundę śpiew noży. Wykonywano po dwie normy dziennie!

Słowem — wszystko jest na najlepszej drodze. Trzeba tylko więcej dyscypliny. Modus władzy, jak to określił Illia Kindratowicz. A co to za zbiegowisko wokół stołu planistki? Wśród grupy dziewcząt Wiktor dostrzegł sekretarza komsomołu Szyjkę. Ciągłe by tylko dyskutowali. Jak one śmiały wnieść skargę do komitetu?! Co za niewdzięczność! Staraj się dla nich, zabiegaj — a im wszystkiego mało. Przywiózł wczoraj kwiaty na oddział, nawet dwa figusy w drewnianych donicach kazał postawić obok tablicy ogłoszeń, już z daleka wpadają w oczy, takie wspaniałe, rozłożyste...

Przeszedł obok nich, skinął głową na powitanie i poszedł na linię tokarską, gdzie pracowali przeważnie mężczyźni. Łehkostup dotrzymał jednak słowa — oczyścił oddział ze zbędnych warsztatów. Dobrze, że dał się mu wtedy przekonać. „Te półautomaty to tylko mordęga. Więcej czasu traci się na przygotowanie niż na pracę na nich. Na nich, Witia, nie wykonasz żadnego planu, możesz mi wierzyć, staremu wydze. Niech narzędziowcy się z nimi męczą. I tak mają pełno tych sztandarów i proporców, więc to nie zachwieje ich pozycji”.

Ta cyniczna szczerość Łehkostupa zmroziła nieco Wiktora. „Niech narzędziowcy...” Łehkostup nie lubił narzędziowców, nie lubił ich surowego i nieustępliwego kierownika, Petra Onufryjowicza Harkuszki, bo ten ciągnie swoją linię w górę i nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. „A ja czyją linię? Przecież też swoją — pomyślał Wiktor. — Bzdura! Moja, twoja... Mamy przecież wspólny interes: żeby oddział piął się w górę. No i... żeby posłyszeć o sobie dobre słowo. A najważniej-

sze: iść do przodu! Więcej pewności siebie, więcej wiedzy i umiejętności, coraz szersze perspektywy...”

Tylko z ojcem coraz trudniej. Ciągłe się dąsa, unika rozmów. No a jeśli ktoś nas unika, to nic nie można na to poradzić. Wieczorami do późna czyta gazety na balkonie, gdzie zainstalował lampkę nocną, i ukrywa się tam jak w jakiejś zielonej podwodnej grocie.

Kiedy Wiktor szedł po schodach do swego gabinetu, usłyszał za sobą jakieś szybkie kroki. Dogonił go Zaliski.

— Chcę się poskarżyć, Wiktorze Hryhorowiczu.

Wiktor otworzył drzwi, ruchem ręki zaprosił go do gabinetu.

— Siadaj i mów, o co chodzi.

— Chcą mnie zwolnić... To znaczy, odgrają się — rzekł Zaliski z typowym dla niego tupetem. Był jak zwykle dokładnie ogolony i w nienagannie zaprasowanym kombinezonie.

Okazało się, że Zaliskiego chcą „zwolnić” robotnice z linii rewolwerowej, które już od dawna razem ze swoim tykawatym Szyjką czepiają się go i tną jak osy. A to ośmieszają go przez karykatury, a to wywołują skandale przy warsztatach jak niedawno ta pyskata Żuraj. Jej przyjaciółkę chwala Bogu już spławiliśmy, teraz warto by i tej się pozbyć.

— Jak to spławiliśmy?

— Przecież Czepurną przegnali — powiedział Zaliski poufałym tonem i przechylił się przez biurko. — Wtedy celowo rozdmuchałem tę historię. Oczywiście obowiązuje przepis, że jeśli ktoś przejmuje stanowisko pracy, to musi mieć specjalne zaświadczenie z działu szkolenia technicznego, że zna ten typ warsztatu i dobrze opanował jego technikę z uwzględnieniem oczywiście bhp. No ale nie jesteśmy przecież biurokratami i przymykamy niekiedy na to oczy.

— Ale tym razem postanowił pan być biurokratą, żeby komuś dosolić? — spytał Wiktor z chłodną podejrzliwością.

— Istotnie. Wiem, co robię... Takie są nam niepotrzebne — Zaliski pochylił się jeszcze niżej nad biurkiem, twarz jego wyciągnęła się w lisią mordkę. — One i o panu rozpuszczały plotki, jakoby pan z Hanią jakieś tam... figle-migle czy nawet, że miłość była. I że niby to pańskie dziecko... Różne różności te języki miały. O, nie, myślę sobie. Nie trzeba nam piątej kolumny! Mamy zwarty kolektyw, dyrekcja nam ufa. No więc pomogłem jej, jak to mówią, uświadomić sobie jej historyczną konieczność. Teraz nikt już, Wiktorze Hryhorowiczu, nie popsuje panu ankiety...

Lisi pyszczek Zaliskiego miał wyraz złośliwego triumfu. Wiktor poczuł pustkę w piersiach.

— Z tymi ankietami to trzeba teraz być bardzo ostrożnym — ciągnął dalej Zaliski pouczającym tonem. — Zapewniam jednak pana, że nie ma się pan co niepokoić.

Wiktor czuł się bezsilny, a jednocześnie ogarnęła go determinacja. Może rzeczywiście dobrze się stało. No i trzeba pamiętać, że tacy jak ten typ bywają pożyteczni.

— Kto chce pana „zdjąć”? — spytał możliwie spokojnym głosem.

— Moja zmiana — odpowiedział z oburzeniem. — Zwolali zebranie komsomolskie, coś tam uchwalili...

— Może pan już odejść.

— Jak to? Bardzo przepraszam! Czy oni mają prawo? To przecież bezprawie! Jutro mogą uchwalić, żeby usunąć pana, dyrektora, ministra.

Wiktor pochylił się nad papierami. Nie miał odwagi patrzeć na bezczelny wyraz oczu Zaliskiego w obawie,

że dostrzeże w nich zatajoną myśl lub wyczyta jakiś podstęp.

— Nikogo nie będzie się zdejmować — powiedział zduszonym głosem. — Proszę wracać do pracy.

Zaliski chwycił za klamkę, ale nie spieszył się z wyjściem. Wiktor dostrzegł to wahanie.

— Czy ma pan coś jeszcze? — spytał ze zniecierpliwieniem.

Zaliskiego jakby ktoś pchnął w plecy. Szybko podszedł do biurka, oczy zwięzły się, nabierając zimnego błysku stali. Powiedział, że dziś od samego rana wałęsa się po oddziale Sokił z biura głównego technologa. Wypytywał majstrów o stopień wykorzystania warsztatów, grzebie się w dokumentach, zlecono mu podobno jakieś zadanie, coś chce sprawdzić. Z nim, Zaliskim, też rozmawiał. Ilu ludzi pracuje na zmianie? Kiedy faktycznie zaczynają pracę? O, on już ich zna, tych kontrolerów! Najpierw wypytują, a potem ponapisują, co zechcą.

— Dałem mu taki koncert, że mu nawet rodzona matka nie pomoże zorientować się co i jak. Wszystkie stanowiska pracy, powiadam, są zajęte. Plan wykonujemy, powiadam, i to nie pańska sprawa.

— Poszedł już?

— Nie, jest tam jeszcze.

— W porządku, Wołodia — zdjął słuchawkę telefonu. — Niech sprawdza. Po to jest technologiem, żeby śledzić przebieg procesów technologicznych. Może pan odejść. — Gdy Zaliski wyszedł, zaczął powoli nakręcać numer. — Zineczko, z Illią Kindratowiczem.

A na linii rewolwerowej istotnie wrzało. Zaniepokojenie Zaliskiego nie było więc bezpodstawne, podminowany już od dłuższego czasu oddział wreszcie musiał wybuchnąć.

Najbardziej była poruszona Oksana Żuraj. Nastrój jej popsuł się jeszcze wczoraj wieczorem. Tołyk znów

się upił. I dziś też przyjdzie pewnie pod gazem. Po pijanemu trudno go poznać, nawet syn zaczyna go nie nawidzić. Poza tym wstyd na cały hotel robotniczy, na całą fabrykę. Oksana zmusza się, by o tym nie myśleć, ma dość swoich spraw na oddziale. Siada przy stole, rozkłada zlecenia, wykresy, karty warsztatowe.

— Kierownik cię wzywa — słyszy nagle nad samym uchem głos Zaliskiego.

— Poleciałeś na skargę?

— Idź, idź, już on ci da skargę.

Ciekawe, czego chce? Gdy Oksana wchodzi do gabinetu, Żadan rozmawia przez telefon. Zbliża się do biurka, patrząc na kierownika wyzywająco, z dumnie uniesioną głową.

Wiktor ujrawszy ją uprzejmym ruchem wskazuje jej fotel przy bocznym stoliku.

— Chciałem pani poradzić, Oksano, żeby pani nie darła kotów z Zaliskim — mówi opanowanym głosem, bębniąc palcami po papierach. — To człowiek nerwowy, ma na swojej zmianie wiele spraw na głowie. Rozumiem panią: grubiaństwo jest rzeczą niedopuszczalną. Ale i jemu nielekkko. Starszy majster od niego wymaga, ja wymagam...

— Ale dlaczego pan z tym do mnie?

— Bo mi już obrzydły te ciągle skargi. Nic tylko się czubicie. Po co? Czy mało macie kłopotów bez tego? A pani, Oksano — zmienił nagle temat — kim chciałyby być?

— Tym, na kogo wyuczę się w instytucie — odpowiedziała oschle.

— Bardzo słusznie. Nam potrzebne są własne kadry. Żeby spośród robotników naszego oddziału wychodzili technicy i inżynierowie. Niech tworzą się u nas robotnicze dynastie. Niech pracują tu całe pokolenia: ojcowie, synowie, wnuki, prawnuki... — spojrzął w sufit,

głos jego nabrał akcentów dumy. — Trzeba być dumnym ze swojego oddziału. Będziemy go teraz przebudowywać, powiększać.

Mówił następnie o świetlicy, spytał ją, dlaczego ostatnio nie śpiewa w chórze. Odpowiedziała niechętnie, że nie ma na to czasu i w ogóle rodzina bardzo absorbuje, a dzieci wyczerpują.

— Rozumiem. Rodzina to nie żarty.

„Jaki współczujący” — pomyślała z ironią.

— Oksano! Była pani przyjaciółką Hani, prawda? — spytał nagle zmienionym, jakby zdławionym głosem.

— Tak, byłam — odpowiedziała cicho.

Wiktor jeszcze niżej pochylił głowę nad papierami i dalej bębnił nerwowo palcami. Obserwowała go z napięciem, widać było, że coś go gnębi.

— Gdzie Hania teraz jest? — spytał z wahaniem i niepokojem, podnosząc pełne bólu oczy. — Gdzie jest Łończyk?

Opowiedziała wszystko, co wiedziała. I znów dostrzegła mękę na jego twarzy. Niesłusznie źle o nim myślała. Zresztą jego też można zrozumieć...

— A więc jest zupełnie sam? — spytał z rozpaczą.

— Został u jej krewnych. Wkrótce ma go zabrać.

— Na nowym miejscu niełatwo się urządzić — zmarszczki wokół oczu Żadana pogłębiły się. — Tak nie można. Dziecko nie jest tu winne...

— Cudowny chłopczyk!

— Dzieci nie powinny cierpieć za nasze pomyłki — powiedział twardo.

Wyjął szybko z wewnętrznej kieszeni portfel z miękkiej, żółtej skórki, po namyśle jednak schował go z powrotem.

— Trzeba by mu przekazać trochę pieniędzy — rzekł cicho, unikając jej wzroku. — Ale lepiej będzie,

jak sam to zrobię. Proszę mi tylko podać adres tego krewnego.

Oksana wstała.

— Nie, Wiktorze Hryhorowiczu, nie dam panu adresu! — powiedziała stanowczo. — Hania zabroniła.

— A jej adres? Gdzie ona teraz jest?

— Jej adresu też nie mogę podać.

Wiktor wstał również. Wychłostała go w jego własnym gabinecie. No cóż, zasłużył na to.

— W porządku — zakończył ochryplym głosem. — Może pani odejść. Sam ją odnajdę. Proszę jej to napisać: odnajdę na pewno!

Już od samego rana Hryc Sokił był w kiepskim nastroju. Deszcz leje, pogoda pod psem, na ścieżkach fabrycznych ni żywej duszy, wszyscy wokół jacyś senni, nie ma nawet z kim pogadać. W dodatku pokłócił się wczoraj z Katrią. Chce jechać do matki do Nikopola, no bo jak będzie z dzieckiem w hotelu robotniczym... „Inni mieszkają z dziećmi — próbował ją przekonać. — A ja nie chcę — odpowiedziała. — I nie wrócę tak długo, aż otrzymasz mieszkanie”.

Żal mu było tej poźółkłej twarzyczki, pogrubionej figury, smutnych, załzawionych oczu, w których czała się złość. Złość na niego. Nie wierzyły mu te oczy... Kocha ją przecież, bardzo ją kocha i cierpi. Gdyby mógł tego czymś dowieść! Jak ma ją przekonać o swojej miłości? Nigdy nie traktował poważnie dziewcząt, nazywały go żartobliwie i trochę lekceważąco śpiewakiem-pustakiem. Katrusia też mu kiedyś powiedziała: „Nie nadajesz się, Hryciu, na posadę męża. Ty byś tylko czytał wiersze i wzdychał do księżyca”. Nigdy nie potrafił wykazać się przed nią swą siłą. Jakoś nie było okazji. Chyba że wtedy, gdy zimą pojechali z kon-



certem do kołchozu, nad którym fabryka sprawowała szefostwo. Zaprosił ją wówczas z jej koleżankami z instytutu. Wracali późną nocą, autobus z trudem przebijając się przez zasy, raz po raz trzeba było wysiadać i oczyszczać ze śniegu drogę. A potem zupełnie już ugrzęźli w zaspie, uderzyła w nich wściekła zamieć, cały świat zaczął wirować w białym kołowrocie. Któryś z chłopców zaproponował, że pójdzie do wsi sprowadzić pomoc, jeśli jeszcze ktoś zgodzi się mu towarzyszyć. Spojrzał na zgaszone, zmęczone twarze i czekał. Hryc pomyślał, że zdarza się właśnie okazja zdemonstrowania swej dzielności, że trzeba się podnieść — i... Chciał rzeczywiście się zgłosić, gdy nagle zerwała się Katria: „Ja pójdę!” I nie dając mu czasu na opamiętanie się szybko podeszła do tego śmiałka siedzącego przy wyjściowych drzwiach. Jak strasznie długo wtedy nie wracali! Jaką męką było dla Hrycia czekanie na ich powrót! Nie szczęściło się Hryciowi z tą męžnością. Piosenki, wiersze, wzdychanie przy księżycu — to wszystko, na co go było stać...

Odegnął wspomnienia, zabrał się do analizy „fotografii dnia roboczego oddziałów mechanicznych”. Przygotowywano ten dokument na żądanie ministerstwa, które zleciło sprawdzić dyscyplinę pracy i gospodarowanie czasem oraz wyposażeniem fabryki. Chodziło o zbadanie możliwości poważnego zwiększenia planu produkcyjnego. Czy zakłady poradzą sobie z nowym zadaniem? Czy nie trzeba wesprzeć ich nową techniką i dodatkowymi mocami?

Był wczoraj u niego inżynier z wydziału pracy i płacy: szary garnitur, szara twarz, nawet głos jakby szary. Ale z tej szarości przebijało zdziwienie z akcentami pogroźki: „Przecież nie możemy takiego dokumentu posłać wyżej! Gdzie mieliście oczy, technolodzy, że u was stoją nieczynne warsztaty? Nie umiecie orga-

nizować produkcji. Nie nauczyliście się! A teraz chcecie zniesławić fabrykę. Proszę pomyśleć o honorze swego zakładu pracy, towarzyszu Soki! Towarzysz Łehkostup uważa, że dla pierwszej zmiany trzeba postawić współczynnik wykorzystania nie 0,5, lecz 0,83, a dla drugiej nie 0,3, lecz co najmniej 0,55". Położył na stole przed Sokołem arkusz papieru i wyszedł. Zniknął jak cień. Ale na stole pozostał nie cień, lecz biały arkusz z cyframi, z żądaniem Łehkostupa, z prawdą i z jego nieprawdą.

Już od samego rana męczy się nad tym. Pozostawić 0,83? Czy wpisać tak, jak jest naprawdę? Przeciwstawić się Łehkostupowi? „Proszę to trochę polepszyć” — powiedział inżynier z wydziału pracy i płacy, przekazując mu żądanie Łehkostupa. A więc z jego, Hrycia, podpisem ma być dostarczone „polepszone” sprawozdanie głównemu inżynierowi Łehkostupowi, który przekaze je samemu ministrowi. Maleńka, drobniutka zmiana... Ot, takie sobie przeinaczenie... O cóż więc chodzi? Towarzysz Łehkostup go prosi, ten sam Łehkostup, który po przyjacielsku położył mu rękę na ramieniu i kusił go nęcącymi aluzjami. Łehkostup nie chce przecież źle ani dla technologa Sokoła, ani dla fabryki. Łehkostup chce jak najlepiej. Sprawozdanie niczego zresztą nie przesądza. Więc po co się mądrzyć? Jakby nie starczyło kłopotu z Katrią. Jeśli chce się wynająć mieszkanie, trzeba mieć pieniądze, bo musi się zapłacić z góry, wszyscy wynajmując mieszkanie tego żądają.

— Hryciu, śpisz? — odezwała się śpiewnie siedząca obok Majka Bruz, blondynka o błękitnych oczach i wystających kościach policzkowych. — Leć, w bufecie są pomarańcze!

— Dziękuję, Majeczko!

— Chyba się nie wyspałeś. Chcesz, to dam ci jedną.

Zmusił się do uśmiechu. W domu ma pełną lodówkę pomarańcz.

— Kupiłeś lodówkę? — zdziwiła się Majka.

— Ja nie, sąsiad... — wymamrotał Hryć, czerwieniąc się z powodu tego głupiego kłamstwa.

A jednak liczba 0,83 pochłaniała wiele energii i czasu. W ogóle to nie bał się liczb, kiedyś w szkole był pierwszym matematykiem, a na olimpiadzie matematycznej w pałacu pionierów zdobył raz nawet pierwsze miejsce, potem marzył o studiowaniu lingwistyki matematycznej. Śnieżycy też się wtedy nie bał. Nie należy zresztą poddawać się strachowi. Człowiek jest żywą istotą i nic nie można na to poradzić, że w każdej jego komórce czai się strach. Jego nędzna okruszyna zawsze gdzieś czyha na nas, nie wolno jednak mu ulegać. Niegdyś mu ulegał, ale teraz dość tego! Komórki strachu — precz!

Kiedyś mieli spotkanie z pewnym starym generałem. „Bałem się śmierci zawsze — opowiadał. — I na Chasanie \*, i pod Rostowem, i kiedy płońałem w czołgu pod Tarnopolem, ale przeklinałem ten strach i zawsze było mi lżej, gdy sobie uświadomiłem, że jednak mimo wszystko mogę robić to, co trzeba, a nie to, co nakazuje mi strach. A więc było we mnie coś więcej prócz strachu”.

83... 93... Cyfry są jak groch, jak orzechy, jak jabłka — okrągłe i nieuchwytne. Rok 93... Zdaje się, że jest taka powieść Wiktora Hugo; piękna powieść, Hryć czytał ją jeszcze w szkole. Szkarłatna noc nad morzem, fregata rojalistów zbliża się do wandejskiego wybrzeża, niebo w poszarpanych chmurach jak na obrazach flamandzkich mistrzów, żołnierze w trójkątnych kapeluszach. Vive le roi! Niech żyje król!

---

\* Jezioro na radzieckim Dalekim Wschodzie.

Hryć przysunął do siebie arkusz papieru. Trzeba się skoncentrować i spokojnie wszystko przemyśleć. Żeby tylko nie patrzeć na te pomarańcze Majki. Wszystko bzdura. Co on właściwie ma powiedzieć? Kim on tu jest? Kroplą w oceanie bytu. Niezliczone miliardy kropeł błyszczą w słońcu. Wszystkie razem stanowią piękno, wszystkie coś znaczą, mają barwę, zapach, siłę, ale oddzielnie?...

Przemknęła przez głowę myśl: zmień na lepsze. Tak jak było postanowione wczoraj w nocy na tej cichej ulicy. Przecież zmienisz przez to sobie na lepsze! Griszin idzie na emeryturę. Inżynier z wydziału pracy i płacy powiedział: „Trzeba dbać o honor fabryki!” Ale i o swój własny też by nie zaszkodziło. Logiczne, proste.

Wziął długopis i powoli, z przyciskiem wykaligrafował: 83. Zdaje się, że właśnie tego od niego chcieli. Słyszysz, Katriu? Wszystko będzie teraz dobrze. Będzie cudownie! Nigdzie nie pojedziesz. Krople zlewają się w rzeki. Pamiętasz Desnę? To wszystko z kropeł, a jaka ona potężna. Popłynęła i nic jej nie wstrzyma.

Wstał od biurka. Twarz miał obojętną, z odcieniem smutku. Wziął arkusz, lekki, biały arkusz, i podniósł do oczu. Westchnął. Gorzko się uśmiechnął. Potem złożył go we dwoje i wyszedł szybko z pokoju.

Wiktor Żadan idzie bulwarem. Po obu stronach zakurzone, szare topole czekają na cień i wieczorny chłód. Ich siostrom w stepie jest i przestronnie, i świeżo. A tu stoją w szeregu jak żołnierze, ludzie mijają je zaaferowani i zmęczeni, nikt nawet okiem nie rzuci, nikt nie zainteresuje się ich tęsknym szeptem.

Wiktor czuje się jak te topole. W sercu gorycz i pustka, chciałby jak najszybciej zajrzeć ojcu w oczy. Jak tak można? Odwrócił się dziś od syna na egzeku-

tywie. Ze skargą na Zaliskiego łatwo sam by sobie poradził: bez dyscypliny, mówił, daleko nie zajedziemy, a tam, gdzie surowość, tam niezadowolenie, a niekiedy demagogia. W tym właśnie duchu wystąpił Łehkostup: trzeba bronić autorytetu kierownictwa! Demagogów przepędzić precz z kolektywu! I zdawało się, że wszyscy już się z tym pogodzili. I nagle... Kto by mógł przypuścić? O głos poprosił technolog Sokił.

Miał niedobrą i stanowczą twarz. Właściwie to nikt go do komitetu nie zapraszał, przyszedł sam. Usiadł w kącie nachmurzony — i nagle: „Jeśli wolno, to chciałbym coś powiedzieć”. Sekretarz komitetu spojrział na niego ze zdziwieniem: „Co on takiego ma do powiedzenia? Ano, posłuchamy”. To „coś” było na arkuszu papieru, z którego technolog odczytywał dane, otrzymane przy „fotografowaniu” dnia roboczego poszczególnych oddziałów. Gdy skończył czytać, opuścił arkusz, ściągnął cienkie brwi, ale nie usiadł. Wreszcie powiedział: „Liczby dla dwudziestego oddziału są zawyżone. To ja jestem winien. Wczoraj sam je podpisałem”. „Wyrzuty sumienia?” — ironizował nieprzyjaźnie sekretarz, młody, przystojny inżynier, który jeszcze do niedawna kierował sprawami energetyki w fabryce. „Być może” — odpowiedział cicho Hryć. I wówczas wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, w pokoju zrobiło się jakby ciasniej, jak gdyby przybyło jeszcze ludzi, ktoś wymienił nazwisko Wiktora Żadana, ktoś inny — sekretarza komitetu oddziałowego z dwudziestki, chciał koniecznie usłyszeć jego opinię...

Jeszcze dotąd Wiktora pali twarz na samo wspomnienie wystąpienia ojca: „Nie o liczby chodzi. Chodzi o sumienie robotnicze. Tylko że nie mnie wypada o nim mówić”. I spojrzawszy chmurnie na syna, usiadł. Sądźcie teraz dalej sami. U nas będzie sąd rodzinny.

Dość, dość! Wiktor spieszy się na trudną rozmowę

z ojcem. O co mu właściwie chodzi? W domu przez cały czas naburmuszony, jakieś aluzje dotyczące Hani, to znowu wyrzuty z powodu Łończyka...

Oddychał swobodnie dopiero przy Zoi. Tam go rozumieją, tam go szanują. Zoja umiała łąsić się jak kotka, roztapiał się od jej pieśczoć i pochlebstw. „Jesteś silny i piękny — mówiła. — Jest w tobie coś z Awtandiła, bohatera «Witezia w tygrysiej skórze» Rustawelego. Tylko przeszkadza ci zbytnia ostrożność, to, co nazywają «sumieniem». Nie myśl, że jestem cyniczną mieszczką. Ale sam widzisz, jakie jest życie. Niekiedy trzeba sobie przypominać i o sile, być stanowczym. Jak nazywa się taka filozofia, pamiętasz? Illiusza...” „Pragmatyzm” — przypomniał jej. „Ach tak, pragmatyzm. Ale ty i ja to przecież cała nasza filozofia — rzucała mu z uśmiechem zuchwałym tonem. — Filozofia naszego szczęścia. Czy to źle?”

Próżno jednak odcinała się od mieszczaństwa. Przy bliższym poznaniu Wiktor zauważył w jej charakterze mieszczańskie rysy. Starał się tego nie widzieć i jakoś ją wytłumaczyć: „Lubi komfort? A kto go nie lubi? W naszym wieku nawet Papuasi chcą elementarnych wygód”. Było mu jednak przykro, kiedy na Dnieprze, po tej nocy spędzonej na biwaku, Zoja powiedziała niby żartem: „Mam nadzieję, że przywieziesz z Ameryki solidną walizę” — przy czym dostrzegł w jej oczach iskierki pożądania. Gdy zauważyła jego nachmurzone czoło, obróciła wszystko w żart: „Wiem, wiem, w waszych walizkach są tylko narzędzia i wykresy...”

Ojciec przywitał Wiktora chłodno. Był w białej, nylonowej koszuli, w rękę trzymał niebieski, niemodny już krawat, widocznie dokądś się wybierał. Nie udawało mu się go zawiązać, więc denerwował się i sapał; dostał go kiedyś od syna.

— My z tobą to jak ci bohaterowie ze sztuk produkcyjnych — zaczął Wiktor, siadając na kanapie. — Jeden przodownik, a drugi biurokrata. — Ojciec nie zareagował na to. — Tylko że ta nasza sztuka zbyt długo już trwa — dodał Wiktor ze smutkiem.

— Możliwe — twarz ojca miała nadal wyraz kamienny.

— Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi. Czyżbyś uważał moją przyjaźń z Łehkostupem za przestępstwo? Dziś na egzekutywie po prostu mnie oczerniłeś. Siebie zresztą też.

Hryhory Łukycz zaciąga mocniej na szyi węzeł krawata, przygląda go dłonią i wyjmuje z szafy marynarkę z kilku rzędami orderowych baretek. Wiktor śledzi każdy jego ruch i nagle robi mu się żal ojca: postarzały, twarz obrzękła, mocno ostatnio posiwiiał.

— Ciężko nam obu na jednym oddziale, ojcze. Gdybym wiedział...

— To nie poszedłbyś?

— Nie, nie poszedłbym.

Hryhory Łukycz wkłada marynarkę i siada obok syna.

— Gdybym wiedział, że utraciłeś kościec, to ja sam nie wpuściłbym cię do naszego oddziału.

— Nie tobie o tym decydować.

— Już jakoś by się zadecydowało. Ludzie — zaczął mówić łagodniejszym głosem — zaufali ci, a ty wierzysz tylko Zaliskiemu i sobie. W tym czasie, od kiedy u nas pracujesz, wpłynęło pięć podań.

— Sześć.

— Tym gorzej! Ludzie uciekają. Pomyślałeś o tym?

— Nie mam zamiaru. Powierzono mi oddział i ja za niego odpowiadam.

— Ty, ty! Tylko siebie widzisz...

— Widzę plan, ojcze, widzę gołe warsztaty... —

Wiktor nie hamował już wzbierającego w nim gniewu. — Wszyscy krzyczą: dawaj! Ale jak? No, nauczcie mnie: jak?

On rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, ale nikt nie mógł go nauczyć, nawet rodzony ojciec. Szerzy się za to demagogia, wszystko i wszystkich się krytykuje, każdy robotnik może na niego, kierownika, podnosić głos. Za sto sześćdziesiąt rubli tłucze się jak Marek po piekle, zapomniał już, kiedy książkę miał w ręce. Ma swój plan, ma jakąś ideę, ale dopomóżcie, podtrzymajcie!

Ojciec poczuł ucisk w sercu. Może niepotrzebnie się go czepiają?

— Ty się nie gorączkuj — powiedział pojednawczo. — I spróbuj mnie po ludzku zrozumieć — coraz bardziej żał mu było syna. — O wszystkim chcesz decydować sam, odnosi się też wrażenie, jakbyś chciał sam nas wszystkich wyprzedzić.

— Powinniście mnie doganiać, być tam gdzie ja.

— Skąd w tobie tyle złości i tyle nieufności do wszystkich?

— Bo nie mogę ufać. Zlecisz im coś, to jeden zapomni, drugi przyniesie zwolnienie lekarskie, a trzeciemu teściowa zachoruje. No powiedz, może nieprawda?

— Może i prawda, ale niecała.

— Całej nie znajdziesz.

— Gdybyś jej szukał nie tylko sam, gdybyś był mniej pochłonięty myślami, o karierze i o zasługiwaniu się, to i prawda byłaby wtedy bliższa. — Położył synowi rękę na ramieniu. — Sam nic nie zrobisz, Witia. I Łehkostup niewiele ci pomoże. Na krętactwie daleko nie zajedziesz. Liczby zawyżone, przenosicie warsztaty... Nie to, nie tak...

— Inaczej nie można — odparł głucho Wiktor. —



Zainstalują elektroniczną aparaturę, uruchomią w fabryce klasyfikator, może dadzą więcej seryjnych zamówień. Zrozum — uderzył się po kolanie — że nie chcę zaśnieć na tym oddziale. Potrzebny mi jest zryw. I to już dziś, natychmiast...

Wstał, podszedł do szafy.

— Gdzie moja czarna walizka? Ta z rzemieniem — znów usiadł obok ojca. — Wiesz, spróbujemy porozumieć się na odległość. — I wyjaśnił ciszej, jakby się tłumacząc. — Przenoszę się do Zoi Kindratowny. Oboje tak postanowiliśmy.

Świtało. Wiktorowi było duszno, próbował wydobyć się z zapomnienia i dobrnąć do wysepki świadomości. Ale wysepka oddalała się od niego, zalewały go potężne fale, czuł, że idzie na dół, że tonie, że wszystko znika dla niego na zawsze.

Przez wszystkie te dni uczucie niepewności nie opuszczało go, znosiło go gdzieś, nie mógł się zatrzymać ani stanąć na twardym gruncie. A może nie chciał? Kiedy ręce jest tak dobrze na chłodnym ramieniu Zoi i czuje się, jak falami pulsuje w nas krew, nie ma już rzeczywistości, nie ma nic, są tylko te fale, fale, fale...

Wydobył się wreszcie z resztek snu i natychmiast zaniepokoiła go pierwsza jątrząca myśl: ojciec. Odszedł od niego. I teraz koniec. Nie przebaczy mu, nie pogodzi się.

Do okien zaglądał już ciepły ranek. Wiktor poszukał oczyma Zoi. Wydała mu się teraz starsza, twarz zmęczona, worki pod oczami, włosy w nieładzie. Odwróciwszy się od niego, śniła do końca jakiś swój sen.

Myśl ciągle powracała do ojca. Napływały dawne wspomnienia, kruche i wzruszające. W latach studenckich, bywało, gdy wracał późno, ojciec zawsze jeszcze

czuwał. Siedzi ubrany przy stole nad jakimiś kreśle-  
niami, niby że to bardzo pilna robota, a w rzeczywi-  
stości po to, żeby doczekać się powrotu syna, spojrzeć  
na niego smutnymi, zmęczonymi oczami. Poczłapie do  
kuchni, przyniesie gorący czajnik. „Napij się”. A po-  
tem długo wzdycha w ciemności, kaszle, pije wodę,  
stara kanapa niemiłosiernie skrzypi i Wiktorowi zdaje  
się, że ona też na coś się skarży, jak gdyby i jej spra-  
wiało przykrość tymi późnymi powrotami.

Przeszedł cicho do łazienki, zabierał się do golenia.  
Wszystko tu lśniło czystością. Puszyste ręczniki, aro-  
matyczne mydełko, duże, okrągłe lustro nad umywal-  
ką, a pod nim flaszeczki, słoiczki, szczoteczki. Wziął  
jedną z tych buteleczek — wionęło cierpką wonią. Po-  
myślał, jaka to światowa dama z tej Zoi. Nie darmo  
wszędzie na krzesłach i stolikach walają się żurnale  
mód i jakieś kosmetyczne prospekty. Przyznała mu się,  
że w ofierze dla kosmetyki nauczyła się nawet języka  
polskiego. „A jeśli będzie trzeba, to i za francuski się  
wezmę!” No cóż, gwiazda filmowa, bożyszczce sceny!

Kiedy się mył, Zoja poszła do kuchni. Teraz znów  
taka piękna jak zawsze. Usta lekko umalowane, włosy  
(kiedy ona zdążyła?) zebrane w pyszny węzeł.

Chciał ją objąć, ale Zoja odsunęła go.

— Niedźwiedź! Twoje miejsce w zoo.

Stała przed nim przytrzymując rękami rozchyłający  
się niebieski szlafroczek. Czuł zapach jej nasyczonego  
pieszczotami, sennego jeszcze ciała.

— Cóż za błyskawiczna metamorfoza, my fair lady!

— Co takiego?

— Moja cudowna lady!

— Dlaczego niedokładnie się ogoliłeś?

Wyjaśnił, że niezbyt ostra brzytwa, zapomniał zabrać  
swoją i ogolił się brzytwą jej brata.

— Nie zapomniałeś, tylko zostawiłeś — powiedziała oschle.

— Zapomniałem — zapewnił miękko.

— Bo przeniosłeś się tu nie na długo. A ja tymczasowych nie potrzebuję.

Powinien był się obrazić, ale się pohamował. Z takimi wrażliwymi istotami należy delikatnie. Drogie kwiaty trzeba umieć pielęgnować. Jeden zimny podmuch wystarczy, by zwiędły. Najlepiej oczywiście je pocałować. Na nerwy najskuteczniejsze są pocałunki. Znow chciał ją objąć, ale i tym razem wymknęła mu się. Miała ręce małe, ale prężne, nieprzywykłe do poddawania się. Powiedziała, że rola kochanki jej nie odpowiada, to mało interesujące i banalne. I jeśli on zrozumiał ich dzisiejszą noc jako coś...

— Daj spokój! — zareagował przyjaźnie. — Zdaje się, że cię kocham.

— Ja też, zdaje się. Tylko że jestem tu z tobą bez reszty, w tym domu, w tej pościeli, gdzie spałeś, a ty zapomniałeś o brzytwie. Zapomniałeś zresztą o wielu innych rzeczach.

— Jesteś mądrą kobietą. Istotnie, jeszcze nie wszystko zabrałem z sobą. Mam takie uczucie, jakbym ciągle gdzieś leciał. Coś mnie niesie i nie mogę zdobyć się na to, by dosięgnąć twardego gruntu.

— No, dosyć już — nie lubiła rozmów w kuchni, a może oczekiwała jakichś płomiennych wyznań, o których zapomniał wstawszy z łóżka. Mężczyźni są zbyt rzeczowi, wszystko mają wpisane w rubrykach praktycznego użytku. Wieczór dla kochania, noc dla spania, rano golenie, w dzień praca.

Jadł w pośpiechu śniadanie. Ktoś zadzwonił, w korytarzu dały się słyszeć głosy. Zoja tłumaczyła się, wzdychając: „Niestety, nie mam! Dwa dni przed pierwszym?” Trzasnęły drzwi.

— Kto to był?

— Nachodzą, jęczą... — powiedziała wymijająco, lekko się rumieniąc. — Dla windziarki na prezent. Po rublu. W ten sposób to człowiek zostałby nagi i bosy.

— Lepiej było dać — zdziwił się Wiktor.

-- Nie, ze względów zasadniczych! — krzyknęła Zoja władcym tonem. — W tym roku winda już dwa razy się psuła. Tylko by plotkowały całymi dniami. — Usiadła na skraju krzesła przy stole i znów, jak wydało się Wiktorowi, była przymilna. — Chciałabym, Witia, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Musimy żyć rozsądnie i oszczędnie. Chcę ładnie urządzić mieszkanie. Poza tym zbliża się zima i trzeba to i owo kupić z ubrania. Jak u ciebie z zimowymi rzeczami? Masz kożuszek?

Odpowiedział jej, że nie ugania się za modą i o kożuszku w ogóle nie myślał.

— Jesteś śmieszny! — położyła mu na ręce ciepłą dłoń. — W człowieku wszystko powinno być piękne. Kto to powiedział? Korolenko? Czechow?

— Nie wiem... Zdaje się Czechow. I nie zawracaj mi głowy głupstwami.

— O, mamma mia! Idealista Platon w swym poranym emploi! — Zoja przeciągnęła się, aż w stawach zachręściło. — Zapamiętaj: jestem estetką! Pragnę otaczać się pięknem. Jeśli nie chcesz kożuszka, to nie. Ale ja chcę, słyszysz? Ja chcę! — zawirowała w baletowym piruecie, trzymając rękę nad głową, i z uniesionymi ramionami zamarła w bezruchu. — Będę stać w tej pozycji tak długo, aż obiecasz kupić kożuszek.

Oczywiście obiecał. I ręce momentalnie opadły, a główka z kunsztownym uczesaniem przechyliła się na bok. Boże, jak to dobrze być piękną i wiedzieć, że nasza uroda jest komuś potrzebna, że budzi pożądanie, że potrafią ją należycie ocenić kochające oczy.

Odprowadzając Wiktora do drzwi Zoja bardzo do-

kładnie zlustrowała jego wygląd, musiał wyjść stąd schludny, bez jednego pyłka, bez jednej fałdy, jak na eleganckiego mężczyznę przystało, a nie jak prostak, z którym wstyd pokazać się na ulicy. I powinien wiedzieć, że w tych sprawach nie ustąpi ani na jotę. I niech się na nią nie gniewa. Będzie z nich piękna para. Najprzystojniejsza para w mieście.

Przy drzwiach zatrzymała Wiktora, zauważył na jej twarzy wahanie. O co chodzi? Uszczypnął ją żartobliwie w policzek, uśmiechając się zachęcająco. Chce mu coś jeszcze powiedzieć?

Zoja przytuliła się do niego z oddaniem.

— Witieńko... Wpadnij do Mostowych.

— Po co?

— Tobie jakoś zręczniejsza. Sofijka jest zazdrosna o tego swego poetę... Spytaj go, czy nie mógłby nam pożyczyć dwieście rubli — zarumieniła się i z kokieteryjną wstydlivością opuściła głowę. — Mnie naprawdę obiecali kozuszek. Z Węgier...

Wiktor się roześmiał. Co za ceremonie! Dobrze, niech już będzie ten kozuszek. Nawet zaraz! I nie muszą zaciągać u nikogo pożyczki, coś niecoś przecież zarobił za granicą.

— Naprawdę?

— Klnę się na wszystkich idoli inkowskich jaskiń! — powiedział zabawnie uroczystym tonem, przytulił na chwilę Zoję do siebie i wyszedł.

Szedł do fabryki topolową aleją. Rześkość poranka przyjemnie uderzała do głowy. Dobrze, że nie trzeba się spieszyć, można pooddychać świeżym powietrzem i zmagazynować je na cały dzień. Podobno ludzkość cierpi na hipokinezę\*. Po prostu należy więcej chodzić i ćwiczyć mięśnie. Nigdy nie zastanawiał się nad

---

\* Obniżenie sprawności mięśni aż do zaniku włącznie.

tym, dopiero teraz pomyślał: więcej ruchu. Przed nim jeszcze całe życie. Trzeba dbać o siebie. Czeką go przyszłość, o jakiej inni nawet nie marzą.

Nie wolno też, rzecz jasna, zapominać o nerwach. Czy to ma sens tak od rana do wieczora denerwować się i wykańczać? Stała mu przed oczami smutna twarz ojca, kiedy odprowadzał go do drzwi. Wczoraj w ferworze sprzeczki nie zdawał sobie sprawy, jaki ból sprawił staremu ojcu, czuł się nawet skrzywdzony, nieomal wygnany z domu, teraz jednak odczuwał jakąś moralną zgagę. Trzeba będzie pogadać z nim, usiądą u niego w gabinecie bez świadków i pogodzą się. Ojciec, jest nas przecież tylko dwóch na świecie. Zawiniłem, ojciec, ukarż mnie, jak chcesz, praw mi kazania, tylko nie dąsaj się więcej... Postępuję jak ostatni egoista. Oni czekali na mnie, a ja szastałem się po Dnieprze, głuchy ze szczęścia. Biwaki, motorówki... Z Hanią też niedobrze wyszło. Małego dotąd jeszcze nie odszukał. Jak ona mogła zabronić podawania swego adresu. Nikt nie może odmawiać mu prawa zobaczenia się z własnym dzieckiem...

Bulwami płyną tłumy ludzi. Robotnicy zdążają na zmianę. Lśnią w słońcu wymyte chodniki, trolejbusy szarpią przewodami. Wszyscy się spieszą, popychają...

— Hej, Wiktor!

Poznał głos Wasyla. On o tak wczesnej porze? Obejrzał się. Dostrzegł przyjaciela w ruchliwym tłoku i uśmiechnął się. Wasyl był spocony, szedł za Wikto-rem przez całą przecznicę i nie mógł go dogonić. Zmusił się do tego, by wstać razem ze słońcem, a przecież do późna pracuje.

— Chcesz naprawdę opanować tematykę fabryczną? — spytał Wiktor wesoło.

— Chcę poznać najkrótszą drogę od człowieka do człowieka.

— Kolektyw?

— Myślisz stereotypami, chłopcze. Kolektyw w poezji to wielkość abstrakcyjna — wyjaśnił Mostowy, zróżnowiony od szybkiego spaceru i wyraźnie w dobrym humorze. — Mnie interesuje, co czuje robotnik, kiedy wykonuje swą elementarną normę roboczą.

— Albo gdy jej nie wykonuje.

— To na jedno wychodzi. Jego nastawienie do wykonywanej pracy jest stałe, pragnie w niej sukcesu, chce finiszować z maksymalnym oddaniem. Cały kompleks uczuć, myśli, wyobrażeń... Nie, daj spokój z ironią! Wiem, co masz na myśli: zarobek, forsa... Czy, jak to się określa, bodźce materialne. Otóż nieprawda! Nonsense! — Mostowy wziął Wiktora mocno pod ramię. — Są uczucia głębsze, bardziej złożone. Może pod koniec dnia roboczego pojawi się myśl: „Ile dziś zarobiłem?” Ale w procesie wytwarzania, w samym napiętym rytmie... Słyszę ten wewnętrzny głos robotniczej duszy. Dokładny obrachunek, miłość do swego warsztatu pracy, zazdrosne śledzenie pracy sąsiada: „A u niego?...” Myśl o ukochanej i niewiarygodnie upajające poczucie własnej siły. A potem powie dziewczynie z nonszalancką ironią: „Wykonałem aż dwie normy. Wyobrazasz sobie? Głowa jeszcze dotąd mokra!”

Rozmawiali tak, płynąc w ludzkim potoku, ogrzani słońcem, przyjaźnie sobie bliscy. Rozmowa ta przywróciła Wiktorowi dobry nastrój. Przypomniał sobie dewizę Łehkostupa o znaczeniu woli w rządzeniu.

— Wszystko to, mój drogi, nic niewarte, jeśli nie ma rzeczy najważniejszej. Słyszałeś kiedyś o tak zwanym modusie władzy?

— Przypuszczalnie się domyślam.

— Chodzi o władzę nie jako pojęcie administracyjne, lecz zgodnie z twoim rozumowaniem wewnętrzną świadomość władzy, wewnętrzny, że tak powiem, im-

peratyw, nakaz czy jak to jeszcze nazwać. Chociaż wyrasta on z dość prozaicznych pobudek.

— Na przykład? — poeta spojrział uważnie na przyjaciela, śledząc kierunek jego myśli.

— Właśnie z materialnego zainteresowania, polecenia majstra, nakazu kierownika oddziału.

— Ach tak? Więc z pobudek prozaicznych i banalnych?

— Więcej jeszcze: ze strachu przed kierownictwem. Wyobraź sobie, mój romantyku, że strach to też siła. Strach rodzi przymus, jak również miłość i szacunek. Z niego wywodzą się te wszystkie rycerskie sentymenty, które chcesz zaczarować w swoje poetyckie słowo.

Przez jakiś czas milczeli. Dochodzili już do zakładów. Tam zaraz za zakrętem jest portiernia. Fabryczne budynki patrzyły ospale zadymionymi płachtami okien. Za tymi oknami waliły młoty, dzwonił metal, chrzęściło żelazo, kłębiło się tam inne życie, niepodobne do tego, które kipiało na gwarnej i ruchliwej ulicy. Jak gdyby zaczynało się tu miasto w mieście, jakby tu była surowa cytadela, której nie potrafią zdobyć żadne ataki.

— Poważają tego, kogo się boją — kontynuował Wiktor po przerwie. — Już dawno zauważyłem, że strach i miłość jakoś dziwnie koegzystują na ziemi.

— Szczyt mądrości — zauważył ironicznie Mostowy.

— To zresztą nie tylko moje spostrzeżenie. Gdzieś to czytałem... I to się potwierdza. Weźmy ojca w rodzinie. Oczywiście w takiej rodzinie, w której panuje porządek i szacunek dla starszych. Tam ojca i kochają, i boją się go. Albo, powiedzmy, dowódca w boju: groźny, a jednocześnie nam bliski i drogi. Nasz wódz, nasza gwiazda, nasz strateg, niech żyje!...

— Pomieszanie z poplątaniem... — uśmiechnął się



Wasył. — Ojcowska surowość wpływająca z miłości nie ma nic wspólnego z tępym despotyzmem.

— Zależy od punktu widzenia. Dla jednej istoty ktoś może wydać się despota, a dla miliona innych jest pochodnią i bohaterem. I nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że ten despota gdzieś tam postępuje okrutnie i jest niesprawiedliwy. Jemu wszystko się wybaczają.

— Dość tego! — zawołał Wasył, przykro odczuwając bolesną prawdę zawartą w słowach Wiktora. — Można by pomyśleć, żeś wielki filozof, gdyby czegoś podobnego nie było w mędrkowaniu Raskolnikowa. Pamiętaj chybą: Napoleon, lichwiarka, droga do sławy... — Wasył ściąga groźnie brwi. — To nie okrucieństwo tworzy wielkich ludzi. Ono rodzi tylko strach i ślełą pokorę. Piękno uczynków i pomysłów oto alfa i omega naszej prawdy.

— Naiwniak! — Wiktor bierze przyjaciela za ramiona i zagłada mu w oczy. — A ty sam wierzysz w to swoje piękno? W jego triumf? Że ono jednak wszystko przewycięży i wszystko pokona?

— Wierzę — odpowiada spokojnie Mostowy.

— I w szczęście?

— I w szczęście.

— Możesz mnie zaliczyć do wyznawców twojej wiary — wygłosił uroczyście Wiktor, z trudem hamując wesołość. — I uważać mnie za szczęśliwego. Twój bezdomny rycerz żeni się z Zoją Łehkostup.

Nie udało mu się jednak porozmawiać w tym dniu z ojcem. Suworin długo trzymał wszystkie kierowników oddziałów na naradzie, na której omawiało się możliwości wykonywania nowych specjalistycznych zamówień. Plan, i bez tego bardzo napięty, nie dawał podstaw do optymizmu w tym względzie. Oddziały

pracowały ze zwiększonym napięciem. Jednak Łehkostup oświadczył bezapelacyjnie:

— Trzeba, a więc zrobimy.

Jego oświadczenie nie przesądzało sprawy ostatecznie, wszyscy jednak zrozumieli, że Suworin przystanie na to. Po zebraniu, już na korytarzu, Illia Kindratowicz odwołał Wiktora na bok.

— Powiedz Zajączkowi, że był telefon. Nareszcie otrzymali.

— Chętnie. A ile kosztuje?

— O, już wiesz? Ładna sztuka. Dwieście.

— Przyniosę wieczorem — powiedział Wiktor. — Dziękuję w imieniu Zajączka.

Potem wstąpił do technologów, gdzie długo łamali sobie głowę nad schematem komputera. Obiecano zainstalować w najbliższych dniach na dwudziestce elektroniczny dyspozytor. Oni pierwsi otrzymają, to jednak coś znaczy. Stopniowo wypłyną na prostą drogę, a wtedy zabiorą się i za inne problemy.

Wiktor siedział z głównym technologiem nad wykresami i słuchał jego objaśnień, a w sercu buzował gorący ogieniek: „A więc ufają mi. Wszystko mi się teraz uda. Żeby tylko wyjść na prostą i wygrać finisz”.

Bardzo dokładnie wyobrażał sobie ogólną strukturę linii oddziaływanych, współzależności, technologiczne konsekwencje, cały ten skomplikowany mechanizm, który ma działać, pulsować, dopingować do zwiększania wysiłku. A wewnątrz tego oczywiście on, Wiktor Żadan, jako modus władzy, alfa i omega wszystkiego, wyłącznie on, tylko on sam, cokolwiek by się o nim mówiło...

— Proszę przyjść jutro, Wiktorze Hryhorowiczu, do Suworina, żeby z nim wszystko uzgodnić — powiedział zmęczonym głosem technolog. — Zaczniemy od pana. I szczęść Boże, jak dawniej mawiali.

— Dziękuję. Ludzie czekają — odpowiedział skromnie Wiktor.

Wyszedł od technologa w dobrym nastroju. Uśmiechnął się do jasnego błękitu. Czy ludzie — to jeszcze nie wiadomo, ale on na pewno czeka. I nie ma wątpliwości, że się doczeka.

Dzień zleciał mu szybko. Wracał do domu okrężną drogą przez park. Trzeba jeszcze wstąpić do kasy oszczędności, bo przecież obiecał i nie może się cofnąć. Wypisując na odcinku cyfrę 200 poczuł się jakoś głupio. Nie żałował tych dwóch setek, pieniądze po to są, żeby je wydawać. A jednak coś go uwierało, miał takie uczucie, jakby wystrychnięto go na dudka.

Na ulicy trochę się uspokoił. Dom Zoi był już blisko. Czekala tam na niego uroczą kobietą, jej wdzięczność, jej pieśczoćoty... Nagle zza drzewa wyłonił się jakiś mężczyzna w brezentowym płaszczu i zastąpił Wiktorowi drogę. Był to Czepurny, ojciec Hani.

— Już dawno czekam tu na ciebie — powiedział ochryplym głosem.

Był jakiś wymięty, z zaczerwienionymi oczami, chyba niewyspany, zmęczony.

— Dzień dobry, panie Piotrze! — powitał go Wiktor niezbyt uradowany tym spotkaniem, które nie wróżyło nic dobrego. — Co pana do nas sprowadza? Ojciec na pana czeka.

— Nie mam tam nic do roboty. Tyś się wyprowadził, Hani też nie ma — odpowiedział spierzchniętymi ustami.

Wyglądał żałośnie: długi, ochlapany deszczowiec, buty zabłocone, spod zielonego kaptura wyłażą pasemka siwych włosów, twarz zarośnięta, poorana zmarszczkami. Gdzieś się błąkał, biedaczysko, w oczach zamiast złości tylko lęk, przez który przezierała płochliwie nadzieja.

Wiktorowi ścisnęło się serce. Trzeba by rodaka jakoś ugościć. Pójdą do kawiarni, porozmawiają tam o wszystkim.

— Coś ty! — zaprzeczył ruchem głowy Petro. — Gdzie mnie tam do kawiarni.

Wiktor się nachmurzył. Jakoś głupio tak stać na ulicy, Zoja może nadejść, trzeba by potem wyjaśniać kto i po co. Wziął starego pod rękę i poprowadził w zaułek. Czepurny szedł z wysiłkiem, utykając na lewą nogę. „Czego on chce? — myślał Wiktor z niepokojem. — W niczym ci nie pomogę, Piotrze”.

— No więc o co chodzi?

— Nie wiem, jak zacząć — głos starego zadrżał. — Pomóż, czym możesz.

— Chce pan pieniędzy? — spytał Wiktor uradowanym głosem, chwytając się za kieszeń.

Stary zachnął się. On nie w tej sprawie. Pieniądze? A jaka z nich korzyść? Chciał prosić Wiktora Hryhorowicza, żeby poszedł z nim do jakiegoś prawnika. Są chyba w mieście dobrzy, doświadczeni prawnicy. Chce się poradzić w bardzo trudnej sprawie.

— Jeśli to nie sekret, to może bym sam mógł poradzić — zaproponował ostrożnie Wiktor.

— Nie, nie! Tu potrzebny prawnik. Tu nikt inny nie dojdzie końca.

I Czepurny zaczął opowiadać o swoim nieszczęściu. Otóż podczas okupacji pewien partyzant poprosił go o zakopanie w pewnym miejscu skrzynki z domowymi łachami na wypadek, gdyby Niemcy, cofając się, podpalili wieś. On sam poszedł dalej z wojskiem i bał się, że może mu to przepaść, więc prosił Czepurnego o przechowanie tych rzeczy. Zgłosił się po nie dopiero po dwudziestu latach.

— Oddaj mi to, powiada, co zakopałeś. A jak mogłem mu zwrócić, kiedy tam, na tej łące, gdzie zako-

pana była skrzynka, jest teraz kołchozowy staw, wszystko zalane wodą. Krzyczał, nawet groził sądem i milicją. Ty, powiada, zdradziłeś naszych z podziemia. Tylko ty ich znałeś. A teraz chcesz jeszcze ograbić mnie, starego partyzanta.

— I pan się go przestraszył?

— No chyba. To podły człowiek. Przychodził do mnie z lasu po wiadomości jako łącznik. Ale Niemców nie unikał. Widziałem go na podwórzu u starosty, przemknął się tam nocą. Innym razem, kiedy poszedłem nad rzekę zakładać więcierze, widziałem go, jak z naszym policjantem Matuszką coś tam rozpakowywali i wyjmowali, śmiejąc się... — Czepurny westchnął i spojrzał lękliwie na Wiktora. — Może to właśnie on wydał twego ojca i twoją matkę, a teraz chce wszystko zwalić na mnie. I jeszcze żąda, żebym mu zwrócił te rzeczy. Zagrabione...

Zaułek się skończył, wyszli na obszerny plac. Opodał lśnił wieczorną szarością Dniepr. Czepurny zamilkł, jakby nagle zorientował się, że mógł powiedzieć coś niepotrzebnie.

— Na razie prawnik jest tu zbędny — rzekł Wiktor uspokajająco. — Jeśli dalej będzie pana nachodził, to proszę się zainteresować tym, co on tam przechowywał i dlaczego nie zgłaszał się dwadzieścia lat. I jak będzie pan miał jakieś podejrzenia, to najlepiej zwrócić się do milicji. Gdzieś nasza Hania daleko wyjechała — dodał po chwili milczenia. — Jak pan coś się dowie o niej, to proszę przekazać przez ojca.

— Przekazę — mruknął Czepurny.

— Stęskniłem się za synem. Za Łończykiem...

— Przekazę, przekazę — kiwał głową Petro, tkwiąc ciągle jeszcze myślami w tamtej sprawie. — No to bywaj zdrow, pójdę na dworzec autobusowy, może coś złapię — i poszedł szybko, jeszcze bardziej pochylony.

„Żeniu! Otrzymałam od Pana list. Dziękuję za pamięć. Oksana nikomu nie daje mego adresu, tylko Panu zaufała. Jestem zdrowa, pracuję na budowie elektrowni ciepłej jako betoniarka trzeciej kategorii, obiecali podwyższyć. Tu jest bardzo ładnie — step, w pobliżu Dniepr, wspaniali ludzie. Oksana pisała, że była u Haładijów odwiedzić Lończyka. I proszę sobie wyobrazić, że go nie zastała. Ojciec zabrał go do Marianówki. Sama chciałam go prosić, by przyjechał po niego, a tu list Oksany...

Żeniu, dziwi się Pan, a może i potępia mnie za to, że uciekłam z fabryki i z miasta. Nie uważam jednak siebie za dezerterkę, bo nic złego nie zrobiłam i nie ze wstydu uciekłam tu, nie od swoich towarzyszy, ale od Pana... Musi Pan zrozumieć dlaczego. Żeby udowodnić samej sobie, na co mnie stać. Proszę trochę poczekać, chyba wnet przyślę Panu gazetę z moim zdjęciem. A pod nim piękny podpis. Strasznie chciałabym wysłać Panu taką gazetę.

Wtedy nie zgłosił się Pan na mój list. I dobrze się stało, że Pan nie przyjechał. Tak bardzo chciałam, żeby Pan mnie wtedy odwiódł od tego wyjazdu i zmusił do pozostania... Ale co by z tego wyszło? Może uciekłabym wtedy od Pana jeszcze dalej? Albo Pan ode mnie.

Zaniosę ten list do skrzynki przy kantorze, a potem pójdę dniewym brzegiem. Pójdę aż do swojej dalekiej «Wenecji». Są tam jeziora zarośnięte rogozami, jest gęsty oczeret, nawet rośnie bardzo stary dąb. Często siadam w swoim zakątku na powalonym pniu i rozmawiam z Panem. Zabawne, prawda? Ale mnie wtedy wcale nie do śmiechu. Łzy przesłaniają mi oczy, żal mi samej siebie i chciałoby się wówczas, żeby ludzie byli lepsi.

Och, Żenka! Teraz całymi dniami będę czekała na list od Pana. Gdybym była napisała wcześniej! Proszę

nie zwlekać z odpowiedzią. Niech Pan napisze, jak się Panu lata. Czy nie mógłby Pan zalecieć aż tu, do nas? Rozpaliłabym wtedy takie ognisko, że cały Dniepr płonąłby do rana.

Proszę mi wybaczyć tę długą pisaninę! Chociaż trochę ogrzała mi ona serce.

Z pozdrowieniem Hanna Czepurna”.

Wiktorowi nigdy nie przyszłoby na myśl, że Zoja i jej brat tak gorąco, z taką rodzinną pasją zabiorą się do niego. I że powodem tej ich aktywności będzie — ktoś by to pomyślał! — małeńki, nikomu nie znany Łończyk. Właściwie nie znany już nie był. Okazało się, że oboje wiedzieli o Łończyku i o zniknięciu jego matki. Uważali, że sprawę tę, wcześniej czy później, trzeba i tak jakoś rozwiązać i ktoś musi się tym zająć. „To dobrze, że znikła! — stwierdził bezapelacyjnie Łehkostup, kiedy pewnego wieczoru siedzieli we troje przy herbacie. — Syn to jest syn. Musimy go odnaleźć”. Zoja też zajęła w tej sprawie zdecydowane stanowisko. „Obojętne mi, co było przedtem. Teraz musimy zatroszczyć się o los człowieka”.

Wyczuwał w tym jakąś teatralną pozę, co go rozłościło. Było mu przykro, że rozpoczęli dyskusję na ten temat i że go jakby żałują, a może mu również współczują.

— Bardzo was proszę, nie wtrącajcie się do tego!

— Nie, ja będę się wtrącać! — zawołała Zoja z egzaltacją. — Mamy nową rodzinę i ja biorę na siebie odpowiedzialność za wszystko.

Łehkostup zaczął mówić o konkretnych krokach, przedstawił cały plan działania, gruntownie przemyślany i wręcz poniżająco humanitarny. Plan ten miał przede wszystkim na uwadze obronę dobrego imienia Wiktora i uderzał swoim zamaskowanym ostrzem w tę

„przybędę” (czyli w Hanię Czepurną), dyskredytując jej godność i moralność.

— My, oczywiście, radzimy ci tylko, postąpisz, jak chcesz — podsumował swoje wystąpienie Lehkostup. — Musisz jednak pamiętać o tym, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

— To prawda, Witienko! — Zoja chwyciła go za rękę. — Idź szukać syna, chcę, żebyś był zawsze szlachetny i prawy. Cenię w ludziach najbardziej szlachetność.

Z tej rozmowy wyniósł kamień w piersiach. Musi jednak koniecznie odnaleźć małego, jeśli nawet tacy Lehkostupowie przypomnieli mu o jego ojcowskim obowiązku, okazując wielkodusznie łaskawe zainteresowanie dla tej sprawy.

Wieczorem odwiedził ojca.

— Postanowiliśmy z Zoją zabrać syna. Hania ma tu jakiegoś krewniaka, możliwe, że chłopiec jest u niego. Nie znasz jego adresu?

Hryhory Łukycz długo sapał i wertował swój notes. Potem wymienił nazwę ulicy i numer domu, w którym mieszkał Haładij, ale nie powiedział więcej ani słowa, przy czym na twarzy jego malowała się nieufność.

Wiktor stał koło drzwi, czuł się w domu ojca zakłopotany, jak gdyby nigdy tu nie mieszkał i jakby to nie jego ojciec siedział przed nim, powściągliwy i mało-mówny. Jak można tak nagle oddalić się od bliskiego nam człowieka!

— A propos, widziałem Hani ojca — Wiktor zmienił temat. — Skarżył się na jakiegoś partyzanckiego łącznika, podejrzewa go o zdradę.

— Był u nas jeden taki, Harbowski się nazywał — przypomniał sobie ojciec. — Wpadł raz w ręce Niemców, ale zabił policjanta i wy dostał się na wolność. Jednak nasz komisarz Antonowicz nie dowierzał mu.



Znał go jeszcze z obozu koncentracyjnego, nazywali go tam podobno Sobaką Szramem. Właściwie nie było żadnych podstaw do tego, by mu nie ufać. Walczył jak diabeł i nie czepialiśmy się go — ojciec machnął ręką. — Stare dzieje... Jedź lepiej do syna. Chociaż nie wierzę, żeby Hania ci go oddała.

Pożegnali się chłodno. Wiktor pojechał na przedmieście autobusem, potem poszedł wąskim, brukowanym zaułkiem pod górę, długo szukając w zacienionych przez sady domach podanego przez ojca numeru.

Haładij poznał go z daleka.

— Żono! Syn Żadana przyszedł!

Pobożna żona, w czarnej jak zwykle chustce na głowie i ascetycznym ubraniu, zlustrowała Wiktora milczącym, przygasłym spojrzeniem i skinąwszy mu na przywitanie głową zniknęła za drzwiami sąsiedniej izby.

— Hania dawno pisała? — spytał Wiktor.

— Jakiś tydzień temu. No ale proszę usiąść, Wiktorze Hryhorowiczu.

— Jak pan mnie poznał?

— Spodziewałem się, że pan przyjdzie. No i pańską rodzinę znam przecież dobrze — Haładij czuł się tą wizytą mile połączony. — Pański ojciec, Hryhory Łukycz, to wspaniały człowiek. Proszę mu się nisko kłaniać ode mnie. A o Hani i jej synku nic konkretnego nie mogę panu powiedzieć. Hania gdzieś na budowie, a jej dziecko zabrano.

— Jak to zabrano?

Haładij wyjaśnił, że był tu ojciec Hani z Marianówki i zabrał wnuka. Będzie weselej w chacie. A córka z zięciem już tam trafią do niego. Tę ostatnią uwagę zrobił Haładij wyłącznie na własny rachunek i spojrzał uważnie na gościa.

Wiktor poczuł, jak wzbiera w nim zazdrość. Oczy-

wiecie, że z zięciem... W pamięci stanęła chuda, uśmiechnięta twarz młodego kapitana. Przypomniawszy sobie, jak zbiegali wtedy z wesołym tupotem po schodach, a gdy go mijali, ich kroki jakby przycichły i Hania odwróciła się... Wszystko już wtedy było postanowione. A on myślał, że będą za nim rozpaczać. Takie piękne dziewczyny nieczęsto się spotyka.

Rozejrzał się ukradkiem po pokoju: na stole biały obrus, na komodzie biała szydełkowa serwetka, na oknach białe, jak w celi klasztornej, firanki. Ona tu mieszkała, dotykała tych firanek, kładła ręce na stole, przesuwała te stare weneckie krzesła...

— Pan chyba przyjaźni się z Hanią? — spytał ostrożnie gospodarz.

Wiktor nic nie odpowiedział. Wstał. W głowie miał pustkę, nie chciało mu się nic mówić. Ale co tu jest do powiedzenia, kiedy wszystkie jej sprawy są już przesądzone? Szkoda tylko, że nie zobaczył się z Łończykiem. Taki zabawny chłopaczek o bystrych oczkach, wówczas chował się ciągle za mamę, obejmując rękami jej kolana. Ciekawe, jak ma teraz u dziadka? Podwórce nie ogrodzone, a ulicą wywrotki mkną jak oszalałe, wybiegnie z domu na drogę i prosto pod koła... A do tego pełno tych motocykli na wsi! Trzeba by uczulić na to babkę, żeby go pilnowała i strzegła.

— Właśnie napisałem do Hani list — odezwał się Haładij. — Jeszcze nie zaklejony, mógłbym coś od pana przekazać.

W odpowiedzi Wiktor tylko westchnął. Stary jakby wciąż na coś czekał. Wiktor podszedł do drzwi, zatrzymał się.

— Proszę napisać Hani — powiedział po namyśle — że pojedę do Łończyka. Chcę odwiedzić syna.

Wyszedł, stał przez chwilę na ganku i ciężkim krokiem ruszył do furtki.

Nina Wasylewna szła z jakimś szczupłym, starszym mężczyzną. Kluczyli wąskimi uliczkami wśród starych kamienic, pod rozłożystymi, zakurzonymi kasztanami. Nina służyła za przewodnika. Z uprzejmym uśmiechem pokazywała gościowi z Polski pamiątki, po polsku, zdaje się, zabytki, prawda?

Gość z zainteresowaniem oglądał wszystko. Tak, wiele przez te lata się zmieniło. Zbyszek Zagdański miał wtedy siedemnaście... nie, osiemnaście lat. I pani Nina też była całkiem młoda. Czy pamięta, jak spotkali się w czterdziestym szóstym, on był w mundurze porucznika polskiej armii, a pani Nina...

— Byłam studentką, zaczynałam dopiero studia.

— A teraz jest pewnie pani generałem od pedagogiki?

— Nie, drogi Zbyszku, tylko szeregowym żołnierzem na froncie oświaty.

Chodzą ciągle wąskimi uliczkami, przy których stoją domy z ubiegłego stulecia. Zacisznie tu, panuje przyjemny chłód, ludzi rzadko się spotyka. W wolną sobotę niemal wszyscy wyruszyli za miasto — nad rzeki i stawy, na łąki, w zacięzione lasy. Zbyszek jest tu przejazdem, znalazł jednak czas na odwiedzenie swych frontowych towarzyszy. Najpierw zatelefonował do Niny, potem zawiadomił o swym pobycie Hryhorego Łukycza w fabryce. Mają się za chwilę spotkać we troje w jego mieszkaniu.

Żadan otworzywszy im drzwi stoi przez chwilę na progu, z powagą i ze skupieniem patrzy na Zbyszka, chyba go poznaje, a może wraca myślą na chwilę do tamtych czasów sprzed ćwierć wieku. Potem podchodzi do Zbyszka z tym samym skoncentrowanym i poważnym wyrazem twarzy i mocno go obejmuje.

— Nasz drogi, nasz kochany Zbyszek... — mówi cichym wzruszonym głosem.

Po wejściu do mieszkania przez pewien czas odczuwają skrępowanie. Żadan zaciąga się głęboko papierosem, chowając się za dymem jak za welonem smutku.

— Przepraszam, a gdzie gospodyni? — Zbyszek rozgląda się niepewnie i z gwałtownego zmieszania Żadana i Niny orientuje się, że powiedział coś niewłaściwego. — Bardzo przepraszam... Pić mi się chce.

Żadan wyjmuje z lodówki flaszkę wody mineralnej, ale po namyśle stawia ją tam z powrotem i zaczyna szybko wyjmować różne, uprzednio już przygotowane, zakąski: pokrojoną kiełbasę na talerzyku, szynkę, ser.

— Pomóż, Nino — gospodarz omal nie wypuścił z ręki talerzyka. — Chcesz pewnie umyć ręce? — zwraca się do Zbyszka.

Nina z kobiecą próżnością poprawia się przed lustrem.

— Chciałeś, Zbysiu, spytać, gdzie pani tego domu?

— Myślałem, że...

— Wiem, co myślałeś, drogi Zbyszku. Oto wszystkie nasze tajemnice — rozkłada ze smutkiem ręce. — W tym domu nie ma pani, a w moim nie ma pana. Przed tobą dwoje starych, samotnych ludzi.

Zbyszek chodzi po pokoju podniecony, rozmowny. No i spotkali się wreszcie po tylu latach! Ludzie powinni częściej się spotykać po rozłące, żeby dostrzec, iż życie chociaż nas postarza, jednak pozostawia nam coś najdroższego: iskierki zapału młodości, wierność przyjaźni, zdolność do marzenia, temperament.

Zbyszek ma już sporą rodzinę: trzy córki i od każdej po wnuka. Żyją w zgodzie, co sobota zbierają się u niego na rodzinną ucztę.

— Bardzo mi przykro! — mówi Zbyszek współczującym tonem.

Czuje się winny za nietaktowne wtrącanie się do cudzych spraw, wie, że boleśnie zranił swych przyja-

ciół; sam jest szczęśliwy i chciałby widzieć wokół siebie tylko ludzi szczęśliwych.

— Moja starsza córka jest aktorką, śpiewa i bardzo lubi ukraińskie pieśni. Najbardziej podoba nam się piosenka „Kochał dziewczynę od dziecka”... Pamięta, pani Nino, jak ją pani śpiewała?

Nina Wasylewna wszystko pamięta: i leśne pieśni, i leśne czekanie, i straszliwą scenę na leśnej drodze. Przeklęta pamięć ma chwytliwe pazury, niczego nie wypuści ze swych szponów...

Zaczęli rozmawiać o życiowych sprawach. Okazało się, że Zbyszek przez dłuższy czas pracował w fabryce traktorów, ostatnio zaś ściągnięto go do ministerstwa w Warszawie. Nie cieszy się jednak z tego, tęskni za swoją fabryką. Zaczęły się nowe kłopoty, telefony, wystąpienia, odpowiedzialność. Tylko głupi ludzie sądzą, że administrowanie to lekkie zajęcie. A jemu brakuje teraz czasu nawet na sen: na jego głowie dziesiątki zakładów produkcyjnych, zavalony jest ciągle raportami, wykresami, planami. Wszystkim chciałby pomóc, przerosić i uogólniać doświadczenia, przekazywać najnowsze i najpełniejsze informacje.

Nina Wasylewna patrzyła na obu mężczyzn ze wzruszeniem. Dziś ich osobowości jeszcze bardziej różniły się niż przed laty. Nie było to jednak zróżnicowanie przeciwstawne, w tych kontrastach Nina dostrzegała jednak podobieństwa, może dlatego, że wszystko w życiu jakoś się dopełnia.

W pokoju coraz mroczniej, nie zapalają jednak światła. Siedzą na kanapie i ćmią papierosy. Nina też zapaliła jednego. Potem przy lampie stojącej piją kawę, przyrządzoną przez gościa. Smaczna kawa... Przez otwarte drzwi balkonu wlewa się do pokoju daleki szum miasta i powiew wiatru.

Nagle Zbyszkowi coś się przypomniało. Spojrzał na przyjaciół z powagą uważnymi oczyma.

— Chciałem wam coś powiedzieć. Wiem, kto was wtedy wydał.

Żadan i Nina zamarli w oczekiwaniu.

Zbyszek podszedł do balkonu, odchylił firankę. Lampa oświetlała tył jego głowy. Dopiero teraz dostrzegli, jak bardzo posiwiiał. Patrząc na wieczorne, różowe niebo zaczął opowiadać. Ubiegłej jesieni pojechał do Szczecina na wystawę przemysłową jako konsultant eksponowanych tam maszyn. Przyjechało wówczas mnóstwo ludzi z całego niemal świata. Pewien mężczyzna, przedstawiciel poważnej zachodniemieckiej firmy, wydał mu się znajomy. Spotkał się z nim potem w barze i od razu go poznał. Był to Korn z niemieckiej żandarmerii polowej. Rudobrody Niemiec z miejsca zaangażował swego „frontowego kolegę” i zaczął z ferworem wysławiać ich wspólne akcje „wolnościowe”, opisał plastycznie jedną z takich akcji, w czasie której Korn miał przejść bohatercko na stronę sowietische Partisanen. Kule bzykały mu nad głową, wachmistrz oddał do niego całą serię z parabellum, Rosjanie trzykrotnie rzucali się do ataku i trzykrotnie atakowali też niemieccy grenadierzy. Ale Korn dawno już postanowił: wolność albo śmierć. I nie zdradził wolności. Korn był tak szczerze przekonany o swojej ówczesnej wierności ideałom antyfaszystowskiej koalicji i przesadzał z takim impetem, że Zbyszkowi pozostawało jedynie wzruszyć nieznacznie ramionami.

— I wówczas przy szklaneczce martini dowiedziałem się od niego, że zostaliśmy zdradzeni. Chcecie wiedzieć, kto nas wydał? — Zbyszek siada znów na kanapie i zapala nowego papierosa. — Korn zapamiętał jego nazwisko: Szram. To on doręczył Niemcom listę członków organizacji podziemnej. — Zbyszek westchnął

ciężko. — Wybaczcie, że wciągnąłem was w smutne wspomnienia, ale musimy znać prawdę. Są rzeczy, które pamięta się przez całe życie.

Tego dnia Hryhorego Sokoła nikt nie dostrzegał lub też udawano, że go nie zauważają. Nawet najbardziej gadatliwa wśród dziewcząt Majka Bruz odwracała się zmieszana na jego widok. A może tylko tak mu się wydawało? Podobno po zebraniu egzekutywy Łehkostup się pieklił i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Rozeszła się pogłoska, że długo potem konferowali z dyrektorem, nie wiadomo jednak, jakie konsekwencje służbowe wyciągną w stosunku do Sokoła. Plotki krążą i tną jak natrętne muchy, można od nich zgłupieć.

Hryciowi jest to jednak obojętne. Pluje na Łehkostupa i pluje na listę mieszkaniową. Obejdzie się. Jest młody, zdrowy, odważny (i jaki teraz odważny!). Wczoraj byli z Katrusią w urzędzie stanu cywilnego. Stuprocentowa stanowczość, jak określiła to Oksana Żuraj. Wbiegła do jego pokoju, rzuciła mu się na szyję i wycałowała (całe szczęście, że Tołyk tego nie widział). Zwariowana babka! „Wspaniale! Bardzo słusznie! Kochaj ją! To złoto nie dziewczyna! Urodzi ci mnóstwo dzieciak, białuśkich, śliczniuszków, tyciusieńkich”. Przez te zdrobnienia Oksana wyraża swój najwyższy zachwyt. Po chwili znów wróciła, w rękach coś różowego, puszystego: kołderka dziecinna. „Patrz, jaka śliczniusia! Bierz! To prezent dla waszego krasnalka”.

Czy Majka wie coś o tej kołdrze? Pilnuj lepiej swego kefiru, postrzelony rudzielcze. Już trzeci dzień nie może się oderwać od „Witaj, smutku” Françoise Sagan, przeżywając intensywnie paryskie bulwarowe idylle. Każde społeczeństwo ma własne kryteria estetyczne i każda idiotka ma je też. Majka co prawda nie

jest idiotką, cierpi jednak na kompleks „wyższych sfer”, a poza tym ubóstwia kefir.

Cokolwiek by się powiedziało o Hryciu Sokole, to jednak dziś czuł się on zwycięzcą. Lód trzeszczy, ale idzie się dalej. Im szybciej, tym bezpieczniej. Jak zabawnie było wczoraj na egzekutywie: Łehkostup w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, oczy zaczęły mu biegać po pokoju, potem oparł się ciężko o oparcie krzesła i mruknął: „Sprawdzimy”.

I dziś (być może z polecenia Suworina) od samego rana kontrola na dwudziestym. Wyniki są już wiadome: fabryczny telegraf bez drutu rozpowszechnił szybko wieść, że technolog Sokił dopuścił się, mówiąc delikatnie, niedokładności. Komisja sprawdza w dalszym ciągu: zatrudnienie niemal pełne, idźcie sprawdzić z chronometrami, bez chronometrów, z ołówkiem, bez ołówka... Oj, Hryciu, Hryciu!

Nie ma się czego bać. On wszystko doskonale rozumie, a nawet przewidywał, że tak będzie. Bo znał te kontrole, zwłaszcza kiedy brał się za nie towarzysząc Łehkostup. Ale nie w tym rzecz, nie to zaprzęta teraz umysł Hrycia. On pierwszy odważył się powiedzieć głośno to, o czym wszyscy myśleli. A Łehkostup? Z fabryki przecież nie wyrzuci. A Katrusia pojedzie do matki. Szkoda, że tak się wszystko skomplikowało. Suworin znowu uwierzy tej kreaturze! Na egzekutywie inaczej śpiewali, ale w praktyce wszystko zostało po staremu. Że niby fakty się nie potwierdziły.

Zadzwoił telefon. Sekretarka Suworina piskliwym głosem wezwała Hrycia do dyrektora. Majka spojrzawszy gapiowato na Sokoła, kolega spod okna zawołał wieloznacznie: „No, no!...”, ktoś inny chrząknął, zasłaniając dłonią usta. No, szoruj, bracie! Już dyrektor potrafi cię godnie przyjąć... Zapalony lont szybko spowodował detonację.



Suworin był w gabinecie sam. Przywitał się, poprosił usiąść, od razu odłożył papiery, spojrzął na Sokoła uważnie, jakby ujrzał go po raz pierwszy. Twarz jego jeszcze bardziej obrzękła i poszarzała.

— Do pana należy oddział dwudziesty?

— Dwudziesty i szósty.

— Ma pan wszystkie dane o współczynnikach wykorzystania parku maszynowego?

— Wszystkie.

Dyrektor siedział zamyślony, w jego głowie wyraźnie dojrzewiała jakaś myśl. Hryc też się zadumał. Dobrze, że dyrektor milczy i że siedzą tak oboje w dwójkę w tym obszernym, zacienionym drzewami gabinecie. Surowin to przecież odpowiedzialny i porządny człowiek, może jednak czegoś się domyśla.

— A w innych oddziałach? — spytał po chwili.

— Co w innych?

— Nasze rezerwy.

— Mogę powiedzieć tylko w przybliżeniu. Wszędzie mamy w planie zawyżone normogodziny, zawyżone świadomie i doprowadzone do absurdu.

Dyrektor milczał. Właściwie po co go wzywał? Hryc zaczął się denerwować. Dość już tej zabawy w ciuciu-babkę. Kontrolę przeprowadzono, podane przez niego na egzekutywie fakty nie potwierdziły się, oszczerstwo zostało zdemaskowane. On, Hryc Sokił, uznany został za oszczercę, nie ma teraz czego szukać w kolektywie. Dyrektor zaraz wszystko mu wygarnie. Właśnie ciężko podnosi się z fotela, ramiona stulone, wzrok błądzi po papierach, czegoś tam szukając.

Potem wyprostował się i spojrzął znów uważnie na Sokoła.

— Proszę do mnie na piątą z propozycjami dotyczącymi wszystkich oddziałów mechanicznych. Zwołamy

naradę. Współczynnik NOP\*, współczynnik wykorzystania mocy produkcyjnych. Dokładne dane.

Nie podając ręki opuścił się ciężko na fotel. Hryć wyszedł, zamykając ostrożnie za sobą drzwi.

Hryhoremu Łukyczowi dzisiejsza noc bardzo się dłużyła. Kiedy nie można do rana zamknąć oczu, godziny mrocznej ciszy zdają się wlec w nieskończoność. W żaden sposób nie potrafił przestać myśleć o Wali. W ostatnich latach rzadko powracała we wspomnieniach, a dziś w nocy nagle się zjawiła, przynosząc głuchą tęsknotę i smutek. Patrzyła na niego jakby spoza welonu mgły, niewyraźna i nierealna. Jaka była jej twarz? Jakie oczy? To straszne: już nie pamięta. „Pocałuj mnie w brwi” — prosiła go. Miała brwi szerokie, czarne i gęste. Pamięta jeszcze jej mocną rękę, kiedy drąc się z nim wrywała się z jego objęć i odpychała go — czuł wtedy na piersiach jej twardą dłoń. I czasami jakby słyszał jej głos, a właściwie nie tyle głos, co jakiś zduszony krzyk i bolesne stękanie.

Zbyszek mówi, że powinny były pozostać jakieś ślady. Jak je teraz odszukać? I czy warto? Jakiś Szram zdradził marianowskie podziemie. Prowokator, był wśród nich wilkołakiem, wkradł się do nich podstępnie, a potem ich wydał. Antonowicz nie ufał braciom Prykutym, patrzył jeszcze koso na Harbowskiego... Zgaduj teraz, który to z nich? Ale przecież Harbowskiego zwali Szramem!... No, trzeba z tym skończyć. Mają dość swoich własnych ran, własnych zmartwień, które zżerają i duszę, i ciało. Najcięższa sprawa z Wiktorem. Dziewczęta z dwudziestego kiedyś poskarżyły się Ninie, że ich nowy kierownik ciągle się piekli, chodzi nadęty.

---

\* Naukowa organizacja pracy (przyp. tłum.).

niezadowolony, zerwał nawet ze swoim pupilem Zaliskim.

Hryhory Łukycz wiedział o tym wszystkim. Niektórzy z oddziału też. Wczoraj Oksana powiedziała: „Nasz szanowny kierownik chyba rozgryzł swoje teatralne bóstwo”. Może Oksana przesadziła, sądząc jednak po nastroju Wiktora niezbyt mu wesoło w tym Łehkostupowym raju. Serce ojca czuje wszystko. Szukałeś, chłopcze, przestrzeni dla siebie, a nałożyli ci szleję, wzeniłeś się w Łehkostupów.

A teraz jeszcze ta historia z kontrolą. Zdarzało się co prawda i przedtem, że wprowadzano w błąd komisję zawiązując celowo odsetek wykorzystania warsztatów. Niestety praktykowało się to we wszystkich oddziałach ich zakładów, ale nie tak bezceremonialnie, nie z takim hałaśliwym cynizmem. Narażony jest teraz na szwank autorytet komitetu partyjnego. Przecież sam komitet zlecił zbadać tę sprawę. I okazało się, że wprowadzono go w błąd. Doczekałeś się Hryhorze Łukyczu! Jesteś przecież odpowiedzialny za wszystko przed własnym sztabem partyjnym. I jako sekretarz komitetu oddziałowego, i jako starszy majster. I wreszcie jako ojciec, jako duchowy opiekun i wychowawca Wiktora Żadana.

Nina Wasylewna czyni mu wyrzuty: „Jesteś sam winien, Hryciu. Nie potrafiłeś urobić na własną modłę jego charakteru”. „Masz rację — odpowiedział jej. — Nie umiałem!” Zawsze winien jest ojciec i nic się na to nie poradzi. Może ojcu lżej, kiedy weźmie na siebie winę syna. Czy mało mu wygarniał i prawil morałów, gdy Wiktor studiował? A zdarzało się, że w porywie gniewu syn mógł też oberwać od ojca. Wiktor włączył się już wtedy z gitarą po kawiarniach, późno wracał do domu, zjawily się w jego życiu i dziewczęta, i popijawy. Potem rzucił gitarę i pochłonał go sport. Zaczęły się zawody, zloty, spartakiady. Chodziło jednak nie

tyle o sport, co o sportową sławę, o wypłynięcie na arenę międzynarodową. „Zdrowe współzawodnictwo, ojczyzna, jest wszędzie skutecznym bodźcem. A może twój Witia urodził się czempionem? Może gdzieś tam w San Francisco przygotowują dla niego podium sławy?” I tak mówi przekonująco, że trudno mu nie przyznać racji.

Do pokoju wlewa się przez okno blade światło. Czas wstawać. Precz ze smutnymi myślami! Słońce wyjrzy zza domów i wszystko się rozwieje. Szybko do fabryki, do ludzi! Tylko tam żyje się naprawdę, tylko tam oddycha się pełną piersią.

Tak jak umówili się wieczorem, w portierni czekał na niego Zbyszek. Hryhory zaproponował mu wczoraj nocleg, ale gość bawił się w ceremonie i przez delikatność odmówił.

— Dzień dobry, Zbysiu! — powitał go.

Teraz szybko do biura przepustek. Okazało się, że przepustka czekała już na obywatela Zagdańskiego. Wchodzi pierwszy, przedstawicielu wspaniałej polskiej klasy robotniczej! Wchodzi! Oto nasze królestwo. Pracujemy tu już dwadzieścia pięć lat. Nieźle, co? A co pozostało po Niemcach? Działy się straszne rzeczy. A dziś wspomina się to jak koszmar, jak nierealny sen.

— Chciałbym zobaczyć się z Suworinem — przypomniał Polak.

Okazało się, że nie jest to takie proste. Przybyli do niego jacyś kontrolerzy z ministerstwa, konferują właśnie w jego gabinecie. Wieczne kontrole, wieczne komisje... Och, Zbysiu, gdyby nam więcej ufali! Kontrola jest oczywiście potrzebna, ale najlepszy kontroler to serce i jego trzeba słuchać, jemu wierzyć. Jest tyle sposobów na to, by owinąć wszelkich kontrolerów dookoła palca! Tylko czas zabierają.

Zbyszek stopniowo zaczyna się wciągać w fabryczną

krzątanię. Poprosił, żeby mu pozwolono powałęsać się samemu po terenie fabryki, by mógł wyrobić sobie o niej własne zdanie. Gdy przed obiadem zjawił się znów na oddziale dwudziestym, ujrzał tam Suworina. Tyle lat się nie widzieli, poznał go jednak od razu, mimo że tamten przytył, posiwiał, w oczach pojawiła się ociężałość i zmęczenie.

— Co oni tu robią? — spytał Żadana.

Dyrektor w towarzystwie kilku inżynierów z kierownictwa, wśród których był również Wiktor, chodził wzdłuż linii, coś przykładał do oczu, raz po raz spoglądał w górę, pod sklepienie dachu. Inżynierowie z planami i wykresami w rękach też coś sprawdzali i robili jakieś notatki.

— Mają zainstalować w dyspozytorni aparaturę elektronową — wyjaśnił półgłosem Żadan.

W końcu Suworin dostrzegł Zagdańskiego. Zaczepił spojrzeniem o jego twarz i zamarł. Coś zaczął sobie przypominać. Kto to? Czyżby jego dawna, partyzancka młodość?

— Zbyszek! — krzyknął na cały oddział.

Stał od niego o jakieś pięć kroków i jakby go taksował przymrużonymi, szarymi oczyma, w których nie było na razie radości, tylko zdziwienie, bo jeszcze nie był pewny, czy to Zbyszek, twarz lekko pobladła. Lecz w pewnym momencie oczy zapłonęły radością. Podbiegł do Zbyszka, objął go mocno i wyczałował.

Posypały się chaotyczne pytania i wspomnienia. Suworin zaczął wypytywać Zbyszka o rodzinę, potem o jego sprawy zawodowe. Byli nieco skrępowani tym, że tak w tłoku, wśród ucichłych z szacunkiem robotników i inżynierów, prowadzą tę bardzo osobistą rozmowę.

Suworin spojrział na zegarek.

— Zjemy razem obiad! Chociaż raz zjem wcześniej z okazji twego przyjazdu.

Gość jednak odmówił. Na ulicy czeka na niego autobus „Inturistu”. Po obiedzie cała ich grupa ma jechać na wystawę. Porządek musi być.

— No więc do wieczora! — Suworin uściśnął gościowi dłoń, odprowadziwszy go do bramy. — Pojedziemy na Dniepr. Pokażę ci, jak u nas na Ukrainie gotuje się zupę rybną.

Suworin powrócił do spraw oddziału. Skoro był już dziś na dwudziestym, to trzeba wszystko dokładnie obejrzeć. Potem poszli do gabinetu kierownika. Tam wszyscy poczuli się lepiej. Sufit, ściany, długi stół, jakby oddychający chłodem i świeżością. Suworin poprosił o dokumentację, zaczął przeglądać papiery. Ale myślą był ciągle jeszcze przy polskim przyjacielu. To spotkanie było tak nieoczekiwane i krótkie, że aż trudno w nie uwierzyć. Ale Zbyszek był tu przecież niedawno! Westchnął ciężko: to już dwadzieścia pięć lat... Tyle razy wybierał się do Warszawy, ale ciągle nie miał czasu. Początkowo pisywali do siebie, potem jednak korespondencja się urwała. Zapomina się o tym, co najdroższe, zapomina się o przeżytych życiu. Jakże to? Nie można żyć tylko chwilą bieżącą. Trzeba szanować przeszłość. Trzeba szanować każde swoje wspomnienie.

Biała koszula przylepiła się do spoconego ciała. Przeglądając papiery Suworin uświadomił sobie nagle, że cała jego obecna działalność w zakładach zaczęła się na dobrą sprawę jeszcze na froncie. I Zbyszek nie był tu tylko gościem. Zasłużył sobie na prawo przyjscia tu jako ich bojowy towarzysz i kolega. „Gdybyś wiedział, Zbysiu, ile zrobiono tu bez ciebie i ile jeszcze trzeba zrobić!”

Fabryka ulega rekonstrukcji i trzeba ją przebudować.

wywać nie przerywając produkcji. Jasne, że gdyby ją budowano dopiero teraz, byłoby chyba znacznie prościej. Oto macie plac pod budowę, oto projekt fabryki, oto jej określone moce produkcyjne, oto schemat organizacyjny budowy — budujcie, przekażcie następnie państwu, a po was przyjdą tu ci, którym powierzy się produkcję... Suworin nie miał żadnych „następnie”. Wszystko trzeba było robić natychmiast, na miejscu, w trakcie produkcji. Ani na moment nie gasły piece odlewnicze, nie przerywało się cięcia i spawania metalu oraz montowania prototypów. Rozbierało się stare budowle. Zakłady się rozrastały. Metal zlewał się z betonem. Rodziła się moc wysokich napięć.

Jeszcze i teraz budują. Apetyty są duże, chciałoby się widzieć na miejscu starej fabryki nowoczesnego olbrzyma. Dlatego można pewne sprawy przegapić. A zdarza się też forsowanie na siłę... Suworin zrobił jakąś notatkę, po czym spojrzął na młodego Żadana. Oto on, inżynier, jeden z nowoczesnych fachowców. Ambitny i nieco porywczy. Trzeba go hamować i kontrolować. I pomagać. Także przez krytykę.

Wszedł Hryhory Łukycz, Suworin zaprosił go, by usiadł z nimi przy stoliku.

— A może macie jakieś sekrety? — spojrzął na zakłopotaną twarz syna.

— Sekrety to macie wy, Żadanowie — dyrektor się uśmiechnął. — Nie potrafię ich jednak odgadnąć. Wybacz, Hryhory Łukyczu, mam tu z kierownikiem jeszcze kilka spraw do załatwienia. Posiedź, posłuchaj.

Dyrektora interesowała między innymi sprawa braków oraz składowania gotowych wyrobów. Wiktor bez żadnego wysiłku udziela wyjaśnień.

Hryhory Łukycz słucha go z tajoną dumą, a jednocześnie z bólem. Jakże to, synu? Tyle w tobie pasji, tyle w głowie projektów, a jednocześnie te historie

z Łehkostupem, ta „kontrola”... Gdyby Suworin o tym wiedział! Ładna to będzie „fotografia roboczego dnia”, absolutnie pewna i „czyściutka”.

Suworin zbyt ufa ludziom, takiego człowieka łatwo można oszukać. Hryhory z uwagą przypatruje się dyrektorowi, chce odnaleźć w nim swego dawnego towarzysza z frontu. Postarzał się Pawłusza, zwłaszcza w ostatnim roku, kiedy jego syn po ukończeniu instytutu wyruszył z arktyczną ekspedycją naukową na pół roku, ale pobyt jego ciągle się przedłuża.

— Jeśli puścimy najpierw dwieście piąty, to w czwartym oddziale zrobi się bałagan — dotarł do świadomości ojca głos Wiktora.

— To są zamówienia specjalne, Wiktorze Hryhorowiczu. Musicie!

Głosy oddalają się, gasną, powracają natomiast obrazy z tamtych odległych dni. Tak, bardzo się posunąłeś, Pawłuszo! A w partyzantce był ciągle kłopot z tobą, bo twój wzrost nie mieścił się w żadnych normach.

Niekiedy na egzekutywie Hryhory Łukycz ma ochotę odrzucić całą tę oficjalność i powiedzieć swemu przyjacielowi dyrektorowi: „A pamiętasz, jak wówczas walczyliśmy, nie żałując ani życia, ani krwi, i nie było między nami żadnych nieporozumień, byliśmy dziarscy, weseli, nie znużeni życiem, chociaż wokół szalała krwawa zamieć. A teraz ty, dojrzały i poważny, widzisz tylko punkty planu, twoje serce ugrzęzło pod cyframi, tonami i raportami. Czasem i ja gniewam się na ciebie, a zdarza się, że kłócimy się i ranimy wzajemnie twardeymi jak ołów słowami”.

Suworin wstaje. Sprawy na dwudziestym oddziale ogólnie biorąc nie wyglądają źle. Podaje rękę Wiktorowi, zwraca się do starszego Żadana i wychodzi wraz z nim za bramę.

Jest pochmurny dzień. Dyrektor bardzo by chciał



podzielić się z Hryhorym swoimi planami. Tylko nimi żyje. Ten człowiek ma chyba elektronowy mózg i cybernetyczne myśli. Nie zważając na ponury nastrój Żadana rozwija przed przyjacielem swoje projekty. Otóż w Komitecie partyjnym wpadli na wspaniałe pomysły. Samą ideę podsunął Łehkostup, po czym został opracowany konkretny program. Dyrekcja zakładów będzie zabiegać u czynników decydujących o stworzenie przy ich zakładach wielkiego centrum naukowo-szkoleniowego: dwu- i trzymiesięczne kursy dokształcania zawodowego, technikum, oddział politechniczny instytutu, biblioteka, sala projekcyjna, sala teatralna...

— Wyobraź sobie teraz, jaki będzie system nauczania — ciągnie z zapalem Suworin. — Za pomocą kamer telewizyjnych wszystkie oddziały będą stanowiły jedno wielkie audytorium. Wszyscy kursanci za pośrednictwem ekranów telewizyjnych będą mogli podglądać pracę doświadczonych majstrów, ich metody i sekrety. Tylko się uczyć, przyswajać, rosnać!

Było to naprawdę interesujące i być może w innych warunkach i w innym nastroju Hryhory dorzuciłby coś od siebie. Teraz jednak drażniły go te zbyt świetlane jego zdaniem perspektywy, roztaczane przez dyrektora z taką młodzieńczą pasją. „Wybiegasz daleko wzrokiem naprzód, a nie dostrzegasz, co się dzieje pod twoim nosem — pomyślał. — Musisz poznać prawdę! Musisz znać całą prawdę o moim synu. I o jego protektorze, bożku mechanizacji fabryki, towarzyszu Łehkostupie”.

— Mieliśmy wczoraj kontrolę komisyjną — zmienił temat rozmowy.

— Chyba wszystko jest w porządku — Suworin spojrział na Żadana z lekką podejrziwością.

— Meldowali ci już coś?

— Dziś mają dać materiały. Wy oczywiście to i owo ukrywacie — Suworin uśmiechnął się pobłaźliwie do

jakiejś swojej myśli. — Sokoła być może trochę poniosło, chociaż u nas jest do czego się przyczepić. A w ogóle to chcę tego Sokoła awansować. Może nawet na głównego technologa. Co o tym sądzisz?

— Światła głowa. Egzekutywa go poprze.

— Teraz coraz więcej mamy takich. Czy twój Wiktor gorszy?

I w przyływie przyjacielskiej szczerości opowiedział Żadanowi, jak wielki, dawno już dojrzały do realizacji problem przedstawił Wiktor dyrekcji. Wczoraj położył mu na biurku w najmniejszych szczegółach opracowany plan fabrycznego klasyfikatora. Mówiło się o tym od czasu do czasu na naradach, ale na tym się kończyło, a tu gotowe wykresy i obliczenia. Wiktor uważa, że w zakładach o zmiennym profilu produkcyjnym należy bezwzględnie wprowadzać unifikację detali. Czy nie ma racji? Mądra głowa.

— Nie będziemy dla każdej maszyny opracowywać coraz to nowych części o różnych parametrach. Przy klasyfikatorze można będzie wybrać wcześniej przemyślane i obliczone detale i wkomponować je do ogólnego schematu. Oddziały będą wówczas otrzymywać seryjne zamówienia, przez co podwyższy się współczynnik wykorzystania parku maszynowego. I wszystko to szanowny Wiktor Hryhorowicz obiecuje wykonać we własnym zakresie z grupą kolegów technologów, jako pracę społeczną.

Hryhory Łukycz słuchał dyrektora z uczuciem zdziwienia i lekkiej goryczy. Opowiedziano mu tutaj jakąś piękną bajkę, którą trudno było przełożyć na język rzeczywistości i w której nie widział miejsca ani dla siebie, ani dla Wiktora. Wynikało z tego, że czegoś mu brakowało do zrozumienia syna. Nie można ludzi osądzać zbyt pochopnie i sądu tego ujawniać.

Rozstali się na wąskim chodniku.

— Ja tędy, do odlewni — powiedział Suworin. — Pomagaj Wiktorowi.

Hryhory ciągle jeszcze szamotał się w pajęczynie wątpliwości, co dyrektor chyba zauważył.

— No cóż, w rodzinie różnie bywa, czasem ciężko — dodał z powagą. — Może teraz będzie lżej.

I długim, pewnym krokiem ruszył do bramy odziału.

Tego wieczora Hryhory i Nina wybrali się do teatru. Inicjatorką była Nina, która zapewniła przyjaciela, że sztuka jest bardzo ładna i na pewno nie będą się nudzić. A poza tym jedną z czołowych ról gra żona Wiktor, Zoja. Chyba warto zobaczyć synową? Muszą pójść koniecznie. No i poszli.

Gdyby Zoja wiedziała, jacy goście zawitają dziś do jej świątyni, zarezerwowałaby dla nich najlepsze miejsca. Tematyka przedstawienia była antyczna, scenę zapełniali szlachetni Trojanie z mieczami, w tunikach i żelaznych hełmach, wygłaszając długie, patetyczne monologi. Zoja, cała w bieli, o narzucającej się widowni urodzie, z podsinionymi tęsknotą i kochaniem oczami, kilka razy wychodziła na proscenium, wygłaszając namiętne tyrady o czci, poświęceniu i świętym obowiązku umiłowania prawdy. Żadan bacznie się jej przyglądał. Jej głos i dumna uroda sprawiły, że antyczny mit ożywał na scenie i zmuszał go do przeżywania.

Kiedy wyszli z teatru, pomyślał o synu.

— Utalentowana — podsumował krótko. — I prawdziwa piękność.

— Na scenie wszystkie aktorki są piękne — zgasiła jego zachwyty Nina.

— Jest w niej coś czarodziejskiego, prawda? Nic

dziwnego, że młodzi mężczyźni tracą dla takich kobiet głowę.

— Zdarza się, że nie tylko młodzi...

— Mogłabyś darować sobie te aluzje. Twój stary koń lubi tylko jedną uprząż.

— Miły jesteś. Moja miłość i wierność stały się już dla ciebie uprzężą — westchnęła z pobłażliwym uśmiechem. — No cóż, jeśli ci ona odpowiada, to chodź w niej. Ale o Wiktorze warto by jednak pomówić.

Zerwał się wiatr, zbierało się na burzę. Gdzieś za miastem przetoczył się głucho grzmot, powiało świeżością. Poszli do Żadana. Nina nastawiła czajnik i usiadła w kącie przy lampie. Hryhory stanął obok i położył jej dłoń na ramieniu. Droga, przez nikogo nie uznana jego żona, jego przeżyte i nie przeżyte życie! Trzeba by wreszcie powiedzieć wszystkim: dość tego! Mamy prawo do własnego szczęścia! Wobec kogo zawinili? Zastarzała umowność, dziwny strach przed własnym sumieniem. Co Wiktor pomyśli... Co Wiktor powie... Dzieciom dano o wiele większe prawo do sądenia nas, niż na to zasłużyły.

Przez balkon wpadały do pokoju świeże podmuchy wiatru, pachniało ozonem. Nina nalała mocnej herbaty, w szklankach załśniła ciecz miodnego koloru. Wszystkie, jak zwykle, zwyczajne ruchy i zwykły powab drogich rąk. Nina pochyliwszy głowę uśmiechała się w zamyśleniu, odprawiając przy stole uświęcony rytuał picia herbaty. Jak droga i wzruszająco bliska była jej twarz, jej każdy ruch, każde spojrzenie!

— Jutro jedziemy na spotkanie z lotnikami — powiedział Żadan.

— Palijenko dzwonił już dwa razy — odezwała się po chwili Nina. — Jeśli to możliwe, to wolałabym nie jechać. Nie chcę ciągle wspominać o tych strasznych czasach. Wiesz, jak się tego boję.

Zrobiło mu się jej żal. Żal mu było jeszcze w Marianówce i jej, i innych dziewcząt, którym dawało się broń. To chyba najgorsze zło wojny, że również kobiety musiały się narażać na śmierć, patrzeć na krew, zabijać, umierać, płonąć w ogniu, jęczeć z bólu.

— Jeśli spojrzysz się na historię, to odnosi się wrażenie, że ludzkość istnieje tylko po to, żeby udoskonalać sposoby zabijania i metody okrucieństwa. Świadomość człowieka protestuje przeciwko przemocy, przemoc jednak nie znika.

— Nie tylko protestuje, ale wstyd jej! — dorzuciła gniewnie Nina.

— W tym właśnie jest paradoks, Ninko! Najpierw jakiś wyrodek zabija tysiące sobie podobnych, a potem się wstydzi.

— Chyba dlatego, że w pewnym momencie historii wyrodki stają się silniejsze od milionów porządnych ludzi. No bo jakże inaczej to wyjaśnić? Dlaczego był Oświęcim i Buchenwald? Powszechne zezwolenie czy powszechny strach?

— Jednego jestem jednak pewny, i to mnie pociesza: człowiek rodzi się dla dobra, dla miłości i ciemne siły zła zostaną kiedyś ostatecznie rozgromione. — Zapalił, wstał, rozsunał firankę na drzwiach balkonu. — Zaraz zaczną padać... Zbliża się porządna burza!

— Zamknij balkon. Grzmi — powiedziała Nina z jakimś dziecięcym lękiem.

— No to co że grzmi?

— Może zabić. Przeciągi przyciągają błyskawice.

— Byłaby to wspaniała śmierć. Niestety umieramy zwykle śmiercią bardzo prozaiczną. Te niebieskie błyskawice są dla bogów, może jeszcze dla tych rycerzy, którzy żyli kiedyś w Troi i Atenach — powrócił znów myślą do spektaklu i do swoich silnych przeżyć z nim związanych. — Ładną rzecz wystawili w naszym

teatrze. Wprawdzie o dawnych czasach, ale to wszystko brzmi bardzo współcześnie: umiłowanie prawdy, społeczny obowiązek. Warto uczyć się od przodków.

— My też jesteśmy dla Wiktora przodkami.

— Dlatego i od nas może się tego i owego nauczyć.

Żadan stał oparty o futrynę drzwi balkonowych, krępy, silny, w białej koszuli i krawacie, i młodzieńczym wzrokiem spoglądał na race błyskawic, przecinających granatowe chmury. Potem zmęczony usiadł na kanapie, w najciemniejszym kącie, z daleka od balkonu i zaciągając się dymem z papierosa patrzył w okno. Refleksy szalejącej burzy padały na jego twarz. Wspaniała noc! Jakby się oczyszczał w tym ogniu błyskawic, łowiąc je oczyma; potężne promienie wlewają się w serce, ale serce jest ciche i łagodne i nawet rozszalałe niebo nie jest w stanie naruszyć tego spokoju. Może wojny są jak burze? Przetaczają się i gasną.

Nina westchnęła.

— Zbyszek chciał poznać Wiktora. Więc mu powiedziałam: młodzi inżynierowie są teraz bardzo zajęci. Ja przez cały miesiąc miałam honor tylko raz z nim rozmawiać. „Bo młodzi myślą — rzekł Zbyszek — że świat zaczyna się dopiero od nich”.

— Coś mu odpowiedziała? — uśmiechnął się Żadan.

— Przypomniałam mu o Adamie i Ewie. Oni też byli naiwni i też wierzyli, że są pierwsi na świecie.

Nagle w przedpokoju rozległ się dzwonek. Już późno, któż by to mógł być. Znow ktoś zadzwonił, tym razem dłużej. Żadan zaniepokojony poszedł otworzyć. Nina usłyszała basowy głos Suworina, włączyła więc szybko górne światło i spojrzała przelotnie w lustro. Suworin kłął na pogodę i otrząsał się w przedpokoju z deszczu. Ujrzawszy w pokoju Ninę wyraźnie się ucieszył.

— A więc to ty zwabiasz do teatrów kadrowych

majstrów moich zakładów? — usiadł na kanapie i wycierał chusteczką mokry kark i twarz. — Ulewa dopadła mnie już blisko domu.

Nina zaczęła krzątać się przy stole, chcąc poczęstować gościa herbatą.

— Siadaj, nie zwracaj sobie tym głowy — zaprotestował. — I ty też usiądź, Hryhory. Są ważniejsze sprawy.

Okazuje się, że był tu już raz i sąsiedzi powiedzieli mu, że Hryhory Łukycz poszedł do teatru. Sprawa pilna, muszą omówić ją wspólnie. Otóż komitet partyjny otrzymał od Zaliskiego pismo, a właściwie skargę na kierownika oddziału, jakoby ten groził zdjęciem jego, Zaliskiego, ze stanowiska zmianowego majstra. Za co? Za to, że on, Zaliski — tylko słuchajcie! — nie chciał tolerować amoralnych czynów Wiktora Żadana, który zmuszał go do pijaństwa i szantaży. A sam porzucił żonę z dzieckiem... Wkrótce zjawił się sam Wiktor. Przyszedł też z podaniem.

— Na Zaliskiego? — spytała z lękiem Nina.

— Nie, z prośbą o zwolnienie go ze stanowiska kierownika oddziału — poinformował Suworin. — No i tak, przyjaciele. Podanie leży na biurku. Wiktor przyszedł do mnie wieczorem i też prosił o zwolnienie. Przyznał się, że istotnie pił u Zaliskiego, że ma gdzieś nieślubne dziecko, że kontrola była niewłaściwie przeprowadzona. W tym dniu byli akurat uczniowie z technikum i oddział pracował na zwiększonych obrotach. Wiktor chce pracować jako zwykły inżynier. Właśnie na twoim dwudziestym oddziale. — Surowin wstał, sam nalał sobie ostygłej już herbaty, nadpił i postawił szklankę na stole. — Podanie, powtarzam, jest u mnie. A skarga Zaliskiego w Komitecie Partyjnym.

Żadan stał przy balkonie i wpatrywał się gdzieś da-

leko w burzowy mrok. Wszyscy milczeli. Nad miastem grzmiało.

Suworin znów sięgnął po czajnik.

— Pozwól, podgrzeję — poderwała się Nina.

— Nie, dziękuję, muszę już iść.

Błyskawica załała na chwilę balkon martwym światłem, z łoskotem uderzył piorun, żyrandol pod sufitem zadrżał lekliwie.

— No to jak? — spytał Suworin. — Wszystko jasne, tak? Pomyślcie nad tym, zastanówcie się. Na mnie już czas. Jutro będzie w fabryce komisja z komitetu miejskiego — wstał z kanapy, wziął z krzesła kapelusz, nałożył go i wyszedł szybko, nie zegnając się.

Na dworze grzmiało, żelazne olbrzymy toczyły bój nad miastem. Potem nagle wszystko ucichło i lunął gęsty, ciepły deszcz.

Tego wieczoru Wiktor miał gości. Przy kawie toczyła się lekka rozmowa, przyprawiana śmiechem. Przy stole siedzieli: wysoki, przystojny mężczyzna o bladej twarzy (ponoć jakiś wybitny reżyser) oraz drugi, mniej wybitny reżyser o szerokiej twarzy i siwych, krótko ostrzyżonych włosach, na kanapie zajęła miejsce ekscentryczna kobietka w białym swetrze i zielonych spodniach.

Wiktor sam pełnił honory domu, bo Zoi jeszcze nie było, a Łehkostup miał nadejść lada chwila. Dziś zbiera się tu wesołe towarzystwo. A że gospodarz w kiepskim humorze, to nic strasznego. Po to przecież się spotykają, żeby się rozerwać i pośmiać po męczących kłopotach codzienności.

— Więc jakie są kobiety w tej pańskiej Amazonii? — strzeliła oczami w stronę Wiktora kobietka z kanapy.



Wiktor już nieraz opowiadał pół żartem, pół serio o swych wrażeniach z zagranicznych podróży. Pozwalał też sobie często, dla większego efektu, pofantazjować. Szczególnie dziś, tego przygniatającego wieczoru, kiedy wszystko zaczęło mu się walić.

— Więc powiada pan, że mają dużo seksu?

— Absolutnie wszystkie! Miłość podniesiona jest u nich do najwyższego kultu. Podobno ostatni król Inków Atahualpa zakazał poligamii i został za to zabity\*.

— Nam też przydałby się taki Atahualpa.

— Po co?

— Żeby położył kres szerzącej się wśród mężczyzn rozwiązłości.

— Przesadzasz jak zwykle, Domno — zareagował mężczyzna o bladej twarzy, jak się okazało, jej mąż, któremu obrzydła już gadatliwość żony, ale jako człowiek dobrze wychowany zmuszał się do uprzejmości. — Niech się pan z nią nie przekomarza, Wiktorze Hryhorowiczu. Ostatnio mówił pan, że Atahualpę zabito za wielożeństwo, a jeszcze wcześniej, o ile pamiętam, według pańskiej wersji Pizarro zastawił na niego pułapkę... Gdzie jest prawda?

— Prawdziwa wersja jest ta, która się panu podoba — odpowiedział Wiktor beztrąsko.

— Wspaniale! — żona bladego reżysera klasnęła w dłonie. — Filozofia pozytywizmu. Chyba tak. Kiedyś coś się uczyłam o tym w instytucie. To strasznie ciekawe. Korzyść uważa się za podstawę wszystkiego. Miałam piątkę z materializmu dialektycznego. Gdybym nie wyszła za mąż za reżysera, byłabym dziś profesorem filozofii.

Przyszedł wreszcie Łehkostup, który wywoławszy

---

\* Uwięziony i stracony w 1533 r. przez konkwistadorów Pizarra w Cajamarca (przyp. tłum.).

Wiktora do przedpokoju, jak gdyby nigdy nic zaczął radzić się go, jak urządzić wieczór. Bo te fireyki z teatru, to tylko tak, dla dekoracji. Wkrótce powinien zjawić się pewien bardzo nam potrzebny towarzysz „z góry”, człowiek poważny i wpływowy. Przyjdzie pewnie prosto z pociągu, chyba głodny, więc trzeba go dobrze ugościć i otoczyć szczególną troskliwością. Łehkostup wyjął z kieszeni kilka banknotów.

— Proszę to schować!

— Nie wygłupiaj się! Po tej wczorajszej historii tylko ten towarzysz może cię uratować.

— Illio Kindratowiczu! — Wiktor z oburzeniem położył mu rękę na ramieniu. — Proszę zmienić płytę, jak teraz się mówi. Kolacja moja, jasne? I niech pan nie zapomina, że tam są goście — skinął głową w stronę drzwi. — Proszę iść do nich, bo się zanudzą na śmierć.

Wyszedł i zaczął powoli schodzić w dół. Czuł jeszcze na sobie nieco przerażony i zaniepokojony wzrok Łehkostupa i to go rozbawiło. No i co? Nie spodziewałeś się tego, mileńki. Od razu alarm, ratuj się, kto może... A Zoja też pokazała prawdziwe oblicze. Gdy dowiedziała się o jego podaniu, z miejsca się nadeła i zachmurzyła. Ja ci pół życia oddałam i tak mi się odwdzięczyłeś...

W ciągu pół miesiąca wszystko się rozleciało. Ba, w ciągu tygodnia, za jeden dzień... Przez całą noc nie mogła się uspokoić: jak śmiał podeptać to co najświętsze? Mieli już wziąć ślub, przygotowywali się do wesela. Oszkalował przed dyрекcją jej rodzony brata, napluł w samą duszę. „Nikogo nie szkalowałem, powiedziałem tylko prawdę o sobie” — tłumaczył się Wiktor. „Patrzcie, jaki prawdomówny. Demagog! — histeryzowała Zoja. — Ciągłe jeszcze tęsknisz za tą chłopką... Nie zaprzeczaj, wiem! To przed nią chcesz być taki

czyściutki. A ja, głupia, chciałam wziąć na wychowanie twoje dziecko. Żebyś wiedział, że nigdy tego nie zapomnę i nigdy ci nie przebaczę!”

Gdy Wiktor powrócił z zakupami, Zoja była już wśród gości. Siedziała obok siwego reżysera, nie zdradzając swego prawdziwego nastroju. Na Wiktora nawet nie spojrzała. Gości ciągle przybywało, prowadzono beztroskie, wesołe rozmowy, sypano dowcipami. Łehkostup starał się być jak zwykle jowialny i towarzyski.

— Wiktorze Hryhorowiczu — zwrócił się do młodego Żadana familijnym tonem — jesteście spragnieni i głodni jak wilki. Zlituj się, nakarm nas i napój!

Wiktor wyszedł do kuchni, coś tam kroił, układał na talerzykach. Nie najlepiej czuł się w tej roli, trzeba było jednak udawać uprzejmego gospodarza. W głowie miał pustkę, w sercu protest, rozrastający się do bólu.

W salonie dyskutowano o specyfice sztuki filmowej. Siwowłosy reżyser był jednym z teoretyków filmu, czuł się na tym gruncie pewnie, więc rozwaliwszy się niedbale w fotelu rozwijał swą, znaną powszechnie, teorię o funkcji dźwięku i obrazu w filmie.

— Jestem zwolennikiem genialnej tezy wielkiego Chaplina: „Lepsze jest nieme kino obrazów niż powódź gadulstwa w kinie dźwiękowym”. Nie chodzi zresztą o przeciwstawienie się dźwiękowi jako takiemu, lecz o zmajoryzowanie filmu przez dźwięk, o jego proporcję w stosunku do narracji obrazem.

— Bardzo słusznie! — zawołała damulka z kany. — Kino to feeria barw! To operowanie światłem i cieniem.

— Pani nieco przesadza — zauważył skromnie siwy reżyser, chociaż jej aplauz sprawił mu przyjemność. — My wcale nie kwestionujemy potrzeby dźwięku. Ale zawsze będę powtarzał: dźwięk powinien stanowić kon-

trapunkt dla obrazu, pogłębiać jego filozoficzną wymowę.

— Logiczne — zauważyła Zoja.

Wiktor słuchał tego z rozdrażnieniem. „Wielkie słowa! Błada buzia Zoi pociąga go nie mniej niż cała ta jego teoria. Piękna rola przypadła mi w tym domu! Mostowy powiedział kiedyś, że w sztuce są czyste rzeki i zapleśniałe bajora. Warto by wiedzieć, gdzie ja się znajduję teraz. Na jakim brzegu stoję?”

— Fellini nie potrzebuje logiki! — zawołał patetycznie siwy reżyser. — Jego alogiczność sama w sobie niesie logikę...

Wiktor wyszedł do kuchni. Przy zlewie stał drugi reżyser. Palił i z pobłażliwą ironią na podłużnej twarzy wpatrywał się w sufit, wypuszczając smugi dymu.

— Kruszą kopie? — spytał.

— Sprzecząją się.

— I znudził się pan? — reżysera widocznie też zmęczyło to puste gędzenie.

— To nie mój fach, trudno mi oceniać.

— Każdy ma tylko jeden fach: tworzyć to, co potrzebne i autentyczne — mówił w zamyśleniu reżyser. — Kto nie jest do tego zdolny, kryje za pozorną głębią pustosłowie — zaciągnął się papierosem, na twarzy pojawił się grymas. — To straszne, kiedy ludzie zaczynają się „zagłębiać”. To tak jak obraz bez dźwięku w dźwiękowym filmie. Albo nocny koszmar z niemymi zjawami oraz ludźmi bez twarzy i płci, i bez uczuć. — Spojrzał Wiktorowi w twarz. — Pan na pewno zajmuje się czymś potrzebnym i autentycznym?

— Nie wiem — odpowiedział Wiktor cicho.

— Tego nie można nie wiedzieć — mówił tamten pouczającym tonem. — Nie wiedziałem o tym przez pięćdziesiąt lat. Uganiałem się za chimerami. I one uganiały się za mną. Niech pan ucieka od chimer,

przyjacielu! — głos jego zabrzmiał surowo. — Od ni-  
cości, od pustostłowa, od fałszu. Wtedy wszystko będzie  
prawdziwe. Nawet nasza śmierć.

Reżyser znów patrzył w sufit. Oczy jego były jasne  
i uśmiechnięte. Nagle Wiktorowi wydało się, że jasność  
tę zaćmił na moment cień bólu. Wiktor zrozumiał:  
wspomnienie młodych lat i żal nie spełnionych marzeń.

„Drogi Żeniu! Dziękuję za ciepłe słowo. Otrzymałam  
Twój list z opóźnieniem, bo wyjeżdżałam z dziewczętami  
do sąsiedniego miasta; gdzie remontowali mi maszynę.  
Pracuję teraz jako kierowca. Dobrze, że kiedyś,  
jeszcze w szkole, zrobiłam prawo jazdy trzeciej kate-  
gorii. Większa pensja i w ogóle jest lżej. To nie to co  
z łopata na betonie, niech go lichy weźmie! Nie po-  
winni wyznaczać kobiet do takiej pracy. A pracować  
w stepie to prawdziwa rozkosz. Starodawne mogiły.  
Podobno scytyjskie, sarmackie, no i kozackie też są. Na  
jednej z nich stoi popiersie Iwana Sirki, koszowego  
atamana Siczy Zaporoskiej, sławnego dowódcy. A wo-  
kół zielone pola i kwiaty. Aż mi serce zabiło radością,  
kiedy ujrzałam tyle piękna. To nasza ziemia, Żeniu.  
I ty ją chronisz. Masz co prawda konika szybszego niż  
stepowy rycerz Sirko. Często oglądamy na niebie białe  
smużki samolotów odrzutowych. Może i ty lataasz tu  
nad nami? Wołam nieraz; obiecałam rozpalic wieczo-  
rem duże ognisko na łągach. To byłoby bajkowo, gdy-  
byś tak przeleciał nad nami! Katia, moja pomocnica,  
żartuje: kiedyś, powiada, przelatywali pod mostem,  
Czkałow dla swojej dziewczyny zdolny był do wszyst-  
kiego, ale teraz nie ma już takich rycerzy. Roześmia-  
łam się: no bo jakby to wyglądało, gdyby chłopiec po-  
pisywał się przed dziewczyną na odrzutowcu? Żeniu,  
smutno mi bez ciebie. Nie opuszcza mnie jakiś dziwny

niepokój. Dni mi się dłużą, nudno. Lończyk jest we wsi u ojca, wkrótce wybiorę się do niego. Haładij napisał, że ojciec choruje i że znowu zaczął pić. Jestem niespokojna o dziecko, chciałabym już jak najszybciej zobaczyć swoich i pobycć trochę z synem. Być może zabiorę go tutaj i umieszczę w żłobku. Bo gorzko żyć samej. Wnet już jesień, wszyscy chodzą wieczorem do klubu, a ja nie mam ochoty. Poszłabym posiedzieć do swojej „Wenecji”, ale jej nie ma. W tych dniach przysłała tu pogłębiarkę, wszystko przekopła i zrównała. Mówią, że tak trzeba. A mnie żal.

Odpisz szybko, Żeniu! Jestem ci bardzo wdzięczna za listy. Twoja przyjaciółka Hania”.

Palijenko przez cały dzień chodził rozmarzony, słyszał głos Hani, widział jej drogą i smutną twarz.

— Słyszałeś, że generał będzie u nas? — spytał go Buszma, którego spotkał koło sztabu. — Ge-ne-rał! Interesuje się sprawami pułku.

To go przywróciło do rzeczywistości. Momentalnie znikły czary, wszystko stało się znów surowe i zwyyczajne. To dobrze, że będzie generał. Niech zajrzy do ich gospodarstwa, zobaczy, co robią. Palijenko wiedział, że generał jest pryncypialny i wymagający, ma duże doświadczenie i autorytet. Na pewno zażąda rozmowy partyjnej, uczciwej i bezkompromisowej.

Po obiedzie podpułkownik Jekłema zaprosił Palijenkę do siebie.

— Siadaj, Jewhenie Dmytrowiczu, jest o czym pogadać.

Stał plecami do okna ze skupioną twarzą, pocierając nerwowo ręce. Za oknem letnie słońce, hałasuje dzieciarnia. Wszędzie jej pełno, wszędzie słyhać jej szczebiot, tupot, okrzyki. Dzieci hałasują nawet przed szta-

bem. Jedno z nich wylazło na morwę, a pozostałe z wrzawą biegają wokół drzewa. No cóż, lato, wolno im.

Jewhen patrzy w skupieniu w okno. „Ostatnie dni lata. Kiedy wreszcie dadzą ten urlop? — spojrzał na swoje ręce. — Jakie blade, nawet nie zdążę się opalić”. Jekłema też spogląda na swoje dłonie. Są małe, pulchne, trudno uwierzyć, że kiedyś te ręce trzymały ster niszczyciela. Był na froncie dobrym lotnikiem, ma na koncie sześć strąconych maszyn nieprzyjacielskich. Ale teraz to już nie ten sam, nie te oczy, nie te myśli.

— Wie pan, że na zebranie przyjedzie sam generał? — pyta cicho.

Jakoś głupio siedzieć, kiedy szef stoi przed tobą. Stoi tak chyba umyślnie, jakby jego wygląd miał być wyrzutem. Więc przyjedzie generał, zaczną się wystąpienia. A pana nie obchodzi honor pułku? Czy może wydaje się panu, że nie mamy żadnego rozeznania w sprawach lotniczych? Niepotrzebnie zakwestionował pan zdolności człowieka, którego uważamy za najlepszego z najlepszych.

— No, dlaczego pan milczy, kapitanie? — pyta Jekłema z hamowanym rozdrażnieniem, o czym świadczy ruchliwość jego krótkich palców.

— Wszystko jasne, przyjedzie generał, będzie zebranie partyjne — odpowiada Palijenko z lekką ironią.

Na stole, przy którym siedzi, jest rozłożona mapa, oczy myszkują po niej, by nie patrzeć na Jekłemę. Jakoś niegrzecznie, nieładnie. Może jednak wstać?

— Pozwoli pan, że porozmawiam z panem jak z synem — Jekłema przechodzi nagle na intymny ton i siada przy stole naprzeciw Palijenki. — Pan, Jewhenie, dopiero zaczyna swoją karierę. Jest pan bardzo zdolny. Ukończy pan akademię, a wówczas, kto wie, może zostanie pan dowódcą pułku. — Jekłema west-

chnął smętnie, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że przed nim nie ma już żadnych dróg, wszystkie już przeszedł, wydeptał, wszystko ma za sobą. — No więc po co psuje pan sobie biografię? — położył swą miękką dłoń na szczupłej ręce Palijenki, był jakiś ojcowski. — Historia z Sydorowskim nieco panu zaszkodziła. Tak, tak, proszę mi wierzyć! Opozycjonistów u nas nie lubią. Zwłaszcza w armii. Dziś krytykuje pan swego kolegę, jutro przyjdzie panu ochota poddać krytyce wyższego dowódcę, a potem sięgnie pan jeszcze wyżej.

Palijenko milczał. Z przykrością czuł na swojej ręce pulchne palce Jekłemy, nie takie znowu ciepłe i nie takie ojcowskie. I słowa jakby owinięte w watę, ale ile w nich szpilek.

— Przede wszystkim powinniśmy być uczciwi, w bojowym przygotowaniu też — powiedział wreszcie cicho. — Chyba o tym właśnie będziemy mówić na zebraniu. Właściwie nie rozumiem pana. Sprawa z Sydorowskim przecież się skończyła. Jest znowu w pełnej gali, przy wszystkich insygniach.

— Ba!

— Wczoraj latał na poligon.

Jekłema nachylił się do Palijenki i zaczął nerwowo bębnić palcami. Oczy zwięzły się, stały się zimne i groźne. Okazało się, że z Sydorowskim jest niedobrze, zaczął gorzej latać, nadal pije, obraca się w jakimś podejrzanym towarzystwie, widziano go kilka razy w restauracji. A wszystko przez silny wstrząs psychiczny.

— Radzę panu — mówi Jekłema, ciężko dysząc Palijence w twarz — opowiedzieć dziś szczerze komunistom, jak to się stało. Trzeba im wyjaśnić, że był pan wobec niego może zbyt surowy, niezbyt obiektywny...



General zrozumie pańską sytuację, a Sydorowski odczuje, że go zrehabilitowano, i koniec sprawy.

— Czy mogę odejść, towarzyszu podpułkowniku? Jekłema wstaje, prostuje się, jego pełna, pomarszczona twarz ma wyraz surowy.

— Możecie odejść. I radzę posłuchać mojej rady.

— Pomyślę, towarzyszu podpułkowniku.

Palijenko robi w tył zwrot przez lewe ramię, jak na musztrze, podkreślając w ten sposób ściśle służbowy charakter ich rozmowy.

W korytarzu dostrzegł Buszmę, który z opuszczoną głową palił przy oknie papierosa, wyraźnie czymś przybity.

— Coś taki przegrany? — pyta Palijenko, któremu po rozmowie z przełożonym zrobiło się jakoś lżej na sercu i chciałby z kimś po przyjacielsku pogadać.

Okazało się, że Oleg ma kłopoty sercowe. Złożył wczoraj wizytę rodzicom Ziny, którzy wyraźnie dali mu do zrozumienia, że lotnicy nie nadają się do rodzinnego życia, nie szanują dziewcząt i nie są zdolni do założenia prawdziwej rodziny.

— I tak się tym przejąłeś?

— Chodzi o zasadę!

— Znam twoje zasady i pochwalam je. Więc gdy już raz zakochałeś się prawdziwie, to szturmuj do końca. Zina godna jest twoich uczuć. — I zmieniając temat powiedział rzeczowym tonem. — Zbierz chłopców, poćwiczmy katapultowanie. Trzeba trochę potrząsnąć waszymi kosteczkami.

Dzień zleciał bardzo szybko. Odwarkotał gromami silników, oddzwonił śmiechem dzieciarni pod oknami, radośnie się wysłonecznił. Na sercu też ciepło i jasno. Trzeba trzymać się w garści do zebrania. General tak

jakoś srogo na nich popatrzył, chociaż trochę pochwalił. Ale co innego w przyjaznym gronie, a zupełnie co innego, gdy Jekłema wyjdzie na trybunę i kiedy Sydorowski z bladą, przepitą twarzą będzie rzucać na Jewhena wrogie spojrzenia. Niech już jak najszybciej odbędzie się to zebranie. Z generałem czy bez generała. Żeby wreszcie wszystko się wyjaśniło, by można spokojnie żyć.

Nagle uświadomił sobie: Hania! Oto skąd wzięła się ta fala ciepła w piersiach, jasności i czegoś bliskiego, radości. Prosi go, żeby odwiedził Lończyka. Jak gdyby trzeba go było o to prosić. Niech by mu kazała biec do niego nawet w nocy, pobiegłby bez namysłu. Miła moja, najmilsza... Smutno jej tam. „Wenecję” przekopali. Będziemy mieli jeszcze własne „Wenecje”. I nikt ich nie przekopie!

— Już czas, nasi idą do klubu — wyrwał Palijenkę z zamyślenia Buszma, zajrzawszy do kancelarii eskadry.

Czas to czas. A więc generał... Poczul w piersiach chłód, nie było mu już tak prosto i jasno jak dotąd, ciało zrobiło się jakieś ociężałe, poczul zmęczenie, jakby zniechęcenie.

Przeszedł szybkim krokiem Jekłema z grubą teczką pod pachą. Tak chodzą ludzie zdecydowani, rzeczowi. Buszma wziął przyjaciela pod rękę, Jewhen odczuł w tym geście przyjazne wsparcie.

Weszli do gwarnej sali klubu oficerskiego. Ktoś przyniósł karafkę z wodą. Jaskrawe światło zalewa czerwone sukno na stole prezydialnym, na ścianie wielki portret Lenina.

Palijenko zauważył siedzącego w pierwszym rzędzie Sydorowskiego. Rozwalony niedbale na krześle, z pochyloną na bok głową jakby drzemał. Na wprost niego,

przy stole prezydialnym, złościły się generalskie naramienniki. Władczo uniesiona głowa, surowy wygląd.

Nastrój Palijenki pogarszał się. Trzeba by usiąść gdzieś dalej. Już wybrali prezydium? Kiedyś i jego zapraszali, ale dziś inne nazwiska, inne kandydaty.

Buszma, siedząc na krześle, przeglądał jakąś książkę astronomiczną.

— Syriusz — zadudnił, chcąc zwrócić uwagę Palijenki — to najjaśniejsza z gwiazd. Wielkość gwiazdowa Syriusza wynosi minus 1,58m, jasność absolutna 1,3 M, klasa widmowa Ao. Jest to jedna z gwiazd najbliższych Słońca, oddalona od Ziemi o 2,67 parseka. Chodzi oczywiście o Syriusza A, gwiazdę podwójną, spektroskopową, z okresowym przesuwaniem się linii...

— Uspokój się! — Palijenko próbował go uciszyć.

— Dziwak z ciebie, Żeniu — Buszma przykrył książkę. — Syriusz to gwiazda bogów. Choć w świecie antycznym niektórzy uważali ją za zwiastuna nieszczęścia. Posłuchaj — zaczął mówić uroczystym głosem — fragmentu „Iliady” Homera: „Mknął polem Achilles, do gwiazdy podobny, tej, co jasno świeci na jesiennym niebie. Syriusz, jak ją zwano, śmiertelnym nieszczęście zwykle zapowiada”. A zupełnie inaczej jest u Arystofanesa: „Niechaj zaczekają, póki na niebie Syriusz nie zabłyśnie, gwiazda szczęśliwych”. — Buszma uśmiechnął się szelmowsko. — Jak widzisz, wszystko zależy od autorskiego optymizmu.

Zebranie rozpoczęło się spokojnie, rzeczowo, w skupieniu, jak zawsze. Na wstępie odczytano oficjalny dokument ze sztabu dywizji, uzupełniony wyjaśnieniami generała, po czym podpułkownik Jekłema podał z kartki dane dotyczące bojowego szkolenia w pułku. Potem ktoś jeszcze przemawiał uczenie i monotonicznie. Było spokojnie i nudno, tylko tu i tam szeptało, nawet obecność generała nie wniosła do obrad ożywienia.

Za oknami zapadał wieczór. Jewhen pomyślał, że Hania wróciła już chyba z pracy i coś pewnie czyta. Myślał teraz o niej z czułością. Znowu było dobrze i jasno. Wszystko gdzieś odpłynęło w dal: i zebranie, i generał, i Sydorowski. Posiedzą tu jeszcze z godzinę. Chyba generał zabierze głos.

Na trybunie był jeden z lotników sąsiedniej eskadry, brunet o wysokim czole. Niedawno opuścił szkołę. Stał, mocno wsparty rękami o stół, i nie odrywając oczu od kartki, rzucał w mikrofon słowa ciężkie jak babbitt: buch, buch, buch!... Zdaje się, że mówił coś o uczciwości. Wzywał do przestrzegania regulaminu, wzmagania gotowości bojowej, równania do najlepszych. Słowa padały na salę i z miejsca gasły. Puste słowa, pusty głos. Ale ten natrętny głos zaczął piętnować z oburzeniem tych, co śmieli rzucić cień na bojową rodzinę pułkową.

— Zaczęło się! — powiedział Buszma z sardonicznym uśmiechem.

— Jak z nut! — westchnął Palijenko.

A mówca rąbał dalej wpatrzony w trybunę. W pewnym jednak momencie musiał oderwać od niej wzrok, żeby podnieść kartkę z przemówieniem, która mu spadła. Nie znalazł jej jednak, więc mówił dalej z głowy.

— To skandal! Nie pozwolimy tutaj na żadne antagonizmy. Znamy te sztuczki! Jeśli poszedłeś służyć, to służ! W armii to nie na imieninach u teściów! Jeśli jesteś człowiekiem wojskowym, to musisz być wojskowym do mózgu kości...

Sala ożywiła się, tu i ówdzie rozległ się śmiech, ktoś zaklaskał. W tym momencie podano do stołu prezydialnego kartkę. Generał przeczytawszy ją uśmiechnął się powściągliwie i przekazał ją przewodniczącemu zebrania, majorowi Trehubowi, z jakąś uwagą. Major wstał, nałożył okulary i zadzwonił ołówkiem o karafkę.

— Towarzysze, uwaga!

Stojący na trybunie przerwał swoje tyrady, trzeba było posłuchać majora. Trehub zbliżył kartkę do oczu i hamując śmiech zaczął czytać basowym głosem.

— „Szanowny mówca niepotrzebnie przyrównuje wszystkich do siebie. A że ma prawdopodobnie mózg w kościach, to nie warto o tym na zebraniu przypominać, widzimy sami. Więc nie marnujcie czasu, szanowny mówco. Istotnie nie jesteśmy u teściów na imieninach”. Trehub kładzie kartkę na stole, patrzy rozbawionymi oczami na salę, czekając, aż ucichną śmiechy, i rzuca ostro w stronę trybuny: — Proszę kończyć!

Buszma wczepił się w ramię Palijenki.

— No i masz uśmiech Syriusza, Jewhenie Dmytrowiczu. Bomba numer jeden. Bomba numer dwa będzie później. No cóż, poczekamy jeszcze.

No i „bomby” istotnie zaczęły spadać. Zupełnie nieoczekiwanie. Najpierw wystąpił jakiś skromny technik, siwiejący już major, po nim pewien kapitan ze służb technicznych, następnie zabrał głos młody lejtnant Granatkin. I wszyscy, jakby się zmówili, mówili o kapitanie Sydorowskim: jak wzrastał tu, w pułku, jak zdobywał zawodowe umiejętności i lotniczą sprawność. Wspominali te dawne czasy, kiedy młodziutki lejtnant grał w dywizyjnej drużynie jako prawy napastnik, nieraz też zdobywał pierwsze miejsca i w lekkiej atletyce, uczył się sumiennie i wypełniał rzetelnie swoje obowiązki. Potem wyrwał się do przodu i zawróciło mu się w głowie od sukcesów: najlepszy z najlepszych, pierwszy wśród najpierwszych, nieprześcigniony!... I odtąd wszystko robił dla tej przekłętej sławy. Żeby tylko — per fas et nefas — ją utrzymać.

— Towarzysze! Proszę do rzeczy! — poderwał się przy stole prezydialnym podpułkownik Jekłema, chociaż nikt nie udzielił mu głosu. — To są bezpodstawne

insynuacje! Mamy dziś honor gościć wysoką osobistość i nie spodziewałem się...

— Niech mówią dalej — przerwał mu generał.

— Chciałem tylko przypomnieć towarzyszom... — dodał tłumaczącym się tonem Jekłema i szybko usiadł z miną człowieka, któremu nie pozwolono zrobić dobrej rzeczy.

Na końcu przemówił krótko generał. Twarz miał surową i kamienną, brwi nastroszone, na piersiach lśnią chłodno złote gwiazdy. Tylko w jego siwiźnie jest coś ojcowskiego, coś dawno znajomego i bliskiego. Pochylił się nad trybuną. Kiedyś pochylał się tak nad drążkiem swego bojowego samolotu, przelatując nad briańskimi lasami czy nad płonącymi domami berlińskich ulic. Z dwoma odłamkami w ciele krążył wśród czarnych, dymiących zgliszcz dogorywającej, ale nie zmiażdżonej jeszcze ostatecznie stolicy wroga. Minęły lata, zajmował różne stanowiska, dowodził pułkami, dywizjami, armiami, ciągle jednak miał w sobie jeszcze coś z dawnego nieustraszonego lotnika, i oczy te same, czujne i pełne koncentracji, i żelazne ręce, i siła woli w spojrzeniu.

— Powiem zwyczajnie, po żołniersku — zaczął głuchym głosem. — Kiedy traciliśmy w bitwach ludzi, było ciężko i było gorzko. Ale sto razy boleśniej jest utracić towarzysza dziś, w pokojowej służbie, kiedy tracimy, nie tyle człowieka, co wiarę w niego. Gdy wczorajszy talent służy już tylko do popisywania się, a wczorajszy mistrz zmienia się w rzemieślnika. — Generał nachmurzył się jeszcze bardziej, potem z wyraźnym wysiłkiem uniósł głowę i zapatrzył się gdzieś w salę. — Gdyby mi powiedzieli: wybieraj zaraz przed walką współtowarzysza, zabrałbym nie kapitana Sydowskiego, lecz wybrałbym Palijenkę!

Na sali wszczął się gwar, ale natychmiast ucichł. Za-

panowała zupełna cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Tak bywało kiedyś przed bitwą, przed huraganem przygotowania artyleryjskiego.

Jewhenowi wydawało się, że wszyscy patrzą w jego stronę. W rzeczywistości spoglądał na niego tylko lejtnant Buszma. Spoglądał? Parzył go swoim cygańskim, łobuzerskim spojrzeniem. Cóż to były za oczy! Palijenko odczytał w nich: „Syriusz — gwiazda szczęśliwych”. Dotknął palców przyjaciela i delikatnie je uściskał.

— Wiktorze Hryhorowiczu! Czy można? — spytała Oksana, zbliżając się do Żadana, który w zamyśleniu patrzył w okno.

Nie od razu zareagował na jej głos. A gdy się odwrócił, ujrzał wielkie, uważne oczy i bladą twarz jakby przygasłą ze zmęczenia, a może czymś zaniepokojoną.

— Słucham panią — powiedział obojętnie, usiadł przy biurku i wskazał jej fotel. — Proszę.

W jego ruchach i głosie odczuwało się oschłość i obcość, jak gdyby nic go nie interesowało, a tę kobietę ujrzał pierwszy raz.

— My wczoraj na naradzie... właśnie tu... są pewne dane... — rozpoczęła niepewnie planistka.

— Przepraszam, na jakiej naradzie? — spytał Wiktor, pochylając umyślnie nad biurkiem głowę, żeby nie widzieć jej zmieszania.

— U nas w oddziale działa kółko racjonalizatorów i wynalazców — Oksana położyła przed sobą arkusz papieru. — Chcemy panu zaproponować ciekawe materiały...

Żadan podniósł głowę i przymrużył z niedowierzaniem oczy. Jest teraz zajęty, sprawy racjonalizatorskie nie podlegają jego kompetencji, a w ogóle od dziś nie

jest już kierownikiem oddziału. Niech poczeka kilka dni. Po co się spieszyć? Nagle złagodniał, na ustach pojawił się zmęczony uśmiech. Wszystko będzie dobrze, Oksano. Wszystko będzie wspaniale...

Wstała zbита z tropu, nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

— Przepraszam... Nie wiedziałam.

— Teraz już pani wie. Tylko proszę, aby pani na razie nikomu o tym nie mówiła. Sam o tym zawiadomię, ale dopiero gdy podpisane będzie odpowiednie zarządzenie.

Wyszła cicho z niezbyt mądrą miną, zostawiając drzwi otwarte, po czym dały się słyszeć kroki na schodach.

Przeszedł się dookoła stołu: równo ustawione krzesła, czerwone sukno, na nim biały arkusz papieru. To Oksana zapomniała. A może umyślnie zostawiła, żeby przejrzał. Kto by z tymi babami doszedł końca? Kłóca się, biadola, a potem spojrzę na nas tak, że w ich oczach przegląda się cała dusza.

Co prawda oczom nie zawsze można wierzyć. Różną w nich można wyczytać łaskawość i różne mogą być jej skutki. Wczoraj przekonał się, że u niektórych łaskawość może zmienić się we wściekłość. Łehkostup zaprosił go do gabinetu i zaczął rozmowę na temat łączących ich stosunków, przypominając, że w tym domu przyjęto go z otwartymi rękami, powinien więc cieszyć się z tego i być wdzięczny Zoi. „Ale pan wzgardził naszą gościnnością. — Łehkostup coraz bardziej czerwieniał się na twarzy. — Zamiast wdzięczności za nasze dobro pokazał pan pazury”. Następnie Illia Kindratowicz wyjął z szuflady zawiniętą w gazetę paczuszkę, w której, jak się okazało, były oburzające dowody jego, Wiktora, amoralności i rozwiązłości obyczajowej: fotografie. Czy mogą być dowody bardziej kompromi-



tujące? Czy szanowny Wiktor Hryhorowicz nie zechciałby siebie zobaczyć? Łehkostup uśmiechnął się wzgardliwie. Bardzo udane zdjęcia! I rozrzucił przed Wiktorem na biurku odbitki fotograficzne.

Na tych zdjęciach Wiktor był w towarzystwie młodej dyplomantki przy stole w mieszkaniu Zaliskiego. Wołodia sprytnie się zaczął z aparatem w jakimś kącie! Wyzywająco uśmiechnięta twarz blondynki, przy niej Wiktor z ręką na jej ramieniu, wpatrzony w nią trzyma kieliszek blisko ust, siedzą przy stole zastawionym napojami i zakąskami.

— Widzę, że pan ma cały arsenał szantażu — rzekł Wiktor szydlerczo. — Szuka pan naiwnych i strachliwych?

— Odpłacam cynizmem za cynizm.

— Jakiej zapłaty pan żąda?

— Ludzkiego postępowania, nic więcej! — Łehkostup wykrzywił w patetycznym grymasie wargi, zgarmał zdjęcia i schował je do szuflady. — Na pańskie oburzające postępowanie odpowiadam wielkodusznym gestem. Zaliski chciał posłać te fotografie do władz partyjnych. Razem z odpowiednim komentarzem. Zabroniłem mu jednak — Łehkostup znów wyjął fotografie i nagle z pasją porwał je na drobne kawałki. — Ot, i wszystko! — zrobił efektowną pauzę. — Zoja o tym nie wie. Ona pana kocha i drzwi naszego mieszkania są dla pana otwarte — usiadł koło Wiktora i położył mu na kolanie pulchne dłonie. — Mam nadzieję, że pan się opamięta i zrozumie. Jest pan teraz dla wszystkich skompromitowany i splamiony... Wierzę jednak — głos Łehkostupa nabrał akcentów surowości i stanowczości — jestem o tym głęboko przekonany, że pańska przyszłość nie jest jeszcze przekreślona. Tak właśnie powiem na zebraniu komitetu partyjnego: nie jest jeszcze przekreślona. Niech pan już idzie!

Tego dnia Wiktor do Zoi już nie wrócił. Ojca też nie chciał niepokoić, nie warto znów zaczynać rodzinnej sprzeczki, samo życie za nich zdecyduje. Pomieszka u przyjaciół, a później się okaże co i jak. Nie zeszedł jeszcze ze sceny, nie ma sensu wpadać w rozpacz.

Stał w pustym gabinecie i tępyim wzrokiem patrzył w stół. Zostawiony przez Oksanę arkusz leżał jakoś biednie i samotnie — biały prostokąt papieru na czerwonym blacie biurka. Wziął go do ręki: cyfry — rzędami, kolumnami. Wpatrywał się w nie i mechanicznie odczytywał. I tu nagle coś mu się przypomniało znajomego: klasyfikator! Usiadł przy biurku i wówczas zauważył, że pod kartką przypięte były jeszcze jakieś papiery zapisane liczbami.

Dlaczego ona nic nie powiedziała? Oj, Oksano, Oksano! Wam też zachciało się wielkich rzeczy, moje wy dziewczęta. Zorientował się, że to tylko naiwny szkic, pierwsza nieśmiała próba znalezienia dróg do unifikacji. Zrozumiałe, że młodym brak jeszcze odpowiedniej wiedzy, elementarnej metodologii pracy. Ale przecież zaczęli, zrobili początek... No i patrzcie: przyszła do niego, położyła na biurku — „ciekawe materiały, Wiktorze Hryhorowiczu!...” Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego tak późno?

Gdy przyszedł na oddział, zastał na linii rewolwerowej jakichś pracowników od głównego technologa. Hryć Sokił pokazywał im miejsca, na których stały do niedawna warsztaty, zabrane stąd z polecenia głównego inżyniera. Nieprzyjemnie było widzieć tu teraz tych ludzi, którzy nie zwracali już na niego uwagi, zajęci własnymi sprawami; będą chyba rekonstruować zdeorganizowaną technologię.

Wiktor zbliżył się do nich. Formalnie był ciągle jeszcze kierownikiem i musiał się tym zainteresować.

Sokił przywitał się z nim i wyjaśnił, że Suworin żąda kosztorysu dla nowej linii.

— Jakiej?

— Nie wiem. Chyba karuzelowej.

„I mój elektronowy dyspozytor — pomyślał z bólem Wiktor. — Poproszę o pracę starszego majstra na tej linii... Chociaż nie, nie zgodzą się. Mam przecież dyplom...”

Dostrzegł w tym momencie ojca, który zbliżał się do niego powoli z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Staął, skinął na niego, Wiktor podszedł.

— Był u mnie Haładij, bardzo się martwi o swego krewnego. — Hryhory Łukycz miał chorobliwy wygląd, worki pod oczami, widocznie w nocy serce dało mu się we znaki. — Petro Onufrijowicz rozpił się zupełnie. Trzeba by go jakoś podtrzymać. Ucieszy go pewnie wiadomość, że wpadnięto na ślad zdrajcy. To jednak Harbowski, nasz łącznik. Bo Szram to Harbowski. Antonowicz słusznie go podejrzewał. Teraz to niech już prokurator poprowadzi sprawę do końca.

— A jak mały?

— Hania zabiera go do siebie. W tych dniach ma przyjechać do wsi — Hryhory Łukycz patrzy ze smutkiem na syna. — Może byś pojechał też, Witia? Bo nieprędka później ich zobaczysz. Jeśli polepszy mi się z sercem, to wybierzemy się razem.

Wiktorą wezwali do telefonu w gabinecie Howiady.

— To dyrektor. Dawno już pana szuka.

Słuchawka leżała przy aparacie. Stary Howiada o różowych uszach pochylił łysiejącą głowę nad papierami i coś starannie przepisywał, jakby nie chciał słyszeć rozmowy telefonicznej.

— Co ty mi tu za delegacje posyłasz? — w głosie dyrektora wyczuł przyjazną nutę. — Tu komsomolcy

z twojego oddziału wojują o ciebie. Przyjdź zaraz, razem pogadamy.

Patrzył na małego, wysuszonego Howiadę i poczuł nagle dziwną lekkość i ciepło w piersiach. Chciałby coś jeszcze usłyszeć, chociażby od tego starego, zmęczonego pracą inżyniera.

— Z czwartego? — zainteresował się Howiada.

— Będzie i z czwartego! — powiedział Wiktor i z trzaskiem położył słuchawkę.

Lotnicze ćwiczenia taktyczne zaczęły się pod wieczór. Na horyzoncie gromadziły się niskie chmury, szkarłatniejąc od zachodzącego słońca.

Generał przybył na KP\* i śledził akcję myśliwców przechwytyjących. W okrągłym polu widzenia indykatora widać było dokładnie przebieg lotów.

— Kto wyroluje na start? — spytał generał majora Trehuba, który w tym dniu był kierownikiem lotów.

— Na trzydziestym kapitan Palijenko, a na pięćdziesiątym kapitan Sydorowski.

— Interesujące. Pojednanie na niebieskim poligonie. Trzeba było tak od razu. Pochwalam.

Na polu indykatora przesuwwały się punkciki. Oto „przeciwnik”. Na wyznaczonej granicy samoloty Palijenki i Sydorowskiego zaczęły się rozchodzić, gotując się do ataku.

Z głośnika popłynął głos Palijenki.

— Tu trzydziesty, widzę cel.

Po kilku sekundach ten sam wyrazisty głos.

— Tu trzydziesty. Atakuję!

Generał uśmiechnął się. Przejmował się najbardziej tym właśnie lotnikiem, chociaż nie było powodów do

---

\* Punkt dowodzenia.

niepokoją. Z tym Sydorowskim będzie gorzej, od razu mu nie wyszło, rozpoczęły się manewry, zmiana kursów. Generał marszczy brwi, czuje, jak mocniej bije mu serce. Sydorowski... Wnet wyczerpie się paliwo. Czas lądować. Dlaczego on przeciąga? Kończyć natychmiast!

Sekundy bieły i dźwięczały w uszach.

Sydorowski ciągle milczy. Jak gdyby zniknął gdzieś zupełnie.

— Co się z nim dzieje? — nie wytrzymał generał. — Gdzie on? Dajcie współrzędne!

Nawigator zameldował, że Sydorowski idzie kursem 280. Na pewno zawiódł system nawigacyjny, a może i kompas.

Sytuacja stawała się groźna. Generał zamienił spojrzenia z Trehubem. Dwóch doświadczonych dowódców lotników zastanawiało się nad możliwymi sposobami udzielenia pomocy, próbując wyobrazić sobie sytuację Sydorowskiego. Brak dopływu prądu. Przyrządy nie działają. Idzie w chmurach ślepy kurs. Może odzyskać lotnisko tylko wzrokiem. Kończy się paliwo, ostatnie minuty...

— Nawigator, jaka wysokość?

— Według radiokompasu obniża się. Dziesięć tysięcy. Nerwy zaczęły zawodzić, nie wytrzymują napięcia. A chmury coraz gęstsze, zapada wieczór. Co on zrobi? Czy wyskoczy? Ostatnie minuty...

Trehub rozumiał, że w takiej sytuacji Sydorowskiego może uratować tylko ziemia. To był ostatni wariant, ostatnia nadzieja... Kto na pasie startowym? Który gotów do lotu? Odpowiedziano, że Palijenko już „ostygł”. „Palijenko! — pomyślał Trehub, czując jednocześnie chłód. — Tylko on mógłby zdążyć i sprowadzić kolegę na ziemię”.

— Kapitan Palijenko! — zawołał do mikrofonu. —  
Ile u pana paliwa?

— Na pięć, sześć minut, towarzyszu majorze.

— Trzydziesty, startować i przejąć pięćdziesiątego!  
Sekunda milczenia, po czym słysząc zdecydowany  
głos Palijenki.

— Trzydziesty zrozumiał. Idę na przejęcie.

Generał usiadł zmęczony w kącie na krześle i zakrył  
dłonią oczy. Bardzo ostre światło. Gdyby tak można  
samemu być teraz w chmurach, na niebie!

— No i los ich pogodzi — mówi w zamyśleniu.

— Pięć minut — melduje Trehub, śledząc ostry lot  
samolotu Palijenki.

I nagle jak śpiew zabrzmiało z głośnika:

— Tu trzydziesty. Cel przejąłem. Podchodzę do  
ładowania.

Jewhen szedł w zamyśleniu topolową aleją. Życie  
rzucało nim jak na bystrym nurcie: to wpędzało do  
ślepego zaułka, to znów odkrywało nagle przed nim  
równe, lśniące tafle jezior. Tak jak dziś. Po lotach ge-  
nerał podziękował mu za dzielność, uściśnął mu przed  
stojącymi w szeregu kolegami rękę i nieco nawet roz-  
czulony wziął go w ramiona. „Dziękuję — powiedział  
prosto, nie po wojskowemu. I zwracając się do lotni-  
ków, podsumował: — Przyjaźń i wzajemna pomoc jest  
bardzo ważna w bojowych warunkach”.

Jakie dziwne i skomplikowane jest to życie. To ude-  
rzy, to znów przygarnie. I trzeba brać wszystko na  
barki bez żadnej paniki, żadnych zrywów, towarzyszu  
kapitanie. Wczoraj musiał odwieźć matkę karetką po-  
gotowia do szpitala z ciężkim atakiem serca, jakiego  
dotąd jeszcze nie miała. A wszystko przez Haładija,  
który swoimi relacjami bardzo staruszkę zaniepokoił.

Przyjechał wieczorem taksówką, jakby się paliło. „Byłem — powiada — u starego Żadana, a teraz przychodzę do pani po radę. Dobrze, że dostałem wtedy adres. Niech pani pomoże! Mój kuzyn ze wsi, Petro Czepurny, zupełnie się rozpił i zamartwił. Podczas okupacji był partyzanckim łącznikiem. I teraz ten, kto przynosił mu z lasu wiadomości, odgraża mu się i mnie jako krewnemu też, i może być z tego wielka bieda. Ten łajdak oskarża brata, że niby miał zaprzedać Niemcom marianowskie podziemie. Oddaj, powiada, moje złoto, bo pójdę do władz i wpakuję cię do więzienia z całą twoją rodziną i wszystkimi krewnymi. Proszę mi powiedzieć, panie kapitanie, czy Petro nie powinien sam zgłosić się na milicję? On sumienie ma czyste. I żadnego złota nikomu nie zabrał. Coś tam dał mu ten drań na przechowanie, ale on nawet palcem tego nie tknął. Wszystko jest pod wodą, na dnie, zalane. Co on ma teraz robić? Wsadzą do więzienia, dadzą wyrok, a w domu mały Łończyk, Hania jeszcze się nie urządziła”.

Jewhen z trudem uspokoił przestraszonego taksówkarza i poradził zwrócić się do władz i nie ukrywać swoich podejrzeń. A o Hanię i Łończyka niech się nie martwi. Wszystko będzie dobrze. Nie zostawi ich w nieszczęściu.

Haładija jakoś pocieszył, ale matka po tej wizycie poczuła się bardzo źle. Nie mogła słuchać o wojnie, o ludzkim cierpieniu. No i teraz jest w szpitalu. Żeby tylko wylizała się z tego... Jutro rano pojedzie do niej.

Otworzył drzwi, przez chwilę nasłuchiwał. Może mama jest już w domu, śpi albo czyta? Oto jej ranne pantofle... Chustka... Pleciony koszyk... Lubiła plecione, wiejskie koszyki, nie mogła przyzwyczać się do tych nowoczesnych, z kolorowych tworzyw.

W mieszkaniu był idealny porządek. Wszystko lśni-

ło: podłoga, kuchenny stolik, lodówka, kuchenka gazowa. Czy bez niej też będzie tak czysto? Bez niej? Było to coś niewiarygodnego. Odrzucił tę myśl. Obszedł całe mieszkanie. Mama! Jakie niespodzianki niesie życie! Jeszcze wczoraj leżała tu, na tej kanapie, blada, chudziutka. „Jesteś jak dziewczynka, mamo” — zażartował. Wyobraził sobie, jak ona próbowała bez niego gospodarować. Zmieniła obrus, wyjęła z bielizniarki czysty i długo chyba stała, wygładzając go dłońmi. Lubi tak pieczołtliwie wygładzać na stole serwetę. Gładzi, gładzi, jakby się jej zdawało, że od tego materiał staje się bardziej błyszczący, a kolory dużych kwiatów jeszcze intensywniej mieniają się na białym tle.

Wziął jakiś podręcznik, zaczął go przeglądać, ale po chwili odłożył. Na szafie tyka zegar, w kątach czają się cienie w oczekiwaniu nocy. On też czeka. Może Hania da o sobie znać? Może przyjdzie telegram albo awizo z poczty na rozmowę międzymiastową? Już kilka dni nie było od niej listu, więc się martwił i nic nie mogło go uspokoić. Może chora? Albo jakieś nieszczęście na budowie? Cóż jednak można wiedzieć o jej dalszych planach? Hryc mówił mu, że młody Żadan pytał Oksanę o jej adres i dowiadywał się o Lończyka. Widocznie nie tak łatwo zapomina się pierwszą miłość. To chyba niemożliwe.

Jeszcze jedno złudzenie, towarzyszu kapitanie. Miraż. Jak i wszystko wokół ciebie. Błękitna, nieuchwytna pustka. Wyrывasz się, lecisz, szalejesz z zachwytem, pragniesz niemożliwego...

A ludzie mądrzy powiadają: nie żądaj niemożliwości. Ta gorzka prawda znana jest już od tysiący lat. Tysiące lat! Tysiące lat i... dzień dzisiejszy. Była matka i opuściła go, była miłość i zamieniła się w smutek.

Bzdury! Po co zginął ojciec, jeśli wszystko jest złudą,



mirażem? Po co unoszą się codziennie w błękitny bezkres? Generał uściśnął mu dłoń, dziękował za odwagę. Jakie to życie bez sensu, a jednak jakie piękne!

Palijenko położył się na wznak na tapczanie, podłożył pod głowę rękę. Cicho, cicho...

Nagle z dołu doleciał jakiś warkot. Samochód? Uniósł się i wsparł głowę na rękę. Usłyszał skrzypnięcie wejściowych drzwi, potem szybkie kroki na schodach. Wstał, otworzył drzwi i ujrzał Haładija. W skórzanej kurtce na zamek błyskawiczny.

— Proszę wybaczyć, Jewhenie... przepraszam, nie wiem jak po ojcu... Przepraszam, że tak późno. Mam właśnie nocną zmianę, no to mogłem własnym transportem przyjechać. Proszono, żebym panu przekazał...

— List od Hani?

— Przyjechała dziś, ale zaraz wyruszyła na wieś. Chce zabrać Łończyka. Prosiła, bym to panu powiedział, jeśli pana zastanę. No to niech się pan nie gniewa, że fatygowałem. Już uciekam...

Pobiegł w dół, zatrzaskał bramę.

Skończyły się domysły. Teraz przynajmniej wszystko jasne, może coś postanowić, na coś się zdecydować. No więc zawiadomiła go, że przyjechała i że wyjeżdża po dziecko.

Stał w przedpokoju, przeżywając na zmianę radość i niepewność, do serca wkradało się niejasne przecucie szczęścia.

Ale dokąd ona potem się wybiera? I co będzie z nimi?

Wszedł do mieszkania. Spojrzał na zegarek. Jeszcze nie noc, ale droga do Marianówki daleka. Droga, którą mógł sobie tylko wyobrazić. Znów popatrzył na zegarek i uśmiechnął się w zamyśleniu. No cóż, niech będzie, co ma być. Nałożył czapkę i wyszedł.

Na szosie mnóstwo świateł. Samochody jadą równymi sznurami, ani ich wyprzedzić, ani przebić się jakoś bokiem. A musi się spieszyć. Wie, że Hania długo nie zatrzyma się we wsi, zabierze chłopca i wróci na swoją stepową budowę. Znalazła tam swoje szczęście, a może wierzy, że je tam kiedyś znajdzie.

Jechał motocyklem pożyczonym od kolegi. Z pól nacierał mrok, od czasu do czasu błysnęło jezioro. Ćma pochłaniała domy, tylko pojedyncze światełka przypominały o zaciszu i spokoju, wabiąc do siebie.

Miał przed sobą dziesiątki kilometrów nocnej jazdy. Asfaltowa wstęga rozwijała się bez końca, bez zatrzymania się, z jakąś gorączkową niecierpliwością, jakby czuła, że ta noc będzie długa i że od niej zależy czyjeś szczęście, a może i życie.

W tyle płonęło światłami miasto, z nieba spadały gwiazdy, po obu stronach szosy spały zmęczone wsie. Samochodów było coraz mniej. Wciąż dodawał gazu. Musi zdążyć do rana. Musi powiedzieć Hani o cierpieniu z powodu miłości. Wszystko jej powie, odkryje przed nią swoje serce. Niech wie, niech widzi. Wieczna rozłąka? To niemożliwe! Nawet gwiazdy się nie rozłączają, chociaż są rozrzucone po ogromnym niebie. A rozłąki nie trzeba się bać, można ją przewyciężyć. Trzeba się bać tylko wówczas, gdy w sercu przygasa droga do ukochanej i pierzchają młodzieńcze marzenia.

Wiktor Żadan zrozumiał to teraz. Bał się tylko czasu, mknąc szosą, bał się jakiegoś wypadku, jakiejś ślepej niespodzianki, która przecina ludziom drogę.

Szosa biegła wśród wierzb, wierzby biegły mu na spotkanie. Ciemności były coraz gęstsze, wrzynał się jednak zajadle w tę czarną noc. Oczy ślepy ze zmęczenia, Wiktor pochylał się nad kierownicą coraz niżej.

Szybciej, szybciej!

Nad głową rozpiął się bezkresny, gwiazdzisty namiot, bezkresna była nieprzenikniona przestrzeń mrocznych pól, nic już nie mogło zatrzymać kół motocykla.

Wiktor znów dodał gazu. Miał ciągle przed sobą ścianę gęstego mroku, w którym czaiły się krzaki nieświadomego. Wiedział jednak, że musi przebić się przez nie. Wiedział, że za surowym horyzontem nocy zjawi się wreszcie smużka świtu i może starczy mu jeszcze sił, aby dobrnąć do niego, dotrzeć do jego perlistych odblasków.

Redaktor  
HALINA SZAL

Redaktor techniczny  
ZBIGNIEW MAREK

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · 1978

---

Wydanie I. Nakład 10 000+270 egz. Ark. wyd.  
14,4. Ark. druk. 19,5. Papier druk. sat. kl. III,  
70 g, 81×104 cm. Oddano do składania 19 lipca  
1977 r. Druk ukończono w kwietniu 1978 r.  
Cena zł 28.—

---

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne.  
ul. J. Marchlewskiego 19.  
Zam. 2187/77. C-4-20

Jurij Bedzyk urodził się w 1925 r. w Charkowie w rodzinie znanego pisarza Dmytra Bedzyka. Po wojnie studiował w Instytucie Spraw Międzynarodowych, później wykładał międzynarodowe prawo publiczne na Uniwersytecie Kijowskim, uprawiając ponadto publicystykę. Pracował także w wydawnictwie oraz gazecie „Literaturna Ukrajina”, organie Związku Pisarzy Ukrainy. Bedzyk jest autorem wielu opowiadań, powieści (w których często pobrzmiewają echa wojny), utworów z gatunku science fiction, scenariuszy filmowych.

„Błękit”, pierwszy utwór Bedzyka przełożony na język polski, to powieść współczesna, której akcję umiejscowił autor w środowisku robotników i w miasteczku lotników wojskowych. Stawiając bohaterów w różnych konfliktowych sytuacjach zawodowych, rozwijając nieszablonowe wątki miłosne odkrywa Bedzyk niuanse ludzkich zachowań, odsłania ambicje i marzenia, rysuje naturę człowieka. Powieść „Błękit” przemawia prawdą życiową, w centrum zainteresowań autora jest zawsze człowiek, z jego bogatą, pełną sprzeczności psychiką, wrażliwy na problemy, które niesie życie. To książka o wartościach ogólnoludzkich, głosząca pochwałę życia, pracy, miłości, przyjaźni.